

Tan Amy

Klub Radości i Szczęścia



*Mojej Matce
i pamięci jej Matki*

*Zapytałaś mnie kiedyś,
co zechcę zachować w pamięci.
To, i o wiele więcej.*

PODZIĘKOWANIE

Wyrażam tą drogą wdzięczność zespołowi dziennikarskiemu mego macierzystego tygodnika za życzliwość i rzeczowy krytycyzm okazane mi w czasie pisania tej książki. Gorące podziękowania składam również Louisowi De Mattei, Robertowi Foothorapowi, Gretchen Schields, Amy Hempel, Jennifer Barth oraz mojej rodzinie w Chinach i Stanach Zjednoczonych. Pragnę ponadto ofiarować tysiąc kwiatów każdej z trzech osób, które miałam szczęście i przyjemność poznać w trakcie pracy nad książką: Faith Sale, mojej redaktorce, za jej wiarę we mnie i tę książkę, Sandrze Dijkstrze, mojej agentce, za ocalenie mi życia, i Molly Giles, mojej nauczycielce, która kazała mi zacząć wszystko od początku, a potem cierpliwie prowadziła mnie do końca.

KLUB RADOŚCI I SZCZĘŚCIA

MATKI:

Suyuan Woo
An-mei Hsu
Lindo Jong
Ying-ying St. Clair

CÓRKI:

Jing-mei (June) Woo
Rose Hsu Jordan
Waverly Jong
Lena St. Clair

PIÓRA
SPOZA TYSIĘCY LI

Stara kobieta nie zapomniała łabędzia kupionego przed laty na szanghajskim targowisku za jakąś śmiesznie niską sumę. Ten ptak, zachwalał go handlarz, był kiedyś kaczką, która bardzo chciała być gęsią i tak długo wyciągała szyję, że proszę! — stała się zbyt piękna, żeby ją zjeść.

Kobieta i łabędź przepłynęli potem szeroki na wiele tysięcy li ocean, wyciągając szyje ku Ameryce. Podczas tej podróży zagruchała do swego ptaka: „W Ameryce urodzę córkę tak do mnie podobną, że będziemy jak dwie krople wody. O, ale mojej córki nikt już nie będzie szacował wedle tego, jak głośno beknie jej mąż po jedzeniu! Nikt nigdy nie spojrzy na nią z góry, bo nauczę ją mówić po angielsku, tak jak mówią Amerykanie. Będzie też zawsze zbyt syta, by przełknąć choć odrobinę smutku! A po to, żeby dobrze zrozumiała moje intencje, dam jej ciebie — stworzenie, co potrafiło osiągnąć więcej, niżliby kto pomyślał.”*

Kiedy jednak przybyła do nowego kraju, funkcjonariusze Urzędu Imigracyjnego wydarli jej z rąk łabędzia. W roz-trzepotanych dłoniach kobiety pozostało tylko jedno białe pióro. Na pamiątkę. A potem trzeba było wypełnić takie mnóstwo urzędowych formularzy, że nie miała czasu myśleć, po co tu przyjechała i co za sobą zostawia.

*** Beknięcie po posiłku jest oznaką grzeczności i podziękowania za smaczne jedzenie; im głośniejsze, tym grzeczniejsze. Tu chodzi o to, iż status towarzyski żony oceniano stosownie do stopnia dobrego wychowania jej męża. Obyczaj dziś zanikający (ten przypis i następne pochodzą od redaktora).**

Teraz była już stara. Wychowała córkę, która od urodzenia mówiła tylko po angielsku, a coca-coli lylała więcej niż smutku. Kobieta od dłuższego już czasu chciała dać jej to jedyne łabędzie pióro, mówiąc: „Może i wygląda ono na rzecz nic niewartą, ale pochodzi z bardzo daleka i zawiera wszystkie moje najlepsze intencje.” Zwlekąca z tym jednak z roku na rok, czekając dnia, kiedy wreszcie zdoła wypowiedzieć te słowa poprawnie... jak Amerykanka.

Jing-mei Woo

KLUB RADOŚCI I SZCZĘŚCIA

Ojciec zwrócił się do mnie z prośbą, żebym zasiadła jako czwarta przy stole do madżonga* w Klubie Radości i Szczęścia* . Mam zastąpić matkę, której miejsce przy tym stole jest od dwóch już miesięcy puste. Od dnia jej śmierci. Mój ojciec uważa, że zabiły ją własne myśli.

— Miała w głowie znowu jakiś pomysł, ale zanim zdołał wyjść jej z ust, zrobił się za duży, no i pękł. Musiał to być bardzo niedobry pomysł.

Lekarz stwierdził, że przyczyną śmierci był tętniak mózgu; klubowe przyjaciółki orzekły, że zmarła jak królik, to znaczy nagle, w dodatku pozostawiając za sobą tyle nie załatwionych spraw! Miała być gospodynią następnego spotkania Klubu Radości i Szczęścia.

Jeszcze na tydzień przed śmiercią była pełna werwy.

— Wiesz—zawołała do mnie tonem przechwałki — ciocia Lin podała ostatnio zupę z drobnej czerwonej fasoli, a ja ugotuję sezamową!

— Lepiej się nie popisuj — powiedziałam.

* **Madżong** (*majiang pat, maqiao pat*) — czteroosobowa gra hazardowa z użyciem „kamieni” (*pat*) polegająca na uzyskiwaniu określonych ich kombinacji i permutacji. Coś jakby połączenie pasjansa, pokera i domina.

* Chińskie słowo *julebu* (klub) jest kalką fonetyczną angielskiego *club*, a poza tym znaczy też: „spotkanie (zgromadzenie) wspólnej wesołości”. Tak więc organizowane w powieści imprezy towarzyskie mają po chińsku znaczenie: „Spotkania Wspólnej Wesołości w Radości i Szczęściu”.

— To nie żaden popis. — Wyjaśniła mi następnie, że obie te zupy są mniej więcej takie same — *chabuduo*. A może użyła słowa *butong*, które znaczy „niejednakowe”? To takie typowo chińskie pojęcie, oznaczające lepszą połowę ambiwaletnych intencji. Nie jestem pewna. Ani rusz nie potrafię zapamiętać żadnej rzeczy, której wpierw gruntownie nie zrozumiałam.

Amerykańska wersja Klubu Radości i Szczęścia powstała w San Francisco. Matka wystąpiła z tą inicjatywą na dwa lata przed moim urodzeniem — to jest w roku 1949, tym samym, w którym oboje z ojcem opuścili Chiny, zabierając z sobą tylko sztywną skórzaną walizę pełną eleganckich jedwabnych sukien.

Nie było czasu na pakowanie innych rzeczy — wyjaśniła matka już na statku, gdy ojciec nie przestawał gorączkowo gmerać wśród potoków śliskiego jedwabiu w poszukiwaniu swoich wełnianych spodni i bawełnianych koszul.

Po przybyciu do San Francisco kazał jej głęboko schować całą tę lśniąca wytworność. Chodziła świątek—piątek w tej samej chińskiej sukni w brązową kratkę, póki Towarzystwo Pomocy Uchodźcom nie przydzieliło jej dwóch używanych kiecek, wyjątkowo zresztą obszernych — nawet według amerykańskich kryteriów. Działaczkami Towarzystwa były siwowłose amerykańskie damy — misjonarki Pierwszego Chińskiego Kościoła Baptystów. Ze względu na otrzymane dary rodzicom nie wypadało nie przyłączyć się do kongregacji. Czy można było odrzucić taką propozycję, nie skorzystać z dobrych rad odnośnie lepszemu opanowaniu języka? Starsze panie utrzymywały, że jedynym ku temu sposobem jest zbiorowe studiowanie Pisma Świętego — w każdą środę wieczorem — oraz aktywne uczestnictwo w chórze kościelnym — w każdą niedzielę rano. W takich to okolicznościach nawiązana została znajomość z trzema parami małżeńskimi — państwem Hsu, Jong i St. Clair. Moja matka od razu wyczuła, że te trzy kobiety, podobnie jak ona, mają za sobą takie tragedie tam, w Chinach, że nie są w stanie o nich mówić, ale że wszystkie żywią jednak jakieś nadzieje na przyszłość, choć nie potrafią

wyrazić ich jeszcze swoją śmieszna, kaleką angielszczyzną. A może wyczytała to wszystko z ich nieruchomych, jakby zastygłych z bólu twarzy? Ale jakże ożyły ich oczy, kiedy rzuciła pomysł utworzenia Klubu!

Pomysł ten narodził się w Guilinie za czasów pierwszego małżeństwa mojej matki, na krótko przed zajęciem miasta przez Japończyków. Dlatego właśnie myśląc o Klubie kojarzę go zawsze z całą jej guilińską opowieścią. Słuchałam tej historii dziesiątki razy, zwykle wtedy gdy jej się nudziło, bo nie miała już nic do roboty — kiedy to każda miseczka została wyszorowana, stół dwa razy zmyty i wytarty, a ojciec z nieodłącznym pall-mallem w ustach rozpościerał przed sobą gazetę, nie-dwuznacznie dając do zrozumienia, żeby nie zawracać mu głowy. W takich chwilach matka wyjmowała pudło ze starymi narciarskimi swetrami (darem jakichś nigdy nie widzianych krewniaków z Vancouver), odcinała brzeżek dzianiny i wyciągnawszy wężykowatą nitkę, mocowała ją do kawałeczka kartonu. Jednostajnym ruchem zaczynała teraz nawijać włóczkę, a gdy ruch ten nabierał rytmu, zaczynała się opowieść. Lata całe jednakowo relacjonowała mi tę historię i z wyjątkiem samego zakończenia, które za każdym razem stawało się coraz bardziej zagmatwane. Cóż, właśnie ta niejasność rzuciła swój długi cień na życie mojej matki, a w końcu także i moje.

„O Guilinie marzyłam od dawna; śniłam o tym mieście dużo wcześniej, niż miałam je okazję zobaczyć — rozpoczynała matka po chińsku. — Z widy wały mi się poszarpane wzgórza nad krętą rzeką o brzegach porośniętych czarodziejsko zielonym mchem — jak w bajce. U wierzchołków tych wzniesień kłębiła się biała mgielka. Ach, położyć się na wodzie i dopłynąć tam z prądem! Gdybym nawet żywiła się tylko tym mchem, myślałam, i tak jeszcze miałabym dość siły, żeby wspiąć się na jakiś szczyt. A choćby i osunęła mi się noga, no to co? Najwyżej sturlałabym się na kępę mięciutkiego mchu i wybuchnęła śmiechem. A jak już dosięgnę szczytu, myślałam, to zobaczę wszystko, cały szeroki świat, i poczuję tak wielkie

szczęście, że starczy mi go na całe życie. Nigdy więcej nie nawiedzi mnie żadna troska.*

W Chinach wszyscy marzyli o Guilinie. Ja dopiero kiedy tam przybyłam, przekonałam się na własne oczy, jak ubogie były moje marzenia, jak nędzna wyobraźnia, która je stworzyła! Na widok wzgórz roześmiałam się i dreszcz mnie przeszedł. Wyglądało to tak, jakby ktoś smażył gigantyczne rybie głowy w kadzi pełnej gorącego oleju, a one próbowały z niej wyskoczyć. Za jednym wzgórzem widziałam cień drugiej ryby, a dalej następnej i następnej. A potem chmury przesunęły się trochę i oto wzgórza przybrały nagle kształty monstrualnych słoni z wolna maszerujących prosto na mnie! Możesz to sobie wyobrazić? U podnóży wzgórz pełno było ukrytych jaskiń. Ze sklepień zwisały zielone skalne warzywniki — ten kawałek kształtem i kolorem przypominał kapustę, tamten dynię woskową, jeszcze inny pory albo kalarepę. Wszystko tak dziwne i piękne, że brak słów.

Niestety, nie przyjechałam do Guilinu dla podziwiania jego piękna. Ten, który był wówczas moim mężem, przywiózł do miasta mnie i dwie nasze malutkie córeczki myśląc, że tu będziemy bezpieczne. Sam był guomindangowskim oficerem*, więc po ulokowaniu nas w jednym pokoiku jakiegoś piętrowego domku pojechał na północny zachód — do Chong-qingu*.

Wiedzieliśmy, że zwyciężają Japończycy, chociaż w gazetach pisano co innego. Dzień po dniu, godzina za godziną do miasta napływały tysiące ludzi... Nie mając gdzie mieszkać, koczowali na ulicach — na gołych chodnikach. Przybywali zewsząd — ze wschodu, zachodu, południa i północy. Bogacze, nędzarze, szanghajczycy, ludzie z Kantonu, ludzie z Pół

*** Krajobrazy w pobliżu miasta Guilin (prowincja Guizhou) nad rzeką Lin uchodzą za jedne z najpiękniejszych w Chinach. Na przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów płaskiej równiny wznoszą się zerodowane kilkusetmetrowe wzgórza, najciaśniej stłoczone po obu brzegach rzeki.**

*** Guomindang (Kuomintang) — Partia Narodowa rządząca w Chinach w latach 1928—1949. Dlatego przymiotnik „guomindangowski” używany był na określenie wszystkiego, co rządowe.**

*** Po zajęciu w roku 1938 przez Japończyków ówczesnej stolicy Chin — Nanjingu — rząd chiński obrał za tymczasową stolicę miasto Chongqing w prowincji Sichuan.**

nocy, i nie tylko Chińczycy, także cudzoziemcy, a wśród nich misjonarze wszelkich wyznań. Byli też guomindangowcy; ich oficerowie uważali siebie za bogów, resztę zaś mieli w pogardzie.

Byliśmy miastem przemieszanych z sobą niedobitków. Tylko strach przed Japończykami hamował wybuchy zamieszek, dla których nie brakowało przyczyn. Potrafisz to zrozumieć? Szanghajczyk obok wieśniaka z północnego wybrzeża, bankier obok fryzjera, riksarz obok uciekiniera z Birmy. Każdy na każdego patrzył z góry. Nieważne, że pluło się na wspólny kawałek chodnika i cierpiało na tę samą piorunującą biegunkę. Wszyscy pachnieliśmy jednakowo, ale każdy wyrzekał, że ten drugi gorzej mu śmierdzi! Ja? O, ja nienawidziłam amerykańskich oficerów lotnictwa; na mój widok wydawali takie nieprzystojne dźwięki, że robiłam się czerwona jak burak. Ale najgorsi byli wieśniacy z Północy. Smarkał taki w paluchy, a potem tymi brudnymi łapami rozpychał ludzi i zarażał wszystkich swoim wstrętnym chorobskim.

Rozumiesz teraz, dlaczego Guilin stracił dla mnie cały swój urok. Przestałam marzyć o wspinaniu się na szczyty, by wykrzyknąć: O, jakie piękne są te wzgórza! Myślałam już tylko o tym, które z nich obleźli Japończycy. Przeważnie przesiadywałam w domu, skulona w jakimś ciemnym kącie, trzymając pod każdą pachą dziecko — w każdej chwili gotowa do ucieczki. Gdy rozlegało się wycie syren przeciwlotniczych, zrywałam się na równe nogi i wraz z sąsiadami gnałam do jaskiń... kryliśmy się tam jak dzikie zwierzęta. Ale w ciemności długo nie wytrzymasz. Coś w człowieku więdnie i umiera, kona się z braku światła... Jak straszny jest ten głód światła! Na zewnątrz z hukiem padają bomby — bum! bum! — a potem słychać łoskot osypujących się skał...

O, siedząc teraz w jaskini nie wypatrywałam już kapusty i kalarepy z moich wiszących ogrodów! Teraz widziałam tylko ociekające wodą wnętrza sędziwej góry, co lada chwila mogły mi runąć na głowę! Wyobrażasz sobie, jak to jest, kiedy człowiek nie chce być ani w środku, ani na zewnątrz? Gdy najchętniej chciałby się rozpląnąć w nicości?

Słyszając oddalające się odgłosy bombardowania, wyłaziliśmy z jaskiń ślepi jak nowo narodzone kocięta i ruszali w drogę powrotną — ku miastu. Za każdym razem, gdy na tle

płonącego nieba odnajdywałam wzgórze, ogarniało mnie zdumienie: jeszcze nie rozpadły się w proch?

Klub Radości i Szczęścia wymyśliłam pewnej letniej nocy. Upał był taki, że ćmy słabły i spadały na ziemię, bo skrzydełka robiły im się za ciężkie od tej gorącej wilgoci... Wszędzie panowała taka ciasnota, że na świeże powietrze nie było już miejsca. Nieznośne wyziewy z ulicznego rynsztoka sięgały powyżej pierwszego piętra, a że smród ten nie miał się gdzie podziać, więc zatykał mi nozdrza... Jak dzień długi wciąż tylko słyszałam wrzaski. Nie wiadomo, czy to jakiś wieśniak podrzyna gardło czyjeś zbiegłej świni, czy też może oficer kopie półżywego wieśniaka, który leżąc na chodniku, zagradza mu drogę. Nawet nie podchodziłam do okna — nie chciałam wiedzieć. Po co? Jaki byłby z tego pożytek? I wtedy właśnie przyszedł mi do głowy pomysł: muszę coś zrobić. Coś takiego, żeby chciało mi się ruszyć.

Zbiore czterech kobiety, wliczając w to siebie — pomyślałam — po jednej na każdą stronę mojego stołu do madżonga. Wiedziałam już, kogo zaproszę. Wszystkie były młode jak ja, wszystkie miały twarze ożywione jakimś pragnieniem. Jedna była również żoną oficera, druga zwracała uwagę przez swoje wykwintne maniery. Pochodziła z bogatej szanghajskiej rodziny, teraz jednak prawie nic jej nie zostało. Ledwo zdążyła ujsc z życiem. Trzecią była dziewczyna z Nankinu, o najczarniejszych chyba w świecie włosach. Pochodziła z nizin, ale była ładna i sympatyczna. Dobrze wydano ją za męża, za zgrzybiałego starca, który umierając zapewnił jej lepszą przyszłość

Raz w tygodniu jedna z nas miała urządzić przyjęcie na podreperowanie finansów (miałyśmy grać na pieniądze) i poprawienia nastroju. Do obowiązków gospodyni należało przygotowanie przekąsek — *dianxin* — takich, które przynoszą szczęście i pomyślność: pierożków w kształcie kęsów srebra, długiego makaronu ryżowego na długie życie, gotowanych orzeszków ziemnych na poczęcie synów, no i pomarańcz szczęścia — by zawsze towarzyszyła nam wszelka obfitość i słodycz losu.

Ach, jakimiż to pysznościami raczyłyśmy się za te nasze skąpe środki! Co z tego, że pierożki nadziewane były najczęściej paskami suszonej dyni, a w pomarańczach pełno było dziurek po robakach? Myśmy tego nie dostrzegały. Jadłyśmy

elegancko, po troszeczku, wcale nie jak głodomory, wprost przeciwnie! Wzdragaliśmy się przed każdym kęsem, ach, bo przecież grzeczność nakazywała udawać, że każda najadła się już dziś do syta. Mówiliśmy sobie, że opływamy w luksusy, na które stać teraz bardzo niewiele. Ha, sprzyja nam szczęście!

Zaspokoiwszy apetyt, napełnialiśmy miseczkę pieniędzmi, stawialiśmy ją na widocznym miejscu, a same zasiadały do madżonga. Mój stół do gry był pamiątką rodzinną, a wykonany został z bardzo aromatycznego czerwonego drzewa. Nie, nie tego, które tutaj nazywają drzewem różanym. To było drzewo *hong mu*, tak szlachetne, że nie ma na nie angielskiego słowa.* Na stole leżała bardzo gruba wyściółka. Kiedy wysypywało się na nią *pai* do gry, rozlegał się tylko cichutki szelest kości słoniowej...

W czasie gry rozmowy były zabronione. Mówiło się najwyżej „pung” albo coś, co nic nie znaczy, kiedy brało się przeciwnikowi kamień. Grać trzeba było poważnie, myśląc jedynie o tym, jak tu wygrać, jak przysporzyć sobie jeszcze odrobinę szczęścia. Po szesnastu rundach zaczynałyśmy znowu biesiadować. Tym razem chodziło o to, żeby uczcić przychylność fortuny. A potem gadałyśmy do rana, snując wieści o dobrych chwilach — tych, które minęły, i tych, które dopiero przed nami.

Ach, nie masz pojęcia, co też to były za historie! A toczyły się jedna po drugiej jak lawina. Mówię ci, umrzeć można było ze śmiechu! O kogucie, który wpadł do mieszkania i zapiał na stosie obiadowych miseczek, a następnego dnia leżał już w nich cichutko — w kawałeczkach! O dziewczynie układającej listy miłosne dla dwóch najlepszych przyjaciółek zakochanych w tym samym mężczyźnie. O głupawej cudzoziemskiej damie, co zemdliała ze strachu na sedesie, bo w pobliżu huknęły fajerwerki.

Sąsiedzi, niestety, patrzyli na nas złym okiem. Wy tu urządzacie bankiety, a w mieście ludzie przymierają głodem! Co prawda, to prawda. Jedli szczury, a nawet i takie odpadki, jakimi gardzi co bardziej wybredny szczur... Niektórzy byli zdania, że chyba opętały nas demony. No bo jakże: każda z nas

*** Jest to drewno z rodzaju palisandrowatych, w języku polskim też nie ma nań terminu.**

potraciła przodków, domy, majątki, każda przeżywa rozłąkę z mężem, bratem, siostrą, córką, matką, a mimo to świętujemy? Jak można śmiać się w takiej sytuacji?

Niby prawda, ale czy my śmiałyśmy się dlatego, że brakowało nam oczu albo serca? Nie. Wszystkie byłyśmy przerażone, każdą dotknęło jakieś nieszczęście. Pomyśl jednak, co to naprawdę jest rozpacz. Rozpaczać to życzyć sobie odzyskania tego, co zostało bezpowrotnie utracone, albo też w nieskończoność przedłużać udramę, której znieść się już nie da. Jak długo można pragnąć odzyskania ulubionego zimowego płaszcza pozostawionego w domu, który spłonął do fundamentów razem z twoją matką i ojcem? Jak długo można mieć przed oczyma ręce i nogi zwisające z drutów telefonicznych i te przemykające ulicami psy z na wpół zjedzoną ludzką dłonią w pysku? Co gorsze — zadawałyśmy sobie pytanie — siedzieć i czekać na własną śmierć z odpowiednio ponurą miną, czy na przekór wszystkiemu wybrać szczęście?

Postanowiłyśmy dalej urządzać przyjęcia, udając zarazem, że tydzień to cały rok, a my świętujemy nadejście nowego, możemy więc pogrzebać wszystko zło wyrządzone każdej z nas w ciągu tygodnia. Nie wolno było mieć złych myśli. Ucztowałyśmy, śmiałyśmy się, bawiły w rozmaite gry, przegrywały i wygrywały, opowiadały zabawne historyjki. Tydzień po tygodniu pomagało nam to wzbudzać w sobie nadzieję na szczęście, na dobry los. Ta nadzieja była naszą jedyną radością. I z tego wzięła się nazwa naszych skromnych biesiad: Klub Radości i Szczęścia."

Moja matka kończyła tę opowieść tonem pełnym satysfakcji, przechwalając się swoją zręcznością w grze. „Wygrałam mnóstwo razy. Miałam takie szczęście, że przyjaciółki dokuczały mi, mówiąc: Tych sztuczek to cię musiał wyuczyć jakiś niezły złodziej! Wygrałam w sumie z kilkadziesiąt tysięcy yuanów, ale bogactwa nie zdobyłam, o nie! Papierowe pieniądze stały się bezwartościowe. Więcej wart był nawet papier toaletowy! Z tego śmiałyśmy się najbardziej, no bo pomyśl: Banknot o nominale tysiąca yuanów nie wystarczał nawet na podtarcie tyłka."

Guilińska opowieść mojej matki długo była dla mnie czymś w rodzaju egzotycznej chińskiej baśni, zwłaszcza że wciąż

zmieniało się jej zakończenie. Czasami ten bezwartościowy banknot stawał się zapłatą za pół miski ryżu, z którego gotowała garnek kleiku, by papkę tę przehandlować następnie na dwie świńskie nóżki. Z dwóch nówek robiło się sześć jajek, a z tych jajek znowu sześć kurczaków. Opowieść wciąż się rozrastała.

Aż pewnego wieczoru, kiedy o na całą godzinę zapadłam w ponure milczenie, bo matka mimo moich błagań nie chciała mi kupić tranzystora, zapytała: „Dlaczego uważasz, że tak bardzo brakuje ci rzeczy, której nigdy nie miałaś?” I potem opowiedziała mi zupełnie inne zakończenie swojej historii.

„Któregoś dnia — było to o świcie — przyszedł do mnie jakiś oficer. Powiedział, że mam natychmiast jechać do Chongquingu do męża. Zrozumiałam, co to znaczy: każe mi uciekać z Guilinu. Wiadomo było, co Japończycy wyprawiają z żonami oficerów. Tylko jak tu uciekać? Z Guilinu nie odchodził ani jeden pociąg. Moja przyjaciółka, ta z Nankinu, okazała mi wielką dobroć. Opłaciła jakiegoś człowieka, żeby ukradł taczkę, taką do przewozu węgla. Obiecała ostrzec pozostałe nasze przyjaciółki.

Wpakowałam swoje manatki razem z dwojgiem niemowląt do tej taczki i ruszyłam w drogę — w stronę Chongquingu. W cztery dni później Guilin zajęli Japończycy. Już w drodze usłyszałam wieści o krwawej rzezi. Wykrzykiwali je przerażeni ludzie, którzy wyprzedzali mnie pędem, gnając w popłochu przed siebie, byle dalej! Aż do ostatniego dnia Guomindang zapewniał ludność, że miasto jest całkowicie bezpieczne, że broni go nasza armia, no i co? W parę godzin później ulice wciąż jeszcze zasłane były gazetami donoszącymi o świetnych zwycięstwach Guomindangu, a na tych gazetach jak świeżo zarżnięte ryby leżały sterty trupów — mężczyzn, kobiet i dzieci, tych, którzy do końca nie stracili nadziei i przez to stracili życie. Usłyszawszy takie wieści, i ja też coraz bardziej wyciągałam nogi, z każdym krokiem zadając sobie pytanie: czy ci ludzie byli tacy odważni, czy tylko głupi?

Pchałam tak tę taczkę w stronę Chongquingu, dopóki nie pękło mi koło. Musiałam zostawić mój stół do madżonga z pięknego drzewa *hong mu*. Nie płakałam, bo nie pozostało mi już sił na uczucia. Powiązałam razem szarfy i szale, zrobiłam z nich nosidła dla dzieci i zawiesiłam je sobie na obu

ramionach. W rękach dźwigałam dwie torby — jedną z ubraniem, drugą z żywnością. Dotąd je niosłam, aż wyżłobiły mi w dłoniach głębokie bruzdy. Upuściłam w końcu najpierw jeden z tych tobołów, potem drugi, bo ręce zrobiły mi się śliskie od krwi... nie mogłam już nic utrzymać.

Widziałam, że i inni robią to samo, w miarę jak opuszcza ich nadzieja. Droga zaczęła przypominać ścieżkę skarbów, które im dalej się pełzło, tym się stawały cenniejsze. W kurzu drogi walały się sztuki pięknych jedwabów i książki. Starożytne obrazy i narzędzia stolarskie. Widziało się klatki pełne kacząt ucichłych z pragnienia, potem martwych, i srebrne urny porzucone tam, gdzie kto poczuł, że nie ma już sił nieść ich dalej, po co zresztą? I tak nie ma żadnej przyszłości. Ja, zanim dotarłam do Chongajngu, straciłam wszystko z wyjątkiem trzech jedwabnych sukien, które powkładałam na siebie jedna na drugą."

— Co znaczy „wszystko”? — sapnęłam oszołomiona. Poraziła mnie myśl, że historia ta jest prawdziwa od początku do końca. — Co stało się z tymi dziećmi?

Odpowiedziała bez namysłu, tonem definitywnie oznaczającym, że na tym już naprawdę koniec:

— Przed twoim ojcem miałam innego męża. Ty nie jesteś jedną z tej dwójki.

Kiedy zjawiam się w domu państwa Hsu, gdzie dziś odbywa się spotkanie członków Klubu Radości i Szczęścia, pierwszą osobą, którą widzę, jest mój ojciec.

— No, oto i ona. Jak zwykle niepunktualna — anonsuje moje przybycie.

To prawda, są już wszyscy: siedem osób — każda powyżej sześćdziesiątki (niektórzy po siedemdziesiątce) — z czterech zaprzyjaźnionych rodzin. I wszyscy śmieją się ze mnie! Dla nich ja przy swoich trzydziestu sześciu latach jestem nadal smarkatą spóźnialską.

Trzęsie mnie w środku, chociaż usiłuję to ukryć; lepiej, żeby nie widzieli... Wystarczy, że załamalam się na pogrzebie — szloch omal mnie nie udusił. Już i tak mają pewnie

wątpliwości, czy powinnam zająć miejsce matki... Niektórzy mówią, że jestem do niej bardzo podobna. Jedna z moich koleżanek stwierdziła nawet kiedyś, że kubek w kubek — te same ręce, gesty, śmiech, a przede wszystkim spojrzenie: takie jakby trochę z ukosa. Kiedy bardzo nieśmiało powtórzyłam tę opinię matce, chyba się obraziła: „Co ty o mnie wiesz? Tyle, co czarne za paznokciem. Co tu mówić o podobieństwie!” Miała rację. Jak ja ją mogę zastąpić w Klubie Radości i Szczęścia?

— Dobry wieczór, wujku, dobry wieczór, ciociu — powtarzam, kłaniając się po kolei wszystkim obecnym. Zwracam się tak do nich od dzieciństwa. Nasze rodziny łączy bliska przyjaźń. Podchodzę do ojca i staję u jego boku. Ogląda zdjęcia z niedawnej podróży Jongów do Chin.

— Spójrz na to — zachęca mnie grzecznie. Na zdjęciu widać grupę turystów upozowaną na szerokich kamiennych schodach. Nie ma tu nic, z czego można by wyciągnąć wniosek, że tę fotografię zrobiono w Chinach, a nie na przykład w San Francisco czy innym dowolnie wybranym mieście. Ale ojciec patrzy, jakby nie widział, jakby było mu wszystko jedno. Odkąd pamiętam, zawsze wydawał się taki... uprzejmie obojętny. Zaraz, jest chyba nawet takie chińskie słowo na określenie obojętności, która bierze się stąd, że człowiek nie widzi różnicy... Zapomniałam, jakie to słowo. Ale teraz... Myślę, że teraz ojcu nic już nie robi różnicy z powodu śmierci matki.

— Zechciej spojrzeć na to — mówi, pokazując mi kolejne zdjęcia. I tu też niepodobna zidentyfikować miejsca.

Dom wujostwa Hsu emanuje intensywną woń tłuszczu. Maleńka kuchenka zbyt często bywała areną przygotowań zbyt wielu chińskich specjałów. Ich niezliczone, ongiś tak subtelne aromaty skondensowały się teraz w niewidzialną warstewkę tłuszczu. Pamiętam, jak matka, wchodząc od cudzego mieszkania albo restauracji, marszczyła nos, a następnie oznajmiała głośnym szeptem: „Nosem widzę i czuję tę lepkość”.

Od lat nie byłam u wujostwa, ale ich salonik wygląda dokładnie tak, jak mi pozostał w pamięci. Przeprowadzając się ćwierć wieku temu z chińskiej dzielnicy do Sunset, ciocia Anmei i wujek George kupili nowe meble. No i są tu nadal, wszystkie, nadal wyglądają jak nowe pod osłoną pożółkłych

pokrowców z jakiegoś syntetyku. Ta sama półkolista kanapa pokryta turkusową tkaniną boucle, te same stoliki w stylu końca epoki kolonialnej z ciężkiego klonowego drzewa. I ta lampa podrabiana na krakelowaną porcelaną. Jedna rzecz tylko zmienia się tu co roku: kalendarz ścienny, darmowa reklamówka Bank of Canton.

Pamiętam tak dokładnie to wyposażenie z powodu tysięcznych przestróg i napomnień cioci An-mei. Nam, dzieciom, nie wolno było dotykać świeżo zakupionych mebli — chyba że przez te pokrowce. Były wtedy jeszcze takie jasne... Jeśli spotkanie Klubu odbywało się u państwa Hsu, rodzice zabierali mnie ze sobą. Mimo że byłam gościem, niezmiennie obarczano mnie tutaj pilnowaniem młodszej dzieciarni. Zawsze była tego chmara. Wydawało się, że nie ma minuty, aby któryś z tych maluchów nie ryczał z powodu guza na głowie, wskutek wejścia w kolizję z nogą od stołu czy innym równie solidnym meblem.

„Ty za nich odpowiadasz” — mawiała matka. Oznaczało to, że będę się miała z pyszna, w razie gdy coś się rozleje, zgubi, stłucze albo zabrudzi. Wszystko jedno, kto popełnił przestępstwo, odpowiedzialność zawsze spadała na mnie. Mama i ciocia An-mei miały wtedy na sobie takie śmieszne chińskie suknie ze sztywną stójką. Przody tych jedwabnych kreacji ozdobione były haftami przedstawiającymi rozkwitłe gałązki drzew. Pamiętam, że krytykowałam je w duchu: prawdziwe Chinki na pewno czegoś takiego nie noszą — za wymyślne!

— no, a już dla Amerykanów musi to być straszne dziwactwo. W owych czasach — nie znałam jeszcze guilińskiej części losów mojej matki — wyobrażałam sobie, że Klub Radości i Szczęścia to jakiś wstydlivy chiński obrząd, coś jakby tajne zgromadzenia Ku-Klux-Klanu albo wojenne tańce Indian

— oglądałam je kiedyś w telewizji.

Dziś nie ma tu już żadnych tajemnic. Wszystkie ciotki noszą luźne spodnie, jaskrawe, wzorzyste bluzy oraz trzy różne wersje tych samych solidnych półbutów. Siedzimy wszyscy przy stole w jadalni, pod żyrandolem imitującym

hiszpański świecznik. Wuj George nakłada swoje dwuognis-kowe okulary i odczytuje protokół z poprzedniego zebrania.

— „Ogólna suma naszego konta wynosi 24 825 dolarów, czyli po 6206 dolarów na parę, 3103 dolary na osobę. Pakiet »Subaru« sprzedaliśmy ze stratą, po 6,75. Zakupiliśmy sto akcji »Smith International« po siedem. Podziękowania dla Lindo i Tina Jongów za wspaniałą ucztę. Wyśmienita była zwłaszcza zupa z czerwonej fasoli. Zebranie marcowe z konieczności musiało ulec bezterminowemu zawieszeniu. Z żalem zmuszeni byliśmy pożegnać naszą drogą przyjaciółkę Suyuan i złożyć wyrazy współczucia rodzinie Canninga Woo. Z głębokim szacunkiem oddany wam George Hsu, przewodniczący i protokolant.”

Wszystko. Wciąż jeszcze mam nadzieję, że może jednak zaczną mówić o mojej matce, o tym, jak cudowna łączyła ich przyjaźń, no i dlaczego właśnie ja mam być teraz tą czwartą, kontynuować ideę matki, sięgającą swym początkiem Guilinu i pewnej upalnej nocy.

Nie. Wszyscy tylko kiwają głowami na znak, że protokół został przyjęty. Nawet głowa mojego ojca dość ochoczo wykonuje te rutynowe gesty. Wydaje mi się, że matka i całe jej życie powędrowały na półkę — jak sprawa odłożona ad acta. Czas zająć się już czymś innym.

Ciocia An-mei ciężko dźwiga się od stołu i człapie do kuchni przygotować posiłek. Ciocia Lin, najbliższa przyjaciółka matki, przesiada się na turkusową sofę, splata ręce na kolanach i uważnie obserwuje siedzących przy stole panów. Ciocia Ying, która, ilekroć ją widzę, robi się chyba coraz mniejsza, sięga po druty i robótkę: maleńki sweterek z błękitnej włóczki.

Wujowie omawiają zakup nowych akcji. Wujek Jack, młodszy brat cioci Ying, optuje za konsorcjum eksploatującym kanadyjskie złoto.

— To najlepsza ochrona przed inflacją — stwierdza autorytatywnie. Mówi doskonałą angielszczyzną, niemal bez śladu obcego akcentu. Przychodzi mi na myśl, że z nich wszystkich moja matka najgorzej znała angielski... tak, ale wyobrażała sobie za to, że najlepiej mówi po chińsku. Jej rodzimym dialektem był ogólnochiriski z lekką naleciałością szanghajskiego.

— Nie będziemy dziś grały w madżonga? — pytam ciocię Ying głośnym szeptem: jest trochę głucha.

— Później — odpowiada — po północy.

— Moje panie! — woła wuj George — wchodzicie do puli czy nie?

Wszyscy jak jeden mąż głosują za kanadyjskim złotem. A więc Klub zaczął inwestować w akcje? Dlaczego? Idę do kuchni zapytać o to ciocię An-mei.

— Przy madżongu było tak, że kto wygrał, ten brał wszystko — odpowiada. — A wiesz, jak to jest, kiedy zawsze wygrywają jedni i ci sami, a ci drudzy stale przegrywają.

— Ciocia An-mei rozmawiając ze mną robi *hundrun* — uszka: jednym zręcznym dźgnięciem pałeczki nadziewa cienką osłonkę z ciasta odpowiednio przyprawionym mięsem, a potem równie płynnym ruchem mocno zaciska brzegi, nadając swemu dziełu kształt miniaturowego pielęgniarzkiego czepka.

— Jak może ci się poszczęścić, kiedy drugi ma taką wprawę! No więc już dawno postanowiłyśmy zainwestować w akcje. Do tego nie trzeba zręczności w palcach. Nawet twoja matka przyznała nam rację.

Ciocia zaczyna teraz liczyć to, co leży już przed nią na tacy

— pięć rzędów uszek po osiem w każdym.

— Czterdzieści uszek, osiem osób, po dziesięć sztuk na osobę... Jeszcze pięć rzędów — mówi głośno sama do siebie, zabierając się znowu do pracy. — To było bardzo chytne. Teraz wszyscy możemy równo wygrać i przegrać. Poszczęścić może się nam teraz na giełdzie, a w madżonga gramy tak, dla zabawy, po kilka dolarów, zwycięzca bierze wszystko. Przegrani biorą do domu resztki z kolacji, i każdy ma trochę uciechy. Sprytne, co?

Cały czas z zainteresowaniem śledzę jej ruchy. Jakie wprawne ma palce, jakie szybkie! Wcale nie musi myśleć o tym, co robi. No i na to właśnie narzekała wciąż moja matka: ciocia An-mei nigdy nie myśli o tym, co robi.

„Ona nie jest głupia — powiedziała, nie pamiętam już przy jakiej okazji. — Tylko szkoda, że jej brak kręgosłupa. W zeszłym tygodniu podsunęłam jej taki świetny pomysł! Chodźmy, mówię, do konsulatu, poprośmy o papiery dla twojego brata. Ha, chciała wszystko rzucić i zaraz lecieć, ale potem kogoś się poradziła, bo to wiadomo kogo? Ta osoba jej na-

gadała, że narobi kłopotów i temu bratu w Chinach, i sobie. FBI wciągnie ją na taką listę, że do końca życia będzie załatwiona. Poprosisz o pożyczkę na dom, powiedziała ta osoba, a oni ci odpowiedzą: Nie ma pożyczki, bo twój brat jest komunistą. Mówię jej: Przecież masz już dom, po co ci pożyczka? Ale gdzie tam! Dała się zastraszyć.

An-mei jest jak chorągiewka na dachu — stwierdziła na zakończenie matka — i nawet nie wie dlaczego."

Widzę teraz przed sobą niską, przygarbioną kobiecinę po siedemdziesiątce, o ciężkich pośladkach i cienkich, niezgrabnych nogach. Przypłaszczone, pokryte zwiotczałą skórą opuszki palców najdobitniej mówią o jej wieku. Co zrobiła An-mei — zastanawiam się w duchu — że tak naraziła się mojej matce? Choć prawdę mówiąc, matka zawsze miała coś za złe wszystkim swoim przyjaciółkom i mojemu ojcu, żeby już nie wspomnieć o mnie. A to czegoś nam brakowało, to znów coś wymagało korekty, a wszystko przez brak równowagi. To ten, to ów raz miał za dużo jednego „pierwiastka”, kiedy indziej za mało drugiego.

Te „pierwiastki” należały do wyznawanej przez matkę chińskiej teorii budowy żywych organizmów, którą ona w dodatku interpretowała na swój własny sposób. Każdy człowiek składa się z Pięciu Pierwiastków — nauczyła mnie pewnego razu.

Nadmiar ognia to przyczyna wybuchowego charakteru. Przykładem był mój ojciec, któremu nieustannie suszyła głowę, aby rzucił wstrętny nałóg palenia, i który reagował na to bardzo gwałtownie. Niech zachowa dla siebie swoje uwagi! — krzyczał. Pewnie czuje się teraz winny, że nie pozwalał jej się wypowiedzieć.

Z powodu niedoboru drzewa człowiek zbyt łatwo ulega bliźnim i ich opiniom. Jeżeli czasami miewa jakieś własne, to i tak nie potrafi przy nich wytrwać. Taka według mamy była ciocia An-mei.

Kiedy masz za dużo wody, ciągnie cię w różne strony, no i wciąż zmieniasz kierunek. To ja. Zaczęłam studiować biologię, dobrnęłam do połowy i rzuciłam. To samo było z historią sztuki. Nie miałam ukończonych żadnych studiów, kiedy podejmowałam pracę sekretarki w małej agencji reklamowej, gdzie później awansowałam na autorkę tekstów.

Próbowałam obalić wieczny krytycyzm mojej matki, uważając go za jeszcze jeden przejaw chińskiego sposobu myślenia, a więc przesądów i nienaukowych teorii, które bardzo łatwo dopasować do każdej możliwej sytuacji. Byłam już po dwudziestce, kiedy to czerpiąc natchnienie ze „Wstępu do psychologii”, próbowałam jej wytłumaczyć, dlaczego nie powinna być taka zjadliwa: krytycyzm przynosi na ogół skutek odwrotny do zamierzonego.

„Jest taka teoria, która głosi, że rodzicom nie wolno stale poniżać dzieci — oznajmiłam. — Trzeba je raczej zachęcać, uczyć wiary we własne siły. Zrozum, człowiek po prostu dorasta do oczekiwań swoich bliskich. Jeśli wciąż słyszy od ciebie same krytyczne sądy, to cóż dziwnego, że później nic mu nie wychodzi. To zupełnie tak, jakbyś specjalnie ściągała na niego klęskę.”

„No właśnie — powiedziała. — Ty jakoś do niczego nie dorastasz. Do niczego nie chce ci się dążyć. Nie chce ci się spełniać oczekiwań.”

— Pora jeść — radośnie oznajmia ciocia An-mei, wnosząc dymiący garnek z uszkami.

Na stole piętrzą się już góry podanych na raz potraw, zupełnie jak podczas słynnych guilińskich biesiad. Mój ojciec natychmiast dobiera się do *chaomian* — smażonego makaronu z warzywami — na ogromnej aluminiowej patelni, otoczonej wianuszkami plastikowych torebek z sosem sojowym. Pewnie ze sklepu przy Clement Street, myślę. Z gorącego garnka z uszkami bije cudowny aromat płynących w rosale gałązek kolendry. Ja sięgam najpierw do półmiska duszonej na słodko wieprzowiny, pokrojonej w plasterki wielkości monet, a później po mikropierożki — nazywam je „malutkimi pysznościami” — z różnym nadzieniem: siekaną wieprzowiną, wołowiną, krewetkami i czymś jeszcze bliżej mi nie znanym, złożonym, jak mawiała matka, „z wielu pożywnych rzeczy”.

Przy tym stole, niestety, proces konsumpcji nie ma nic wspólnego z elegancją. Biesiadnicy (jakby umierali z głodu!) nabijają na widelce monstrualne porcje (aż dziw, że mieści im się to w ustach!), z niezwykłym impetem wyławiają kawałeczki mięsa i ledwo zdążą połknąć jeden, już rzucają się na następny. Oj, nie tak zachowywały się cztery damy z tej pamiętnej guilińskiej opowieści! Ilekroć je sobie wyobrażam, zawsze

podziwiam tę wytworną niedbałość, z jaką kosztują kolejnych dań.

Następuje teraz moment, w którym panowie z szybkością równą pośpiechowi, z jakim przystąpili do uczty, kończą nagle jedzenie i odchodzą od stołu. Panie, jak na dany sygnał, dogryzają ostatnie kaski, zbierają naczynia i zanoszą je do zlewozmywaka. Po kolei energicznie szorują ręce. Któż to ustanowił ten rytuał? Cóż, skoro taki tu zwyczaj, niech będzie. Ja też wkładam swój talerz do zlewu i idę za ich przykładem. Kobiety gawędzą trochę o chińskiej podróży Jongów, po czym kierują się na tyły mieszkania. Mijamy po drodze pokój służący kiedyś za sypialnię czterem synom wujostwa Hsu. Wciąż stoją tu ich piętrowe łóżka z niemiłosiernie odrapanymi drabinkami o porozłupywanych szczeblach. Wujowie siedzą już przy stole do kart. Rozdaje wuj George, a robi to tak po mistrzowsku, jakby ćwiczył tę umiejętność w kasynie. Mój ojciec z papierosem w kąciku ust częstuje wszystkich pall-mallami.

My, kobiety, przechodzimy do dawnej sypialni trzech panien Hsu. Przyjaźniłam się z nimi w dzieciństwie. One powychodziły za męża, a ja znów jestem w tym pokoju... tutaj będziemy grać. Nie czuć zapachu kamfory, lecz poza tym nic się nie zmieniło — jak gdyby Rose, Ruth i Janice miały za chwilę tu wejść (wszystkie z włosami nawiniętymi na duże puszkę po soku pomarańczowym) i klapnąć na swoje identyczne wąziutkie łóżka. Białe kordonkowe kapy prześwitują jak pajęczyna, tak są sfatygowane. Omawiając swoje sercowe problemy, obie z Rose miałyśmy zwyczaj wyskubywać z nich pęczki i całe fragmenty. Wszystko tu wygląda tak samo, z tą różnicą, że na środku stoi teraz stół do madżonga w kolorze mahoni, a obok lampa: wysoki czarny słupek, z którego na kształt liści drzewa kauczukowego wyrastają trzy jajowate punkty świetlne.

Żadna z ciotek nie mówi „siadaj tutaj, to krzesło zajmowała twoja matka”, ale ja to i tak wiem, nie muszę nawet patrzeć, gdzie która z nich siada. Wokół krzesła najbliższego drzwi wyczuwam jakąś pustkę... To jej miejsce. Nie, nie muszę pytać, po której siedziała stronie — to był Wschód.

Ze Wschodu wszystko bierze swój początek, powiedziała mi kiedyś. Tam budzi się słońce, stamtąd wieją wiatry.

Siedząca po mojej lewej ręce ciocia An-mei wysypuje *pai* na zielone sukno, mówiąc:

— Teraz myjemy kamienie.

Obracamy je w dłoniach kolistym ruchem, one zaś, padając na stertę, wydają suchy, chłodny szelest.

— Ty też masz takie szczęście jak matka? — pyta usadowiona naprzeciwko ciocia Lin. Na jej twarzy nie widzę uśmiechu.

— Rzadko w to grałam. Trochę w college'u z paroma żydowskimi dziewczynami.

— Oo! Żydowski madżong! — mówi zde gustowanym tonem. — To nie ta sama gra. — Matka też to stale powtarzała, chociaż nigdy mi nie wyjaśniła, na czym polega różnica.

— Może ja dziś tylko popatrzę — proponuję.

Ciocia Lin spogląda na mnie z irytacją — jak na bezmyślne dziecko.

— Jak możemy grać tylko we trójkę? To jak stół na trzech nogach, brak równowagi. Kiedy cioci Ying umarł mąż, przyprowadziła na jego miejsce brata. Twój ojciec poprosił ciebie. Sprawa postanowiona.

„Czym różni się madżong żydowski od chińskiego?” — zagadnęłam kiedyś matkę. Z odpowiedzi nie dało się wywnioskować, czy to zasady gry są inne, czy też cała różnica bierze się z jej odmiennego nastawienia do obydwu nacji.

„O, to zupełnie inny rodzaj gry — oświadczyła po angielsku, tonem zarezerwowanym dla wyjaśnień. — Żydowski madżong to oni tylko patrzą na swój kamień, grają samymi oczami. — Przeszła po tych słowach na chiński: — W chińskiego madżonga trzeba grać głową, i to bardzo sprytnie. Musisz obserwować i zapamiętywać, co zrzuca każdy z twoich przeciwników. Jeżeli przy stole siedzą sami kiepscy gracze, robi się z tego żydowski madżong. Po co grać, jak się nie stosuje żadnej taktyki? Siedzieć i patrzeć, jak ludzie popełniają błędy?”

Po takich wyjaśnieniach czułam tylko, że mówimy dwoma różnymi językami, co zresztą było prawdą. Ja zwracałam się do niej po angielsku, a ona odpowiadała mi po chińsku.

— Powiedz mi, czym różni się madżong chiński od żydowskiego — proszę teraz ciocię Lin.

— *Ajjal* — wykrzykuje ze sztuczną emfazą — to matka niczego cię nie nauczyła?

Ciocia Ying uspokajająco klepie mnie po rękę:

— Przecież z ciebie mądra dziewczyna. Patrz na nas i rób to samo. Pomagaj zbierać kamienie i budować z nich cztery mury.

Patrzę na ciocię Ying, ale obserwuję przede wszystkim ciocię Lin. Jest najszybsza, więc dzięki podpatrywaniu jej poczynań udaje mi się prawie dotrzymać kroku pozostałym. Ciocia Ying wyrzuca kostkę: zostaje poinformowana, że wschodnim wiatrem będzie ciocia Lin. Ja jestem północnym, czyli ostatnią ręką, ciocia Ying południowym, a An-mei zachodnim. Zaczynamy kupować kamienie, rzucać kolejno kostką oraz liczyć miejsca w murze odpowiadające poszczególnym numerom naszych kamieni. Przekładam i porządkuję swoje zasoby: osobno sekwensy bambusów i kulek, osobno pary tych samych numerów w różnych kolorach, wreszcie kamienie pojedyncze, te, które mi do niczego nie pasują.

Zaczynamy rozgrywkę. Patrzymy sobie na ręce, ustawiamy kamienie, dobieramy dalsze — rundka toczy się powoli, bez większych emocji. Cioteczki chwilami gwarzą, każda sobie, nie bardzo słuchając, o czym mówią partnerki. Posługują się przy tym sobie tylko właściwą mieszaniną kulawej angielszczyzny i rodzimego dialektu. Ciocia Ying napomyka o włócznie zakupionej gdzieś poza Chinatown za pół ceny, ciocia An-mei chwali się sweterkiem dla nowo narodzonego bobaska swojej córki Ruth.

— Myślała, że to ze sklepu, a ja go sama zrobiłam! — mówi z wyraźną dumą.

Ciocie Lin doprowadził do pasji jakiś sprzedawca konfekcji: nie chciał przyjąć zwrotu spódnicy z zepsutym zamkiem błyskawicznym!

— Byłam *chisile* — mówi, wpadając znów w gniew na samo wspomnienie tego incydentu. — Szlag mnie trafił. Na śmierć.

— Ależ Lindo, przecież jesteś tu z nami, nie umarłaś — droczy się z nią ciocia Ying i wybucha śmiechem. Ciocia Lin tymczasem mówi: „*Pung! Madzong!*” — po czym wyklada swoje kamienie i licząc punkty, teraz ona natrzęsa się z przeciwniczki. Zaczynamy znów myć kamienie i zapada cisza. Jestem coraz bardziej znudzona i śpiąca.

— Och, coś wam opowiem — oznajmia ciocia Ying tak głośno, że aż podskakujemy na krzesłach. Ciocia Ying zawsze miała opinię osoby dziwacznej, trochę nawet niesamowitej, jakby zagubionej w swoim własnym świecie. Moja matka mawiała o niej: „To nie to, że ciocia Ying nie słyszy. Ona wcale nie słucha”.

— W zeszłym tygodniu policjanci zaarrestowali syna pani Emerson — mówi takim tonem, jakby rozpierała ją duma, że to ona pierwsza obwieszcza nam tę doniosłą nowinę. — Pani Chan mi to mówiła w kościele. Za dużo telewizorów znaleźli w samochodzie.

— *Ajja* — wykrzykuje natychmiast ciocia Lin. — Pani Emerson! Taka miła dama! — Ma to oznaczać, że tak przyzwoita osoba nie zasłużyła sobie na syna nicponia. Dopiero po chwili pojmuję, że zostało to powiedziane także na użytek cioci An-mei. Jej najmłodszego syna dwa lata temu również przymknęto za handel samochodowymi odbiornikami radiowymi — kradzionymi, ma się rozumieć. Ciocia An-mei wydaje się całkowicie pochłonięta pocieraniem kamienia przeznaczonego na zrzutkę. Widać, że jest jej przykro.

— W Chinach wszyscy mają teraz telewizory — zmienia temat ciocia Lin. — W naszej tamtejszej rodzinie każdy ma, i to wcale nie czarno-biały, a skądże, kolorowy i ze zdalnym sterowaniem! Wszystko mają. Kiedy spytaliśmy, co im kupić, powiedzieli, że nic, wystarczy, że nas zobaczą. No, my i tak zawieźliśmy różne rzeczy — walkmana „Sony” dla dzieciaków i magnetowid. Mówili: Nie, naprawdę, nie zostawiajcie nam tego! Ale myślę, że się jednak cieszyli.

Ciocia An-mei, biedaczka, coraz mocniej trze swoje kamienie. Matka opowiadała mi o jej podróży do Chin — było to ze trzy lata temu. Ciocia zaoszczędziła dwa tysiące dolarów, chcąc zawieźć całą tę sumę rodzinie swojego brata. Pokazywała też matce zawartość dwóch pękatych waliz z prezentami. W jednej były słodczy: batoniki „See's Nuts and Chews”, „M and M's”, orzeszki nerkowca w słodkiej polewie, czekolada instant z drobkami prawoślazu, ta druga natomiast, jak opowiadała matka, zawierała różne najbardziej idiotyczne ciuchy (wszystko prosto ze sklepu!): jaskrawe wdzianko w sam raz na plażę w Kalifornii, czapeczki baseballowe, bawełniane slipy z elastycznym pasem, kurtki lotnicze, takie jak dla

pilotów bombowca, koszulki z emblematem Stanfordu, no i skarpetki różnych znanych drużyn sportowych.

„I po co to komu, po coś tyle wydała! — irytowała się matka. — Przecież oni chcą tylko pieniędzy.” Ciocia An-mei powiedziała na to, że w porównaniu z jej ubogim bratem oni, państwo Hsu z San Francisco, są ludźmi szalenie bogatymi. I co? Mają jechać bez prezentów? Ignorując więc przestrogi mojej matki, powiozła do Chin te swoje dwie walizy plus dwa tysiące dolarów. Na ich powitanie zjechała się do Hangzhou cała rodzina z Ningbo, i to nie tylko młodszy braciszek cioci, ale także przyrodnie rodzeństwo jego żony, daleka kuzynka, mąż tej kuzynki oraz wuj męża kuzynki. Przywieźli oni ze sobą teściowe i dzieci, jak również przyjaciół, którym los poskąpił tak znamienitych krewnych zza oceanu.

„An-mei — opowiadała matka — przed wyjazdem zalewała się łzami na samą myśl, jak to uszczęśliwi swojego brata, czyniąc go wedle komunistycznych norm bogaczem, ale trzeba ci ją było słyszeć po powrocie! Teraz to dopiero zaczęła się wypląkiwać, że każdy tam tylko wyciągał do niej rękę. Skończyło się na tym, że ona jedna została z pustymi rękami!”

Potwierdziły się najgorsze przewidywania mojej matki: nikt nie chciał bawełnianych koszulek ani innych bezużytecznych ciuchów. Czekoladki „M and M's” jakby rozpląnęły się w powietrzu, a gdy już opróżniono walizki, padło pytanie: to wszystko?

Krótko mówiąc, obrano ich do nitki. Nie licząc tych dwóch tysięcy, które poszły na zakup telewizorów i zamrażarek, trzeba było zapłacić za noclegi dwudziestu sześciu osób w drogim hotelu z widokiem na jezioro, za trzy bankietowe stoliki w restauracji dla bogatych cudzoziemców, za specjalnie dobrane prezenty — po trzy na każdego członka rodziny — oraz wnieść równowartość pięciu tysięcy yuanów w kantorze wymiany walut, by udzielić krótkoterminowej pożyczki człowiekowi zwanemu wujkiem kuzynki, który chciał rzekomo nabyć okazjnie motocykl, zaraz zniknął jednak wraz z wyżej wymienioną sumą. Kiedy nazajutrz wujostwo Hsu wsiedli do pociągu, okazało się, że są lżejsi o dobroć wartą dziewięć tysięcy dolarów.

W kilka miesięcy później, po budującym bożonarodzeniowym kazaniu w Pierwszym Chińskim Kościele Baptystów,

ciocia An-mei doszła widać do wniosku, że Bóg jej tę stratę wynagrodzi. Błogosławieni ci, którzy dają — stwierdziła. Moja matka była tego samego zdania. Uznała, że jej droga przyjaciółka dorobiła się błogosławieństw na kilka co najmniej żywotów.

Słyszając teraz, jak ciocia Lin chełpi się szlachetnością swoich krewnych, dziwię się w duchu: Czy ona nie wie, że wyrządza tym przykrość An-mei? Zapomniała? Czyżby była aż tak małoduszna? A może matka tylko mnie powtórzyła wstydliwą opowieść o chciwej rodzinie państwa Hsu?

— Więc chodzisz teraz do szkoły, Jing-mei? — rzuca nagle pytanie ciocia Lin. Jest adresowane do mnie.

— Ma na imię June. One wszystkie używają tych swoich amerykańskich imion — replikuje natychmiast ciocia Ying.

— Nie, w porządku — mówię lekko i naprawdę tak uważam. Używanie oryginalnych imion staje się coraz modniejsze, robi to bardzo wiele Amerykanek chińskiego pochodzenia. — Do szkoły już jednak nie uczęszczam. Skończyłam z tym więcej niż dziesięć lat temu.

Ciocia Lin wysoko unosi brwi:

— Chyba mi się coś pomyliło. Miałam widać na myśli córkę kogoś innego.

Od razu wiem, że to kłamstwo. Matka powiedziała jej pewnie, że wracam na studia, żeby zrobić dyplom. Jakies pół roku temu znowu rozpętała się dyskusja na wiadomy temat. Matka jak zwykle wytykała mi nieudacznictwo, nazywała „wyrzutkiem z college'u”, nakłaniała do ukończenia studiów, a ja po raz kolejny powiedziałam jej to, co chciała usłyszeć: „Masz rację. Pomyślę o tym”.

Moje stosunki z matką opierały się na następującym założeniu: wprawdzie nie mówimy tego głośno, jednak rozumie się samo przez się, że ona tak naprawdę nie uważa mnie za nieudany produkt, a ja naprawdę postaram się bardziej liczyć z jej zdaniem. To, co mówi teraz ciocia Lin, uświadamia mi po raz setny, że w istocie nigdy nie rozumiałyśmy się z matką. Każda z nas po swojemu tłumaczyła sobie wypowiedzi drugiej, przy czym ja słyszałam jakby trochę mniej, a ona więcej. Powiedziała najwidoczniej cioci Lin, że zdecydowałam się podjąć studia doktoranckie.

Mama i ciocia Lin były zarówno najserdeczniejszymi przyjaciółkami, jak i najzaciętszymi przeciwniczkami, a wytrwałość, z jaką wciąż porównywały swoje potomstwo, zaiste mogła budzić podziw. Urodziłam się o miesiąc wcześniej od Waverly Jong, obsypanej nagrodami córki cioci Lin. W dzieciństwie nasze matki liczyły nam fałdki na brzuszkach, spierały się o to, która ma kształtniej sze płatki uszne, gęściej sze i ciemniejsze włoski, której szybciej goi się rozbite kolano i która w ciągu roku zdiera więcej par butów. Potem jednak na prowadzenie wyszła Waverly, więc coraz częściej mówiło się już tylko o jej głowie do szachów, o tym, ile zdobyła nagród i w ilu to była miastach.

Dobrze wiem, jak bardzo matka nie lubiła o tym słuchać, zwłaszcza gdy nie miała się czym zrewanżować cioci Lin. Z początku usiłowała wydobyć ze mnie jakiś ukryty talent, bo że jestem genialna, rozumiało się przecież samo przez się. W naszej klatce schodowej mieszkał emerytowany nauczyciel fortepianu, więc matka zawarła z nim układ: sprzątanie w zamian za udzielanie mi lekcji oraz bezpłatne korzystanie z instrumentu. Gdy się okazało, że nie zostanę wybitną pianistką ani nawet akompaniorką młodzieżowego chóru kościelnego, orzekła, że należę do tych, którzy rozkwitają późno — jak choćby Einstein. Póki nie wynalazł tej jakiejś bomby, mówiono o nim nawet, że jest opóźniony w rozwoju.

No, teraz ciocia Ying wygrywa tę rundkę madżonga, więc podliczamy punkty i rozpoczynamy następną.

— Wiecie, że Lena przeprowadziła się do Woodside?

— pyta z nie ukrywaną dumą ciocia Ying. Nie mówi tego do nikogo w szczególności, nie odrywa też oczu od swoich kamieni. Szybciotko ściera z ust uśmiech i dodaje skromniej:

— No, nie jest to najlepszy dom w okolicy, nie za milion dolarów. Na razie. Ale to dobra inwestycja. Lepsze, niż płacić czynsz. No i lepiej, niż siedzieć jak mysz pod miotłą i bać się, że cię wymiotą.

Aha, rozumiem. Lena, córka cioci Ying, musiała jej powiedzieć, że wyeksmitowano mnie z mieszkania przy Russian Hill. Przyjaźnimy się wprawdzie nadal z Leną, jednakże obie z biegiem czasu — tak jakoś niepostrzeżenie! — zaczęłyśmy uważać na to, co mówimy. Ale nawet i te mocno

okrojone informacje wracają do nas często w innej postaci. Przypomina to dziecięcą zabawę w głuchy telefon.

— Robi się późno — bąkam po zakończeniu rundki. Unoszę się lekko z krzesła, ale ciocia Lin popycha mnie z powrotem na miejsce.

— Siedź, siedź. Pogadamy chwilkę, musimy cię na nowo poznać. Nie widziałyśmy się kawał czasu.

Zdaję sobie sprawę, że to z ich strony tylko grzeczność. W rzeczywistości na pewno by wolały, żebym już sobie poszła — tak samo jak ja, nawiasem mówiąc.

— Nie, naprawdę muszę już iść, dziękuję wam bardzo, dziękuję! — powtarzam zadowolona, że pamiętam obowiązujące tu konwenanse.

— Ależ ty musisz zostać! Mamy ci coś ważnego do powiedzenia! Od twojej matki! — wykrzykuje ciocia Ying tym swoim zbyt donośnym głosem. Chyba coś jej się wyrwało. Pozostałe mają zakłopotane miny: widać nie w taki sposób chciały mi to „coś” przekazać. Hm, sądząc po ich twarzach, nie zanoszą nic przyjemnego.

Siadam. Ciocia An-mei co prędzej drepcze do kuchni, skąd wraca z misą orzeszków ziemnych. Cichutko zamyka drzwi. Wszystkie milczą, jakby nie wiedziały, od czego zacząć.

Ostatecznie podejmuje się tego ciocia Ying:

— Wiem, że twoja matka umierała z ważną myślą na głowie. — Wygłasza to pierwsze zdanie koślawą angielszczyzną, a potem miękko i cicho mówi dalej po chińsku: — Twoja matka była kobietą niezwykle silną, była też wspaniałą matką. Kochała cię bardziej niż własne życie. Już choćby dlatego powinnaś zrozumieć, że taka matka w żaden sposób nie mogła zapomnieć swoich starszych córek. Wiedziała, czuła, że one żyją. Tuż przed śmiercią wybierała się do Chin, chciała je odnaleźć.

Tamte dzieci, myślę, Guilin! Ja nie jestem jedną z tamtej dwójki. Dwa żywe tłumoczek na plecach matki. Jej starsze córeczki! Czuję się raptem tak, jakby koło czasu przeniosło mnie do bombardowanego miasta, widzę na skraju drogi dwa maleństwa, ich biedne, czerwone od ssania paluszki... słyszę płacz, którym błagają o litość. Nachylają się nad nimi jacyś ludzie... ktoś podnosi je, bierze w ramiona, są bezpieczne... Mnie też opuściła moja matka... odeszła na

zawsze... wróciła do Chin po te dziewczynki... po swoje dzieci... Jakby z niezmiernej odległości docierają do mnie słowa cioci Ying:

— Szukała ich długie lata, słała list za listem. W zeszłym roku nareszcie zdobyła jakiś adres... trafiła na ślad... Miała właśnie powiedzieć o tym twemu ojcu. *Ajjal* Tak jej było wstyd! Tyle czasu to odkładała. Całe życie.

— Więc my, twoje ciotki, napisałyśmy na ten adres — przerywa jej mocno podekscytowana ciocia An-mei. — Ta strona, mówimy, to znaczy twoja matka, chce zobaczyć się z tą drugą stroną. No i teraz tamta strona przysłała nam list. To twoje siostry, Jing-mei.

Moje siostry, powtarzam bezgłośnie. Po raz pierwszy w życiu wypowiadam dwa te słowa razem.

Ciocia An-mei trzyma kartkę cienką jak bibułka. Widzę równe pionowe rzędkie chińskich znaków, starannie wypisane niebieskim atramentem. Jedno słowo trochę rozmazane. Łza? Biorąc kartkę czuję, że trzęsą mi się ręce. Jakie zdolne te moje siostry — umieją czytać i pisać po chińsku!

Wszystkie ciotki ślą mi teraz takie uśmiechy, jakbym przed chwilą w cudowny sposób wstała z martwych. Ciocia Ying wręcza mi drugą kopertę. Jest w niej czek na imię June Woo z kwotą 1200 dolarów. Nie posiadam się ze zdumienia.

— One mnie przysyłają pieniądze? Moje siostry?

— Nie, nie — mówi ciocia Lin przesadnie żartobliwym tonem — to my... No wiesz, zbieramy swoje wygrane w madżonga, żeby pod koniec roku zafundować sobie wielki bankiet w eleganckiej restauracji! No a twoja matka... ona zwyciężała najczęściej, dlatego to są właściwie jej pieniądze... My dodajemy tylko ciut-ciut, żebyś miała na samolot do Hongkongu. Stamtąd pojedziesz do Szanghaju, no i poznasz swoje siostry. My już i tak zrobiłyśmy się za bogate. I za tłuste — na potwierdzenie swych słów ciocia Lin klepie się po brzuchu.

— Poznać siostry... — mamkę w osłupieniu. Czuję się oszołomiona i zarazem przerażona tą perspektywą. Podróż do Chin, siostry... wprost trudno to sobie wyobrazić. Jakby i tego było mało, jeszcze ta opowiadka o sylwestrowym bankiecie! Och, te moje ciotki! Wiem, że tym kłamstwem starają się pokryć własną hojność. Taka jestem zakłopotana... Łzy ciekną mi z oczu... to się śmieję, to szlocham... Skąd bierze się ta ich

niesłychana lojalność wobec mojej zmarłej matki? Mam tego dowód, tylko zupełnie nie rozumiem...

— Musisz opowiedzieć siostronom o śmierci waszej matki

— mówi ciocia Ying — no a przede wszystkim o jej życiu. One nie znały matki, więc teraz muszą ją poznać.

— Poznać siostry, opowiedzieć im o matce... — mruczę, kiwając głową. — Co ja mam im powiedzieć? Co ja w ogóle wiem o swojej matce? Nic! Tylko to, że była moją matką!

Ciotki patrzą na mnie takim wzrokiem, jakby nagle odbiło mi pod sufitem.

— Ty nie znasz swojej rodzonej matki?! — wykrzykuje z niedowierzaniem ciocia An-mei. — Jak możesz tak mówić? Ona jest w tobie, w twoim ciele i krwi!

— Opowiedz im o waszej rodzinie, o tym, jak tu żyliście

— podsuwa mi ciocia Lin. — Ile osiągnęła twoja matka w tym kraju, w Ameryce.

— Te historie, które ci opowiadała, wszystko, czego cię uczyła! Opowiedz o wszystkim, co miała w głowie, a co teraz tynosisz w swojej — mówi ciocia Ying. — Była taką mądrą kobietą.

Teraz już prawie na wyścigi zaczynają mi podrzucać, co mam przekazać. Słowa „opowiedz siostronom” brzmią niemal jak refren pieśni.

— O jej dobroci...

— O jej inteligencji...

— O jej poświęceniu dla rodziny...

— O jej nadziejach, o tym, co było dla niej najważniejsze...

— I o tym, jak wspaniale gotowała!

— To dopiero! Żeby córka nie знаła własnej matki!

W tym momencie zaczynam rozumieć: one są przerażone! Odnajdują w mojej osobie własne córki, tak samo jak ja obojętne, tak samo niepomne tych prawd i nadziei, które one, matki, przywiozły tu, do Ameryki. Córki... Niecierpliwie wzruszają ramionami, kiedy mówić do nich po chińsku, a tłumaczyć coś po angielsku? Ach, jakże koślawy ten angielski, jakie głupie te matki... Tak, one się po prostu boją. Widzą przecież, że radość i szczęście to dla córek dwie różne sprawy, bo ich ciasne, zamerykanizowane umysły zupełnie nie umieją pojąć słów „radość” i „szczęście”.

No tak, dla nich takie słowa nie istnieją... A wnuki, a to amerykańskie potomstwo ich córek? Co z nim będzie? A jeśli te dzieci przestaną być ogniwem nadziei łączącym dawne i przyszłe pokolenia? Lepiej o tym nie myśleć!

— Dobrze, powiem im wszystko — mówię cicho, a ponieważ wciąż patrzą na mnie z powątpiewaniem, przyrzekam pewniejszym tonem: — Przypomnę sobie wszystko, co wiem o matce... wszystko im opowiem. — Pomaleńku zaczynają się uśmiechać, klepią mnie czule po rękę. Wciąż jeszcze są odrobinę zmartwione, jak gdyby nadal coś mąciło ich spokój — jakiś brak równowagi?... ale już świta im nadzieja, że będzie, jak powiedziałam. O co mnie jeszcze poproszą? Co jeszcze mam im obiecać?

Sięgają znów po gotowane orzeszki ziemne i powoli zaczynają gaworzyć. Płyną opowieści. Znów są młodziutkimi dziewczynami zatopionymi w marzeniach o szczęściu. O dobrych chwilach, które minęły, i o tych, co jeszcze nadejdą. Brat z Ningbo... Cóż to będzie za radość, kiedy zwróci całe dziewięć tysięcy dolarów, i to z procentem! Najmłodszy syn... jego warsztat radiowo-telewizyjny zacznie wkrótce przynosić wielki profit... można będzie nadwyżki wysyłać do Chin. Córka... jej dzieciaki będą pływać jak rybki w eleganckim basenie w Woodside. Ach, jakież to wspaniałe opowieści! Czy słyszał kto lepsze? Wierzą, że sprzyja im szczęście.

A ja siedzę przy stole do madżonga na miejscu mojej zmarłej matki. Tu jest moje miejsce. Na Wschodzie, skąd wszystko bierze swój początek.

An-mei Hsu
BLIZNA

Byłam małym dzieckiem, kiedy usłyszałam od babki, że moja matka jest duchem. Czy to oznaczało, że umarła? Nie. W owych czasach „duchem” mogło być wszystko, o czym zabraniano nam mówić. Zdawałam więc sobie sprawę, że Popo każe mi zapomnieć o matce — i tak pozbyłam się wszelkich o niej wspomnień. Życie, to, które znałam, zaczęło się dla mnie w Ningbo, w wielkim domu o chłodnych korytarzach i stromych, wysokich schodach. Był to dom mojego wujostwa; mieszkalam tam razem z Popo i swoim małym braciszkiem.

Opowiadano mi też często o duchu czyhającym na małe dzieci; lubił on porywać zwłaszcza uparte i nieposłuszne dziewczynki. Popo głośno powtarzała przy każdej możliwej okazji, że my oboje z braciszkiem wypadliśmy spod ogona jakiejś głupiej gęsi — ot, takie dwa przez nikogo nie chciane jajka, co nie nadają się nawet do zaprawienia ryżu. Mówiła tak oczywiście po to, żeby zniechęcić do nas tego ducha, z czego widać, jak bardzo byliśmy jej drodzy.

Popo przez całe życie budziła we mnie przerażenie, a od kiedy zachorowała, zaczęłam bać się jej jeszcze bardziej. Stało się to w roku 1923, kiedy miałam dziewięć lat. Cała spuchła niczym przejrzała dynia, a jej dotąd tak nabite ciało rozmiękło i zaczęło wydzielać brzydki zapach zgnilizny. Musiałam wachać ten straszny smród, bo raz po raz wzywała mnie do swego pokoju i zaczynała opowiadać różne dziwne historie. „Słuchaj mnie uważnie, An-mei” — mówiła. Zupełnie nie rozumiałam tych jej opowieści.

Jedna była o chciwej dziewczynie, której zaczął rósć brzuch. Za nic nie chciała powiedzieć, czyje nosi dziecko, a potem odebrała sobie życie, zażywając truciznę. Kiedy jednak mnisi rozcięli jej ten brzuch, znaleźli tam tylko wielką białawą dynię woskową.

— Jak będziesz chciwa — pouczyła mnie Popo — to ta siedząca w tobie chciwość tak cię będzie ssać, że nigdy nie zaspokoisz głodu.

Innym razem opowiedziała mi o dziewczynce, która nie chciała słuchać starszych. Odmawiając kiedyś swojej cioci spełnienia jakiejś drobnej prośby, tak mocno potrząsnęła głową, że z ucha wypadła jej biała kuleczka i cały rozum wylał się na zewnątrz, a był przezroczysty jak bulion z chudej kury.

— Myśli o sobie samym tyle zajmują miejsca, że wypychają wszystkie inne — wyjaśniła mi Popo. Później nie mogła już mówić, za bardzo była chora, ale zdążyła jeszcze przyciągnąć mnie do siebie i ostrzec: —Nigdy nie wymawiaj imienia matki. Czyniąc to, oplujesz grób własnego ojca.

Kim był dla mnie ojciec? Wielkim malowidłem na ścianie głównego korytarza, przedstawiającym dużego mężczyznę bez uśmiechu. Widać nie w smak mu było wisieć tak wciąż na ścianie. Gdziekolwiek próbowałam się ukryć, wszędzie ściagały mnie jego niespokojne oczy... widziały mnie nawet w moim pokoju.

Popo twierdziła, że ojciec dostrzega każde moje nieposłuszeństwo, więc kiedy w szkole rzuciłam w kogoś kamieniem albo przez nieuwagę zgubiłam książkę, starałam się przejść obok niego jak najszybciej, przybierając przy tym minę niewiniątka. Później — już w swoim pokoju — kryłam się w najdalszym kącie, skąd nie widać było mojej twarzy.

Dom nasz wydawał mi się bardzo smutny, chociaż mój młodszy braciszek wcale chyba tego nie odczuwał. Rozbijał się rowerkiem po podwórku, strasząc kurczaki i inne dzieci, a im głośniejsze było pieszcząco, tym większą mu sprawiało uciechę. Kiedy wujostwo szli odwiedzić kogoś we wsi, pełno go było w całym tym milczącym domu. Z ogromną przyjemnością skakał sobie wtedy po puchowych kanapach cioci.

Ale nawet i jemu szybko minęła wesołość. Pewnego upalnego dnia lata, kiedy Popo była już bardzo chora, przez nasz folwark miał przyciągnąć wiejski orszak pogrzebowy.

Wszyscy wybiegli na dwór. I nagle, gdy pochód mijał nasze wrota, runął z piedestału wielki, oprawny w ciężkie ramy portret nieboszczyka. Z suchej ziemi wzbily się tumany kurzu, a jakaś starsza pani krzyknęła i zemdląła. Mój braciszek parsknął śmiechem, a ciocia dała mu po buzi.

Ciocia, którą dzieci zawsze strasznie złościły, zaczęła krzyżeć, że mój brat nie ma ani odrobiny *shou*, to znaczy szacunku należnego tak przodkom, jak i własnej rodzinie. Nic dziwnego, wrodził się w matkę! O, bo ciocia miała język jak nożyce do cięcia jedwabiu! Więc kiedy mój brat rzucił jej krzywe spojrzenie, rozpuściła ten swój język na dobre.

— Wasza matka nie ma w głowie ani jednej myśli! — krzyknęła. — Tak jej się spieszyło na tę północ, że nie tylko nie oddała rodzinie posagowych mebli, ale nawet zapomniała zabrać dziesięć par srebrnych pałeczek! Nie uczciła też grobu swego męża ani jego przodków! — A na hardą odpowiedź brata, że to ona wystraszyła stąd matkę, wrzasnęła: — Wasza matka poślubiła człowieka imieniem Wu Jing, który ma już żonę, do tego dwie konkubiny i nie wiadomo ile dzieci, tak samo niegodziwych jak wy!

Gdy mój brat nazwał ją gdaczącą bezgłową kurą, plunęła mu w twarz i wypchnęła za bramę, krzyżąc:

— Śmiesz obrzucać mnie obelgami, ty małe nic? A wiesz, kto cię urodził? Bezwstydnicą, co tak już nisko upadła, że stała się *ni* — szmatą — i zdradziła naszych przodków! Nawet najniższy z diabłów musiałby się nisko schylić, gdyby w drodze łaski raczył na nią spojrzeć!

Powoli zaczynałam rozumieć opowiastki Popo, a zwłaszcza to, czego wysłuchiwałam o matce. „Kiedy tracisz twarz, An-mei — mawiała często — to tak, jakbyś upuściła naszyjnik do studni. Odzyskać go możesz tylko w jeden sposób: pójść za nim na dno.”

Teraz już umiałam wyobrazić sobie matkę. Była bezmyślną istotą, która śmiejąc się głośno, wciąż tylko odmownie potrząsa głową albo na oślep mierzy pałeczkami w słodki owoc, by jak najszybciej pożreć następny kawałeczek soczystego mięszu. Pewnie z przyjemnością uwolniła się od Popo, od swego malowanego, wiecznie niezadowolonego męża i swoich nieposłusznych dzieci. Czułam się podwójnie nieszczęśliwa — i dlatego, że jest moją matką, i że nas porzuciła. Takie to

nawiedzały mnie myśli, kiedy kryłam się w kącie pokoju, dokąd nie sięgało spojrzenie mego ojca.

Zobaczyłam ją ze szczytu wysokich schodów. Od razu wiedziałam, że to moja matka, chociaż jej obraz nie zachował mi się w pamięci. Stała w wejściu do korytarza, więc twarz miała ukrytą w cieniu. Była dużo wyższa od ciotki — dorównywała prawie wzrostem memu wujowi. Wyglądała też trochę obco... Przypominała panie misjonarki z naszej szkoły — takie bardzo wyniosłe damy, które chodziły na wysokich obcasach, miały krótko obcięte włosy, a na sobie zagraniczne suknie.

Ciotka na jej widok natychmiast odwróciła oczy. Nie wyrzekła słów powitania ani nie zaproponowała herbaty. Stara służąca w pośpiechu uciekła z hallu, z niesmakiem zaciskając wargi. Ja wciąż siedziałam na schodach, starając się nawet nie drgnąć, ale serce tłukło mi się w piersiach jak świerszcz, którego zamknięto w klatce. Matka musiała to słyszeć, bo spojrzała w górę i kiedy podniosła twarz, zobaczyłam własne odbicie — takie same szeroko otwarte oczy, które zawsze za dużo widziały.

— Za późno, za późno! — krzyczała w chwilę potem ciotka w pokoju Popo, próbując zagrozić matce drogę do łóżka. Nie udało jej się.

— Wróciłam i nikt mnie stąd nie wypędzi — wyszeptała moja matka do Popo. — *Niier* jest przy tobie, słyszysz? Twoja córka wróciła. — Popo oczy miała otwarte, lecz jej zmacony umysł błąkał się gdzieś po bezdrożach. Myśli biegły za szybko i w zbyt wiele stron naraz, by choć na chwilę potrafiła którąś zatrzymać. Gdyby umysł jej działał sprawnie, kazałaby matce iść precz.

Ja — widząc ją po raz pierwszy — pożerałam wzrokiem tę śliczną kobietę o białej owalnej twarzy, nie okrągłej jak gęba mojej ciotki czy ostrej jak oblicze babki. Zauważyłam, że szyję ma długą i białą jak ta gęś, która mnie zniosła, i że okładając mokrymi płótnami rozdętą twarz Popo, porusza się bezszelestnie i miękko jak duch — jakby płynęła w powietrzu. Widziałam, jak zagłąda w oczy swojej matce, cichutko cmokając przy

tym ze zmartwienia. Obserwowałam ją pilnie, ale to nie jej wygląd, tylko głos wprawił mnie w dziwny zamęt. Był taki znajomy... Jakbym go już kiedyś słyszała... Może w jakimś zapomnianym śnie?

Później, kiedy wróciłam ze szkoły, zastałam ją w swoim pokoju wyprostowaną na całą wysokość. Pomna nakazów Popo stanęłam w miejscu bez słowa. Wzięła mnie za rękę i poprowadziła do sofy, a sama usiadła obok, jakby to był nasz codzienny zwyczaj. Potem rozplotła mi włosy i długimi, mocnymi ruchami zaczęła je powoli szczotkować.

— An-mei, czy byłaś dobrą córką?—na jej ustach zagościł tajemniczy uśmiech.

Popatrzyłam na nią z miną niewiniątka, ale wszystko się we mnie trzęsło. Czy byłam dobra? Ach, byłam przecież dziewczyną, której w brzuchu rosła biała woskowana dynia!

— An-mei, wiesz chyba, kim jestem — w głosie jej zabrzmiała nutka leciutkiej nagany. Tym razem nie spojrzałam na nią ze strachu: a nuż głowa mi się rozpeknie i rozum tryśnie uszami?

Przestała szczotkować mi włosy i nagle poczułam pod brodą jej długie, delikatne palce. Te palce przesuwaly się po mojej skórze, pocierały ją lekko, jakby czegoś szukając... No i znalazły, napotkały to takie nienormalnie gładkie miejsce na szyi — bliznę. Kiedy ją łagodnie potarła, cała zastygłam w bezruchu. Bo było to tak, jakby wcierała mi w skórę moje zagubione wspomnienia. Po chwili ręka jej opadła, a ona zaczęła płakać, ująwszy w dłoń swoją własną szyję. Ten głos... jakże był żaloszny... jak strasznie smutny... I wtedy sobie przypomniałam, w jakim to śnie słyszałam kiedyś głos mojej matki.

Miałam cztery lata — podbródkiem ledwo sięgałam stołu, przy którym jedliśmy obiad. Przypominam sobie gniewną buzię mego malutkiego braciszka wrzeszczącego na kolanach Popo. I głosy... Pochwalne pomruki na cześć jakiejś ciemnej, gorącej zupy, którą właśnie ktoś postawił na stole, i uprzejme zachęty do jedzenia: *Qing, qing* — prosimy.

I nagle rozmowy umilkły. Wuj podniósł się z krzesła, a wszyscy pozostali obrócili głowy ku drzwiom, w którym stała wysoka kobieta. Wszyscy milczeli, tylko ja jedna wydałam głos:

— Mama! — krzyknęłam, zrywając się z krzeselka, ale ciocia trzepnęła mnie w buzię i pchnęła z powrotem na miejsce. Wszyscy teraz zaczęli wstawać od stołu i krzyczeć. Usłyszałam płaczliwy głos matki wołający mnie po imieniu: „An-mei! An-mei!” I ponad cały ten zgiełk wybił się ostry jak brzytwa głos Popo:

— Kim jest ten duch? Nie, to nie jest czcigodna wdowa, to zwykła konkubina, i dopiero trzecia! Jeżeli zabierzesz swoją córkę, ona też stanie się taka jak ty! Nie będzie miała twarzy, nigdy nie ośmieli się podnieść głowy!

A jednak matka wołała mnie nadal. Jak dobrze pamiętam teraz ten głos powtarzający „An-mei, An-mei”... Jak wyraźnie widzę jej twarz po drugiej stronie ogromnego stołu... Między nami, ustawiony na masywnym, podobnym do okrągłego komina podgrzewaczu, chybotał się garnek z zupą. Ktoś krzyknął, i ta ciemna, wrząca ciecz stała się wodospadem, który zalał mi szyję. Wydawało mi się, że to wszyscy obecni wylewają na mnie swój gniew.

Tak straszliwego bólu żadne dziecko nie powinno ani doświadczać, ani przechowywać w pamięci, ale moja skóra pamięta go po dziś dzień. Prawie nie krzyczałam, bo ten żywy, przenikający mnie na wskroś ogień zupełnie odebrał mi oddech.

Dławiące gardło duszności nie pozwalały mi mówić, nic nie widziałam przez łzy wylewające się ze mnie strumieniami, jak gdyby litościwie chciały zmyć cały mój ból, a jednak słyszałam, słyszałam płacz matki. Popo i ciocia krzyczały. A potem głos matki odpłynął gdzieś... ucichł.

Później, już w nocy, jakby też z oddali przyplłynął do mnie głos Popo:

— An-mei, słuchaj uważnie. — Mówiła takim samym tonem, jak wtedy gdy karciała mnie za bieżanie po korytarzu. — An-mei, przygotowaliśmy już dla ciebie grzebalne szaty. Wszystko z białej bawełny*.

* Kolor biały jest w Chinach kolorem żałoby.

Ogarnęło mnie przerażenie.

— An-mei — mruknęła po chwili trochę łagodniej — twoje śmiertelne szaty są bardzo proste. Nie mogą być wymyślne, chyba rozumiesz dlaczego? Jesteś jeszcze dzieckiem. Jeżeli teraz umrzesz, życie twoje będzie zbyt krótkie... jeszcze nie zdążyłaś spłacić długu rodzinie. Dlatego pogrzeb będziesz miała skromny, a i żałoba po tobie długo nie potrwa. — Dalsze jej słowa zapiekły mnie gorzej niż poparzona szyja: — Już nawet twoja matka wyplakała wszystkie łzy i odeszła. Jeżeli szybko nie wyzdrowiejesz, ona o tobie zapomni.

Popo postąpiła bardzo chytrze. Wiedziała, że aby zobaczyć matkę, pędem zawrócę z tamtego świata.

Płakałam po całych nocach, aż piekła mnie nie tylko szyja, ale i oczy. Obok mego łóżka siedziała Popo, trzymając w ręku wydrążoną łupinę wielkiego grapefruita, z której sączyła zimną wodę na moją poparzoną skórę. Polewała mnie tak dopóty, dopóki nie zaczynałam lżej oddychać; na koniec zapadałam w sen. Rano znów widziałam nad sobą twarz Popo, która swymi ostrymi paznokciami zdejmowała mi z szyi płatę martwej skóry.

W ciągu dwóch następnych lat moja blizna zbieleła, stała się lśniąca i dziwnie gładka, a ja sama nic już nie pamiętałam o matce. Bo z pamięcią jest tak jak z raną. W pewnej chwili zaczyna się zasklepić, by osłonić bolące miejsce, a gdy już się zamknie, człowiek nie tylko przestaje widzieć to, co pod spodem, ale i rozumieć przyczynę swojego bólu.

Matkę z zapomnianego snu kochałam i czciłam jak bóstwo. Kobieta stojąca przy łóżku Popo nie była tą samą osobą, była inna, ale i tę pokochałam. Nie dlatego, że błagała mnie o przebaczenie, bo też wcale tego nie zrobiła. Po cóż by mi miała tłumaczyć, że gdy ja walczyłam ze śmiercią, Popo wygnała ją z domu? Sama to wiedziałam. Nie musiała mi też mówić, że zaślubiając Wu Jinga wpadła tylko z jednego nieszczęścia w drugie. To rozumiałam także.

A oto jak doszło do tego, że znowu ją pokochałam, że zobaczyłam w niej samą siebie, to wszystko, co we mnie najprawdziwsze, co mam pod skórą i we krwi.

Było już bardzo późno, gdy udałam się do sypialni Popo. Ciocia poinformowała mnie, że Popo umiera i że mam obowiązek okazać jej swój szacunek. Ubrana w czystą sukienkę stałam więc w nogach łóżka między ciocią i wujkiem. Trochę popłakiwałam — nie za głośno.

W kącie pokoju zobaczyłam matkę — była bardzo smutna i cicha. Gotowała jakiś leczniczy wywar. Widziałam, że wsypuje do wrzącej wody zioła i medykamenty. W pewnej chwili podwinęła rękaw, wyjęła skądś ostry nóż i przyłożyła go do wewnętrznej części ramienia — tam gdzie ciało najdelikatniejsze. Chciałam zamknąć oczy — i nie mogłam.

Patrzyłam więc, jak moja matka wycina sobie kawałek ciała... Łzy zalały jej twarz, na podłogę trysnął strumień krwi... Nie zważając na to, wrzuciła do zupy ten kawałek własnego ciała.

Kiedy wszystkie nadzieje zawiodły, podjęła jeszcze ostatnią próbę uratowania swej matki, uciekając się nawet do starych magicznych praktyk. Otworzywszy usta Popo — mocno już zaciśnięte, aby powstrzymać ducha przed ucieczką — napoiła ją tym magicznym wywarem. Popo jednak odeszła tej nocy — choroba okazała się silniejsza

Byłam wtedy jeszcze dzieckiem, ale wiedziałam, czym jest ból, którego doznaje ciało, i znałam jego cenę.

Tak właśnie córka powinna szanować matkę. To jest prawdziwe *shou*, najgłębszy szacunek, który ma się we krwi. Ból zadany ciału jest niczym i trzeba go zapomnieć, bo to nieraz jedyny sposób odnalezienia siebie — tego, co ma się we krwi. A jak tego szukać? Zdejmując po kolei, warstwa po warstwie, skórę z siebie, swojej matki i jej matki. Aż do tego miejsca, gdzie nie ma już nic — ani blizny, ani skóry, ani ciała.

Lindo Jong
CZERWONA ŚWIECA

Obietnice... Ja, żeby dotrzymać obietnicy danej przez moich rodziców, poświęciłam kiedyś własne życie, ale ty tego nie rozumiesz, bo cóż to dla ciebie obietnica? Drobiazg. Można przyrzec matce, że się przyjdzie na obiad, ale wystarczy ból głowy, korek na ulicy albo ulubiony film w telewizji, i obietnica przestaje istnieć.

Wiesz, tego dnia, kiedy nie przyszedł, obejrzałam sobie ten film. Był tam amerykański żołnierz, który obiecuje dziewczynie, że jak wróci z wojny, to się z nią ożeni. Ją to tak szczerze wzrusza, że zaczyna płakać, a on wciąż powtarza: „Obiecuję ci, obiecuję! Kochana, najdroższa, wierz mi, moje słowo jest jak czyste złoto” — i popycha ją na łóżko. Tylko że potem nie wraca. To jego złoto jest takie samo jak twoje — marne czternaście karatów.

Dla Chińczyka to nie jest prawdziwe złoto. Popatrz na moje bransolety, dotknij. Dwadzieścia cztery karaty — i nie tylko z wierzchu, w środku też. Takie musi być złoto. Czyste.

Za późno już, żeby cię zmienić, ale martwię się o twoje dziecko, dlatego ci to mówię. Boję się, że chociaż twoja córka powie mi pewnego dnia: „Dziękuję ci, babciu, za tę złotą bransoletkę, zawsze będę o tobie pamiętać”, to później zapomni o swojej obietnicy. Zapomni, że w ogóle miała babkę.

W tym amerykańskim filmie żołnierz wraca z wojny, klęka przed inną dziewczyną i prosi, żeby została jego żoną. Ona

zaczyna przewracać oczami — skromnisia! Jakby nigdy nie myślała o małżeństwie! — i nagle, och! spogląda mu prosto w oczy. O, teraz już wie, że kocha tego mężczyznę, tak bardzo go kocha, że chce jej się płakać. „Tak” — mówi wreszcie. Pobierają się i żyją z sobą aż do śmierci.

Ze mną było inaczej. Miałam dopiero dwa lata, gdy odwiedziła nas wiejska swatka. Nie, nikt mi o tym nie opowiadał, sama wszystko pamiętam. Było lato, okropny upał, w powietrzu unosiły się tumany kurzu, z dziedzińca dobiegało nas granie cykad. Siedziałyśmy z matką pod drzewami w sadzie. Nad nami służący i moi bracia wspinali się po gałęziach, zbierając gruszki. Objęta lepkimi od potu ramionami matki, machałam ręką na małego kolorowego ptaszka z różkami, który unosił się przede mną na swoich cienkich jak bibułka skrzydełkach. A potem ptaszek odfrunął i zobaczyłam dwie panie. Dobrze je pamiętam, bo z ust tej jednej płynęły takie dziwne, szemrzące dźwięki: „szr, szr”. Później, kiedy już byłam starsza, nauczyłam się po takich dźwiękach rozpoznawać wymowę pekińską, która dla mieszkańców Taiyuanu brzmi jak zgrzytanie zębami.

Dwie obce panie na razie nic nie mówiły, tylko pilnie mi się przyglądały. Ta o szemrzącym głosie była mocno umalowana i szminka topiła jej się z gorąca. Ta druga twarz miała suchą jak pień starego drzewa.

Dzisiaj już wiem oczywiście, że starucha o skórze podobnej do kory była wiejską swatką, a ta druga, Pani Huang, matką chłopca, którego zmuszona byłam później poślubić. Nie, to nieprawda, co się nieraz mówi, że dla Chińczyków dziewczynka to stworzenie bez żadnej wartości. Zależy, jaka to dziewczynka. Ja przedstawiałam sobą jakąś wartość, podobałam się ludziom. Wyglądałam i pachniałam jak słodka bułeczka z bielutkiej mąki.

— Ziemi Koń i Ziemska Koza*. To najlepszy związek małżeński — zaczęła zachwalać swatka. Poglądziła mnie po ramieniu, a ja odepchnęłam jej rękę. Pani Huang od razu zaniepokoiła się o *piqi* — moje usposobienie. Czy aby nie

*** Chodzi o osoby urodzone w roku Konia i Ziemi oraz Kozy i Ziemi, których związek wróży szczęśliwe małżeństwo.**

jestem narowistym Koniem? — zapytała swoim chrzęszczącym szeptem. — Ależ nie, skądże! — roześmiała się swatka. — To jest mocny Koń. Gdy dorośnie, będzie jak koń pracowita. Dobrze zadba o ciebie na stare lata.

I wtedy to Pani Huang chmurnie przyjrzała mi się, jakby chciała nie tylko przeniknąć moje myśli, ale i odkryć najtajniejsze zamiary na przyszłość. Nigdy nie zapomnę tej chwili. Szczegółowo zbadła moją twarz szeroko otwartymi oczami, a potem się uśmiechnęła. Jeden jej wielki, złoty ząb oślepił mnie swym blaskiem jak słońce, a dwa rzędy pozostałych rozdziawiły się na całą szerokość. Przeleżałam się, że połknie mnie zaraz w całości.

W taki to sposób zostałam zaręczona z jej synem, który był ode mnie o rok młodszy, czyli robił jeszcze w pieluchy, ale o tym dowiedziałam się później. Na imię miał Tianyu. *Tian* jak „niebo”, bo taki był ważny dla rodziny; *yu* znaczy „pozostałość”, ponieważ kiedy się urodził, jego ojciec był ciężko chory i rodzina obawiała się, że umrze. Tianyu miał być zatem pozostałością ojcowskiego ducha. No, ale ojciec jakoś wyżył, a wtedy babka Tianyu zlekła się, że duchy zwrócą teraz uwagę na dziecko i zechcą zabrać je w zamian za ojca. Małego nie spuszczano z oka, spełniano wszystkie jego zachcianki. Strasznie był przez to zepsuty.

Cóż, gdybym nawet wiedziała, że dostanie mi się taki zły mąż, też nie miałabym nic do powiedzenia — ani wtedy, ani później. Takie to zacofane były wówczas wiejskie rodziny, zwłaszcza te z okolic Taiyuanu. My zawsze jako ostatni wyzbywaliśmy się każdego przestarzałego obyczaju, choćby był nie wiem jak głupi. W innych wielkich miastach mężczyzna sam mógł już wybierać sobie żonę, oczywiście za zgodą rodziców, ale do nas nie docierały takie nowinki. Jeśli się w ogóle słyszało, że gdzie indziej ludzie myślą inaczej, to tylko wtedy, gdy te ich poglądy były gorsze od naszych, nigdy lepsze. Owszem, opowiadano u nas na przykład o synach tak zawojowanych przez niegodziwe żony, że pod ich wpływem potrafili nawet wyrzucić na bruk swych starych, zrozpaczonych rodziców. Tak więc taiyuariskie matki nadal wybierały sobie synowe. Musiały to być dziewczyny, co do których

istniała pewność, że dobrze wychowają przyszłych synów, że podobnie zatroszczą się o starców, a po śmierci świekrów długo jeszcze z oddaniem dbać będą o miejsca ich wiecznego spoczynku.

Od kiedy obiecano oddać mnie w małżeństwo synowi Huangów, moja rodzina zaczęła traktować własne dziecko jak osobę z innego rodu. Trzeba ci było słyszeć, co mówiła moja matka, zauważywszy na przykład, że zbyt często sięgam po miskę z ryżem: „Patrzcie no na tę córkę Pani Huang! Ile to potrafi zjeść!”

Myślisz, że mnie nie kochała? Nie, to nie tak. Moja matka, wypowiadając te słowa, gryzła się w język, żeby nie wymknęło jej się coś innego. Nie chciała, by ją ktoś posądził, że pragnie zachować to, co już do niej nie należy.

Byłam na ogół bardzo posłusznym dzieckiem. Krzywiłam się i robiłam miny tylko czasami — kiedy mi doskwierał upał, kiedy byłam zmęczona lub chora. „Ale paskudna buzia — mawiała wtedy moja matka. — Z taką buzią Huangowie cię nie zechcą, i cała nasza rodzina okryje się hańbą.” Zaczynałam płakać, żeby wyglądać jeszcze gorzej. „To na nic — upominała mnie matka. — Zawarliśmy umowę. Jest nierozzerwalna.” Czy muszę dodawać, że pobudzało mnie to do jeszcze głośniejszego płaczu?

Po raz pierwszy zobaczyłam przyszłego męża, kiedy miałam lat osiem czy dziewięć. Całym moim światem było wtedy ogrodzone murem gospodarstwo moich rodziców w pewnej wiosce nieopodal Taiyuanu. Mieszkaliśmy w skromnym, piętrowym domu, obok którego stał drugi, mniejszy. Były tam właściwie tylko dwa przylegające do siebie pokoje dla dwóch rodzin: kucharza i służącej do wszystkiego. Nasz dom zbudowano na niewielkim wzgórzu. Nazywaliśmy je dość szumnie Trzema Stopniami do Niebios, chociaż co to było za wzgórze! Ot, ileś tam pokładów stwardniałego mułu, naniesionego przez rzekę Fen w ciągu wielu stuleci. Płynęła ona wzdłuż muru ograniczającego naszą siedzibę od wschodu i jak mówił ojciec, lubiła połykać małe dzieci. Kiedyś podobno połknęła całe miasto Taiyuan. W lecie była brązowa, za to zimą zmieniała kolor. Szersze, zamrożone miejsca robiły się białe od lodu, te węższe, o wartkim nurcie, przypominały niebiesko-zielone kropki.

O, pamiętam taki Nowy Rok, kiedy to poszliśmy całą rodziną nad rzekę i nałowiliśmy mnóstwo ryb. Jakież były ogromne i śliskie! Wyciągało się je spod lodu, z samego dna, gdzie jeszcze smacznie sobie spały. Kiedy się je rzuciło na rozgrzaną patelnię, wciąż jeszcze machały ogonami!

W tym właśnie roku poznałam też mojego męża. Rozbeczał się na odgłos noworocznych petard. Ojej, rozdziawił gębę jak wrota, a nie był już przecież dzieckiem przy piersi, tylko kilkuletnim chłopcem.

Później widziałam go jeszcze podczas „święta czerwonych jajek”, ceremonii związanej z nadawaniem imion jednomiesięcznym niemowlętom płci męskiej. Tianyu siedział na kolanach babki, prawie miażdżąc swoich ciężarem jej stare kości — i nic nie chciał jeść. Od wszystkiego odwracał nos z takim wstrętem, jakby zamiast słodkich ciasteczek podsuwano mu cuchnące solone warzywa.

O nie, miłość do przyszłego męża nie spadła na mnie w ułamku sekundy — tak jak to pokazują dzisiaj w telewizji. Ten chłopiec był dla mnie wtedy kimś w rodzaju nieznośnego kuzyna — i tak właśnie o nim myślałam — chociaż wobec jego rodziny zachowywałam się bardzo grzecznie. Zdążyłam się już tego nauczyć. Staralam się zwłaszcza w niczym nie uchybić Pani Huang. Moja matka miała zwyczaj popychać mnie w jej stronę ze słowami: „No i co powiesz swojej matce?” Zbijało mnie to z tropu, bo nie wiedziałam, którą matkę ma na myśli? Mówiłam do niej wtedy: „Przepraszam, mamusiu” i zwracałam się z kolei do Pani Huang, aby ofiarować jej coś smacznego: „Proszę, to dla ciebie, matko”. Pamiętam, że pewnego razu był to kawałek *shaomai*, uwielbianego przeze mnie pierożka na parze. Moja matka pochwaliła mnie przed Panią Huang, że zrobiłam go specjalnie dla niej, chociaż cała moja zasługa polegała na tym, że gdy kucharka wyłożyła ów smakołyk na półmisek, ja poszturchałam palcem jego dymiące boki.

Życie moje uległo całkowitej zmianie pewnego lata, które przyniosło nam ulewne deszcze. Miałam wtedy lat dwanaście. Rzeka Fen płynąca środkiem naszych pól wystąpiła z brzegów, zalewając równiny. Powódź nie dość że zniszczyła cały roczny zasiew pszenicy, to jeszcze na długie lata wyjałowiła ziemię. Także i dom, mimo że stał na pagórku, nie nadawał się do

użytku. Kiedy woda opadła i zeszedliśmy z piętra, oczom naszym ukazał się beznadziejny widok: podłogi, ściany i meble pokrywała gruba warstwa lepkiego mułu, na dziedzińcach leżały powyrywane z korzeniami drzewa i potopione kury. Staliśmy się nędzaczami.

Tutaj, w Ameryce, każdy w takim wypadku leci zaraz po ubezpieczenie: Spotkało mnie nieszczęście, nie z mojej winy, dajcie mi milion dolarów. Tam nie. Nie w tamtych czasach. Brak ci środków, wyczerpałeś wszystkie swoje możliwości? Trudno! Miałeś pecha i koniec. Ojciec powiedział, że nie ma innego wyjścia, jak tylko przenieść się do Wuxi, to od nas na południe, niedaleko Szanghaju, gdzie brat mojej matki miał mały młyn. Cała rodzina wyruszy tam natychmiast — oznajmił. Ja zostaję. Mam dwanaście lat, jestem już w tym wieku, że śmiało mogę się rozstać z rodziną i zamieszkać u Huangów. Tak mi powiedział.

Powódź obróciła drogi w grząskie błoto, złościąc w nich na dodatek olbrzymie zapadliska, toteż nie znalazł się nikt, kto by chciał podjechać wozem pod nasz dom. Wszystkie ciężkie meble i pościel trzeba było zostawić. Rzeczy te miały przejść na własność Huangów jako mój posag. W tej sprawie rodzina wykazała, jak widać, duży zmysł praktyczny. Ojciec orzekł, że będzie to posag bardziej niż wystarczający, nie zdołał jednak powstrzymać matki przed ofiarowaniem mi *chang* — jej naszyjnika z rzeźbioną płytką z czerwonego jadeitu. Bardzo szorstko wkładała mi go na szyję, nie chcąc okazać, jak strasznie jej smutno, ale ja to i tak wiedziałam. „Bądź posłuszna swojej rodzinie, nie ściągaj na nas hańby — poprosiła. — Bądź wesoła, kiedy tam przybędziesz. Bo też i masz się z czego cieszyć. Spotkało cię prawdziwe szczęście.”

Rodzina Huangów mieszkała nad tą samą rzeką, lecz powódź, która spustoszyła nasz dom, pozostawiła ich siedzibę nietkniętą, a to dlatego, że zbudowano ją w wyższej części doliny. Po raz pierwszy przyszło mi wtedy na myśl, że rodzina Tianyu zajmuje wyższą pozycję od mojej. Patrzyli na nas

z góry, co tłumaczyło z kolei to, dlaczego i on, i jego matka mają aż tak długie nosy.

Minąwszy łukowatą, kamiennieo-drewnianą bramę, zobaczyłam wielki dziedziniec z kilkoma rzędami niskich domków. W niektórych przechowywano zapasy, w innych mieszkała służba. Spoza tych skromnych zabudowań wyglądała główna rezydencja.

Podeszłam bliżej, by przyjrzeć się temu domowi, w którym przyjdzie mi spędzić całe życie. Należał do rodu Huangów od kilku pokoleń. Nie był ani specjalnie stary, ani szczególnie okazały; było w oczy to, że rozrastał się razem z rodziną. Każdą z jego czterech kondygnacji zajmowało inne pokolenie — pradiadkowie, dziadkowie, rodzice i dzieci. Całość wyglądała jak zlepek różnych, niekoniecznie pasujących do siebie części. Najstarszą wzniesiono pewnie w pośpiechu, a potem co jakiś czas dobudowywano to poszczególne pokoje, to piętra, to całe skrzydła, dodając przy okazji ozdoby w coraz to innym stylu. Tak, dom ten stał się przez to odbiciem zbyt wielu chyba ludzkich gustów. Parter zbudowano z kamieni rzecznych spojonych szamotem. Ściany pierwszego i drugiego piętra pyszniły się gładką cegłą. Biegające wzdłuż nich galeryjki nadawać miały budowli wygląd pałacowej wieży. Najwyższe piętro, o ścianach z szarych kamiennych płytek, wieńczył dach z czerwonej dachówki. Widać było, że właściciele bardzo się starali, aby ich rezydencja robiła wrażenie, bo u głównego wejścia stały dwie obłe, bardzo masywne kolumny, podtrzymujące tarasowate podejście do głównych drzwi. Zarówno te kolumny, jak i ramy okienne pomalowane były na czerwono. Narożniki dachu ktoś kazał ozdobić głowami cesarskich smoków — wyglądało mi to na pomysł Pani Huang.

Wnętrze stanowiło dalszy przykład dbałości o stwarzanie pozorów. Jedynym naprawdę ładnym pomieszczeniem był salon na parterze, gdzie Huangowie zwyczajowo przyjmowali gości. Były tu rzeźbione krzesła i stoliki z czerwonej laki, piękne poduszki z nazwiskiem gospodarzy wyhaftowanym antycznymi hieroglifami, a także sporo kosztownych drobiazgów mających świadczyć o zamożności i prestiżu tych, którzy tu mieszkają. Wszystkie pozostałe pomieszczenia były najzwyczajniej brzydkie i niewygodne, co gorsza, wrzało w nich jak w ulu od skarg i pretensji dwudziestu spokrewnionych

rezydentów. Myślę, że dom ten niejako kurczył się w środku z pokolenia na pokolenie — w miarę jak przybywało w nim ludzi. Każdy bez wyjątku pokój dawno już podzielono, by wykroić dwie izby z jednej.

Czy zgotowano mi tu uroczyste przyjęcie? Sama oceń. Tianyu nawet się nie pokazał, a Pani Huang nie wywiesiła żadnych powitalnych napisów na czerwonych zwojach w swoim wytwornym salonie. Zagnała mnie za to natychmiast na pierwsze piętro — do kuchni, a ponieważ dzieci należące do rodziny nie miały tu nic do roboty, bo to miejsce dla kucharek i służby, więc też od pierwszej chwili znałam swoją pozycję w tym domu.

Już tego samego dnia, ubrana w najlepszą pikowaną sukienkę, stanęłam do siekania warzyw. Strasznie lały mi ręce — ani rusz nie mogłam tego opanować. Ach, jakże tęskniłam za rodziną! Żołądek aż skręcał mi się na myśl, że to już koniec, że znalazłam się w miejscu swego ostatecznego przeznaczenia. Mimo rozpacz, jaką mnie to przejmowało, zdecydowana byłam uszanować dane Huangom słowo. Nie, moja matka nie utraci przede mną twarzy. Pani Huang nic nie będzie jej mogła zarzucić. Nie pozwolę tej kobiecie poniżyć mojej rodziny.

Zajęta owymi myślami, zauważyłam jednak, że stara sługa oprawiająca ryby przy tym samym niskim stole ciekawie zerka na mnie spod oka. Po policzkach ciekły mi łzy, zlekłam się więc, że doniesie o tym Pani Huang. Co prędzej rozciągnęłam usta w wielki uśmiech i wykrzyknęłam:

— Prawdziwa ze mnie szczęściara, nie uważasz? Będę miała wspaniałe życie!

Musiałam w popłochu niechcący machnąć nożem zbyt blisko nosa staruchy, bo rozdarła się na mnie gniewnie.

— *Shenma bende ren* — „Czyś ty zdumiała?” — Oprzytomniałam. Postanowiłam w przyszłości bardziej uważać na słowa, bo w chwili gdy wykrzyknęłam tę swoją deklarację szczęścia, już prawie zaczęłam wierzyć, że może to i prawda, może tak się stanie.

Tianyu zobaczyłam przy wieczornym posiłku. Wciąż był ode mnie o kilka centymetrów niższy, ale zachowywał się jak wielki wojownik. Myślałby kto, że sam generał. Łatwo było odgadnąć, jaki zły będzie z niego mąż, bo już teraz robił, co

tylko mógł, żebym zaczęła płakać. Narzekał, że zupa za zimna, a potem „przypadkiem” ją rozlał, „niechący” przewróciwszy miseczkę. Odczekał, aż wszystko posprzątam, a kiedy usiadłam do jedzenia, zażądał drugiej miseczki ryżu. I dlaczego tak brzydko na niego patrzę — zapytał.

W ciągu paru następnych lat Pani Huang wyćwiczyła mnie w różnych umiejętnościach — za pośrednictwem odpowiednio poinstruowanych służących. Nauczyły mnie one równiutko zszywać rogi w poszewkach i starannie haftować moje przysze rodowe nazwisko. No bo czy żona potrafi utrzymać porządek w domu męża, jeżeli sama nigdy nie splami rąk pracą? — powtarzała Pani Huang, zlecając mi nowe zadania. Nie przypuszczam, żeby ona kiedykolwiek splamiła w ten sposób własne ręce, ale rozkazywać i krytykować umiała — to jej trzeba przyznać.

— Naucz ją porządnie płukać ryż — nakazała pomocnicy kucharki. — Woda musi być przezroczysta. Jej małżonek nie może jeść ryżu z błotem.

Innym razem dała mi lekcję mycia nocników.

— Każ jej wsadzić nos do środka — poinstruowała pokojówkę. — Niech się dobrze upewni, że jest czysty.

W taki to sposób nauczyłam się być posłuszną żoną. Wyszkoliłam się w gotowaniu do tego stopnia, że umiałam rozpoznawać samym węchem, czy mięsne nadzienie nie jest przesolone — nie musiałam go wcale próbować. Nauczyłam się wyszywać tak drobnymi ściegami, że mój haft niczym się nie różnił od malowidła. Nawet surowa Pani Huang zaczynała podnosić udawany lament, że codziennie chodzi w tym samym ubraniu, bo zanim zdąży zrzucić z siebie brudną bluzkę, już ma ją z powrotem na grzbiecie — wypraną przeze mnie tak, że aż pachnie.

A mnie po pewnym czasie życie w tym domu przestało się wydawać straszne. Zniosłam przez ten czas tyle przykrości, że zupełnie na nie zobojętniałam. Nie mogłam już sobie wyobrazić, że na świecie istnieją rzeczy milsze niż widok Huangów łapczywie pożerających grzybki-twardziaki i bambusowe pędy, które ja pomagałam przygotować! Czy cokolwiek mogłoby mi sprawić większą satysfakcję niż łaskawe skinienie Pani Huang, to, że gdy setnym pociągnięciem grzebienia kończyłam czesać jej włosy, raczyła mnie poklepać po głowie?

A kiedy Tianyu zjadł całą miseczkę makaronu bez wybrzydzenia na jego smak i mój wygląd, to dopiero było szczęście! Prawie omdlewałam z radości, zupełnie jak te panie w amerykańskiej telewizji, kiedy uda im się tak wyprać jakąś plamę, że ubranie wygląda lepiej niż nowe.

No i widzisz, jak ci Huangowie umieli zaszczepić mi swoje myślenie? Można powiedzieć, że mi je wtarli pod skórę. Doszło do tego, że uznałam Tianyu za bóstwo! Jego pochwała liczyła się dla mnie bardziej niż własne życie. O Pani Huang zaczęłam myśleć jak o prawdziwej matce — tej, którą pragnę zadowolić, iść za jej przykładem, słuchać we wszystkim bez zastrzeżeń.

Miałam szesnaście lat, kiedy mi oznajmiła (było to w pierwszym dniu księżycowego Nowego Roku), że przyszej wiosny rada by powitać wnuka. Gdybym nawet nie zgodziła się wtedy poślubić Tianyu, dokąd miałabym pójść? Silna byłam jak koń, to prawda, ale niby gdzie miałam uciekać? Wszędzie byli Japończycy.

— Zjawili się nieproszeni goście — powiedziała babka, mając na myśli Japończyków — i dlatego nikt do nas nie przyszedł.

Pani Huang planowała wielką uroczystość weselną, niestety, nasz ślub był nadzwyczaj skromny. Zaproszona została, owszem, nie tylko cała wieś, ale też krewni i znajomi zamieszkali w wielu różnych miastach. W tamtych czasach nikt nie wysyłał bilecików z dopiskiem RSVP.* Nie przyjść znaczyło popełnić niewybaczalną niegrzeczność. Pani Huang na przykład nie wyobrażała sobie, że wojna może tak pozbawić ludzi dobrych manier, toteż jej kucharze przygotowali setki przysmaków dla setek gości. Moje stare rodowe meble, kiedy je wypucowano i ustawiono we frontowym salonie, mogły uchodzić za naprawdę imponujący posąg. Już tam Pani Huang

*** RSVP — *repondez s'il vous plait* — prosimy o odpowiedź (zawierając potwierdzenie przybycia). Zwyczaj nigdy nie stosowany w Chinach.**

postarała się o to, żeby nie pozostały na nich najmniejsze ślady wody czy mułu. Wynajęła nawet człowieka do wykaligrafowania sentencji z życzeniami pomyślności na czerwonych zwojach; wyglądało to tak, jakby rozwiesili je moi rodzice, gratulując mi wspaniałego losu. Ha, wypożyczyła też czerwony palankin, w którym słudzy mieli nieść mnie z domu sąsiadki na miejsce uroczystości.

Ceremonii ślubnej towarzyszyło mnóstwo złych znaków, chociaż swatka starannie wybrała szczęśliwą datę: piętnasty dzień ósmego księżyca, kiedy to staje się on doskonale okrągły i większy niż w innych porach roku. Cóż, kiedy na tydzień przed pełnią pojawili się Japończycy. Zajęli nie tylko prowincję Shanxi, lecz również wszystkie okoliczne. W dniu wesela od rana zaczęło padać, co także okazało się bardzo niedobrym znakiem, bo kiedy później zrobiła się z tego burza, ludzie wzięli błyskawice i grzmoty za japońskie bomby — i woleli nie wychodzić z domów.

Dowiedziałam się później, że biedna Pani Huang wiele godzin zwlekała z rozpoczęciem wesela — no bo jakże! Taka uroczystość bez gości! Że jednak gości nie dało się wytrześć z rękawa — więc w końcu kazała zaczynać. Cóż miała robić? Wojna. Z wojną nawet i ona nie umiała dać sobie rady.

Ja spędziłam ten czas u sąsiadki. Siedziałam przed toaletką przy otwartym oknie, kiedy zawołano, żebym zeszła, bo na dole czeka już czerwony palankin. Rozpłakałam się gorzko. Opłakiwałam obietnicę złożoną tyle lat temu przez moich rodziców. Dlaczego ktoś zdecydował o moim losie? — myślałam. Postanowiono mnie unieszczęśliwić, żeby inni mogli być zadowoleni. Dlaczego? Czy to sprawiedliwe?

Z mojego okna roztaczał się widok na brązowe teraz od mułu wody rzeki Fen. A gdyby tak rzucić się do tej rzeki? Zniszczyła nasze szczęście rodzinne, zabrała dom mego dzieciństwa, niechaj bierze i moje ciało. Potem pojawiły się inne, bardzo dziwne myśli — tak jest zawsze, kiedy człowiekowi się zdaje, że życie dobiega kresu.

Deszcz rozpadał się znowu — zrazu niezbyt mocno. Powtórnie zawołano z dołu, że mam się pospieszyć, a mnie coraz szybciej krążyły po głowie te dziwne, coraz dziwniejsze myśli...

Jak to jest z człowiekiem? Co w nim najprawdziwsze? Czy mogłabym zmienić się jak ta rzeka, co raz ma kolor brązowy,

raz zielononiebieski, a mimo to pozostać sobą? Wiatr gwałtownie szarpnął firankami, deszcz lunął teraz jak z cebra; za oknem rozległa się wrzawa — ludzie czekający na dole pierzchali w popłochu. Uśmiechnęłam się do siebie: Ha, oto oglądam potęgę wiatru. Dziwne, że dopiero dzisiaj zrozumiałam, jaka to siła. Cóż z tego, że samego wiatru nie widać, ale kto niesie wody napełniające rzeczne koryta, kto rzeźbi cały krajobraz!? Wiatr. On sprawia, że ludzie skomlą i tańczą tak, jak im zagra.

Wytałam oczy i spojrzałam w lustro. Zdziwiło mnie to, co zobaczyłam. Nie, nie moja piękna czerwona suknia... coś znacznie cenniejszego. Zobaczyłam, że jestem silna. Czysta. Że tych najgłębszych, najprawdziwszych myśli, które w sobie noszę, nikt nie może ani zobaczyć, ani mi ich odebrać. Nigdy. Jestem jak ten wiatr.

Odrzuciłam głowę i uśmiechnęłam się dumnie do swego odbicia, a po chwili omotałam twarz czerwonym haftowanym woalem. Chociaż skryłam pod nim moje myśli, były one we mnie nadal. Poznałam siebie. Wiedziałam już, jaka jestem. Będę zawsze pamiętać o życzeniach rodziców — postanowiłam

— ale i o sobie już nie zapomnę. Na pewno.

Na uroczystość weselną przybyłam z twarzą przesłoniętą tym czerwonym woalem, tak że nic nie widziałam na wprost, ale kiedy trochę pochyliłam głowę, mogłam zerkać swobodnie na boki. Ludzi było bardzo niewiele. Stawili się oczywiście Huangowie, czyli wszyscy ci starzy a gderliwi domownicy

— teraz przykro zakłopotani nędzną frekwencją — muzycy zaopatrzeni w jednostrunne skrzypce *hu* i fletnie oraz kilku wieśniaków, u których ochota na darmowy posiłek wzięła górę nad strachem przed Japończykami. O, zobaczyłam nawet służbę domową wraz z dziećmi! Pani Huang dołączyła ich do towarzystwa z rozpaczy! Strasznie jej musiało zależeć, by to zgromadzenie wydawało się choć trochę większe.

Jacyś ludzie wzięli mnie za ręce i poprowadzili po ścieżce. Byłam jak ślepiec idący ku swemu przeznaczeniu, ale szłam naprzód bez strachu. Przestałam się bać czegokolwiek. Patrzyłam w siebie i to mi dodawało odwagi.

Ceremonii dokonał jakiś wyższy urzędnik, który długo rozwodził się o różnych filozofach i wzorach cnoty, a potem głos zabrała swatka. Ta z kolei zaczęła porównywać nasze daty urodzenia, mówić o harmonii naszego związku, o płodności...

Pochyliwszy głowę, zobaczyłam jej ręce: rozwinęła kawałek czerwonego jedwabiu i wydobyla z niego czerwoną świecę, którą pokazała obecnym.

Była to świeca z knotem po obu końcach. Z jednej strony na całej długości złotymi znakami wyrzeźbiono imię Tianyu, z drugiej moje. Swatka zapaliła oba końce świecy i oznajmiła:

— Małżeństwo zostało zawarte.

Tianyu zerwał mi z twarzy woal i uśmiechnął się do swoich krewnych i przyjaciół — na mnie nawet nie spojrzął. Przypominał młodego pawia. Widziałam kiedyś, jak taki ptasi niedorostek puszył się i rozpościerał ogon przed całym podwórkiem, chociaż co to był za ogon — śmiechu warte!

Swatka wsadziła czerwoną świecę w specjalny złoty uchwyt z podstawką i wręczyła go swojej bardzo jakoś bojaźliwej słudze. Miała ona aż do rana czuwać nad świecą pilnując, by żaden jej koniec nie zgasł. Obowiązkiem swatki było pokazać nazajutrz rezultat, czyli kupkę czarnego popiołu, oraz złożyć następujące oświadczenie: „Ta świeca paliła się bez przerwy z obu końców. Żaden z nich nie zgasł ani razu. Znaczy to, że małżeństwo jest nierozzerwalne”.

Popatrz, do dnia dzisiejszego pamiętam tę formułkę! Obrzęd ze świecą narzucał o wiele silniejszą więź małżeńską niż na przykład ceremonia katolicka, która zabrania ludziom rozwodów. Czerwona świeca oznaczała nie tylko to, że nigdy nie będę mogła się rozwieść, ale też i powtórnie wyjść za mąż, choćby nawet Tianyu umarł przede mną. Miała na wieki wieków przypieczetować mój związek z mężem i jego rodziną — absolutnie i nieodwołalnie.

I rzeczywiście. Następnego dnia swatka wygłosiła swoje oświadczenie, pokazała też popiół na dowód, że wywiązała się ze swego zadania, ale... Ale ja znałam prawdę. Wiedziałam, co się stało, bo całą noc nie zmrużyłam oka — rozpaczałam. Nad sobą i swoim małżeństwem.

Po bankiecie opadła nas grupka weselników i prawie zaniósła do klitki na drugim piętrze, szumnie zwanej małżeńską sypialnią. Głośno dowcipkowano, wyciągnięto spod

łóżka schowanych tam paru chłopaków. Swatka pomagała malcom szukać pomalowanych na czerwono surowych jajek ukrytych pod prześcieradłem. Starsi chłopcy, rówieśnicy Tianyu, usadowili nas ramię w ramię na łóżku, po czym siłą zaczęli zmuszać do pocałunków, by twarze zarumieniły nam się z namiętności. Za oknem wystrzeliły fajerwerki, co zdaniem kogoś z weselników stwarzało mi dogodny pretekst do schronienia się w ramionach męża.

Kiedy wszyscy wyszli, długo jeszcze siedzieliśmy bez słowa w nie zmienionej pozycji, słuchając dobiegających ze dworu śmiechów. Nareszcie ucichły.

— To moje łóżko. Ty śpisz na sofie — odezwał się Tianyu, rzucając mi poduszkę i cienki koc.

Ale się ucieszyłam! Zaczekałam, aż uśnie, i wymknęłam się na ciemne podwórko.

Powietrze pachniało deszczem, jakby znowu miało się rozpadać. Kiedy zalana łzami szłam boso po brukowanej ceglami ścieżce, czułam parujące z niej wilgotne ciepło. W otwartym, żółto oświetlonym oknie po drugiej stronie dziedzińca zobaczyłam pomocnicę swatki: sennie tkwiła przy stole, na którym w swoim złotym uchwycie paliła się czerwona świeca wetknięta w swój złoty uchwyt. Usiadłam pod drzewem, patrząc, jak mój los się dopełnia — i zasnęłam.

Ze snu wyrwał mnie nagle przeciągły, głośny jak dziesiątki armat huk gromu. Otworzyłam oczy i zobaczyłam wybiegającą z drzwi służkę swatki. Musiała chyba oszaleć ze strachu, bo pędziła przed siebie na oślep niczym kurczak umykający przed nożem. Oho, zaśmiałam się w duchu, też pewnie zasnęła i teraz myśli, że to Japończycy! W tym momencie całe niebo rozgorzało ogniem i znowu rozległ się huk. Kobieta tymczasem już wypadła na drogę i dalej gnała co siłą, aż kamyki rozpryskiwały jej się spod nóg. I dokąd ona tak leci? — śmiałam się w głos. Przypomniałam sobie nagle o świecy! Zobaczyłam, że płomyk chwieje się leciutko na wietrze...

Nie myślałam. Nogi same chyba zaniósły mnie na drugą stronę podwórza i do tego żółto oświetlonego pokoju. Przepęniała mnie dzika nadzieja, z całej duszy modliłam

się do Buddy, bogini miłosierdzia Guanyin i do tego księżyca w pełni: Spraw, błagam cię, spraw, żeby ta świeca zgasła! Płomyk trochę się jakby obniżył, niestety, już zaraz oba końce zapłonęły znów równym i silnym ogniem. Moje gardło było tak pełne nadziei, że buchnęła mi ona z ust i zgasła jeden koniec świecy — płomień mojego męża.

Zadygotałam ze strachu. Czekałam na nóż, który lada chwila wyłoni się z ciemności, by przeciąć moje ciało na pół... Albo otworzy się niebo i porazi mnie śmiercią. Nic się jednak nie stało, strach minął. Szybko i ostrożnie jak złodziej wkradłam się z powrotem do sypialni.

Nazajutrz swatka nie mrugnawszy okiem złożyła nam swoje oświadczenie. Nam, to znaczy Tianyu, jego rodzicom i mnie.

— Wykonałam powierzone mi zadanie — oznajmiła dumnie, sypiąc garstkę czarnego popiołu do skrawka czerwonego płótna. Pomocnica minę miała nietęgą — widać było, że jest jej wstyd.

Z czasem pokochałam Tianyu, choć nie tak, jak się tobie zdaje. Z początku wprost mdliło mnie na myśl, że któregoś dnia wlezie na mnie i zrobi swoje. Ile razy wchodziłam do sypialni, tyle razy włosy stawały mi dęba. Ale nie, przez pierwsze miesiące nawet mnie nie tknął. Sypiał w łóżku, a ja na sofie.

Przed jego rodzicami byłam posłuszną żoną, tak jak mnie uczono. Kazałam kucharce zabijać co rano młodą kurę i gotować ją na parze dopóty, dopóki nie wycieknie z niej cały płynny ekstrakt. Później własnoręcznie wlewałam precedzony bulion do miseczki — bez rozcieńczania, nie mogło być w nim ani kropli wody! — i podawałam Tianyu na śniadanie, mruczac życzenia dobrego zdrowia. Wieczorem gotowałam specjalną, bardzo posilną zupę zwaną *dounai*; była nie tylko pyszna w smaku, ale też zawierała osiem takich ingrediencji, które zapewniają długie życie matkom. Pani Huang ogromnie była z tego rada.

Gdybyż mogło wystarczyć jej to do szczęścia! Niestety. Pewnego ranka siedziałyśmy w tym samym pokoju zajęte haftem — i wtedy się zaczęło. Wspominając swoje dzieciństwo i pewną ulubioną zabę, której nadałam imię Wielki Wiatr, zauważyłam, że Pani Huang jest zirytowana. Wierciła się, jakby coś ją kłuło w podeszwę, i raz po raz niecierpliwie wzdychała. Nagle wstała z krzesła, podeszła i uderzyła mnie w twarz.

— Ty zła żono! — krzyknęła. — Skoro nie chcesz sypiać z moim synem, ani myślę cię żywić i odziewać! — I tak oto się dowiedziałam, co ten tchórz, Tianyu nagadał matce ze strachu przed jej gniewem. Wszystko się we mnie wzburzyło, ale zmilczałam. Czyż nie przyrzekłam rodzicom, że będę posłuszną żoną?

Wieczorem usiadłam na łóżku Tianyu i czekałam: trudno, niechże mnie dotknie. Kiedy tego nie uczynił, poczułam wielką ulgę. Drugiej nocy wyciągnęłam się obok niego na łóżku, ale i teraz się do mnie nie zbliżył, więc na trzeci dzień zdjęłam nocną szatę.

Teraz zrozumiałam, co w nim siedzi, bo przeląkł się okropnie i odwrócił głowę. Już przedtem było widać, że wcale mnie nie pragnie, ale dopiero ten jego strach nasunął mi myśl, że on w ogóle nie pragnie kobiety — żadnej. Był małym chłopczykiem, takim, który chyba nigdy nie dorośnie. Przestałam się go bać, zaczęłam nawet myśleć o nim cieplej. Nie, nie w taki sposób, w jaki kochająca żona myśli o mężu. Raczej jak siostra o młodszym braciszku, którego pragnie bronić i osłaniać. Narzuciwszy na siebie szatę, położyłam się obok niego i zaczęłam pocierać dłonią jego plecy. Nie mam się już teraz czego bać — myślałam. — Śpię przecież z Tianyu. On na pewno nigdy mnie nie dotknie, a ja będę miała odtąd wygodne łóżko.

Kiedy po kilku miesiącach brzuch mi się nie zaokrąglił, a piersi ani odrobinę nie urosły, Pani Huang znów wpadła we wściekłość:

— Mój syn powiada, że złożył w tobie dość nasienia na dziesiątki tysięcy wnuków, no i gdzie oni są? To musi być twoja wina! — Rozkazała mi plackiem leżeć w łóżku, aby cenne zarodki jej wnuków nie od razu wypływały z mego ciała.

O, tobie się pewnie zdaje, że to wielka przyjemność leżeć po całych dniach w łóżku! No to ci powiem, że wolałabym siedzieć w więzieniu! Myślę, że Pani Huang dostała lekkiego pomieszania zmysłów.

Kazała służącym wynieść z pokoju wszystkie ostre przedmioty, bo wymyśliła sobie, że nożyczki i noże odcinają jej potomkom drogę na ten świat. Zabroniła mi szycia. Mam się skupić na jednej jedynej rzeczy i koniec. Myśleć tylko o rodzeniu dzieci. Cztery razy dziennie przysyłała bardzo ładną, młodą służącą z obrzydliwym w smaku lekarstwem. Dziewczyna ta przepraszała stokrotnie, że poi mnie takim paskudztwem.

Zazdrościłam jej z całego serca — że może tak bez niczego otworzyć sobie drzwi i wyjść. Czasami podglądałam ją z okna, jak targuje się z wędrownym lataczem obuwia, jak plotkuje z innymi służącymi, jak swoim wysokim, dźwięcznym głosem przekomarza się z pewnym urodziwym roznosicielem listów. Ach, jakże pragnęłam być na jej miejscu! Nieraz wyobrażałam sobie, że nią jestem.

Po upływie dwóch dalszych miesięcy, które też nie przyniosły żadnych rezultatów, Pani Hunag zawezwała naszą starą swatkę. Ta zbadła mnie dokładnie, przyjrzała się dacie i godzinie mego urodzenia, wypytała Panią Huang o mój charakter, po czym postawiła diagnozę:

— Jasna sprawa. Kobieta tylko wtedy może mieć synów, gdy brak jej któregoś z Pięciu Pierwiastków. Twoja synowa urodziła się z dostatkiem drzewa, ognia, wody i ziemi oraz z niedoborem metalu, co dobrze wróżyło na przyszłość. Po ślubie ty sama obwiesiłaś ją złotymi bransoletami, jako też innymi ozdobami, tak że teraz ma w sobie dosyć wszystkich pierwiastków, nie wyłączając metalu. W jej ciele panuje zbyt duża równowaga jak na to, żeby rodzić dzieci.

Dla Pani Huang była to zaiste radosna wiadomość, nic bowiem nie sprawiłoby jej większej uciechy niż odzyskanie darowanego mi złota, i to w imię mojej płodności. Ale i dla mnie okazało się to rzeczą korzystną; po zdjęciu wszystkich złotych ozdób od razu poczułam się lżejsza, jakaś swobodniejsza. Mówią, że tak właśnie czuje się człowiek, kiedy nie ma w sobie metalu. Zaczyna wtedy samodzielnie myśleć. Ja już tego samego dnia zaczęłam rozmyślać nad takim sposobem

uwolnienia się z fatalnego małżeństwa, żebym z tego powodu nie musiała łamać rodzicielskich obietnic.

Okazało się to całkiem proste. Doszłam do wniosku, że muszę jedynie zrobić coś takiego, aby Huangowie nabrali przekonania, że to oni sami wpadli na pomysł pozbycia się mnie, swojej synowej, że to oni postanowili uznać umowę małżeńską za nieważną.

Przez wiele dni układałam plan działania; bacznie obserwowałam w tym celu otoczenie, starając się z wyrazu twarzy odgadywać, o czym które z nich myśli. Wreszcie byłam gotowa. Wybrałam trzeci dzień trzeciego księżyca — Święto Czystej Jasności.* W tym dniu umysł musi być jasny. Należy go oczyścić, aby mógł łatwo nawiązać kontakt z duchami przodków, gdyż w to święto wszyscy odwiedzają rodzinne groby. Ludzie biorą ze sobą motyki do pielienia chwastów, szczotki do zamiatania kamieni oraz ofiary ze słodko nadziewanych ciasteczek i pomarańcz. Nie, nie jest to wcale dzień smutku, przeciwnie, wszystko to przypomina raczej piknik, ma jednak szczególne znaczenie, zwłaszcza dla osoby, która tak bardzo pragnie wnuków.

Rankiem owego dnia zerwałam z nóg cały dom — w tym również Tianyu — przeraźliwym jękiem i zawodzeniem. Pani Huang długo kazała na siebie czekać, chociaż słyszałam, że krzyczy ze swego pokoju:

— No co tam? Co jej się takiego stało? Idź tam która ją uspokoić!

Kiedy moje wycie nie cichło, wpadła wreszcie do naszej sypialni, gotowa ostro mnie złać.

Wiłam się konwulsyjnie na łóżku, z jedną ręką przyciśniętą do ust, drugą do oczu, jakby napadły mnie najstraszliwsze bóle. Grałam widać dość przekonująco, bowiem Pani Huang cofnęła się na mój widok i skurczyła jak przerażone zwierzę.

— Co się stało, mała córko? Mów prędko! — zawołała.

— O, to zbyt straszne... Nie mogę o tym myśleć... a co dopiero mówić — wykrztusiłam pośród sapnięć i jęków.

*** Święto Czystej Jasności — dzień, w którym odwiedza się groby rodzinne, porządkuje je, składa ofiary zmarłym i podziwia powracającą do życia wiosenną przyrodę.**

Powylałam jeszcze trochę i uznawszy, że dosyć, zdecydowałam się wyjawić to okropieństwo.

— Miałam sen — zaczęłam opowiadać — w którym odwiedzili mnie przodkowie mówiąc, że chcieliby zobaczyć moje wesele z Tianyu. Pragnąc ich zadowolić, odtworzyliśmy dokładnie całą ceremonię. Patrzyliśmy, jak swatka zapala świecę i daje ją swojej słudze. Nasi przodkowie tak bardzo się radowali, ach, jakąż im to sprawiło radość...

Zaczęłam znów cicho płakać, co wyraźnie zirytowało Panią Huang. Widać było, że się niecierpliwi.

— Ale gdy służąca wyszła z pokoju, zerwał się wiatr i zdmuchnął świecę, a nasi przodkowie wpadli w straszny gniew. „Przekleństwo! — krzyczeli. — To małżeństwo przyniesie zgubę!” Mówili jeszcze, że zdmuchnięty został płomień Tianyu i że on umrze, jeśli pozostanie w tym związku.

Tianyu zbieleł na twarzy, ale Pani Huang wykrzywiła się ironicznie:

— Co za głupia dziewczucha! Jak można śnić taki zły sen! — Nie będzie tego słuchać, oświadczyła. Wraca do łóżka i nam każe uczynić to samo.

— Matko! — zawołałam ochryplym szeptem. — Nie opuszczaj mnie, proszę. Ja się boję! Ci nasi przodkowie zagrozili, że jeśli sprawa nie zostanie załatwiona, rozpoczną dzieło zniszczenia. Spadną na nas kolejne nieszczęścia.

— A cóż to za brednie! — zawołała Pani Huang, odwracając się do mnie od drzwi. Tianyu zrobił to samo, z twarzą podobnie chmurną jak matczyzna. Jeszcze trochę i będę ich miała — pomyślałam. Już prawie dali się złapać. Dwie kaczki za jednym strzałem.

— Przewidzieli, że mi nie uwierzysz — bąknęłam tonem pełnym skruchy. — Moja wina. Wcale mi się nie uśmiecha rezygnować z tych dobroci, jakie mi daje małżeństwo, no a przodkowie o tym wiedzą. Dlatego zostawili znaki na dowód, że nasz związek już zaczyna wyrządzać zło.

— Bzdury legną się w tej twojej głupiej łepetynie — westchnęła Pani Huang. Wiedziałam, że nadrabia miną. Oczywiście nie wytrzymała: — Niby co to za znaki?

— Widziałam we śnie mężczyznę z długą brodą i pieprzykiem na policzku — zaczęłam.

— Dziadka Tianyu? — spytała szybko Pani Huang. Kiwnęłam głową. Uważnie przyjrzałam się portretowi na ścianie.

— Zapowiedział, że będą trzy znaki. Pierwszy na plecach Tianyu. Narysował tam czarną plamkę. Będzie ona rosła, aż pożre ciało Tianyu, tak samo jak pożarła twarz naszego przodka. Od tego podobno umarł.

Pani Huang co prędzej uniosła koszulę syna i wydała okrzyk przerażenia. Znak był — czarny pieprzyk wielkości paznokcia. Oglądałam go dzień w dzień przez pięć miesięcy sypiania w jednym łożu jak brat z siostrą.

— Potem ów przodek dotknął moich ust — tu pogładziłam się po policzku, jakby coś już mnie bolało — i powiedział, że póki nie pogodzę się z myślą o końcu tego małżeństwa, postradam wszyściutkie zęby. Wypadną mi jeden po drugim.

Pani Huang własnym palcem otworzyła mi usta i sapnęła ze zgrozy na widok pustego miejsca przy końcu szczęki. Jakies cztery lata temu ząb w tym miejscu zepsuł mi się i wypadł.

— Ach i na koniec zobaczyłam jeszcze, że nasz przodek wszczepia nasienie w łono pewnej młodej służącej. Ta dziewczyna tylko udaje, że pochodzi z marnej rodziny, powiedział. Naprawdę ma w sobie krew cesarską i... — osunęłam się na poduszki, jak gdyby wyczerpanie nie pozwalało mi dalej mówić.

Pani Huang zaczęła trząść mym ramieniem:

— No i co? Co powiedział?

— Że ta służąca to duchowa żona Tianyu. Prawdziwa. A z ziarna, które w niej zasiał, wyrośnie dziecko twego syna.

Daleko jeszcze było do południa, kiedy przywlekli do domu sługę swatki i wydobyli z niej wyznanie, które ich przeraziło do reszty.

Po dalszych poszukiwaniach znaleźli też młodą służącą, która tak mi się podobała — tę, którą codziennie obserwowałam z okna. Zauważyłam wtedy, że kiedy zjawiał się przystojny listonosz, oczy dziewczyny robiły się większe, zaś dźwięczny jej głos przycichał. Ale później brzuch jej się zaokrąglił, a twarz wydłużyła z trwogi i zmartwienia.

Możesz więc sobie wyobrazić, jaka była szczęśliwa, gdy ją zmuszono do wyjawienia wielkiej tajemnicy... tej o cesarskich przodkach. Słyszałam później, że cud, który jej się zdarzył, to

znaczy małżeństwo z Tianyu, podziałał na nią w taki sposób, że stała się osobą niezwykle religijną. Kazała służącym porządkować groby przodków nie raz do roku, ale codziennie!

I to już właściwie cała historia. Huangowie nie czynili mi specjalnych wstępow. Pani Huang dostała to, czego chciała — swego upragnionego wnuka. Ja zatrzymałam swoje suknie, dostałam bilet kolejowy do Pekinu i sumę wystarczającą na podróż do Ameryki. Huangowie mieli jedną tylko prośbę: żebym nikomu ważnemu nie opowiadała o swoim przeklętym małżeństwie.

W taki to sposób dotrzymałam cięższej na mnie obietnicy, dla której przedtem poświęciłam własne życie. Wszystko to szczerą prawdą. Popatrz na złoto, które dziś noszę. Twój ojciec dał mi te dwie bransoletki, kiedy urodzili się twoi bracia. Potem ty przyszedłeś na świat. Co parę lat, gdy trafiły mi się dodatkowe pieniądze, sama kupowałam następną bransoletkę. Znam swoją wartość. Każda z nich to dwadzieścia cztery karaty, szczerą złoto.

Nigdy nie zapominam o jednym: kiedy nadchodzi Święto Czystej Jasności, zdejmuję wszystkie bransoletki i przywołuję na pamięć ten dzień, w którym zaczęłam samodzielnie myśleć i zgodnie z tym postępować. Pamiętasz, jaki to był dzień? Może nie, więc ci podpowiem: kiedy jako młoda dziewczyna z twarzą osłoniętą weselnym woalem postanowiłam nigdy nie zapominać o sobie.

Jak to dobrze stać się znów choć na chwilę tamtą młodą dziewczyną! Zerwać z twarzy zasłonę, zobaczyć, co się pod nią kryje, poczuć tę ogarniającą znów ciało lekkość!

Ying-Ying St. Clair
KSIĘŻYCOWA PANI

Lata całe zaciskałam usta, by mi z nich nie wypadło jakieś samolubne pragnienie. I dlatego, że tak długo milczałam, moja córka teraz mnie nie słyszy. Siedzi nad tym swoim luksusowym basenem i słucha tylko swojego walkmana „Sony”, swojego bezprzewodowego telefonu, swojego wielkiego i ważnego męża, który pyta ją o jakieś głupstwa.

Latami ukrywałam mą prawdziwą naturę: przemykałam się przez życie niczym wąty cięć, aby mnie nikt nie dopadł. I dlatego, że poruszałam się chyłkiem, moja córka teraz mnie nie widzi. Widzi spis rzeczy do kupienia, widzi swoją książeczkę czekową z ujemnym saldem, swoją popielniczkę krzywo ustawioną na prostym stole.

Chcę jej powiedzieć: Córko, jesteśmy zagubione, obie. Niewidoczne i nie widzące, niesłyszalne i nie słyszające. Nikt nas nie zna.

Ze mną stało się tak nie od zaraz. Przez długie lata ścierałam ból z twarzy, jak woda zmywa z kamienia wyryte w nim znaki. A przecież były czasy, kiedy biegałam, wydawałam głośne okrzyki, kiedy ani chwili nie mogłam usiedzieć spokojnie.

Moje najdawniejsze wspomnienie to Księżycowa Pani: stojąc przed nią wypowiadam swoje najskrytsze życzenie. Zapomniałam, jakie ono było, dlatego i obraz Księżycowej Pani odpłynął potem w niepamięć, gdzie ukrył się przede mną na tyle lat...

Teraz przypominałam sobie i to życzenie, i cały ten dzień... Dziś stoi mi przed oczyma jak żywy. Każdy szczegół widzę tak wyraźnie, jak widzę swoją córkę i tę głupotę, w którą obróciła swoje życie.

Był rok 1918, a ja miałam cztery lata. Na Święto Księżycy* zjechały do Wuxi tłumy ludzi. Pamiętam, że jesień tego roku była niezwykle gorąca — wszystkim strasznie dokuczał upał. Kiedy obudziłam się rankiem — był to piętnasty dzień ósmego księżycy — słomiana mata pode mną już się lepiała od potu, a cały pokój przenikała woń mokrej trawy duszonej na wolnym ogniu.

Zaraz na początku lata na wszystkich oknach zawieszono bambusowe rolety, aby odegnąć słońce. Na łóżkach porozkładano słomiane maty, służące nam za całą pościel w czasie kilku miesięcy nie ustających parno-wilgotnych upałów. Cegły dziedzińca pokryła płatanina ścieżek z rozrzuconych przez służbę bambusowych plecionek. Teraz była już jesień, nie przyniosła ona jednak zwykłych o tej porze poranno-wieczornych chłodów. Zastałe gorąco zalegało ocieniony zasłonami pokój, wzmagając kwaśny odór bijący z mojego nocnika, nasączając poduszkę piekącą wilgocią, czerwieniąc mi skórę na karku, wydymając opuchlizną policzki. Obudziłam się z jękiem — byłam rozdrażniona.

Z dworu też dolatywał jakiś dziwny zapach — coś się tam paliło. Była to woń ostra — słodka i zarazem gorzka.

— Co to tak cuchnie? — zagadnęłam amę, nianię. Co rano, ledwo podniosłam powieki, już zjawiała się przy moim łóżku. Sypiała w przyległym pokoiku na małym łóżeczku.

— Już ci to mówiłam wczoraj — odparła, biorąc mnie na ręce i sadzając sobie na kolanach. Zaczęłam wyteżać rozespany umysł: o czym to opowiadała mi onegdaj na dzień dobry?

— Aha, wiem — wymamrotałam sennie. — Palimy Pięć Złych Stworzeń. — Ześliznęłam się z kolan niani i wdrapałam na mały stołeczek przy oknie. Zobaczyłam na dziedzińcu długą zieloną spiralę w kształcie węża; z ogona potwora buchał żółty dym. Dzień wcześniej ama pokazała mi pudełko, w którym przywieziono tego węża — było bardzo kolorowe, ozdobione

*** Właściwie Święto Środka Jesieni, przypadające na pierwszą dekadę września, obchodzone jako święto plonów i Księżycy.**

podobiznami pięciu złych stworzeń: pływającego węża, atakującego skropiona, lecącej skolopendry, spadającego z góry pająka i skaczącej jak puszczone sprężyna jaszczurki. Ukąszenie każdego z nich może być śmiertelne dla dziecka — wyjaśniła mi ama. Poczulałam więc ulgę na myśl, że oto udało nam się schwytać wszystkie Pięć Złych Stworzeń i właśnie palimy ich paskudne zwłoki.* Skąd mogłam wiedzieć, że zielona spirala to tylko zwykłe kadzidło odstraszaające moskity i małe muszki.

Tego dnia ama, zamiast ubrać mnie w lekki bawełniany kaftanik i luźne spodnie, przyniosła mi strój z ciężkiego żółtego jedwabiu, złożony z żakietu i spodni obszytych czarną lamówką.

— Dzisiaj nie ma czasu na zabawy — powiedziała, rozpinając wywatowany żakiet. — Mama uszyła ci ten piękny tygrysi strój na Święto Księżyca — podniosła mnie do góry, by mi wciągnąć spodnie. — To dzień bardzo uroczysty, a ty jesteś już dużą dziewczynką, więc weźmiesz udział w ceremonii.

— Co to jest ceremonia? — spytałam, ama tymczasem zrećnie nałożyła mi żakiet na bawełnianą koszulkę.

— To znaczy, że każdy powinien stosownie się zachowywać. Robić to, czego wymaga obyczaj. A robi się to dlatego, żeby nie pokarały nas bóstwa — wyjaśniła, zapinając mi zatrzaski.

— A jak nas mogą pokarać? — ośmieliłam się spytać.

— Dużo masz jeszcze tych pytań? — fuknęła. — Nie musisz wszystkiego wiedzieć. Masz być grzeczna i robić to samo, co mama. Zapalić kadzidło, złożyć księżycowi ofiarę, ładnie pochylić główkę. Nie zrób mi wstydu, Ying-ying.

Pochyliłam głowę z dosyć kwaśną miną. Rękawy żakietu też miały czarne lamówki... spostrzegłam, że z gmatwaniny haftowanych złotem zakrętasów wyrastają małe peonie. Przypomniałam sobie, jak matka delikatnie nakłuwała srebrną igielką materiał, przynaglając te pędy i list-

*** We wspomnieniach bohaterki nastąpiła kontaminacja dwóch świąt, bowiem Pięć Złych Stworzeń niszczy się w Święto Podwójnej Piątki — piątego dnia piątego księżyca — czyli w połowie czerwca, aby przed latem, kiedy owe paskudztwa się plodzą, zabezpieczyć się przed nimi.**

ki, żeby rosły, jak pod jej ręką na jedwabiu rozkwitały kwiatki.

Usłyszałam za oknem jakieś głosy, więc szybko wspięłam się na palce: ktoś to tak narzeka?... „dotknij mojej ręki. Spuchnięta od tego upału jak kluska na parze.” Na Święto Księżycy przyjechało z północy wielu krewnych — mieli zostać u nas przez tydzień.

Arna mocno przeciągnęła mi grzebieniem po włosach; poczekałam, aż trafi na pierwszy kołtun i udałam, że spadam ze stołka.

— Stój spokojnie, Ying-ying! — podniosła swoim zwyczajem lament, kiedy chichocząc z uciechy, chwiałam się na wywrotnym podnóżku. Uchwyciła w garść moje włosy, tak jak ściąga się końskie lejce, i nim po raz drugi zdążyłam sfingować upadek, splotła mi je w jeden warkocz — tak trochę z boku — przetykany pięcioma wąskimi skrawkami różnokolorowego jedwabiu. Zwinęła teraz warkocz w ciasną kulkę, a potem w taki sposób ułożyła luźne końce jedwabnych skrawków, przycinające je gdzie trzeba nożycami, że utworzyły schludny, zgrabniutki chwościk.

Okręciła mnie następnie dookoła, aby przyjrzeć się swojemu dziełu. Piekłam się jak na rożnie w ciężkim jedwabnym stroju, pomyślanym widocznie na dużo chłodniejszy dzień. Skóra na głowie paliła mnie żywym ogniem od gorliwych zabiegów mojej niani. Czy dla największego nawet święta warto znosić aż takie męki?

— Ślicznie — zdecydowała ama, nie zważając na moją ponurą minę.

— Kto jedzie na uroczystość?

— *Dajia*, cała wielka rodzina — poinformowała mnie radośnie. Ona była uszczęśliwiona. — Wszyscy wybieramy się dzisiaj na jezioro Tai. Twoja rodzina wynajęła całą łódź razem ze słynnym mistrzem kucharskim. A wieczorem podczas uroczystości zobaczysz samą Księżycową Panią.

— Księżycową Panią! Księżycową Panią! — zaczęłam powtarzać te dwa nowe słowa, wierząc się i podskakując z uciechy. Dopiero gdy już nasyciłam się ich miłym brzmieniem, pociągnęłam amę za rękaw: — A kto to jest ta Księżycowa Pani?

— Nazywa się Chang E.* Mieszka na Księżycu. Tylko raz w roku, właśnie dzisiaj, możesz ją zobaczyć i wyjawić swoje najskrytsze marzenia.

— Co to jest najskrytsze marzenie?

— To, czego bardzo pragniesz, ale o co nie wolno ci prosić.

— Czemu mi nie wolno?

— Bo... bo jeżeli poprosisz, nie będzie to już skryte marzenie. Stanie się ono wtedy samolubnym pragnieniem

— powiedziała arna. — Czyż nie uczyłam cię, że zła to rzecz myśleć tylko o swoich zachciankach? Dziewczynce nie wolno o nic prosić. Dziewczynka powinna co najwyżej słuchać.

— Skąd w takim razie Księżycowa Pani będzie знаła moje najskrytsze marzenie?

— *Ajjal* Jeszcze ci mało tych pytań? Ją możesz poprosić, bo Księżycowa Pani to nie taka zwyczajna osoba jak ty czy ja.

Ukontentowana wreszcie tym wyjaśnieniem, wypaliłam:

— To ja jej powiem, że nie chcę już nigdy chodzić w tym stroju!

— Ty nie słuchasz, co do ciebie mówię! — wykrzyknęła arna. — Nie wolno ci pisać o tym słówka, nikomu! A ty mi je wyjawiałaś, więc nie jest to już teraz twoje najskrytsze marzenie!

Śniadanie strasznie się wlokło, jakby nikomu z rodziny nie spieszyło się nad jezioro. To ten, to ów dobierał sobie jakichś potraw, a jak już zjedli, to zaczęli rozmawiać o samych nieważnych sprawach. Z minuty na minutę smutniałam, byłam coraz bardziej nieszczęśliwa.

— ...,„Jesienny księżyc darzy nas ciepłem. O! Cienie powracających gęsi"... — tatuś recytował długi poemat, odczytany z prastarych kamiennych inskrypcji. — Trzecie słowo w następnym wierszu zostało zatarte — wyjaśnił

— zmyły je kilkusetletnie deszcze. Mało brakowało, by jego treść nigdy nie dotarła do potomności.

*** Chang E — w mitologii chińskiej zdraдлиwa żona, która swemu mężowi Hou Yi ukradła eliksir nieśmiertelności i uleciała z nim na Księżyc, stając się jego władczynią. Atrybutami jej są: Księżycowy Zając, który rozciera w mózdzierzu ingrediencje eliksiru nieśmiertelności, Trzyłapa Żaba i Księżyc w Pełni. W Święto Środka Jesieni smaży się nadziewane ciastka w kształcie okrągłego księżyca i zająca.**

— O, ale na szczęście ty temu zapobiegłeś — odezwał się wuj, patrząc na ojca roziskrzonymi oczami. — Pewien jestem, że ty, gorliwy badacz starożytnych dziejów i piśmiennictwa, a przy tym wielki ich znawca, potrafiłeś rozwiązać ten problem.

Zamiast odpowiedzi mój ojciec wyrecytował:

— „Osnute mgiełką rosy lśni kwiecie. O!"...

Matka radziła którejś ciotce i kilku przysłuchującym się starszym damom, jak z różnych ziół zmieszanych z owadami sporządzić cudowny balsam:

— Potem wcierasz go tutaj, między te dwa punkty. Musisz to robić dopóty, dopóki skóra tak się nie rozgrzeje, że aż zacznie cię piec. Wtedy cała bolesność się wypali.

— *Ajjal* Jak ja mam trzeć taką spuchniętą stopę? — jęknęła starsza pani. — Wszak rwie mnie w środku i na zewnątrz. Nie mogę jej nawet dotknąć!

— Wszystko przez ten upał — powiedziała zboliałym głosem druga stara ciotka. — Wysusza człowieka na kość.

— Oczy mu wypala! — wykrzyknęła moja cioteczna babka.

Wzdychałam głośno za każdym razem, gdy podejmowały nowy temat. Arna zauważyła to w końcu i dała mi na pociechę świąteczne ciastko w kształcie zajączka. Pozwoliła mi usiąść sobie na dziedzińcu i zjeść ten smakołyk na spółkę z dwiema mymi przyrodnimi siostrami — Drugą i Trzecią.

O, można zapomnieć o statku, gdy ma się w rękę takiego Księżycowego Zajączka! Cała nasza trójka spieszenie acz grzecznie opuściła pokój. Ledwo przestąpiłyśmy jednak okrągłe przejście w murze prowadzące na dziedziniec wewnętrzny, od razu zaczęłyśmy się przepychać, po czym z wrzaskiem pognałyśmy w stronę kamiennej ławki. Byłam największa, więc to ja wygrałam ten wyścig, dzięki czemu zajęłam miejsce w cieniu, gdzie kamienna płyta zachowała jeszcze troszkę chłodu. Moje przyrodnie siostry musiały prażyć się w słońcu. Odłamałam zającowi uszy i dałam każdej po jednym. Uszy były z samego ciasta, bez słodkiego nadzienia i jajecznego żółtka, ale Druga i Trzecia o tym nie wiedziały — były jeszcze za małe.

— Siostra mnie lepiej lubi — odezwała się Druga do Trzeciej.

— A właśnie, że mnie!

— Nie kłóćcie się — przywołałam obie do porządku. Pożarłam już całego zajączka i teraz gorliwie obracałam językiem po wargach, zlizując z nich lepkie resztki słodkiego fasolowego nadzienia.

Kiedy na zakończenie uczyłyśmy się nawzajem nawet z najdrobniejszych okruszków, znowu ogarnęła mnie niecierpliwość. Zrobiło się tak okropnie cicho... Na szczęście koło ławki pojawiła się skądś wielka szkarłatna ważka o przezroczystych skrzydełkach, więc zerwałam się i zaczęłam ją gonić. Druga i Trzecia natychmiast poszły w moje ślady. Ważka dawno już odfrunęła, a one wciąż jeszcze nie przestawały podskakiwać, dźgając powietrze wyciągniętymi w górę rękami.

— Ying-ying! — rozległo się wołanie amy. Stała na dziedzińcu. Moje przyrodnie siostry słysząc to uciekły. Z bramy tymczasem wysypały się wszystkie nasze krewniaczki prowadzone przez moją matkę. Arna rzuciła się ku mnie i zaczęła wygładzać mój żółty jedwabny żakiet. — *Xin yifu! Yida huaduo!* Twoje nowe ubranko! Wszystko w takim nieładzie! — wykrzyknęła z przesadną rozpaczą.

Matka uśmiechnęła się łagodnie, podeszła i przygładziła mi ręką włosy, wtykając za zwinięty warkocz kilka rozluźnionych kosmyków.

— Chłopcy mogą gonić ważki, bo taką już mają naturę — zaczęła mnie pouczać — ale nie dziewczynki. Dziewczynka powinna stać spokojnie. Gdy przez dłuższy czas się nie ruszasz, ważka przestaje cię widzieć. Wystarczy więc zaczekać, a ona sama do ciebie przyjdzie, by ukryć się przed słońcem w chłodzie twojego cienia. — Stare damy cmoknęły potwierdzająco, po czym odeszły, zostawiając mnie na środku skwarne podwórza.

Stojąc nieruchomo, jak mi radziła mama, odkryłam w pewnej chwili swój cień. Z początku był tylko ciemną plamą na bambusowych matach okrywających rozgrzane cegły dziedzińca. Później zobaczyłam więcej. Miał krótkie nogi i bardzo długie ręce, miał też upięty warkocz, zupełnie taki jak mój. Kiedy potrząsnęłam głową, on zrobił to samo, zamachałam rękami — i on również. Teraz już razem podnieśliśmy nogę. Zrobiłam w tył zwrot w stronę domu, a on ruszył za mną.

Szybko odwróciłam się z powrotem, ale cień nie dał się zaskoczyć — i oto już stał przede mną. Podniosłam matę, chcąc go z niej strząsnąć, nic z tego! Leżał pod spodem na gołych ceglach! Aż pisnęłam z radości, że taki sprytny! Mój cień! Popędziłam pod drzewo cały czas patrząc, czy mnie goni. Pod drzewem zniknął. Ach, pokochałam swój cień, to moje drugie „ja”. Cieszyło mnie, że i on ani chwili nie może usiedzieć spokojnie.

— Ying-ying! — usłyszałam znów wołanie amy. — Chodź już! Jedziemy nad jezioro, jesteś gotowa? — Kiwnęłam głową i puściłam się ku niej biegiem — jaz przodu, a za mną mój cień.

— Nie tak szybko! Pomału! — upominała mnie ama.

Cała nasza rodzina stała już przed domem. Wszyscy rozmawiali z wielkim ożywieniem, wszyscy poubierani byli w uroczyste stroje. Tatuś miał na sobie nowiutką brązową szatę (prostą w kroju, aczkolwiek znać było po niej rękę mistrza, a i pierwszorzędny jedwab też rzucił się w oczy), mama zaś spódnicę i żakiet w kolorach stanowiących odwrotność moich: czarny jedwab wykończony żółtą lamówką. Druga i Trzecia nosiły różowe sukienki, podobne jak ich matki

— konkubiny mojego ojca. Mój starszy brat paradował w niebieskim kaftanie haftowanym we wzory wróżące długie życie. Nawet najstarsze damy powkładały dziś najlepsze stroje. Było ich cztery: ciotka mamy, matka ojca i jej kuzynka oraz otyła żona ciotecznego dziadka, która nadal jeszcze wyrywała sobie włosy znad czoła, a poruszała się bardzo dziwnie. Jak gdyby szła w bród przez strumień po bardzo śliskich kamyczkach: dwa malutkie kroczyki i trwożny rzut oka

— całkiem jak młoda mężatka.

Służba załadowała już do rikszy całodzienny prowiant: pleciony koszyk z *zong zi*, gotowanym w liściach lotosu kleistym ryżem, którego część była z surową wędzoną szynką, a część z gotowanymi w cukrze nasionami lotosu.* Wieźliśmy ponadto piecyk do gotowania wody na herbatę, zastawę

* Również dotyczy Święta Podwójnej Piątki.

stołową, bawełniany worek z jabłkami, granatami i gruszkami, kilka pokrytych rosą glinianych garnków z solonym mięsem i warzywami, do tego stos czerwonych pudełek, z których każde zawierało okrągłe księżycowe ciastka, no i oczywiście maty do popołudniowej drzemki.

Cała rodzina zajęła teraz miejsca w rikszach — młodsze dzieci obok swoich piastunek. Mnie w ostatniej chwili udało się sprytnie wykręcić rękę z mocnego uścisku amy i wskoczyć do rikszy mamy. Zrobiłam tym wielką przykrość mojej niani, raz dlatego, że zachowałam się arogancko, ale też i dlatego, że ama kochała mnie bardziej niż własne dziecko. Kiedy umarł jej mąż, opuściła malutkiego synka, aby zostać moją piastunką. Tylko że potem sama mnie strasznie zepsuła, nie ucząc zwracać uwagi na jej uczucia. Była w moim pojęciu osobą istniejącą wyłącznie dla mojej wygody — czymś w rodzaju wachlarza w lecie albo grzejnika w zimie, które zaczynamy cenić dopiero z chwilą, gdy ich brak daje nam się mocno we znaki.

Poczułam się zawiedziona, gdy nad jeziorem powitał nas taki sam upał bez śladu chłodnego wiatru. Ociekający potem rikszarze dyszeli z otwartymi ustami jak zmordowane konie. Spędziłam na przystani długą chwilę, obserwując mozolny załadunek najstarszych członków rodziny na pokład wielkiej, wynajętej przez nas łodzi. Wyglądała jak pływająca herbaciarnia, z dużym i przewiewnym pawilonem, większym od tego, który stał na naszym dziedzińcu. Wsparty był w dodatku na kilku czerwonych kolumnach, a wieńczył go spiczasty dach kryty dachówką. Z tyłu widniało coś podobnego do ogrodowego domku o małych okrągłych okienkach.

Nadeszła wreszcie nasza kolej. Ama mocno ścisnęła mnie za rękę i tak przeszliśmy po chybotałej kładce, lecz gdy tylko poczułam pod stopą pokład, wywinęłam jej się i dałam nurka między krewnych. Moje siostry pognały za mną. Przepychając się między nogami ukrytymi wśród fałd jasnego i ciemnego jedwabiu, pędziłyśmy co sił na wyścigi: która pierwsza dobiegnie do końca łodzi.

Ach, jak podobało mi się to chybotanie, to rozkoszne uczucie, że zaraz upadnę, i to nie wiadomo w którą stronę! Wszystko się tu poruszało — i zwisające z daszku czerwone

lampiony, i pięknie rzeźbione balustrady. Kołysały się zupełnie tak, jak gdyby dał w nie wicher. Wpadliśmy do pawilonu, dotykając w przelocie rozstawionych tu ławeczek i stoliczków, i popędziłyśmy dalej, wodząc palcami po ornamentach zdobiących drewniane balustrady pokładu, wytykając głowy przez okrągłe otwory, aby spojrzeć na płynącą dołem wodę. Tyle tu było do oglądania, a im dalej, tym coraz więcej!

Otworzywszy masywne drzwi ogrodowego domku, przebiegłam przez pokój podobny do dużej bawialni — siostry z chichotem wbiegły za mną. Za następnymi drzwiami ukazała się kuchnia, a w niej jacyś ludzie. Mężczyzna dzierżący w ręku ogromny tasak dostrzegł naszą trójkę i coś do nas krzyknął. Wycofałyśmy się zaraz bez słowa, uśmiechając się do niego nieśmiało.

Na rufie napotkałyśmy czworo nędznie wyglądających ludzi. Mężczyzna wkładał szczapy do pieca z wysokim kominem, kobieta siekała warzywa, zaś dwóch przykucniętych na samym ogonie łodzi rozczochranych chłopaków trzymało na sznurku zanurzoną w wodzie drucianą klatkę. Nikt na nas nawet nie spojrział.

Wróciłyśmy w samą porę — przystań pomalutku zaczynała od nas odpływać. Mama i jej towarzyszki rozsiadły się już na ławeczkach okalających pawilon. Wszystkie wachlowały się gwałtownie, przerywając tę czynność jedynie po to, aby zatłuc łądującego na czyjejs głowie komara. Tata i wuj oparci o poręcz rozmawiali z głębokim przejęciem na jakiś bardzo poważny temat. Mój brat i paru naszych kuzynów znaleźli gdzieś długą bambusową tyczkę, którą z zapalem mącili wodę, jak gdyby tym sposobem byli w stanie przyspieszyć statek. Zbita w grupkę służba rozpoczęła przygotowania do południowego posiłku: jedni grzali wodę na herbatę, drudzy łupali prażone orzeszki gingko, inni wyładowywali zimne wiktuały.

Chociaż jezioro Tai jest jednym z największych w Chinach, tego dnia na wodzie panował prawdziwy ścisk. Widziałam niezliczoną ilość wszystkiego, co pływa — łodzi wiosłowych, pedałowych, żaglówek, łodzi rybackich i pływających pawilonów, takich jak nasz. Mijaliśmy mnóstwo ludzi. Niektórzy trzymali ręce w chłodnej wodzie, inni spali pod baldachimami z płótna lub po prostu parasolami — takimi zwykłymi od deszczu.

Usłyszałam nagle śmiech i okrzyki. Z nadzieją, że nareszcie zaczyna się święto, pospieszyłam do pawilonu. Zastałam tu swoje ciotki i wujów rozbawionych polowaniem na żywe jeszcze krewetki, które umykając przed pałeczkami, wiły się w ciasnych skorupkach, prężąc swoje malutkie nóżki. Aha, więc to one płynęły za nami w drucianej klatce! Te same słodkowodne krewetki, które teraz mój ojciec maczał w ostrym sosie z twarogu sojowego, pakował je sobie do ust i połykał prawie bez gryzienia.

Ożywienie po chwili opadło i popołudnie potoczyło się dalej z wolna jak każdego innego dnia w domu: senne pogwarki przy herbacie, te same co zwykle polecenia amy, która kazała mi się w końcu położyć na mojej pleciance, i ta cisza! Jak bardzo dłuży się ta pora ciszy, kiedy wszystko, co żyje, stara się przespać najgorętsze godziny dnia.

Widząc, że arna śpi jeszcze na swojej macie (pewnie mocno, bo leżała trochę w poprzek), powędrowałam na rufę. Dwaj rozczochrani wyjmowali akurat z bambusowej klatki dużego, skrzeczącego ptaka. Miał on długą szyję, a na niej metalową obrączkę. Jeden z chłopaków przytrzymał go za skrzydła, drugi przywiązał do obroży długą linę i tak wypuścili ptaka. Ten zafurkotał białymi skrzydłami, zatoczył koło nad rufą, po czym jakby przysiadł na wodzie, na jej lśniącej od słońca powierzchni. Pobiełam na sam koniec statku i zaczęłam mu się przyglądać. Łypnął na mnie ostrożnie jednym okiem, a potem dał nurka i zniknął.

Chłopak, który wiązał linę, rzucił na jezioro trzcinową tratwę i sam skoczył za nią, a po chwili wyłonił się z wody, już siedząc na tratwie. Po paru sekundach wynurzył się ptak: szyja uginała mu się pod ciężarem trzymanej w dziobie wielkiej ryby. Wskoczył na tratwę i zaczął połykać zdobycz, niestety, nadaremnie — z powodu ściskającego mu szyję kółka. Rozczochrany jednym ruchem wyrwał ptaszysku rybę i rzucił ją temu na statku. Klasnęłam w ręce, a ptak znów śmignął do wody.

Przez następną godzinę — kiedy arna i reszta zażywali popołudniowej drzemki — zachowywałam się jak wygłodniały kocur czekający sposobnej chwili: za nic nie mogłam oderwać wzroku od tego ptaka! W jego dziobie raz po raz pojawiała się

ryba, cóż, kiedy lądowała nie w gardle łowcy, tylko w drewnianym kuble. Ten chłopak w wodzie krzyknął w pewnym momencie „dosyć”, a jego kolega na łodzi dał jakiś sygnał komuś stojącemu na górze. Nie widziałam, kto to taki, ale w tej samej chwili coś brzęknęło, zasyczało, i łódź nasza znowu ruszyła. Drugi chłopak skoczył teraz do jeziora, zgrabnie wypłynął na powierzchnię i usadowił się na tratwie obok towarzysza. Wyglądali całkiem jak dwa ptaki przycupnięte na jednej gałęzi. Zaczęłam machać do nich ręką. Jakże zazdrościłam im tej swobody! No i odpłynęli. Po paru chwilach stali się już tylko żółtą ruchomą plamką.

Powinłam była zadowolnić się tą jedną przygodą, ale nie, wciąż tkwiłam w miejscu. Przypominało to sen, w którym wszystko musi się dośnić do końca. I rzeczywiście — dalszy ciąg nastąpił. Obróciwszy się zobaczyłam ponurą kobietę przykucniętą przed wiadrem z rybami. Wzięła do ręki wąski, ostry nóż i zaczęła rozcinać rybie brzuchy; po wyrwaniu czerwonych, śliskich od krwi wnętrzności ciskała je niedbale za burtę. Patrzyłam, jak przezroczyście łuski wzbijają się spod jej noża w powietrze niczym kawałeczki rozbitej szyby. Potem przyszła kolej na dwie kury, które zaraz przestały gdakać, kiedy odpadły im łebki, i wielkiego żółwia, który gniewnie kłapał pyszczkiem, ale też natychmiast stracił głowę, kiedy ją tylko wyciągnął, chcąc chapnąć jakiś patyczek. Po żółwiu taki sam los spotkał minogi, które jak oszalałe wiły się w garnku z wodą. Kobieta bez słowa wyniosła to wszystko do kuchni — i nie było już na co patrzeć.

Teraz dopiero spojrzałam na swoje nowe ubranko — niestety, o wiele za późno. Całe ochlapane było krwią, upstrzone kawałkami piór i rybich łusek, usiane grudkami błota. Cóż za dziwaczny pomysł strzelił mi wtedy do głowy! Słyszając dochodzące z pawilonu głosy moich krewnych — już się obudzili! — wpadłam w straszliwą panikę. Co szybciej zanurzyłam ręce w misie z krwią żółwia i dokładnie wysmarowałam nią sobie rękawy oraz przód swego jedwabnego żakietu i spodni. Wyobrażałam sobie przy tym, że jeśli pomaluję cały ten odświętny strój na krwistą czerwień, ukryję pod nią wszystkie plamy. No a zmiana koloru? Nikt tego nie zauważy, jeśli tylko będę stać bez ruchu, tak żeby nawet nie drgnąć.

W tym stanie odnalazła mnie arna, której oczom ukazałam się jako krwawe widziadło. Pamiętam po dziś dzień jej przerażenie, te jej rozdzierające krzyki! Rzuciła się ku mnie jak szalona, by poddać całe moje ciało szczegółowym oględzinom. Szukała już to brakującego kawałka, już to jakichś broczących krwią otworów. Kiedy jednak po przeliczeniu moich palców oraz upewnieniu się co do całości mego nosa i uszu ostatecznie stwierdziła, że nic mi nie jest, zamiast się ucieszyć, wpadła w furję. Zaczęła wymyślać mi takimi słowy, jakich nigdy dotąd nie słyszałam. Musiały być brzydkie, bo padały jej z ust jak wyplute. Zdarła ze mnie żakiet krzycząc, że „śmierzę jak coś (?) najgorszego”, a wyglądam „jak najwstrętniejsze (?)”

— dziś nawet nie wiem co. Głos drżał jej przy tym nie tyle z gniewu, co ze strachu.

— Twoja matka — jęknęła z taką skruchą, jakby sama wszystkiemu była winna — chętnie teraz się ciebie pozbędzie! Obie nas wypędzi do Kunmingu.*

W tym momencie przeraziłam się naprawdę! Słyszałam, że ten Kunming leży chyba gdzieś na końcu świata i że nikt tam nigdy nie zagląda, bo i po co? Kto chciałby odwiedzić takie dzikie pustkowia, otoczone podobno kamiennym lasem, w którym rządy sprawują jakieś małpy? Ama pozostawiła mnie całą zalaną łzami, w samej tylko bawełnianej bieliźnie i moich tygrysyich pantofelkach.

Spodziewałam się, że lada chwila nadejdzie matka. Ogląda teraz pewnie moje nowe ubranko i te sponiewiarane kwiatuszki, w które przecież włożyła tyle trudu. Oczekiwałam, że zaraz zacznie mnie karcić w ten właściwy jej, łagodny sposób

— jednak nie, nie przyszła. Usłyszałam raz kroki za oszklonymi drzwiami, ale zobaczyłam tylko rozplaszczoną o szybę twarz moich przyrodniczych sióstr. Gapiły się chwilę baranym wzrokiem, pokazując mnie sobie palcami, a potem wybuchnęły śmiechem i uciekły.

*** Kunming — stolica prowincji Yunnan — leży w linii prostej o 1800 km na południowy zachód od Wuxi. Prowincja zamieszkała wówczas głównie przez mniejszości narodowe na szczęblu wspólnoty plemiennych musiała wydawać się Chińczykom z terenów cywilizacyjnie rozwiniętych krańcem świata, a jej mieszkańcy barbarzyńcami niewiele różniącymi się od małp, w które te tereny obfitują.**

Wody jeziora przybrały kolor ciemnożłoty, który później przeszedł w czerwień, purpurę, w końcu zaś w głęboką czerń. Na tle pociemniałego nieba zaczęły — jak okiem sięgnąć — błyskać czerwone światelka lampionów. Z naszego statku i przepływających w pobliżu łodzi niosły się głośne rozmowy i śmiechy. A potem rozległ się stukot drzwi kuchennych i uderzyła mnie w nozdrza miła fala smakowitych zapachów. W pawilonie wybuchła wrzawa, okrzyki niedowierzania i satysfakcji: „*Ajja!* Spójrzcie, co my tu mamy! A co też powiecie na to?” Serce rwało się we mnie na strzępy, tak bardzo pragnęłam być tam ze wszystkimi.

Cóż robić? Mogłam tylko przysłuchiwać się odgłosom uczyty, siedząc na końcu statku ze zwisającymi na zewnątrz nogami. Mimo że noc już zapadła na dobre, wszystko doskonale było widać: odbitą w wodzie moją twarz, dyndające nogi, moje ręce oparte o samą krawędź pokładu. Zobaczyłam też źródło tej zgoła niezwykłej jasności: w ciemnej wodzie tuż nad moją głową leżał święteczny księżyc. Był tak wielki i ciepły, że przypominał słońce. Obróciłam się, by spojrzeć w niebo. Chciałam poszukać Księżycowej Pani i powierzyć jej swe najskrytsze marzenie, tylko że... Tylko że w tym właśnie momencie to samo musieli pewnie robić wszyscy, bo nagle huknęły fajerwerki, a ja znalazłam się w wodzie. Stało się to tak szybko, że nawet nie usłyszałam plusku.

Zaskoczył mnie kojący chłód jeziora i dlatego nie od razu się zlekłam. Było to jak fruwanie we śnie, gdy nie czuje się ciężaru ciała. Zaraz zresztą zjawi się arna, zaraz mnie stąd wyłowi. Przestałam w to wierzyć w chwili, gdy poczułam, że dławię się wodą. Zaczęłam gwałtownie przebierać rękami i nogami, żeby odepchnąć tę wodę, a że ona z kolei wciąż bezlitośnie zalewała mi nos, oczy i gardło, czyniłam to coraz usilniej. „Arna!” — próbowałam krzyczeć, wściekła, że jej tu nie ma. Dlaczego każe mi czekać i tak niepotrzebnie cierpieć? Musnęło mnie raptem coś czarnego. O nieba, to na pewno jedno z Pięciu Złych Stworzeń! — poraziła mnie straszna myśl. — To on, to pływający wąż!

Owinał się dookoła mnie cały i ścisnął moje ciało jak gąbkę. W chwilę później poleciałam w górę, zatchnęłam się powietrzem i wpadłam głową na dół prosto w kłębowisko wijących się

ryb. Sieć! Woda trysnęła mi z ust jak fontanna; teraz dopiero zaniósłam się kaszlem i zaczęłam jęczeć.

Na tle jasno świecącego księżycy zobaczyłam czyjeś cztery cienie. Jeden z nich, cały ociekający wodą, wdrapywał się właśnie do łodzi.

— Nie za mała ona? — zapytał dysząc. — Może wrzucić ją z powrotem do wody? Jak myślicie? A można jednak warta jest trochę pieniędzy?

Tamci parsknęli śmiechem. Siedziałam cicho jak trusia. Wiedziałam, co to za ludzie! Kiedy mijaliśmy takich na ulicy, arna zatykała mi oczy i uszy.

— Przestań — skarciła tamtego siedząca w łodzi kobieta — już i tak ją wystraszyłeś. Pomyśli, że z nas bandyci, że chcemy ją sprzedać handlarzowi niewolników. Skąd jesteś, mała siostrzyczko? — zwróciła się do mnie łagodnie.

Zmoczony mężczyzna przyjrzał mi się z bliska:

— No patrzcie, to nie ryba, tylko mała dziewczuszka!

— A to ci dopiero? Nie ryba?! — wymamrotali jego kamraci, krztusząc się ze śmiechu.

Zaczęłam się trząść, ale nie płakałam — za bardzo byłam przerażona. Tak tu dziwnie pachniało czymś groźnym — prochem fajerwerków i rybą.

— Nie słuchaj ich — odezwała się znów kobieta. — Jesteś może z jakiejś łodzi rybackiej? Która to? Pokaż.

Przepełniało obok nas wiele łodzi — wiosłowe, żaglówki, pedałowe, widziałam łodzie rybackie takie same jak ta, z długim kabłąkiem i małym domkiem pośrodku, ale ja z mocno bijącym sercem wypatrywałam tylko jednej.

— Tam! — krzyknęłam, pokazując palcem pływający pawilon pełen roześmianych ludzi i czerwonych kołyszących się świateł. — To ta łódź! — Teraz wy buchnęłam płaczem. Ach, jak gorąco pragnęłam być już wśród swoich bliskich, nareszcie przestać się bać! Nasza łódź lekko pomknęła w stronę, z której pięknie pachniało dobrym jadem.

— Hej tam! — zawołała kobieta. — Nie zgubiliście dziecka? Wyłowiliśmy z wody małą dziewczynkę!

Na statku rozległy się krzyki. Staralam się z całych sił wyłowić z tłumu choć jedną znajomą twarz — amy, tatusia, mamy — ale tyle osób tłoczyło się tam przy burcie! Wszyscy wychylali się przez poręcz, wymachiwali rękami, zagłądali do

naszej łodzi. Sami obcy... Czerwone, roześmiane twarze, nieznajome, donośne głosy. Gdzie mama? Dlaczego wciąż nie ma mamy? Między nogami stojących przepchnęła się do przodu mała dziewczynka.

— To nie ja! — krzyknęła. — Ja jestem tutaj! Wcale nie wpadłam do wody! — Ci, co mnie wyłowili, ryknęli na to śmiechem, i odpłynęli.

— Pomyliłaś się, siostrzyczko — powiedziała kobieta. Milczałam, tylko znowu zaczęłam dygotać. Przed chwilą zrozumiałam, że nikogo nie obchodzi moje zniknięcie. Patrzyłam w dal na te tysiące kołyszących się lampionów, widziałam strzelające w niebo fajerwerki, słyszałam coraz głośniejsze śmiechy. Im dalej mknęła nasza łódź, tym świat stawał się większy. A ja się w nim zagubiłam. Na zawsze.

Kobieta wpatrywała się we mnie z widocznym namysłem. Warkocz miałam rozpleciony, bieliznę poszarzałą od wody, zgubiłam też tygrysie pantofelki.

— I co teraz? — cicho spytał któryś z mężczyzn. — A jak nikt się po nią nie zgłosi?

— Może to córka jakiegoś żebraka? — odezwał się drugi.

— Spójrzcie na jej ubranie. Pływa pewnie na swojej lichutkiej tratwie i wyłudza od ludzi pieniądze. Mało to takich dzieciaków?

Ogarnęła mnie groza. A może to prawda? Może zamieniłam się w córkę żebraka i nie mam już tamtej rodziny?

— E, czy wy oczu nie macie? — obruszyła się kobieta.

— Za jasną ma skórę. Stopy też mięciuterikie.

— Skoro tak, to ją trzeba dowieźć do brzegu. Jeżeli naprawdę ma jaką rodzinę, tam pewnie będą jej szukać.

— Co za noc! — westchnął drugi mężczyzna. — Że też w święto zawsze ktoś musi wpaść do tej wody! Jak nie pijany poeta,* to małe dziecko! Szczęście, że nie utonęła.

Gawędzili w kółko o tym samym, płynąc powoli do brzegu. Wreszcie jeden z mężczyzn zanurzył w wodzie długą bam-

*** Aluzja do jednego z najslawniejszych poetów chińskich, Li Bo (699—726), który zasłynął również jako nieprzeciętny opój. Legenda głosi, że pływając łodzią po jeziorze w stanie upojenia alkoholowego, usiłował złapać odbicie księżyca w wodzie i utonął. W rzeczywistości ustatkował się pod koniec życia i zmarł na łonie rodziny.**

busową tyczkę i łódź gładko przemknęła między rojem innych. Kiedyśmy już dobili do przystani, mój wybawca wziął mnie na ręce (pamiętam, że pachniały rybami) i postawił na brzegu.

— Następnym razem uważaj, siostrzyczko! — krzyknęła na pożegnanie kobieta.

Właśnie na tej przystani, mając za plecami jasno świecący księżyc, znowu zauważyłam swój cień. Był teraz krótszy, dziwnie przykurczony i w ogóle wyglądał jakoś dziko. Oboje, niewiele myśląc, pobieглиśmy w przydrożne krzadki.

Jak długo siedziałam w tej kryjówce? Pamiętam tylko, że od czasu do czasu słyszałam głosy przechodniów, przeważnie jednak głośnie kumkanie żab i granie świerszczy. Aż tu nagle brzęknęły cymbały, zabrzmiały gongi, ozwały się piszczałki i bębny!

Ostrożnie rozgarnąwszy gałęzie, zobaczyłam w pobliżu tłum ludzi. Stali przed podwyższeniem, na którym rozpościerał się wielki księżyc. Z boku sceny wybiegł zaraz jakiś młodzieniec i zwrócił się do ludzi w te słowa:

— Za chwilę Księżycowa Pani opowie wam swe żałosne dzieje! Zobaczycie ją w teatrze cieni przy wtórce starodawnej pieśni!

Księżycowa Pani! Na sam dźwięk tych słów jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej zapomniałam o wszystkich swych troskach!

Muzyka zabrzmiała głośniejsz i na tle księżyca ukazał się cień kobiety. Przegarniając długimi palcami swoje rozwiane włosy, jęła przemawiać — jakże żałośnie i słodko:

— Srogie są wyroki losu! Każe on mieszkać mi tu, na księżycu, gdy mój małżonek ma swą siedzibę na dalekim słońcu! Przeto każdego dnia, jako też każdej nocy wciąż mijamy się w drodze, o ja nieszczęsna, nie oglądając nawzajem swych twarzy z wyjątkiem tego jednego wieczoru, tej jedynej nocy śródjesiennego księżyca.

Tłum podsunął się bliżej. Księżycowa Pani przebiegła palcami po strunach lutni i zaczęła śpiewać. Po drugiej stronie księżyca pojawiła się tymczasem sylwetka mężczyzny. Pani wyciągnęła do niego ręce.

— O, Hou Yi, mój małżonku, Wielki Łuczniku!* — zaśpiewała tęsknie, lecz małżonek zdawał się jej nie dostrzegać — pilnie wpatrywał się w niebo. A gdy niebo to zaczęło płonąć coraz jaśniejszym blaskiem, szeroko otworzył usta — z przerażenia, a może z uciechy? Nie mogłam się zorientować.

Księżycowa Pani chwyciła się za gardło i płacząc padła na ziemię jak kupka łachmanów:!

— O biada! Dziesięć słońce płonie na wschodnim niebie! Klęska posuchy — zaczęła zawodzić.

Na te słowa Wielki Łucznik wypuścił swoje czarodziejskie strzały i przeszył nimi dziewięć słońc, które pękły z hukiem, zalewając się krwią. — Ach, widzę, że toną już we wrzącym morzu! — zaśpiewała radośnie, a ja usłyszałam, jak te złowrogie słońca z sykiem i trzaskiem kończą swój żywot.

I oto ukazała się czarodziejka — Królowa Matka Zachodu!* Nadlatując ku Wielkiemu Łucznikowi, otworzyła pudełeczko, z którego wydobyła jakąś błyszczącą kulkę. Nie, to nie było kolejne małe słońce! Była to czarodziejska brzoskwinia, owoc zapewniający wiekuiste życie! Widziałam, że Pani Księżycowa udaje bardzo zajęta haftem, ale tak naprawdę śledzi każdy ruch swojego małżonka. On zaś schował brzoskwinie do szkatułki, a potem wysoko uniósłszy swój łuk, ślubował przez okrągły rok powstrzymać się od zjedzenia czarodziejskiego owocu, chcąc w ten sposób dowieść, że starczy mu cierpliwości, aby żyć całą wieczność. Po tej przysiędze Wielki Łucznik wyszedł z domu, jego żona tymczasem natychmiast pobiegła szukać magicznej brzoskwini! Od razu ją też znalazła!

*** Łucznik Hou Yi dokonał wielu bohaterskich czynów. Największym było uratowanie Ziemi przed potworną suszą, którą wywołało pojawienie się na niebie dziesięciu słońc spalających wszystko swoim żarem. Hou Yi zastrzelił dziewięć, pozostawiając to jedyne, które dziś znamy — głosi mit chiński.**

*** Królowa Matka Zachodu (Xi Wang Mu) — mitologiczna władczyni położonej na dalekim zachodzie krainy nieśmiertelnych. W jej ogrodach rośnie drzewo brzoskwiniowe, rodzące co kilka tysięcy lat owoce zapewniające długowieczność. Bohaterce powieści po raz kolejny pomyliły się mity, bowiem Xi Wang Mu wręczyła Hou Yi nie brzoskwinie długowieczności, lecz eliksir nieśmiertelności.**

Ledwo jednak skosztowała słodkiego mięszu, stało się coś dziwnego: jakaś tajemnicza siła uniosła ją w górę. O, nie leciała tak pięknie jak Królowa Matka Zachodu! Raczej jak przetrącona wałka z połamanymi skrzydłami!

— Wypędza mnie z tej ziemi moja własna swawola!

— załkała gorzko na widok męża, który pędem wrócił do domu, krzycząc:

— Ha, żono, złodziejko! To ty skradłaś mi wieczne życie!

— Zaraz też napiął łuk i wymierzył strzałę w niegodziwą, ale w tym momencie zadudnił gong i zapadła ciemność.

— Uua, uua — rozległy się znów smętne dźwięki lutni, gdy na scenie rozbłysły światła. I oto na tle księżycyca płonącego teraz blaskiem słońca ukazała się nieszczęsna Pani. Włosy jej sięgały już ziemi, a ona ocierała nimi łzy. Wieczność minęła od chwili, gdy po raz ostatni widziała męża, bo taką jej los wymierzył karę. Miała na zawsze pozostać na księżycu, samotna i zagubiona, daremnie wypatrując spełnienia swoich samolubnych pragnień.

— Bo kobieta to *yin* — załkała rzewnie. — Kobieta ma w sobie ciemność, w której drzemią nie dające się poskromić namiętności. Zaś mężczyzna to *yang*, to światło prawdy rozjaśniające nasze umysły.

Pod koniec tej śpiewanej opowieści płakałam, drżąc cała z rozpacz. Niezupełnie rozumiałam jej historię, nietrudno mi było jednak wczuć się w okropne położenie biednej Pani. W krótkiej jak mgnienie oka chwili i ją, i mnie spotkało wszak to samo — każda z nas utraciła bezpowrotnie cały swój dotychczasowy świat.

Zabrzmiął gong. Księżycowa Pani pochyliła głowę i już bez łez patrzyła gdzieś w bok. Publiczność klaskała z całych sił. I znów na scenę wszedł ten sam młodzieniec co na początku.

— Proszę wszystkich o pozostanie! — zakrzyknął. — Księżycowa Pani łaskawie zgodziła się spełnić jedno życzenie każdego z tu obecnych... — tłum zafalował z podniecenia, dały się słyszeć ochocze pomruki — ...za niewielką doprawdy opłatą — zakończył młody człowiek. — Publiczność ryknęła śmiechem, ludzie szemrając zaczęli się rozchodzić. — Okazja jedyna w roku! — nawoływał zapowiadacz, nikt go już jednak

nie słuchał z wyjątkiem ukrytych w krzakach nas dwojga
— mnie i mojego cienia.

— Ja! Ja mam życzenie! — krzyczałam, biegnąc pędem i boso ku podwyższeniu. Młody człowiek pewnie mnie nie zauważył, gdyż zszedł ze sceny, ja jednak wciąż biegłam. Biegłam w stronę księżycy, by powiedzieć Pani, czego pragnę! O, teraz byłam już pewna swego życzenia! Zwinnie jak jaszczurka wskoczyłam na scenę i znalazłam się po drugiej stronie księżycowej tarczy.

Była tam. Jeszcze przez chwilę stała nieruchomo. Jakże była piękna, jak cudownym promieniała blaskiem w świetle kilkunastu naftowych lamp! A potem potrząsnęła długimi, cienistymi niby las włosami i zaczęła zstępować ze schodków.

— Mam życzenie — wyszeptałam, ale mnie nie usłyszała. Podeszłam jeszcze bliżej i teraz zobaczyłam jej twarz: zapadnięte policzki, szeroki błyszczący nos, wielkie, oślepiająco białe zęby i te nabiegłe krwią oczy! Była to doprawdy twarz śmiertelnie znużonej osoby. Takim też znużonym ruchem zdjęła z głowy swoje piękne włosy i pozwoliła opaść z ramion księżycowej sukni. A gdy z ust mych wybiegło to moje najskrytsze marzenie, Księżycowa Pani spojrzała mi w twarz

— i stała się mężczyzną.*

Przez wiele lat nie pamiętałam ani tego, o co wtedy prosiłam Księżycową Panią, ani w jaki sposób zostałam odnaleziona. Z początku i jedno, i drugie wydawało mi się przywidzeniem. Bo czyż życzenie mogłoby się tak po prostu spełnić? Nie, to byłoby niewiarygodne. Mówiono mi wprawdzie, że szukali mnie wszyscy na czele z amą, tatą i wujem, że do późnej nocy przetrząsali całe wybrzeże, nawołując mnie z całych sił, ale ja w żaden sposób nie potrafiłam uwierzyć, że moja rodzina odzyskała tę samą dziewczynkę.

W ciągu następnych kilku lat zatarła mi się w pamięci i cała reszta, wszystko, co zdarzyło się owego długiego dnia: żalсна

*** W dawnych Chinach kobietom nie wolno było występować w przedstawieniach teatralnych, dlatego role kobiece grali mężczyźni.**

opowieść Księżycowej Pani, pływający pawilon, ptak z kółkiem na szyi, nawet te kwiatuszki na rękawach mojego żakietu i poranne palenie Pięciu Złych Stworzeń.

Ale teraz, gdy jestem już stara, gdy każdy mijający rok zbliża mnie do kresu życia, czuję się też coraz bliższa jego początkom. Dlatego przypomniałam sobie ten dzień. A przypomniałam go sobie tak dokładnie, bo czyż to samo nie zdarzało mi się i później? Tak, zdarzało się i to często. Byłam już wtedy starsza, ale przecież tak samo naiwna, ufna i niecierpliwa; czułam zawsze ten sam podziw, strach i samotność. I tak bardzo byłam zagubiona.

Wszystko to pamiętam. A dziś, piętnastego dnia ósmego księżyca, potrafię również powiedzieć, o co wtedy przed laty prosiłam Księżycową Panią: żeby mnie odnaleziono.

DWADZIEŚCIA SZEŚĆ BRAM
NIESZCZĘŚCIA

„Weź rowerek, ale za róg nie wyjeżdżaj” — przykazała matka córeczce, kiedy ta miała lat siedem.

„Dlaczego?” — buntowała się dziewczynka.

„Bo cię nie będę widziała. Przewrócisz się i zaczniesz płakać, a ja tego nie usłyszę.”

„Skąd wiesz, że się przewrócę?” — jęknęła dziewczynka.

„Jest o tym napisane w książce DWADZIEŚCIA SZEŚĆ BRAM NIESZCZĘŚCIA. Mówi ona o wszystkich strasznych rzeczach, które mogą ci się przytrafić poza osłoną tego domu.”

„A ja ci nie wierzę! Pokaż mi tę książkę!”

„I tak nie zrozumiesz. Jest napisana po chińsku. Dlatego lepiej słuchaj, co ci mówię.”

„No to co to za bramy? — dopytywała się córka. — Powiedz mi o tych dwudziestu sześciu nieszczęściach.”

Matka robiła na drutach i milczała.

„Co to za dwadzieścia sześć nieszczęść?” — krzyknęła dziewczynka.

Matka i teraz nie raczyła jej odpowiedzieć.

„Nie odpowiadasz, bo nie wiesz! Ty w ogóle nic nie wiesz!”

— wrzasnęła córka, wybiegając z domu. Wskoczyła na swój rowerek, a tak pilno jej było uciec, że od razu się przewróciła

— nim zdążyła dojechać do rogu.

Waverly Jong
REGUŁY GRY

Miałam sześć lat, kiedy matka nauczyła mnie sztuki posługiwania się niewidzialną siłą. Strategia ta pozwalała rozstrzygać spory na swoją korzyść, zdobywać sobie szacunek, a także — chociaż wtedy jeszcze żadna z nas tego nie wiedziała — wygrywać w szachy.

— Ugryź się w język — skarciła mnie pewnego dnia, gdy wrzeszcząc wniebogłosy, ciągnęłam ją do sklepu, gdzie na wystawie leżały paczuszki suszonych śliwek. — Mądry człowiek nie idzie pod wiatr — powiedziała mi w domu. — W Chinach mamy takie powiedzenie: „Z południowym wiatrem doleczysz na północ. Najsilniejszy wiatr jest niewidzialny”.

Gdy po tygodniu weszliśmy znowu do sklepu z zabronionymi smakołykami, zrobiłam, co mi kazała: ugryzłam się w język. Matka tymczasem bez słowa zdjęła z półki paczuszkę tych upragnionych śliwek i położyła na ladzie obok reszty swoich zakupów.

Matka codziennie wygłaszała jakieś życiowe maksymy na użytek mój i moich starszych braci. Mieliliśmy dzięki nim wyrosnąć ponad swoje otoczenie. Mieszkaliśmy wówczas w Chinatown — chińskiej dzielnicy San Francisco. Podobnie jak większość chińskiej dzieciarni, spędzającej swój wolny czas na tyłach małych jadalni i sklepików z osobliwościami, wcale nie uważałam, że jesteśmy biedni. Moja miseczka zawsze była pełna. Regularnie jadaliśmy co dzień trzy pięcio-daniowe posiłki rozpoczynające się od zupy, w której pływało mnóstwo tajemniczych składników. Jakich? Tego już wolałam

nie wiedzieć. Nasza pięcioosobowa rodzina zajmowała czyste i ciepłe trzypokojowe mieszkanie przy Waverly Place. Pod nami mieściła się mała chińska ciastkarnia, znana zwłaszcza z gotowanych na parze pierożków. Nad ranem, gdy w uliczce panowała jeszcze zupełna cisza, dobiegała mnie woń roz-gotowywanej na papkę drobnej czerwonej fasoli na słodkie nadzienie do pierożków. Rankiem do mieszkania wdierał się ciężki odór smażonych kulek z ciasta obtoczonych w ziarnie sezamowym i faworków w kształcie półksiężyca. Leżąc w łóżku, nasłuchiwałam znanych odgłosów ojcowskiej krzątaczki — o tej porze wychodził do pracy. Po nim dawał się słyszeć stuk zamykanych drzwi i trzykrotne przekręcenie klucza.

Przy końcu naszej krótkiej uliczki — przeciętej dwiema tylko przecznicami — znajdował się niewielki plac zabaw. Zjeżdżalnie i huśtawki nosiły na sobie wyraźne ślady nadmiernej eksploatacji — siedzenia niezliczonych użytkowników wytarły je na wysoki połysk. Po obu stronach placu stały ławki zbite z drewnianych listew, na których godzinami przesiadywali ludzie ze starego kraju, gryząc złotymi zębami prażone pestki arbuza, łuski zaś rzucając stadom zniecierpliwionych gołębi, głośnym gruchaniem domagających się należnej daniny. Najwspanialszym wszakże placem zabaw była sama nasza uliczka. W jej mroku co krok można się było natknąć na intrygujący sekret, przeżyć pasjonującą przygodę. Cała nasza trójka lubiła ukradkiem zaglądać do tajemniczej chińskiej apteki, gdzie stary Li dokładnie odmierzał na papierek odpowiednie ilości owadzich pancerzy, szafranowo-żółtych nasion i gorzko pachnących liści dla swych niedomagających, bardzo zresztą licznych klientów. Mówiono, że wykurował kiedyś nawet kobietę, nad którą rozłożyli ręce najślynniejsi amerykańscy lekarze. Umierała podobno na skutek rodzinnej klątwy — a stary Li ją wyleczył! Zaraz koło apteki urzędował drukarz specjalizujący się w tłoczonych złotem zaproszeniach ślubnych oraz świątecznych czerwonych chorągiewkach z napisami.

Dalej znajdował się *Pingyuan*, wielki targ rybny. W oknie wystawowym stał zbiornik, w którym kłębiły się skazane na śmierć ryby i żółwie. Te ostatnie rozpaczliwie próbowały czepiać się śliskich, wyłożonych zielonymi płytkami ścianek. Ręcznie wykonany napis informował turystów: „Wszystko, co

znajduje się w tym sklepie, przeznaczone jest do spożycia, a nie do hodowli". Pracownicy w białych zachlapanych krwią kitlach z ręcznie patroszonymi rybami na oczach klientów głośno wykrzykując swoje życzenia. Na powtarzające się żądanie: „Tylko żeby były jak najświeższe!” — sprzedawca niezmiennie odpowiadał: „Wszystko tu mamy najświeższe.” W dniach gdy na targu panował trochę mniejszy ścisk, myszkowaliśmy pośród klatek pełnych żywych żab i krabów (nie wolno nam ich było drażnić), skrzyń z suszonymi mątwami i pojemników, w których przechowywano mrożone krewetki, kałamarnice oraz śliskie od lodu ryby. Zawsze przenikał mnie dreszcz na widok płastug, a zwłaszcza tych ich oczu po jednej stronie. Natychmiast przypominała mi się opowieść matki o nieostrożnej dziewczynce, która wtargnęła na jezdnię i została przejechana przez samochód. „Rozpłaszczył ją na placek” — relacjonowała matka.

Na rogu uliczki mieściła się restauracyjka Hong Singa — wszystkiego cztery stoliki. Na wprost wejścia były schodki prowadzące do drzwi z napisem: „Wejście dla dostawców”. My, dzieci, wierzyliśmy święcie, że nocami z tych drzwi wylazą jacyś straszni zbóje. Zagraniczni turyści nie odwiedzali lokalu Hong Singa, bo menu pisane było tylko po chińsku. Pewnego razu jakiś biały, uzbrojony w wielki aparat fotograficzny, poprosił mnie i moje koleżanki o pozowanie do zdjęcia przed tą restauracją. Kazał nam stanąć trochę z boku, żeby uchwycić wywieszoną w oknie pieczoną kaczkę z łebkiem smętnie dyndającym na sznurku oblanym sosem. Kiedy już pstryknął nam zdjęcie, zaczęłam go namawiać, żeby koniecznie poszedł na obiad do Hong Singa.

— A co tam można zjeść? — spytał z uśmiechem.

— Flaki, kacze łapki i żołądki ośmiornicy! — wrzasnęłam. Po tej enuncjacji cała nasza gromadka, piszcząc ze śmiechu, rzuciła się do ucieczki. Skryłam się w podcieniu przy wejściu do sklepu „Chińskich Kamieni Szlachetnych” (znajdował się po drugiej stronie ulicy) i czekałam z bijącym sercem. O, żeby tak zaczął nas gonić!

Matka nadała mi imię naszej ulicy, zatem w najważniejszych amerykańskich dokumentach figurowałam jako „Wa-verly Place Jong”. Tak się nazywałam oficjalnie, ale w domu wołano mnie po prostu „meimei” — „młodsza siostra”.

Byłam najmłodszym dzieckiem i jedyną córką, dlatego też co rano przed pójściem do szkoły cierpiałam prawdziwe katusze. Matka dopóty pastwiła się nad moimi strasznie gęstymi czarnymi włosami, dopóki mi ich nie splotła w ciasno ściągnięte mysie ogonki. Pewnego dnia, kiedy jak zwykle próbowała na siłę wetknąć ostry grzebień w tę nieposłuszną, zbitą jak materac masę, zadałam jej chytre pytanie:

— Mamo, co to są chińskie tortury?

W milczeniu potrząsnęła głową, bo w ustach trzymała spinkę. Nabrała na dłoń trochę wody, przyglądała mi włosy za uchem, po czym tak mocno wcisnęła w to miejsce wsuwkę, że mi nią przejechała po skórze.

— Od kogo słyszałaś takie słowa? — nie zdawała sobie widać sprawy z moich złośliwych intencji.

Wzruszyłam ramionami:

— Od jakiegoś kolegi z klasy. Powiedział, że Chińczycy stosują chińskie tortury.

— Chińczycy robią dużo rzeczy — odparła krótko. — Interesy, lekarstwa, obrazy. Nie jesteśmy tak leniwi jak ci Amerykanie. Tortury też stosujemy. Najlepsze na świecie/

Naprawdę to mój brat Vincent wszedł w posiadanie tego kompletu szachów. Poszliśmy jak zwykle na przyjęcie gwiazdkowe organizowane rokrocznie w Pierwszym Chińskim Kościele Baptystów — u wylotu naszej uliczki. Panie misjonarki zebrały cały worek prezentów od członków innej kongregacji. Nie było na nich nazwisk ofiarodawców ani obdarowanych, podzielono je tylko wstępnie według tego, dla kogo się nadawały: młodszych czy starszych dzieci.

Kostium świętego Mikołaja ufundował jeden z naszych chińskich parafian, dodając do tego kartonową brodę oblepioną kłaczkami bawełny. Co tam! Te dzieci, które wciąż jeszcze wierzyły w Mikołaja, nie miały przecież tyle oleju w głowie, żeby zauważyć takie rzeczy, podobnie jak nie mogły wiedzieć, że święty staruszek nie był Chińczykiem. Kiedy do niego podeszłam, zadał mi pytanie, ile mam lat. Pomyślałam, że może to być pułapka: miałam lat siedem zgodnie z kalendarzem amerykańskim, a osiem według rachuby chińskiej, więc na wszelki wypadek wykręciłam się datą urodzenia: 17 marca 1951. Świętego to na szczęście zadowolilo. Bardzo

uroczyście wypytał mnie potem, czy byłam grzeczną dziewczynką, czy wierzę w Jezusa Chrystusa i czy przez cały rok słuchałam rodziców? W moim wypadku odpowiedź mogła być tylko jedna — więc równie uroczyście kiwnęłam głową.

Zdażyłam już przyjrzeć się prezentom wybranym przez inne dzieci i doszłam do wniosku, że te największe niekoniecznie muszą być najładniejsze. Jakaś dziewczynka w moim wieku dostała na przykład ogromną kolorową księgę przedstawiającą same postacie z Biblii, gdy tymczasem drugiej, widać mniej zachłannej, bo wybrała dużo mniejsze pudełko, trafił się ach! szklany flakon wody lawendowej! Pewnego chłopca — na oko dziesięciolatka — zaintrygowało znów to, że gdy potrząsnął pudełkiem, ze środka dał się słyszeć jakiś grzechot. I co? Tajemniczy przedmiot okazał się wprawdzie malutkim globusem-skarbonką, ale przyniósł wielkie rozczarowanie. Obdarowany chłopiec wyobrażał sobie, że znajdzie w nim cały stos dziesiątek czy choćby pięciocentówek, bo kiedy zobaczył zaledwie dziesięć angielskich pensów, na jego buzi odbił się tak nie ukrywany zawód, że matka co prędzej trzepnęła go w ucho i wyprowadziła z sali, wyrażając swe najwyższe ubolewanie z powodu złych manier syna, który nie potrafił docenić takiego pięknego daru!

Zerknąwszy do worka, szybciotko obmacałam znajdujące się tam jeszcze prezenty, sprawdzając wagę poszczególnych paczek i próbując wyobrazić sobie ich zawartość. Wybrałam w końcu dość ciężką, szczelnie wypełnioną paczuszkę, owiniętą w srebrną folię i przewiazaną czerwoną jedwabną wstążką. Po rozpakowaniu oczom moim ukazał się dwunastosmakowy zestaw drażetek „Life Savers”! Całą pozostałą część przyjęcia zajęło mi układanie tych słodkości według moich smakowych preferencji. Długo nie mogłam się zdecydować, które najbardziej lubię, i aż kilka razy zmieniałam kolejność. Mój brat Winston też wybierał rozsądnie, i dobrze na tym wyszedł. Dostał pudełko jakichś skomplikowanych wyglądających plastikowych cząstek. Instrukcja głosiła, że po prawidłowym złożeniu wszystkich elementów staranny konstruktor otrzyma wierną, choć miniaturową replikę łodzi podwodnej z czasów drugiej wojny światowej.

Vincentowi przypadł w udziale komplet szachów, który mógłby naprawdę uchodzić za bardzo stosowny prezent pod

choinkę, gdyby nie to, że był niewątpliwie zużyty, a później okazało się jeszcze, że w ogóle nie jest kompletem, gdyż brakuje w nim jednego czarnego pionka oraz białego konia. Mimo to nasza matka wylewnie podziękowała nieznanemu ofiarodawcy:

— Ach, to dla niego za dobre! Za dużo kosztuje!

W tym momencie jakaś starsza dama o bielutkich jak mleko, acz mocno przerzedzonych włosach kiwnęła nam głową i rzuciła świszczącym szeptem:

— Wesołych Świąt!

Od razu po powrocie do domu matka kazała Vincentowi wyrzucić szachy na śmietnik.

— Ona ich nie chce, my też nie! — zachnęła się dumnie, układając usta w wymuszony uśmiech. Obaj moi bracia udali, że tego nie słyszą. Ustawiali już figury na szachownicy, odczytując stosowne instrukcje ze sfatygowanej książeczki, zdobnej w dziesiątki oślich uszu.

Przez cały świąteczny tydzień przyglądałam się szachowym rozgrywkom moich braci. Ileż ta szachownica kryła w sobie zagadek! Jakże je pragnęłam rozwiązać! Ci, którzy posiadli tę umiejętność, wydawali mi się potężniejsi od magicznych ziół starego Li, zdolnych wyleczyć rodową klątwę. A czyż wyraz niezwyklej powagi malujący się na twarzach moich braci nie świadczył o tym, że musi tu chodzić o coś bardziej ryzykownego niż przemknięcie przed budzącymi grozę drzwiami w lokalu Hong Singa?

— Pozwólcie mi spróbować, proszę! — błagałam żarliwie, gdy jeden odrzucał głowę z westchnieniem ulgi i sycił się radością zwycięstwa, drugi zaś siedział markotnie i nie mógł pogodzić się z klęską. Vincent z początku nie pozwalał mi grać, zmienił jednak zdanie, gdy mu zaproponowałam swoje „Life Savers” w miejsce guzików zastępujących ubytki. Wybrał dwie drażetki o różnych smakach: wiśniową za czarnego pionka i miętową za białego konia. Zwycięzca miał prawo zjeść obie. Nasza matka wyrabiała właśnie ciasto na pierożki, które chciała podać na kolację, kiedy Vincent zaczął mi wyjaśniać zasady:

— Oboje mamy po szesnastu wojowników: króla, hetmana, dwóch gońców, dwa konie, dwie wieże i osiem pionków. Pionki mogą poruszać się tylko naprzód i tylko z pola na pole

z wyjątkiem pierwszego ruchu, kiedy wolno im jedno przeskoczyć. Bić mogą tylko na ukos, o tak, widzisz, znowu z wyjątkiem otwarcia. Wtedy, idąc prosto, wolno ci też zabić mojego pionka.

— Dlaczego? — zapytałam, ruszając swoim do przodu. — Dlaczego pionkom nie wolno skakać przez kilka pól?

— Bo to są pionki — odparł mój brat.

— A dlaczego muszą bić na ukos? Dlaczego są konie, hetmany, wieże, no wiesz, wojownicy, a nie ma żadnych kobiet ani dzieci?

— A dlaczego niebo jest niebieskie? Czy ty zawsze musisz zadawać takie głupie pytania? — warknął Vincent. — To jest gra i takie ma zasady. Ja ich nie wymyśliłem. Tu je masz. W tej książce — stuknął palcem w stronicę z rysunkiem i opisem zadań pionka. — Pion. Pionek. Sama sobie przeczytaj.

— Pokażcie mi tę książkę — powiedziała spokojnym głosem matka, otrzepując umączoną rękę. Szybko przerzuciła kilka kartek, nie zwracając sobie głowy odczytywaniem jakichś obcych angielskich opisów. Nie chodziło jej chyba naprawdę o nic konkretnego.

— Takie są te amerykańskie reguły — stwierdziła na koniec. — Jak ludzie przyjeżdżają z innego kraju, to koniecznie muszą znać wszystkie przepisy! Nie znasz, mówi sędzia, to bardzo źle! Wracaj sobie, skąd przyjechałaś! Nie powiedzą człowiekowi, co i jak, nie wytłumaczą, żeby mógł robić tak, jak oni chcą. Po co? Nie wiesz? Sam się dowiedz! A oni oczywiście wszystko wiedzą! Ty lepiej weź to sobie do serca i sama znajdź odpowiedź na swoje „dlaczego”! — parsknęła uśmiechem satysfakcji.

Z czasem znalazłam odpowiedź na wszystkie swoje pytania. Zapoznałam się z ogólnymi zasadami gry, sprawdzając w słowniku każde ważniejsze słowo. Wypożyczałam z miejscowej biblioteki odpowiednie książki i studiowałam każdy element szachowej armii, starając się wchłonąć w siebie całą zawartą w nim moc.

Dowiedziałam się, na czym polega otwarcie i dlaczego tak ważne w tej fazie jest opanowanie centrum: najmniejszą odległość między dwoma brzegami szachownicy wyznacza ta prosta, która biegnie środkiem. Przyswoiłam więc sobie taktykę gry w środku pola, przekonałam się również, że wynik

starcia dwóch przeciwników zależy od ich koncepcji. Okazuje się, że ten lepszy zawsze ma precyzyjniejsze plany ataku i wychodzenia z opresji. Zrozumiałam, dlaczego w końcu tak istotne jest przewidywanie, matematyczne obliczenie wszystkich możliwych ruchów — oraz cierpliwość; w końcu wszystko staje się jasne i oczywiste dla silnego gracza, niewidoczne zaś dla tego, którego udało się zmęczyć. A skoro tak jest, to znaczy, że w trakcie całej gry trzeba gromadzić w sobie zapas niewidzialnej siły, końcówkę natomiast przewidywać jeszcze przed rozpoczęciem partii.

Teraz już wiedziałam, że nigdy i nikomu nie należy ujawniać pewnych rzeczy, zwłaszcza zaś wyjaśniać „dlaczego”. Ta odrobina wiedzy, którą człowiek zatrzyma tylko dla siebie, to gwarancja przyszłej przewagi. Trzeba starannie zmagazynować zdobytą wiedzę i w odpowiednim momencie wykorzystać. Na tym polega moc szachów. Jest to prawdziwa gra sekretów, które powinno się przeciwnikowi demonstrować, nigdy jednak o nich nie mówić.

Pokochałam tajemnice odkryte na tych sześćdziesięciu czterech czarnych i białych kwadratach. Wyrysowałam sobie własną szachownicę, którą przypięłam do ściany koło łóżka, by wieczorami toczyć na niej wymaginowane potyczki. Wkrótce przestałam przegrywać, jak również tracić swoje „Life Savers”, cóż, kiedy straciłam przeciwników. Winston i Vincent uznali, że zamiast grać ze mną w szachy, wolą ganiać po ulicach w kowbojskich kapeluszach a la Hopalong Cassidy. Orzekli, że to bardziej interesujące.

Wracając któregoś dnia ze szkoły — było to chłodne wiosenne popołudnie — wstąpiłam na plac zabaw przy końcu naszej uliczki. Zebrała się tu grupka starszych panów: dwaj grali w szachy przy składanym stoliku, reszta obserwowała rozgrywkę, ćmiąc fajki i gryząc orzeszki. Pędem pobiegłam do domu po Vincentową szachownicę, spoczywającą w dużym kartonowym pudełku ściśniętym gumową opaską. Starannie wybrałam dwie cenne rolki „Life Savers” i poleciałam z tym wszystkim do parku.

— Ma pan ochotę? — zagadnęłam jednego z kibiców. Zrobił najpierw wielkie oczy, a gdy zobaczył pudełko, które trzymałam pod pachą, omal nie parsknął śmiechem.

— Hm, wiesz co, siostrzyczko? Dużo wody upłynęło od czasu, kiedy zabawiałem się lalkami — powiedział bez złośliwości. Miał miły uśmiech. Zamiast odpowiedzi postawiłam pudełko na ławce, demonstrując, o jaką zabawę mi chodzi.

Szanowny Po, bo tak mi się pozwolił nazywać, okazał się graczem o niebo lepszym od moich braci. Przegrałam z nim wiele razy, tracąc przy okazji sporo „Life Savers”. Jednak w miarę topnienia tych słodkich rezerw przybywało mi tajnej broni — sekretnych szachowych sztuczek. Szanowny Po podał mi ich nazwy: Podwójny Atak ze Wschodniego i Zachodniego Brzegu, Obrzucanie Kamieniami Tonącego, Nagłe Spotkanie Rodzinne, Niespodzianka Śpiącego Strażnika, Uniżony Sługa, który Zabija Króla, Piaskiem w Oczy Nadciągającym Wojskom, Podwójne Zabójstwo bez Rozlewu Krwi.

Uczył mnie też szachowej etykiety, w tym różnych jej drobnych finezji. Ustawiaj pobitych w równe rzędkie — traktuj ich dobrze, jak wziętych do niewoli jeńców. Słowo „szach” wypowiadaj bez zarozumiałstwa, bacz raczej, by dobrze ukryte ostrze nie podcięło ci gardła. Kiedy przegrywasz, nie zrzucaj figur i pionków do piaskownicy, bo później sama będziesz je musiała zbierać, przeprosiwszy wpierych wszystkich obecnych. Przed końcem lata Szanowny Po wyuczył mnie wszystkiego, co sam umiał, ja zaś stałam się niezłą szachistką.

W czasie weekendów zbierał się już koło mnie tłumek miejscowych kibiców i turystów, którzy z zainteresowaniem śledzili moje gładkie zwycięstwa nad kolejnymi przeciwnikami. Już podczas tych parkowych turniejów matka miała zwyczaj przyłączać się do grona obserwatorów. Siedziała z dumną miną na ławce, kwitując komplementy moich fanów tak, jak nakazywała chińska etykieta, a więc z fałszywą skromnością:

— To tylko szczęście.

Pewien człowiek, który widział mnie w akcji, zasugerował jej, że powinna zgodzić się na mój udział w miejscowym turnieju szachowym. W odpowiedzi posłała mu miły uśmiech, który znaczył tyle co nic. Strasznie chciałam zagrać w tym turnieju, ale ugryzłam się w język. Nie puści mnie między cudzoziemców, nie ma mowy, chyba że... W drodze do domu oznajmiłam cichym głosem, że nie chcę uczestniczyć w takim turnieju. Tam będą obowiązywać amerykańskie reguły.

No i w razie gdybym przegrała, przyniosłabym wstyd rodzinie.

— Wstyd jest upaść, kiedy cię nikt nie popycha — zacytowała chińskie przysłowie.

Podczas tego pierwszego turnieju siedziała razem ze mną w pierwszym rzędzie. Czekałam na swoją kolejkę, wierząc się niemiłosiernie i wciąż podrzucając nogami, żeby je odlepić od metalowego siedzenia składanego krzeselka — było zimne, a ja się przylepiałam... dziwne. Podskoczyłam, kiedy wywołano moje nazwisko. Matka rozwiązała leżące na jej kolanach zawiniątko i wydobyła z niego swój *chang* — niewielki płaski wisiorek z czerwonego jadeitu, który zarzył się tak, jakby uwiązał w nim promień słońca.

— Na szczęście — szepnęła, wkładając mi talizman do kieszeni. Odwróciłam się do swego przeciwnika — piętnastoletniego chłopaka z Oakland: marszcząc nos, patrzył na mnie z widoczną niechęcią.

Zaczęliśmy grać i chłopak zniknął mi sprzed oczu, a sala utraciła barwy. Widziałam już tylko moich białych wojowników i przyczajoną po drugiej stronie czarną armię. Koło uszu zawiął mi lekki wiatr. Coś szeptał... sekrety... tylko ja słyszałam jego słowa.

„Uderzaj z Południa — szeleścił. — Wiatr tropów nie pozostawia.” Zobaczyłam przed sobą wyraźnie wytkniętą ścieżkę i wszystkie pułapki, które muszę ominąć. Tłum szemrał. „Sz sz” — odpowiadały kąty. Wiatr zawiął mocniej. „Rzuć piaskiem ze Wschodu, zdeorientuj go.” Skoczek ruszył do przodu — gotów polec. „Uderzaj, uderzaj! — gwizdał wiatr. Głos jego potężniał. — On tego nie widzi. Jest teraz ślepy. Następuj, niech się pochyli w stronę przeciwną do wiatru, wtedy łatwiej zwalisz go z nóg.”

— Szach — powiedziałam, a wiatr zagrzmiał śmiechem i ucichł. Słyszałam już tylko leciutkie dmuchnięcia, coś jakby pykanie z fajki — mój oddech.

Moje pierwsze turniejowe trofeum stanęło obok plastikowego kompletu szachów ofiarowanego mi przez miejscowe stowarzyszenie taoistów. Matka ustawiła to wszystko na honorowym miejscu. Któregoś dnia, starannie przecierając każdą figurę miękką szmatką, zaczęła mi udzielać instrukcji.

— Następnym razem bierz więcej, a mniej oddawaj.

— Mamo, nie w tym rzecz, ile tracisz pionków czy figur

— wyjaśniłam. — Czasami trzeba coś poświęcić, inaczej nie posuniesz się naprzód.

— Zawsze lepiej mniej tracić. Oddawaj, kiedy już naprawdę musisz.

W następnym turnieju znowu wygrałam, ale to moja matka promieniała triumfalnym uśmiechem:

— Teraz straciłaś tylko osiem. Zeszłym razem było jedenaście. A nie mówiłam? Lepiej mniej oddawać! — Zirykowało mnie to, ale zmilczałam.

Wzięłam udział w jeszcze kilku turniejach, przy czym każdy następny odbywał się coraz dalej od domu. Wygrałam wszystkie partie we wszystkich kategoriach. Właściciele chińskiej ciastkarni pod nami prezentowali moją wciąż rosnącą kolekcję szachowych trofeów, eksponując ją pośród zakurzonych ciastek, których chyba od początku świata nie zdejmowano z wystawy. W dzień po zwycięstwie w jakichś ważnych rozgrywkach regionalnych pojawił się tam świeżutki placek

— tym razem pod kloszem. Na polowie z bitej śmietany widniał czerwony napis: „Niech żyje Waverly Jong, szachowa mistrzyni Chinatown!” Niedługo potem trzy firmy — kwaciarnia, grawer nagrobków oraz salon pogrzebowy — zadeklarowały gotowość sponsorowania mojego udziału w turnieju ogólnokrajowym, matka natomiast zwolniła mnie z obowiązku zmywania naczyń. Zadanie to spadło na barki braci.

— Ona może sobie grać, a my mamy odwalać za nią całą robotę! Dlaczego? — jęczał Vincent.

— Takie są nowe reguły — odparła matka — amerykańskie. Meimei, jak gra, to wyteża cały swój umysł, wyciska go jak gąbkę, żeby wygrać. A co warta jest twoja gra? Tyle co wykręcenie ścierki.

W dniu moich dziewiątych urodzin byłam już w posiadaniu tytułu mistrzyni kraju. No, do pozycji arcymistrza brakowało mi dokładnie 429 punktów, ale i tak okrzyknięto mnie Wielką Nadzieją Ameryki, cudownym dzieckiem, jednostką, na którą warto stawiać. W tygodniku „Life” ukazało się moje zdjęcie tuż obok znanej wypowiedzi Bobby Fischera: „Nigdy żadna kobieta nie zostanie arcymistrzem”. „Twój ruch, Bobby” — brzmiał podpis redakcji pod zdjęciem.

W dniu, gdy mnie fotografowano, miałam schludnie zaplecione warkocze, ściśnięte plastikowymi zapinkami, w których lśniły górskie kryształki. Rozgrywki toczyły się w wielkiej auli jakiegoś liceum. Niosły się tu echem soczyste pokasływania oraz pisk gumowych nakładek, w które zaopatrzone nogi od krzeseł, aby chronić świeżo wywoskowany parkiet. Siedzący na wprost mnie Amerykanin był mniej więcej w wieku Szanownego Po, czyli gdzieś koło pięćdziesiątki. Pamiętam, że twarz miał zroszoną potem: przy każdym moim ruchu na jego czole pojawiała się nowa kropelka. Ubrany był w ciemny, mocno czymś cuchnący garnitur. W kieszonce jego marynarki tkwiła biała ogromna chustka, w którą wycierał ręce, ile razy zamierzał sięgnąć po upatrzoną figurę. A sięgał po nie szerokim, zamaszystym gestem.

Ja miałam na sobie szeleszczącą różową sukienkę wykończoną białą koronką, która drapała mnie w szyję. Była to jedna z dwóch nowych kreacji uszytych przez matkę specjalnie na tę okazję. Siedziałam w wystudiowanej pozie, którą mi kazała przybrać dla prasy: łokcie samymi koniuszkami dotykają stołu, podbródek lekko oparty na złożonych dłoniach. Pod stołem wyglądało to trochę inaczej. Jak maluch, który nie może usiedzieć na miejscu podczas jazdy szkolnym autobusem, niecierpliwie fikałam nogami obutymi w lakierki. Przystawałam, kiedy nadchodził moment. Ściągnawszy wargi, podnosiłam wtedy pionka lub hetmana, trochę jakby niepewnie obracałam nim w powietrzu, po czym zdecydowanym ruchem stawiałam swego wojownika na następnej groźnej pozycji. Na koniec rzucałam przeciwnikowi triumfalny uśmiech.

Nie grywałam już na tyłach Waverly Place. Nie miałam czasu odwiedzać placu zabaw, gdzie nadal zbierały się stada gołębi i grupki chińskich starszych panów. Szłam do szkoły, a stamtąd prosto do domu uczyć się coraz to nowych sekretów szachowej strategii: czy można jeszcze sprytniej wykorzystać niewidoczną przewagę? Jak znaleźć nowe drogi ucieczki.

W domu trudno było jednak się skupić. Wystarczyło, że zasiadłam nad szachownicą, by obmyślić plan jakiejś rozgrywki, natychmiast zjawiała się matka i stawała mi nad głową. Uważała się chyba za mego duchowego sojusznika. Stała

z zaciśniętymi ustami, tylko przy każdym moim ruchu wypuszczała nosem powietrze, wydając z siebie przeciągle „hmmmf”.

— Mamo, nie mogę ćwiczyć, kiedy tak nade mną stoisz

— powiedziała jej w końcu. Wycofała się do kuchni, skąd natychmiast rozległo się głośnie szczekanie garnkami. Po chwili ucichło. Zerknęłam spod oka i zauważyłam, że stoi w drzwiach. „Hmmmf — tylko to wydobyło się z jej ściśniętego gardła.

O tak, rodzice poczynili sporo ustępstw na moją korzyść. Kiedy zaczęłam narzekać na hałas we wspólnej sypialni i że nie mogę tam myśleć, moi bracia zostali przeniesieni do saloniku. Powiedziałam pewnego razu, że nie mogę zjeść tyle ryżu, bo przeładowany żołądek źle wpływa na pracę mózgu — i bez gadania pozwolono mi połowę zostawić. Jednego tylko nie byłam w stanie uniknąć: chodzenia z matką na sobotnie zakupy

— w te dni, kiedy nie grałam. Było to okropne. Paradowała ze mną po ulicy, co chwila wstępowała do jakiegoś sklepu, chociaż prawie nic nie kupowała.

— To moja córka, Waverly Jong — mówiła każdemu, kogo zobaczyła po drodze.

Pewnego dnia po wyjściu z jakiegoś sklepu bąknęłam:

— Wolałabym, żebyś tego nie robiła. Czy musisz tak wszystkim mówić, że jestem twoją córką?

Moja matka stanęła jak wryta, tamując ruch na zatłoczonym chodniku. Obładowani zakupami ludzie zaczęli przeciskać się obok nas skrajem trotuaru, wpadać na siebie i popychać.

— *Ajja!* To taki wstyd iść z matką? — spiorunowała mnie wzrokiem i mocniej chwyciła za rękę.

Spuściłam oczy.

— Nie o to chodzi. Tylko że... tak na pokaz... To mnie krępuje.

— Krępuje cię, że jesteś moją córką? — głos jej załamał się z gniewu.

— Nie to miałam na myśli. Wcale tak nie powiedziałam.

— A co powiedziałaś?

Rozsądek mi podpowiadał, że nic już nie powinnam mówić, a jednak usłyszałam własny głos:

— Dlaczego wciąż się mną popisujesz? Jeżeli tak to lubisz, sama naucz się grać w szachy!

Oczy mojej matki zwęziły się niebezpiecznie: przypominały teraz dwie wąskie czarne szparki, jednak nie raczyła się do mnie odezwać. Za taką niegodziwość należało mi się najwyższej ciężkie jak kamień milczenie.

Poczułam, że zrywa się wiatr i mknie z głośnym świstem tuż koło moich rozpalonych uszu. Gwałtownym szarpnięciem wyrwałam rękę z ciasnego uścisku matki, obróciłam się dookoła własnej osi i... wpadłam na jakąś starszą kobietę. Z jej torby posypały się zakupy.

— *Ajja*\ Głupia smarkata! — zawołały unisono moja matka i poszkodowana. Pomarańcze i puszki toczyły się po chodniku. Matka przykucnęła, by pomóc starszej osobie pozbierać umykającą żywność, a ja korzystając z tego, wzięłam nogi za pas.

Gnałam na łeb, na szyję, roztrącając ludzi, nie zważając na ostre okrzyki matki: „Meimei! Meimei!” Skreśliłam w jakiś zaułek, biegłam pośród małych, ciemnych sklepików o zasłoniętych firankami oknami, mijałam właścicieli zajętych myciem brudnych szyb i nagle wybiegłam na słońce. Znalazłam się na szerokiej, ludnej ulicy wypełnionej tłumem zagranicznych turystów... oglądali pamiątki, kupowali jakieś błyskotki... Dałam nurka w najbliższą wąską uliczkę, przebiegłam ją i wpadłam w następną. Biegłam tak, póki nie poczułam ostrego bólu w piersiach, póki nie dotarło do mojej świadomości, że nie mam dokąd uciekać. Od niczego nie zdołam uciec. Z tych uliczek nie ma zresztą wyjścia.

Oddech wydobywał się ze mnie z trudem, był jak kłęby duszącego dymu. Było zimno. Przysiadłam na odwróconym plastikowym wiadrze obok sterty jakichś pustych pudeł, podparłam brodę rękami i zaczęłam intensywnie myśleć. Co robi matka? Najpierw pewnie przeszukała najbliższe ulice, a potem dała spokój i poszła do domu. Teraz czeka na mój powrót. Po dwóch godzinach podniosłam się wreszcie i powlokłam do domu. Nogi miałam jakby... zardzewiałe.

Na Waverly Place panowała cisza. Żółtawo oświetlone okna naszego mieszkania mrugały na mnie w mroku niby dwa tygrysie oczka. Na paluszkach wdrapałam się na schody — szesnaście stopni — nie chcąc z góry uprzedzić o swoim

powrocie. Nacisnęłam kłamkę — drzwi były zamknięte. Usłyszałam odgłos odsuwanego krzesła, szybkie kroki, trzykrotne zgrzytnięcie zamka, i w otwartych drzwiach ukazał się Vincent.

— No, najwyższy czas! — mruknął. — O rany, ale kiepską masz sprawę!

Zostawił mnie i chyłkiem wśliznął się na swoje miejsce przy stole. Na półmisku leżały szczątki wielkiej ryby. Nie tknięta głowa wciąż jeszcze przylegała do czysto obranego szkieletu... ta ryba zdawała się płynąć pod prąd w daremnej chęci ucieczki... Gdy tak w milczeniu czekałam na nieuchronną karę, dobiegł mnie oziębły głos matki:

— Ta dziewczyna nic nas nie obchodzi. My też jej nie obchodzimy.

Nikt na mnie nie spojrział. Kościane pałeczki głośno dzwoniły o dno pospiesznie opróżnianych misek.

Poszłam do sypialni. Zamknęłam drzwi i położyłam się do łóżka. W pokoju było ciemno, żył tylko sufit, na którym światło padające z sąsiedniego mieszkania — tam też jedli kolację — rysowało niewyraźne ruchome cienie.

Zobaczyłam w wyobraźni dziwną scenę. Siedzę przed wielką planszą o sześćdziesięciu czterech czarno-białych polach. Moja przeciwniczka ma zamiast oczu gniewne czarne szparki, a na ustach triumfalny uśmiech.

— Wiatru, nawet najsilniejszego, nie widać — mówi. Przez równinę z wolna sunie jej czarne wojsko, zwartą

marszową kolumną punkt po punkcie zajmuje moje terytoria. Moi biali wojownicy pierzchają w popłochu, widzę, jak z dzikim wrzaskiem spadają z planszy. W miarę jak czarni, wciąż postępując naprzód, zbliżają się do krawędzi, czuję, że moje ciało staje się coraz lżejsze... Tak lekkie, że wzbijam się w powietrze, wyfruwam przez okno i lecę... Unoszę się coraz wyżej, lecę nad uliczką, nad dachami domów i tu porywa mnie wichur. Jego potężny podmuch rzuca mnie hen, w nocne niebo, aż wszystko pode mną znika... Jestem sama.

Zamknęłam oczy i zaczęłam obmyślać następne posunięcie.

Lena St. Clair
GŁOS ZZA ŚCIANY

Byłam jeszcze malutka, gdy matka opowiedziała mi tę oto historię: mój pradziadek skazał jakiegoś żebraka na śmierć — był to wyjątkowo okrutny rodzaj śmierci — i po tej straszliwej egzekucji zmarły powrócił z zaświatów, by zgładzić mojego przodka. Było i drugie zakończenie tej historii: pradziadek zmarł w tydzień po wykonaniu wyroku — na gripę.

Od tej pory wciąż stawały mi przed oczyma ostatnie chwile nieszczęsnego skazańca — tak jak podsuwała mi je wyobraźnia. Widziałam, jak kat zdziera z tego człowieka koszulę i prowadzi go na miejsce egzekucji. „Ten zdrajca — głośno odczytuje wyrok — umrze od tysiąca cięć mieczem.” Błyska śmiercionośne ostrze, lecz nim miecz spadnie na ciało żebraka, widać już, że jego rozum sam rozpękł się na tysiąc kawałków! W parę dni później mój pradziadek podnosi oczy znad księgi i widzi przed sobą tego posiekanego człowieka! Wygląda on teraz jak stłuczona waza byle jak posklejana ze skorup. „Kiedy ćwiartowano moje ciało — powiada duch — myślałem, że nic straszniejszego nie może mnie już nigdy spotkać, myliłem się jednak. Jeszcze gorzej jest po tamtej stronie.” Mówiąc to, zmarły obejmuje mego pradziadka tym pokiereszowanym ramieniem przypominającym siekane mięso, i przeciąga go przez ścianę, aby mu pokazać, jak okropnie jest po drugiej stronie.

Spytałam kiedyś matkę, jak to było naprawdę. — Umarł w łóżku — odparła — bardzo szybko. Chorował ledwo dwa dni.

— Nie chodzi mi pradziadka, tylko o tego drugiego. W jaki sposób go zabijali? Czy najpierw odarli ze skóry? Czy pogruchotali mu kości takim toporem, jakiego używa rzeźnik? A on, czy długo krzyczał? Czy bolało go do samego końca, aż do tego tysięcznego cięcia?

— Mmm! Czemuż to wam, Amerykanom, wciąż chodzą po głowach same takie chorobliwe myśli! —wykrzyknęła moja matka po chińsku. — Ten człowiek nie żyje już przecież od prawie siedemdziesięciu lat! Co za różnica, jak umarł?

Dla mnie miało to znaczenie. Uważałam, że warto wiedzieć, jaka jest ta najgorsza rzecz, która może się człowiekowi przydarzyć, jak jej uniknąć, jak nie dać się zaczarować temu, o czym strach nawet mówić. Bo już jako małe dziecko czułam, że dom nasz oblegają niemożliwe do nazwania strachy, te, które ścigają moją matkę, a ona stara się przed nimi schronić w najciemniejszym zakątku swego umysłu. A i tam ją przecież dopadały. Latami widziałam, jak ją pożerają kawałek po kawałeczku, a ona pomału niknie i staje się duchem.

O ile dobrze pamiętam, ta mroczna strona osobowości mojej matki doszła nagle do głosu w naszym starym domu w Oakland — w związku z piwnicą. Matka próbowała to przede mną ukryć — byłam wtedy pięcioletnim dzieckiem — rozbudziła jednak moją ciekawość: dlaczego drzwi do piwnicy zabarykadowała krzesłem? Dlaczego zamknęła je na dwa zamki i jeszcze zabezpieczyła łańcuchem? Zagadka ta korciła mnie do tego stopnia, że póty poświęcałam jej całą siłę i zrećność swoich dziecięcych palców — aż wreszcie mi się udało! Drzwi otworzyły się nagle, a ja w tej samej chwili runęłam głową na dół w ciemną przepaść. Dopiero kiedy przestałam wrzeszczeć — przeraziła mnie kapiąca na ramię matki krew z mego rozbitego nosa — dopiero wtedy mi powiedziała, dlaczego nigdy więcej nie powinnam otwierać tych drzwi: w piwnicy mieszka straszny człowiek! Żyje on tam od tysięcy lat, powiedziała, a taki jest zły i żarłoczny, że gdyby natychmiast nie przybiegła mnie ratować, ten potwór zrobiłby mi pięcioro dzieci, po czym zjadłby nas wszystkich na jeden obiad, zaś nasze ogryzione kości turlałyby sobie po brudnej podłodze.

Od tego czasu zaczęłam widywać różne okropności. Widziałam je swymi chińskimi oczyma, które odziedziczyłam po matce. Na dnie dziury wykopanej w piaskownicy uwijały się diabły. Błyskawica miała oczy i wypatrywała małych dzieci. Żuka z buzią dziecka co szybciej najechałam swoim trójkołowcem, tak że pozostała z niego tylko miazga. Kiedy podrosłam, nadal zwidywały mi się rzeczy, których nie widziała żadna z moich amerykańskich koleżanek. „Małpie pierścienie”*, które pękają na pół, wyrzucając huśtające się dziecko gdzieś aż w przestrzeń kosmiczną, zbłąkane piłki, które ni stąd, ni zowąd rozbijają się człowiekowi na głowie, obryzgując go jakimś paskudztwem ku uciesze wyjących ze śmiechu kolegów/

Nie mówiłam o tym nikomu, nawet matce. Większość mego otoczenia nie wiedziała, że jestem w połowie Chinką — może dlatego, że nosiłam nazwisko St. Clair. Na pierwszy rzut oka uważano mnie za skórę zdartą z ojca, Anglo-Irlanicyka — byłam tak jak on grubokoścista i zarazem delikatna. Gdyby ktoś jednak przyjrzał mi się naprawdę uważnie, wiedząc w dodatku, czego szuka, odkryłby bez trudu moje chińskie dziedzictwo. Mój ojciec miał policzki złożone jak gdyby z samych ostrych kantów, moje natomiast rysowały się miękko jak dobrze wygładzone kamyki morskie. Nie odziedziczyłam po nim ani płowych włosów, ani białej skóry; moja cera sprawiała tylko wrażenie zbyt bladej — kojarzyła się z czymś pierwotnie ciemniejszym, co z czasem wyblakło od słońca.

Wreszcie moje oczy — wzięłam je w spadku po matce — te oczy prawie bez powiek... Przypominały wąskie szczeliny wycięte dwoma pociągnięciami noża w hallowe'enowej dyni. Rozciągałam palcami kąciki, żeby stały się okrągłej sze, albo otwierałam je jak najszerzej — tak że widać mi było białka. Ojciec zdziwił się kiedyś na mój widok: czemu jestem taka wystraszona, spytał.

Mam starą fotografię matki z takim samym wyrazem twarzy. Wiem od ojca, w jakich okolicznościach to zdjęcie powstało. Mama wyszła akurat z Urzędu Imigracyjnego na

* „Małpie pierścienie” — urządzenie na placu zabaw, sferyczne konstrukcje z metalowych prętów do huśtania się i wspinania (przyp. tłum.).

Angel Island, który dopiero po trzech tygodniach proceduralnych korowodów udzielił jej zezwolenia na wjazd do Stanów. Trwało to tak długo, ponieważ urzędnicy nie mogli się zdecydować, do jakiej ją zaliczyć kategorii: „wojenna żona”, „uciekinierka”, „studentka”, a może „żona obywatela chirisko-amerykańskiego”? Ojciec mówił, że brakowało przepisów regulujących przypadek mamy: chińskiej żony białego Amerykanina. W końcu, gdy już pogubili się zupełnie w tym oceanie biurokracji, uznali ją za „uchodźczynię” — osobę bez stałego miejsca pobytu.

Nie słyszałam, żeby matka kiedykolwiek opowiadała o tym, jak jej się żyło w Chinach; ojciec mówił tylko, że wyrwał ją ze strasznych warunków. Przeżyła tam podobno jakąś tragedię — ale jaką? Nikt tego nie wie do dzisiaj. W dokumentach imigracyjnych ojciec dumnie wypisał „Betty St. Clair”, przekreślając jej rodowe imię „Gu Ying-ying”, zaś w rubryce „rok urodzenia” pomyłkowo podał „1916” zamiast „1914”. I tak oto za jednym zamachem moja matka straciła zarówno imię, jak i charakter — bo z Tygrysa zamieniła się w Smoka.

Na tym zdjęciu rzeczywiście wygląda na osobę pozbawioną swego miejsca na ziemi. Kurczowo ściska w rękach dużą torbę w kształcie małża, jakby się bała, że i to także ktoś jej zaraz ukradnie, jeśli choć na chwilę przestanie się mieć na baczności. Ma na sobie chińską suknię do kostek, ze skromnymi rozcięciami po bokach, i modny wtedy żakiet w stylu zachodnim, wzorowany na męskiej marynarce — wywatowane ramiona, szerokie klapy, zbyt duże obciagane guziki. Ten sztywny uniform leży wręcz fatalnie na jej drobnej figurce. Był to ślubny strój mojej matki — podobno prezent od ojca. Wygląda w tym ekwipunku nie tylko jak osoba pozbawiona miejsca pochodzenia, ale i taka, która nie ma też dokąd jechać. Na pochylonej głowie widać staranny przedziałek — taką białą, równiutką kreskę rozpoczynającą się nad lewą brwią. Przypomina ścieżynkę przecinającą aż po horyzont czarną płaszczyznę włosów.

To pochylenie głowy, nasuwające myśl o pełnym pokory poddaniu się losowi, nie przeszkadza jej patrzeć szeroko otwartymi oczami gdzieś obok kamery.

— Dlaczego jest taka przerażona? — zapytałam ojca.

Po prostu dlatego, że właśnie powiedział „cheese”, więc matka bardzo się starała nie zamknąć oczu, kiedy błysnie flesz, co nastąpiło w dziesięć sekund później — wyjaśnił.

Tylko że moja matka wyglądała tak bardzo często. Jakby czekała na coś strasznego, co na pewno musi się zdarzyć. Z tą różnicą, że później nie starała się już mieć otwartych oczu. Brakowało jej siły.

— Nie patrz na nią — szłyśmy przez Chinatown w Oakland. Chwyliła mnie za rękę i przyciągnęła do siebie. Miałam nie patrzeć? Niemożliwe. Zobaczyłam siedzącą na chodniku kobietę, opartą plecami o ścianę. Dziwne, ale wydawała się równocześnie i stara, i młoda. Miała takie nieprzytomne oczy, jakby od stu lat nie spała. Ach, a jej ręce i stopy!... czubki palców były zupełnie czarne — wysmarowała je sobie atramentem? Nie. Wiedziałam, że to gangrena.

— Co ona sobie zrobiła? — spytałam szeptem.

— Poznała złego człowieka i miała dziecko, którego nie chciała.

Wcale w to nie uwierzyłam. Wiedziałam, że matka zmyśla rozmaite rzeczy po to, żeby mnie przestrzec przed jakimś niebezpieczeństwem (tylko jakim?) albo też przed czymś uchronić. Wszędzie widziała niebezpieczeństwo — groźni byli nawet miejscowi Chińczycy. Zarówno ci, którzy mieszkali obok nas, jak i ludzie spotykani w sklepach, wszyscy mówili po kantońsku albo po angielsku, podczas gdy moja matka

— jako że pochodziła z okolic Szanghaju, z miasta Wuxi

— mówiła tylko dialektem ogólnochińskim, no i troszeczkę po angielsku. Ojciec bezskutecznie nalegał, żeby wreszcie nauczyła się tego języka, gdyż z kolei jego chińszczyzna ograniczała się do paru utartych zwrotów. W tej sytuacji porozumiewali się ze sobą z niejaką trudnością. Matka wykorzystywała do tego celu miny i gesty, spojrzenia i zamilknięcia, czasami tylko rzucała parę niepewnych słów po angielsku, przerywanych pełnym frustracji okrzykiem: *Shuo buchulai!* — „Nie potrafię tego wymówić!” Tak więc to zwykle ojciec mówił za nią.

— Mama chce powiedzieć, że jest zmęczona — szeptał do mnie, kiedy nagle stawała się markotna.

— Do licha, mówi, że w tym kraju nie ma szczęśliwszej rodziny niż nasza! — wykrzykiwał z entuzjazmem, chłonąc wspaniały aromat świeżo ugotowanych potraw.

Kiedy byliśmy same, matka mówiła po chińsku, i to takie rzeczy, o których ojcu nawet by się nie śniło. Czy ją rozumiałam? Każde słowo z osobna i owszem, ale ich prawdziwe znaczenie, intencje? Z tym było o wiele gorzej, zwłaszcza że między jednym i drugim zdaniem nie zawsze istniał logiczny związek.

— Nie wolno ci nigdzie zbaczać w drodze do szkoły. Masz iść prosto, a potem zaraz wracać do domu — przykazała mi surowo, kiedy doszła do wniosku, że może mnie już nie odprowadzać.

— Dlaczego?

— Nawet jak ci powiem, i tak nie zrozumiesz.

— Dlaczego nie zrozumiem?

— Dlatego, że pewnych rzeczy nie włożyłam ci jeszcze do głowy.

— To dlaczego nie włożyłaś?

— *Ajjal* Te twoje pytania! Bo to takie rzeczy, że strach nawet o nich mówić. Ktoś może cię porwać i sprzedać, może ci zrobić dziecko, a ty je później zabijesz. A co będzie, jak znajdą to dziecko w śmieciach? Pójdiesz na całe życie do więzienia.

Wiedziałam, że to nieprawda. Sama też zmyślałam różne kłamstwa; na przykład, żeby zażegnać coś złego, co mogło mi się przydarzyć... Często okłamywałam matkę, kiedy zmuszona byłam tłumaczyć jej niezliczone formularze urzędowe, instrukcje obsługi, notatki w dzienniczku, rozmowy telefoniczne. *Shenma yisi?* — „O co chodzi?” — spytała pewnego razu w sklepie spożywczym, gdy sprzedawca zaczął na nią krzyczeć, że nie wolno otwierać słoików. Kto to widział wahać zawartość? Pod wpływem strasznego zakłopotania powiedziałam matce, że Chińczykom nie wolno tu kupować. Kiedy szkoła nadesłała zawiadomienie o szczepieniu przeciwko polio, poinformowałam ją zgodnie z prawdą o terminie i miejscu zabiegu, od siebie dodałam jednakowoż pewne żądanie, które miało jakoby dotyczyć wszystkich uczniów: drugie śniadania należy

odtąd pakować do metalowych puszek, odkryto bowiem, że stare papierowe torebki roznoszą zarazki polio.

— Idziemy w górę — z dumą oznajmił ojciec przy okazji swego awansu na kierownika działu sprzedaży w firmie produkującej konfekcję. — Twoja matka jest tym poruszona.

I tak poszliśmy w górę. Przepłynawszy na drugą stronę zatoki — z Oakland do San Francisco — znaleźliśmy się na wzgórzu w North Beach, w okolicy zamieszkaney przez prawie samych Włochów. Było tu tak stromo, że powrót ze szkoły przypominał wspinaczkę górską. Miałam już dziesięć lat. Przepelniała mnie nadzieja, że wszystkie dręczące nas strachy pozostawiliśmy w starym domu w Oakland.

Nasz nowy dom był dwupiętrowy — na każdej kondygnacji znajdowały się dwa mieszkania. Jego odnowioną fasadę pokrywała świeża warstwa białej sztukaterii, po której pięły się rzędy połączonych ze sobą metalowych drabinek przeciwpożarowych, ale w środku — w środku był stary. Frontowe drzwi ozdobione kratką wąskich szybek prowadziły do zatechłego korytarza, gdzie mieszały się specyficzne zapachy wszystkich sześciu rodzin. Na drzwiach — obok malutkich guziczków — widniały ich nazwiska: Anderson, Giordino, Hayman, Ricci, Sorci, no i nasze — St. Clair. Mieszkaliśmy na pierwszym piętrze, wciśnięci między napływające z dołu zapachy kuchni a spływające z góry odgłosy kroków. Okno mojej sypialni wychodziło na ulicę. Leżąc w ciemności w łóżku, wyobrażałam sobie, co się tam dzieje. Zaraz da się słyszeć basowe wycie silników zmuszanych do najwyższego wysiłku i szum buksujących kół... samochody z trudem brną pod górę... całe wzgórze spowija wieczorna mgła... śmiech, sapanie, donośne „uff, okrzyki „jesteśmy już chyba na miejscu?“... weseli, rozbawieni ludzie... Pies myśliwski zanieś się wyciem, odpowiedzą mu syreny wozów strażackich, rozlegnie się gniewne syknięcie właścicielki: „Cicho bądź, Sammy! Niedobry piesek!“ Wśród tych tak kojąco łatwych do przewidzenia zdarzeń bardzo szybko zapadałam w sen.

Matce nie podobało się nowe mieszkanie, chociaż ja nie od razu zdałam sobie z tego sprawę. Z początku wydawała się naprawdę zaabsorbowana ustawianiem mebli, rozpakowywaniem porcelany, zawieszaniem obrazów i innych ozdób, ale trwało to nie dłużej niż tydzień. Zdarzył się wtedy indycent, który ją wytrącił z równowagi.

Szłyśmy właśnie w stronę przystanku autobusowego, gdy pojawił się ten dziwny człowiek, Chińczyk. Miał strasznie czerwoną twarz, a posuwał się naprzód takim niepewnym zygzakiem, jakby nie wiedział, gdzie jest, czy co, i nagle jego rozbiegane oczka zatrzymały się na nas! Stanął raptem, wyprostował się i krzyknął:

— Ha, mam cię, Suzie Wong!* Odnalazłem cię w końcu, dziewczyno moich marzeń! — rozpostarł ramiona, otworzył usta i rzucił się ku nam pędem.

Matka puściła mój nadgarstek i zasłoniła rękami własne ciało — zupełnie jakby była naga... jakby nic innego nie pozostawało jej już do zrobienia. Ja zaczęłam wrzeszczeć na całe gardło. Darłam się jeszcze i wtedy, kiedy dwóch roześmianych mężczyzn pochwyliło tego człowieka i zaczęło nim mocno potrząsać:

— Joe, przestań na litość boską! Na śmierć przeraziłeś to biedactwo i jej opiekunkę!

Przez cały ten dzień — podczas jazdy autobusem i w sklepach, gdzie robiłyśmy zakupy na kolację — matka bez przerwy drżała. Tak kurczowo trzymała mnie za rękę, że sprawiała mi tym ból. Gdy więc nadarzyła się okazja (przy wyjmowaniu portmonetki zmuszona była mnie na chwilę puścić), spróbowałam jej się wysliznąć, zwłaszcza że akurat wpadły mi w oko jakieś słodczyce. Gdzie tam! Po szybkości, z jaką uchwyciła mój nadgarstek, nietrudno było odgadnąć, co czuje: nie może sobie wybaczyć, że nie podjęła walki w obronie swego dziecka.

W domu natychmiast zajęła się wypakowywaniem zakupów i ustawianiem ich w szafkach. Kiedy już to zrobiła, spojrzała na półki, zupełnie jakby coś ją tknęło, jakby doszła do wniosku, że taki układ jest bardzo niedobry. Szybko pozdej-

*** Suzie Wong — szeroko spopularyzowana przez prasę amerykańską przywódczyni piratów operujących na Morzu Wschodnio-Chińskim i Południowo-Chińskim w latach 1960—1970.**

mowała puszki z dwóch pólek i zamieniła je miejscami, a potem zaraz poszła do salonu, gdzie również dokonała zmian: przewiesiła okrągłe lustro ze ściany naprzeciw drzwi na tę, przy której stała sofa.

— Co robisz? — spytałam zdziwiona.

Wyszeptała po chińsku coś „o przedmiotach, którym brak równowagi”, pomyślałam więc, że chodzi o ich kompozycję, a nie o to, że nierówno stoją, ona tymczasem wzięła się do przesuwania cięższych mebli: sofy, foteli, stolików. Przewiesiła nawet chiński zwój przedstawiający złote rybki.

— Co tu się dzieje? — spytał ojciec po powrocie z pracy.

— Mama chce, żeby było ładniej.

Następnego dnia zastałam znów wszystko dokładnie poprzesztawiane. Poczułam, że grozi nam jakieś niebezpieczeństwo. Coś wisiało w powietrzu.

— Dlaczego to robisz? — Drżałam na myśl, że tym razem może mi powiedzieć prawdę, ale nie. Na szczęście zaczęła znów pleść jakieś chińskie bzdury.

— Kiedy coś dzieje się przeciw naturze — mamrotała szeptem — tracimy równowagę. Ten dom stoi na zbyt stromym zboczu... zły wiatr ze szczytu odbiera nam siły, spycha w dół... nie można iść naprzód... zrobisz krok i stoczysz się z powrotem... To mieszkanie... — wymierzyła palec w drzwi — widzisz to wejście? Wąskie jak szyja, na której zaciśnięto pętlę. A to, że naprzeciw kuchni jest ubikacja? Całe nasze bogactwo spływa z wodą.

— Ale co to ma za znaczenie? Co takiego może się stać, jeśli nawet brakuje równowagi?

Ojciec wytłumaczył mi to po swojemu:

— Twoja matka po prostu wije gniazdo. Odezwał się w niej taki instynkt, rozumiesz? Zdarza się to wszystkim matkom. Sama się przekonasz, jak będziesz starsza.

Dziwiło mnie, że ojciec niczym się nie przejmuje. Czyżby był ślepy? Jak on może nie widzieć tego, co my obie widzimy tak dobrze?

Musiałam po paru dniach przyznać, że to jednak ojciec miał rację. Wróciłam ze szkoły, weszłam do swojego pokoju i zobaczyłam, że moje łóżko zmieniło położenie! Stało teraz przy ścianie, a jego dotychczasowe miejsce pod oknem zajęła używana kołyska! Więc to jest ten sekret, to tajemnicze

niebezpieczeństwo! Mamie rośnie brzusek i to ją wytrąciło z równowagi!
Mama spodziewa się dziecka!

— Rozumiesz teraz — ojciec też wpatrywał się w kołyskę

— co to jest instynkt wicia gniazda. No i masz gniazdko. Niedługo znajdzie się tu pisklę. — Taki był szczęśliwy na samą myśl o lokatorze tej kołyski!

Nie widział tego, co ja zaobserwowałam w niedługi czas później. Matka zaczęła wpadać na meble. A kiedy tak obijała się brzuchem o rogi od stołu, można było pomyśleć, że nie tylko wcale nie pamięta o dziecku, ale nawet specjalnie szuka nieszczęścia. Jakoś nie cieszyła jej perspektywa posiadania tego dziecka, w każdym razie nic na ten temat nie mówiła. Narzekała tylko, że czuje się ociężała, że przedmiotom brakuje równowagi, że nie ma między nimi żadnej harmonii. Martwiłam się więc o to małe... że tak wciąż nabija się na coś w pół drogi między brzuchem mamy a tą kołyską w mojej sypialni.

Po przestawieniu łóżka pod ścianę moje nocne fantazje uległy zasadniczej zmianie. Zamiast dźwięków ulicznych zaczęłam teraz słyszeć głosy zza ściany. Dobiegały z sąsiedniego mieszkania, które zgodnie z wizytówką na bramie zajmowała rodzina niejakich Sorcich.

Zaraz pierwszej nocy doszły mnie czyjeś stłumione krzyki. Kobieta? Dziewczynka? Przycisnąwszy ucho do ściany, rozpoznałam gniewny głos kobiety, a potem drugi, wyższy

— dziewczynka! Odszczekiwała się komuś, pewnie matce. Głosy te zmieniały natężenie jak syreny wozów strażackich skręcających w naszą ulicę — wzmagaly się, to znów cichły, tak że niektórych słów zupełnie nie było słychać: „Do kogo ja mówię!... Czemu ty się tak na mnie pieklisz?... To wynoś się do diabła!... Lepiej już paść trupem, lepiej nie żyć!... A kto ci broni?!...”

Usłyszałam teraz jakieś trzaski, odgłosy szamotaniny, znów krzyki, a potem głucho uderzenia. Moja wyobraźnia poszła w ruch: Kogoś zabijają. Ten wrzask... to dlatego, że matka wznosi miecz nad głową córki... zaczyna siekać ją na kawałki! Na pierwszy ogień idzie warkocz, potem wszystkie włosy razem ze skórą, potem brew, duży palec u nogi, kciuk, kawałek policzka, czubek nosa... i tak aż do końca... aż nic nie zostanie, aż umilkną krzyki...

Opadłam na poduszkę z gwałtownie bijącym sercem. To, co usłyszałam, i to, co sobie uroiłam, zlało mi się w jedno. Przed chwilą zabito dziewczynkę, a ja przysłuchiwałam się egzekucji, ba! nie mogłam się od tego powstrzymać. I nic nie zrobiłam, żeby uratować to biedactwo! Co za okropność!

I oto następnej nocy ta nieszczęsna ofiara zmartwychwstała! Wrzeszczała jeszcze głośniej, a bito ją bodaj jeszcze mocniej. Jej życie znowu wisiało na włosku. I tak to trwało

— noc w noc. A ze ściany sączył mi się w ucho jakiś głos. Mówił, że to właśnie jest to najgorsze, co się może człowiekowi zdarzyć: nie wiedzieć, czy ta męka kiedykolwiek się skończy

— nie mieć na to żadnej nadziei.

Czasami też i w dzień słyszałam odgłosy rodzinnych utarczek naszych sąsiadów, choć dzieliła nas od nich cała szerokość korytarza. Ich mieszkanie znajdowało się przy schodach na drugie piętro, nasze — przy części prowadzącej do dolnego hallu.

— Jak sobie nogi połamiesz, zjeżdżając po tej poręczy, to ja skrećę ci kark! — krzyczała kobieta. Po tych słowach na schodach rozlegał się wściekły tupot. — I odbierz garnitur tatusia! Pamiętaj!

Tak gruntownie już znałam gehennę tej biednej dziewczyny, że kiedy ją wreszcie zobaczyłam, z wrażenia dosłownie wryło mnie w ziemię. Właśnie otwierałam sobie ciężkie drzwi wejściowe, balansując cały naręczem książek, no i przypadkiem spojrzałam przez ramię: była na schodach, w odległości paru zaledwie metrów! Kwiknęłam i wszystko wyleciało mi z ręki. Po tym, jak prychnęła, od razu poznałam, kim jest ta wysoka dziewczyna. Miała na oko tak ze dwanaście lat — o dwa więcej ode mnie. Piorunem zbiegła ze schodów, a ja też co prędzej pozbierałam książki i zaczęłam iść za nią, przezornie trzymając się drugiej strony ulicy.

Nie wyglądała na dziewczynę, którą setki razy zabijano... żadnych śladów krwi na ubraniu... Miała na sobie białą wykrochmaloną bluzkę, niebieski kardigan i niebieskawozieloną plisowaną spódniczkę. Sądząc po tym, jak wesoło pod-

skakiwały te jej dwa brązowe warkocze, można by pomyśleć, że jest całkiem zadowolona z życia. W pewnej chwili, jakby wyczuwając, że o niej myślę, odwróciła głowę i rzuciła mi chmurne spojrzenie, a potem szybko dała nurka w jakąś boczną uliczkę, i tak zniknęła mi z oczu.

Od tej pory, ile razy ją widziałam, spuszczałam głowę, poprawiałam książki albo udawałam, że zapinam guziki. Czułam się winna temu, że wiem o niej wszystko.

Pewnego dnia w szkole zjawili się ciocia Su i wuj Canning, przyjaciele moich rodziców. Powiedzieli, że jedziemy do szpitala odwiedzić matkę. Wiedziałam, że musiało stać się coś złego, bo cały czas mówili niepotrzebne rzeczy, za to bardzo poważnym tonem.

— Już czwarta — oznajmił wuj, spoglądając na zegarek.

— Ten autobus zawsze się spóźnia — powiedziała głębokim głosem ciocia Su.

Kiedy dotarliśmy do szpitala, matka rzucała się na łóżku tak jakoś półprzytomnie — czyżby spała? Nie, otworzyła w pewnej chwili oczy i wlepiła nieruchomy wzrok w sufit.

— To moja wina, moja! — wybełkotała. — Wiedziałam, że tak się stanie, i nic nie zrobiłam! Nie zapobiegłam...

— Betty, moja kochana, Betty! — gorączkowo uspokajał ją ojciec, ale z ust matki wciąż wydobywał się potok samooskarżeń. Kiedy chwyciła mnie za rękę, poczułam, że cała się trzęsie. I tak dziwnie na mnie spojrzała! Zupełnie, jakby błagała o darowanie życia — mnie! Dlaczego zwracała się o to do mnie? Czy leżało to w mojej mocy? Nadal mamrotała coś po chińsku.

— Lena, co ona mówi? — krzyknął ojciec. Raz przynajmniej zabrakło mu słów, które mógłby włożyć jej w usta. Ale i ja tym razem nie miałam żadnej gotowej odpowiedzi. Zmroziła mnie myśl, że stało się to najgorsze, że spełniły się jej obawy. Teraz to już nie są złe przeczucia, to prawda. Zaczęłam przysłuchiwać się jej mamrotaniu.

— Kiedy to dzieciątko miało się urodzić, słyszałam jego krzyk tam w łonie... On nie chciał wyjść na świat! Ach, jak czepiał się mnie tymi malutkimi paluszkami! A tu wszyscy, położne i doktor, kazali mi przeciw, kazali mi go wypchnąć z siebie. A jak pokazała się główka, to oni wszyscy w krzyk: „Dziecko ma otwarte oczy! Ono wszystko widzi!” Potem wysunęło się całe ciało i leżał na tym stole, był żywy, oddychał...

Widziałam go całego bardzo dobrze... malusieńkie nóżki i rączki, cieniutką szyjkę... a potem zobaczyłam wielką głowę, taką straszną, że nie mogłam oderwać od niej wzroku... Miał otwarte oczy, a jego głowa... jego głowa też była otwarta! Mogłam w nią zajrzeć aż do miejsca, gdzie powinny znajdować się myśli, ale tam nie było nic, pustka! „Dziecko nie ma mózgu!

— krzyknął doktor. — Ta głowa jest pusta jak wydmuszka!" A dziecko... może nas słyszało?... bo jego ogromna głowa

podniosła się do góry jak taki balonik, gdy się go wypełni gorącym powietrzem... Obróciła się w jedną stronę, potem w drugą i przeszła mnie wzrokiem na wylot! Ach, czułam, że widzi mnie całą od środka, wie, jak bez mrugnięcia okiem zamordowałam swego pierwszego syna i że on sam, biedactwo, też wcale mnie nie obchodził!

Czy mogłam powiedzieć ojcu, co usłyszałam? Wiedziałam, jakim smutkiem przejmuje go myśl o tej pustej kołysce, miałam go jeszcze dobić, powiedzieć, że zwariowała? Nie. Przetłumaczyłam mu to tak:

— Mama mówi, że koniecznie musimy pomyśleć o następnym dziecku. Wszyscy musimy bardzo go chcieć. Ma nadzieję, że temu malutkiemu jest po tamtej stronie bardzo dobrze. Mówi, że powinniśmy już iść i wstąpić gdzieś po drodze na kolację.

Po śmierci dziecka moja matka załamała się zupełnie, choć nastąpiło to nie od razu. Stopniowo rozlatywała się na kawałki

— jak talerze kolejno spadające z półki. Nie było wiadomo, kiedy ją to najdzie, żyłam więc w ciągłym napięciu.

Zaczynała na przykład gotować obiad i nagle przerywała w pół gestu: z odkręconego kranu buchała woda, a ona z uniesionym nożem zastygała nad siekanym akurat warzywem — i stała tak cichutko, bez słowa, tylko po nieruchomej twarzy spływały jej łzy. Czasami już podczas posiłku trzeba było odłożyć sztucce, bo nagle zakrywała twarz dłońmi, mówiąc: *Meiguanxi*— „to bez znaczenia". W takich chwilach ojciec siedział bezradnie, usiłując zrozumieć, co takiego jest tą sprawą bez znaczenia, a ja wstawałam od stołu. Wiedziałam, że dzieje się to nie po raz ostatni, że powtarzać się będzie w nieskończoność.

Ojciec załamał się również, tyle że w inny sposób. Próbował robić dobrą minę do złej gry, cóż, kiedy szło mu to kiepsko.

Był jak człowiek, który rzuca się ratować spadający przedmiot, tylko że po drodze sam pada na twarz.

— Mama jest po prostu zmęczona — tłumaczył mi przy kolacji w „Złotym Kolcu”. Jedliśmy ją sami, bo matka leżała na łóżku nieruchoma jak posąg. Widząc jego minę, nietrudno było odgadnąć, jak strasznie się o nią martwi. Wpatrywał się w swoje spagetti, jakby to były robaki.

Matka na wszystko dookoła patrzyła pustym, niewidzącym wzrokiem. Ojciec po powrocie z pracy gładził moje włosy, pytał: „Jak się miewa moja duża dziewczynka?”, ale jego spojrzenie omijało mnie — biegło ku niej. Nękały mnie teraz straszne lęki, miałam je nie w głowie, tylko gdzieś w żołądku. Cóż z tego, że przestałam już widywać rzeczy, które budziły we mnie grozę, kiedy je dla odmiany czułam? Wyczuwałam każde najlżejsze poruszenie w naszym przeraźliwie cichym mieszkaniu, wieczorami zaś całą sobą odbierałam niesamowite odgłosy awantur toczących się za ścianą mojej sypialni. Myślałam o tej dziewczynie katowanej na śmierć. Leżąc w łóżku przykryta po szyję, zadawałam sobie pytanie: po której stronie tej ściany jest gorzej — u nas czy u nich? Po chwili takich rozważań, kiedy już naużalałam się nad sobą do syta, robiło mi się troszkę lepiej: jednak ta dziewczyna jest dużo bardziej nieszczęśliwa.

Któregoś wieczoru po kolacji odezwał się dzwonek przy drzwiach. Dziwne, bo zazwyczaj najpierw słychać było brzę-czyk z dołu.

— Lena, zobacz, kto przyszedł, dobrze? — zawołał z kuchni ojciec. Zmywał naczynia, bo matka leżała w łóżku. Wciąż teraz „odpoczywała” (kojarzyło mi się to ze „spoczynkiem”), jakby już umarła i stała się domowym duchem.

Ostrożnie uchylłam drzwi, jednak pod wpływem zaskoczenia co szybciej otworzyłam je na oścież. W progu stała ta dziewczyna od sąsiadów! Uśmiechnęła się w odpowiedzi na moje nieme, acz nie ukrywane zdumienie. Była rozczochrana i tak wymięta, jakby spała w ubraniu i ktoś gwałtem wyrzucił ją z łóżka.

— Kto przyszedł? — zawołał ojciec.

— Od sąsiadów! — odkrzyknęłam. — To...

— Teresa — podsunęła mi szybko.

— Teresa! — powtórzyłam głośno!

— Poproś ją dalej, niech wejdzie. — Ha, Teresa już zdążyła wśliznąć się do mieszkania! Nie zamierzała widać i teraz czekać na zaproszenie, bo skierowała się prosto do mojego pokoju. Zamknęłam drzwi i poszłam za nią — cóż miałam robić? — wpatrzona w te brązowe warkocze podskakujące jej na plecach jak baty na końskim zadzie. W pokoju od razu wzięła się do otwierania okna.

— Co ty robisz? — wykrzyknęłam.

Bez słowa usiadła na parapecie, spojrzała na ulicę, potem na mnie, i zaczęła głośno chichotać. Też usiadłam na łóżku z mocnym postanowieniem, że poczekam, aż skończy. Z ciemnego otworu okna wiało na mnie zimnem.

— I co cię tak śmiesz? — nie wytrzymałam. Przyszło mi na myśl, że może wyśmiewa się ze mnie, z tego, że mam takie zakichane życie. Może też przykłada ucho do ściany i nic nie słyszy, a raczej słyszy: martwą ciszę mówiącą, że w tym domu panuje nieszczęście. — Z czego się śmiejesz? — powtórzyłam.

— Matka mnie wyrzuciła — raczyła w końcu odpowiedzieć. Mówiła buńczuczny tonem, była to prawie przechwałka! Zupełnie jakby taki fakt mógł być powodem do dumy! Parsknęła lekko i dodała: — Pokłóciłyśmy się jak zwykle, a ona wypchnęła mnie za drzwi. Myśli, że będę tam warować, póki nie zmięknę, chce, żebym ją przeproszała! Niedoczekanie, ani mi się śni!

— To co teraz zrobisz? — spytałam bez tchu, pewna, że tym razem matka zatłucze ją na dobre.

— Wasza drabinka przeciwpożarowa, rozumiesz? Przejdę po niej do swojego pokoju — wyszeptała. — A matka niech sobie czeka. Jak zacznie się martwić, to otworzy, a tu mnie nie ma za drzwiami! Będę sobie spokojnie leżała w łóżku! — znów zachichotała.

— A nie wścieknie się, jak cię zobaczy w łóżku?

— Skąd! Będzie szczęśliwa, że nie umarłam i że nic mi się nie stało. O, na pewno zacznie udawać trochę wściekłą. Wciąż wyprawiamy takie hece — oświadczyła bez troski Teresa, bezszelestnie opuszczając się z mojego parapetu na drabinkę.

Długo gapiłam się w otwarte okno, rozmyślając nad jej postępowaniem. Jak ona może tam wracać? — nie mieściło mi

się to w głowie. Czy naprawdę nie zdaje sobie sprawy, jaka jest nieszczęśliwa, jakie okropne ma życie? Czyżby nie rozumiała, że ten koszmar nigdy się nie skończy?

Położyłam się do łóżka, oczekując lada chwila dzikich wrzasków. Było już bardzo późno — a ja wciąż jeszcze nie spałam — gdy zza ściany doszły mnie podniesione głosy: „Ty głupia dziewucho! — łkała pani Sorci. — Mało nie dostałam przez ciebie ataku serca!” „A ja mogłam się zabić! — wrzeszczała Teresa. — Noga mi się omsknęła! A jakbym skręciła sobie kark?” Potem usłyszałam śmiech, płacz i tak na zmianę, a wśród tego głośno wykrzykiwane słowa miłości.

Oślupiałam. To, co mówiły, brzmiało tak, że widziałam wprost, jak się ściskają i całują. Płakałam razem z nimi z radości — jak to dobrze, że się myliłam!

Do dziś mam w pamięci to uczucie nadziei, które spłynęło na mnie tamtej nocy. Czepiałam się go dzień po dniu, rok po roku. Matka wciąż albo leżała w łóżku, albo siedziała nieruchomo na sofie, mamrocząc coś sama do siebie, ale ja teraz już święcie wierzyłam, że któregoś dnia to się skończy, bo nawet najgorsza rzecz ma swój koniec. Wyobrażnia od czasu do czasu wciąż jeszcze podsuwała mi jakieś okropności, teraz jednak nauczyłam się już z tym walczyć. Za ścianą odbywały się nadal dzikie awantury, tylko że gdy teraz dobiegały mnie ich odgłosy, przed oczyma jawił mi się całkiem inny obraz.

Widziałam dziewczynę, która nie może znieść bólu, jaki sprawia jej to, że jest dla swojej matki niewidzialna. I widziałam tę matkę leżącą na łóżku w długim, opływającym całą jej postać szlafroku. Dziewczyna wydobywa ostry miecz i tak oto przemawia do matki:

— A więc muszę zadać ci śmierć od tysiąca cięć mieczem. Tylko w ten sposób mogę cię jeszcze ocalić.

Matka zgadza się na to i zamyka oczy. Miecz ze świstem spada na jej ciało, tnie je bezlitośnie, podnosi się i znów uderza. Leżąca kobieta zaczyna przeraźliwie krzyczeć, łka z bólu i przerażenia. Lecz gdy otwiera oczy i spogląda na siebie, nie widzi krwi ani ran.

— Teraz rozumiesz? — pyta ją córka.

— O tak — kiwa głową matka — teraz doskonale rozumiem. Doświadczylam najgorszego. Nie ma już gorszej rzeczy, która by mnie mogła spotkać.

— Mylisz się! — woła córka. — Ale żeby się o tym przekonać, musisz znaleźć się po tamtej stronie — mówiąc to chwyta ją za rękę i przeciąga matkę przez ścianę.

Rose Hsu Jordan
PÓŁ NA PÓŁ

Zewnętrznym świadectwem wiary był dla mojej matki niewielki, oprawny w sztuczną skórę egzemplarz Biblii. Zabierała go ze sobą na każde niedzielne nabożeństwo w Pierwszym Chińskim Kościele Baptystów. Później, kiedy już przestała wierzyć w Boga, Biblia wylądowała pod stołem w charakterze podpórki pod trochę za krótką nogę. Matka, nawiasem mówiąc, tą właśnie wypróbowaną metodą usuwa wszelkie przejawy braku równowagi w naszym życiu. Od chwili gdy zaopatrzyła stół w ową podpórkę, minęło już ponad dwadzieścia lat.

Konsekwentnie udaje przy tym, że Biblii wcale tam nie ma, a na pytanie, co ta rzecz właściwie robi w takim miejscu, odpowiada odrobinę za głośno: „Ach to? Już nie wiem. Zapomniałam”. Nieprawda, stale ją ma na oku. Nie należy do tych pań domu, co to zlizują z podłogi każdy pyłek, a jednak po tylu latach ta Biblia wciąż lśni czystością.

Przyglądam się właśnie, jak zamiata pod tym samym od wieków kuchennym stołem — robi to codziennie po kolacji. Trudno o większą delikatność w operowaniu szczotką, zwłaszcza wokół tej nadsztukowanej nogi! Prowadzę tak szczegółowe obserwacje po to, żeby wyczuć najwłaściwszy moment na powiadomienie matki o naszym postanowieniu: Ted i ja zamierzamy się rozwieść. Niestety, z góry wiem, jak ona zareaguje: „Nie! To niemożliwe!”

Z góry też da się przewidzieć, że argument typu: „to już postanowione, nasze małżeństwo się skończyło”, wywoła kolejną kategoryczną replikę: „Więc musisz je ratować.”

Mogę jej sto razy powtarzać, że sprawa jest beznadziejna, że tu nie ma już czego ratować, nie szkodzi, znam swoją matkę. Będzie mi kłaść do głowy, że koniecznie powinnam podjąć taką próbę. I tego się właśnie boję.

Czy to nie paradoks, że akurat matka każe mi się nie zgadzać na rozwód?! Była niepokieszona, gdy siedemnaście lat temu zaczęłam spotykać się z Tedem. Moje starsze siostry przed ślubem chodziły wyłącznie z Chińczykami — chłopakami z naszego kościoła.

Teda poznałam na ćwiczeniach z ekologii: stanął nade mną i zaproponował dwa dolary za notatki z ostatniego tygodnia. Odmówiłam przyjęcia pieniędzy, godząc się jednakowoż na wspólne wypicie kawy. Był to mój drugi semestr na Uniwersytecie Berkeley, gdzie z początku zapisałam się na wydział humanistyczny, ale później przeniosłam się na sztuki piękne, Ted natomiast był słuchaczem trzeciego roku przygotowawczych studiów medycznych. O medycynie, jak mówił, marzył od szóstej klasy, od czasu kiedy to dokonał udanej sekcji zwłok nie donoszonego prosiaczka.

Nie da się ukryć, że w Tedzie pociągało mnie dokładnie to wszystko, czym różnił się tak od moich braci, jak i od dotychczasowych sympatii tej samej co ja narodowości, a więc: śmiałość, pewność, z jaką nie tylko prosił o tę czy inną przysługę, ale też jej oczekiwał, jego nieustępliwy charakter, jego kanciasta twarz oraz kościste ciało, od których zdecydowanie odbijały tęgie ramiona, jak również okoliczność, iż jego rodzice przybyli do San Francisco z Tarrytown w stanie Nowy Jork, a nie z położonego w Chinach miasta o nazwie Tianjin.

Moja matka musiała także zauważyć te różnice, i to już w ten pierwszy wieczór, kiedy Ted wpadł po mnie do domu. Po powrocie zastałam ją przed telewizorem — czekała na mnie.

— To Amerykanin. — Zawarte w tej konstatacji ostrzeżenie wyraźnie mówiło o mojej ślepotce na ten skądinąd oczywisty fakt. — *Waiguoren* — cudzoziemiec.

— Ja też jestem Amerykanką — odparłam. — I wcale nie zamierzam wychodzić za niego za męż. Nic z tych rzeczy.

Również i mama Jordan miała coś do powiedzenia w tej materii. Ted raczej mimochodem zaprosił mnie na jakiś swój rodzinny piknik, taki tam, jak mówił, doroczny spęd całego klanu Jordanów w parku Golden Gate. W trakcie tej imprezy — odbywającej się na terenach do gry w polo — przedstawił mnie całej bliższej i dalszej rodzinie jako swoją dziewczynę, o czym osobiście nie miałam pojęcia. Cóż, spotykaliśmy się dopiero od miesiąca, i to wszystkiego parę razy, że pominę już fakt całkowitego braku kontaktów łóżkowych. Każde z nas mieszkało przecież u swoich rodziców.

Trochę później, kiedy Ted, jego ojciec oraz kilku krewniaków poszli pograć sobie w siatkówkę, pani Jordan ująwszy mnie za rękę zaordynowała nam samotny spacer z dala od wszelkiej gawiedzi. Uścisk jej dłoni emanował ciepłem, aczkolwiek oczy starannie unikały mojej twarzy.

— Tak się cieszę, że cię n a r e s z c i e poznałam — oznajmiła z emfazą. Chciałam sprostować, że właściwie nie jestem dziewczyną Teda, ale nie udało mi się wejść jej w słowo.

— Miło, doprawdy — mówiła dalej — że oboje z Tedem tak lubicie nawzajem swoje towarzystwo i bardzo mnie to cieszy, dlatego mam nadzieję, że nie weźmiesz mi za złe tego, co powiem.

No i zaczęła mówić: o przyszłości Teda, o tym, że musi się on skoncentrować wyłącznie na studiach, że upłyną jeszcze całe lata, zanim w ogóle będzie mógł pomyśleć o małżeństwie. Zapewniła mnie następnie, że nic, ale to zupełnie nic nie ma przeciwko ludziom innych narodowości. Zarówno ona sama, jak i jej mąż (właściciel sieci handlowej realizującej jakieś rządowe zamówienia) znają osobiście wielu wspaniałych ludzi z Dalekiego Wschodu, Hiszpanii, a nawet Murzynów, ale Ted będzie kiedyś uprawiał taką akurat profesję, której przedstawiciele poddaje się innym kryteriom ocen... Krótko mówiąc, pacjenci i koledzy po fachu mogą w pewnych kwestiach nie być tak liberalni jak rodzina Jordanów. Oczywiście to bardzo niedobrze i ona głęboko ubolewa, że taki jest ten nasz świat (miała na myśli tę resztę świata poza obrębem ich klanu), no ale ta wojna w Wietnamie narobiła tyle złej krwi.

— Ja nie jestem Wietnamką, proszę pani — zaprotestowałam dość łagodnie, chociaż chciało mi się głośno wrzas-

nać. —A poza tym nie mam najmniejszego zamiaru wychodzić za pani syna.

Żegnając się tego wieczoru z Tedem poinformowałam go, że nie mogę się z nim więcej widywać, a gdy zapytał dlaczego, wzruszyłam ramionami. No, ale zaczął mnie przyciskać, więc powstrzymując się od własnych komentarzy, przytoczyłam mu wypowiedź jego matki — *in extenso*.

— A ty chcesz po prostu siedzieć z założonymi rękami i pozwolić mojej matce decydować o tym, co jest dla mnie najlepsze, tak? — krzyknął. Ha, potraktował mnie jak zdraj-czynię, która łamie święte porozumienie dwojga. Poruszyła mnie ta jego reakcja.

— No a co mam robić? — zadając to pytanie, poczułam coś na kształt bolesnego ukłucia, które wzięłam za objaw kielkującej miłości.

W tej początkowej fazie naszego związku uczepiliśmy się siebie nawzajem z dość głupią raczej desperacją, bo przecież bez względu na to, cokolwiek by mówiły moja matka czy pani Jordan, nic tak naprawdę nie stało na przeszkodzie naszym spotkaniom. Jednakowoż zagrażająca naszej miłości wyimaginowana tragedia sprawiła, że staliśmy się nierozłączni niczym *yin i yang* — dwie dopełniające się połówki. Ja byłam ofiarą, on herosem. Ratował mnie od niebezpieczeństw — a osaczały mnie one bez przerwy! — troskliwie podnosił w razie upadku — wciąż mi się to zdarzało — i wspierał. Wszystko to z jednej strony wprawiało nas w euforię, z drugiej wyczerpywało psychicznie, zaś skutek całej tej zabawy był taki, że wciągnęła nas ona jak narkotyk. Nasze miłosne uniesienia — o ile można za takowe uznawać to, co robiliśmy w łóżku — przebiegały według tego samego schematu: tu także moja słabość wymagała jego opieki.

— Co dalej, co zrobimy teraz? — ustawicznie pytałam Teda. Po roku, licząc od pierwszego spotkania, zamieszkaliśmy razem; nasz ślub odbył się na miesiąc przed datą rozpoczęcia przez Teda studiów na Wydziale Medycznym Uniwersytetu Kalifornijskiego w San Francisco. Braliśmy go w kościele Episkopalnym; w pierwszej ławce siedziała pani Jordan — spłakana, jak przystało matce oblubieńca. Kiedy Ted zrobił specjalizację z dermatologii, kupiliśmy dwupiętrową wiktoriańską ruinę w Ashbury Heights. Był tam wielki

zapuszczony ogród. Ted pomógł mi urządzić na dole pracownię: zostanę wolnym strzelcem i jako taki zacznę realizować zlecenia artystów grafików, wykonując dla nich odbitki.

W następnych latach Ted decydował o wszystkim — i o tym, dokąd pojedziemy na wakacje, i jakie kupimy meble. Podjął również decyzję w sprawie naszego przyszłego potomstwa. Pomyślmy o tym dopiero wtedy, kiedy zamieszkamy w lepszej dzielnicy. Owszem, dyskutowaliśmy czasami o tym czy owym, rozmowom tego typu towarzyszyła wszakże obopólna świadomość, że finał będzie taki jak zwykle: „Mój drogi, ty zadecyduj”. Po pewnym czasie daliśmy spokój dyskusjom — Ted po prostu sam podejmował decyzje, mnie zaś nie przychodziło nawet na myśl zgłaszać jakichkolwiek obiekcji. Wolałam zamykać oczy na otaczającą mnie rzeczywistość, obsesyjnie pochłonięta tym tylko, co miałam w zasięgu ręki — kartonem, gilotyną, moim niebieskim ołówkiem.

Tak było do zeszłego roku. W zeszłym roku stosunek Teda do tego, co nazywał „decyzyjnością i odpowiedzialnością”, uległ radykalnej zmianie. Zgłosiła się do niego pacjentka z brzydkim defektem kosmetycznym: policzki pokrywała jej cała sieć popękanych naczyń krwionośnych. Zaufała obietnicom Teda, że zabłyśnie znów pełnią kraszy, kiedy on usunie jej owe czerwone żyłki metodą jakiegoś „wysysania”. Niestety, fatalnym zbiegiem okoliczności „wysssał” jej również któryś z nerwów, wskutek czego uśmiech pacjentki zmienił się w dolnolewostronny grymas, Ted zaś został pozwany do sądu.

Przegrany proces, w którym udowodniono mu „błąd w sztuce”, był dla Teda ogromnym wstrząsem i — jak teraz widzę — pierwszym w ogóle cięższym przeżyciem, co podziało na niego w ten sposób, że zaczął mnie nagle zmuszać do podejmowania decyzji. Jaki kupić samochód — amerykański czy japoński? Co myślę o zmianie polisy: może zrezygnować z ubezpieczenia na okres całego życia, zastępując je terminowym? Czy głosować na kandydata, który popierał kontras? Co z powiększeniem rodziny?

Zaczynałam nad tym myśleć, rozważać różne pro i kontra, i w efekcie miałam w głowie coraz większy mętlik. Bo czy każdy dylemat ma tylko dwa rozwiązania, z których jedno jest dobre, a drugie złe? Nie, dobrych rozwiązań może być więcej niż jedno, a już tych złych — całe mnóstwo. Mówiłam więc:

„Ty zadecyduj”, „nie przywiązuję do tego wagi”, „i jedno, i drugie będzie dla mnie dobre”, na co Ted niecierpliwie odbijał piłeczkę w moją stronę: „Nie, to ty masz zadecydować! Jak można chcieć dwóch rzeczy naraz i na dodatek uchylać się od odpowiedzialności! Nie zwalaj wszystkiego na mnie!”

Czułam, że coś się między nami zmienia. Zniknął opiekuńczy parasol ochronny, a Ted zaczął żądać ode mnie decyzji już teraz w każdej najbanalniejszej sprawie — wyglądało to na zastawianie jakiejś pułapki. Żywność włoska czy tajlandzka? Jeden środek na pobudzenie apetytu czy dwa? Jaki to ma być środek? Gotówka czy karta kredytowa? *Visa* czy *Master*?

W zeszłym miesiącu, wybierając się do Los Angeles na dwudniowe szkolenie z zakresu dermatologii, zapytał, czy nie miałabym ochoty z nim jechać, i natychmiast, zanim jeszcze zdążyłam cokolwiek powiedzieć, wycedził:

- Nie ma sprawy, wolę jechać sam.
- Racja, będziesz miał więcej czasu na naukę — przytaknęłam.
- Nie, tylko że ty nigdy nie potrafisz się na nic zdecydować!
- Tylko wtedy, gdy chodzi o rzeczy mało istotne — zaprotestowałam.
- Z tego wynika, że dla ciebie nie ma rzeczy ważnych
- stwierdził tonem głębokiego rozgoryczenia.
- Ted, jeśli chcesz, żebym z tobą jechała, to pojedę.
- Jakim ty cudem, do diabła, wysłaś za mnie za męża?
- wybuchnął, jakby go coś ukąsiło. — Może powiedziałaś „tak” po prostu dlatego, że pastor kazał ci to powtórzyć? Jak byś ty żyła, co by się z tobą stało, gdybym ja się z tobą nie ożenił? Zastanawiałaś się kiedy nad tym?

Jego reakcja wydała mi się potwornie nielogiczna, jako że nie powiedziałam nic, co by usprawiedliwiało taki wybuch. Pomyślałam wtedy, że zachowujemy się jak ludzie, którzy stojąc na dwóch górskich szczytach, miotają w siebie kamienie, nieświadomi ziejącej między nimi przepaści, a przecież każdy niebaczny krok grozi tu śmiertelną katastrofą.

Teraz widzę, że Ted cały czas doskonale wiedział, co robi

— najwyraźniej chciał mi tę przepaść unaocznić. Jeszcze tego samego dnia zadzwonił wieczorem z Los Angeles i zażądał zgody na rozwód.

Od czasu jego odejścia myślę w kółko o jednym: choćbym nawet była na to przygotowana, choćbym dokładnie wiedziała, co teraz z sobą począć, i tak ta jego decyzja mocno podcięłaby mi skrzydła, a cóż dopiero, gdy spadła na mnie jak grom z jasnego nieba!

Czy jest ktoś, kogo taka niespodzianka nie zwałiłaby z nóg? Wiem, można się z tego pozbierać, ale człowiek nie potrafi już później nikomu zaufać — małżonkowi, własnej matce ani Bogu, w nikim znaleźć swego obrońcy, swojej bezpiecznej przystani. I jak tu się ustrzec od ciągłych potknięć i upadków?

Moja matka przez długie lata wierzyła w Boga — życzliwego dawcę wszelkiego dobra. Gdzieś tam w niebie ktoś odkreślił dla niej specjalny kurek, z którego po kres życia płynąć miał niewyczerpany strumień łask. Twierdziła, że owych dobrodziejstw doświadczamy dzięki naszej wierze. Mnie wydawało się wtedy, że ma na myśli przeznaczenie. Dość fatalnie mówiła po angielsku, więc słowo *faith* (wiara) brzmiało w jej ustach *fate* (przeznaczenie).

Matka sprostowała tę moją pomyłkę, ja jednak doszłam z czasem do wniosku, że w gruncie rzeczy od początku miałam rację: o wszystkim decyduje przeznaczenie. Wiara stwarza nam jedynie iluzję, że to czy owo zależy od nas samych. Dokonałam takiego oto odkrycia: człowiek, a więc i ja, powinien co najwyżej zachować sobie nadzieję, nadzieja bowiem pozwala liczyć na każdą ewentualność — zarówno złą, jak i dobrą — innymi słowy, zdarzyć się może wszystko. A jeśli istnieje tu jakiś wybór, myślałam sobie, to dobry Boże, czy kimkolwiek jesteś, po prostu daj mi tę szansę.

Pamiętam dzień, kiedy zaczęłam tak myśleć, bo było to dla mnie istne objawienie, a doznałam go w tym samym momencie, w którym moja matka przestała wierzyć w Boga. Przekonała się zarazem, że nie może już ufać niczemu, co dotychczas stanowiło dla niej niepodważalny pewnik.

Wybraliśmy się na plażę w pewne odludne miejsce na południe od miasta, nie opodal tak zwanego „Diabelskiego Uskoku”. Ojciec wyczytał w tygodniku „Sunset”, że nie ma

lepszego miejsca, jeśli chodzi o okonie morskie. Nie znaczy to, że był zapalonym rybakim; był pomocnikiem dawniejszego chińskiego lekarza, dziś farmaceuty, żywił jednak wyjątkową wiarę w swoje *nengyan*, czyli potencjalną zdolność do wszystkiego, co zechce postawić sobie za cel. Matka z kolei uważała, że posiada tego rodzaju *nengyan* kulinarne, iż potrafi przyrządzić wszystko, cokolwiek ojcu uda się złowić. Ta właściwa obojgu wiara w tkwiące w każdym z nich *nengyan* nie tylko sprowadziła mych rodziców do Ameryki, ale pozwoliła im splodzić siedmioro dzieci oraz kupić dom w Sunset — praktycznie prawie bez pieniędzy. Z niej też wynikało niezachwiane przekonanie, że szczęście nie opuści ich do końca życia, a Bóg zawsze stać będzie po ich stronie, że bóstwa domowe zechcą łaskawie przekazywać o nas same życzliwe opinie czcigodnym duchom naszych przodków, które wobec tego nigdy nie wpadną w gniew, że ubezpieczenie na życie to stuprocentowa rękojmia ochrony od nieszczęśliwych wypadków, że wszystkie Pierwiastki pozostają w idealnej równowadze, a wiatry i wody zachowują właściwe kierunki.*

Tak więc było nas dziewięcioro: ojciec, matka, moje dwie siostry, czterech braci i ja; z jaką radosną ufnością wędrowaliśmy po raz pierwszy w życiu na plażę! Uformowani w zwarty szyk od najmłodszego do najstarszego — ja, czternastolatka, zajmowałam pozycję pośrodku — karnie maszerowaliśmy gęsiego po chłodnym szarawym piasku. Dla postronnego obserwatora byłby to niezapomniany widok: dziewięć par bosych stóp grzęznących w sypkim piachu, dziewięć par dyndających w rękach butów, dziewięć czarnowłosych głów ciekawie zwróconych ku skłębionym przybrzeżnym falom.

Wiatr rzucał mi w oczy garściami piasku, a napotykać moje bawełniane spodnie, chłostał mnie nimi po nogach, więc zaczęłam się rozglądać za trochę zaciszniejszym miejscem. Znajdowaliśmy się w zagłębieniu jakiejś zatoczki przypominającej gigantyczną, pękniętą przez środek misę, której drugą połowę regularnie zalewał ocean. Moja matka skierowała się w prawo, gdzie widać było kawałek czystej plaży, i cała nasza

*** Chodzi o chińską geomancję — *fengshui* — która zakłada ustalanie kierunku wiatrów i cieków wodnych sprzyjających pomyślnemu rozwojowi czynników fizycznych i psychicznych.**

gromadka posłusznie ruszyła za nią. Po tej stronie ściana zatoczki wyginała się, tworząc krzywiznę osłaniającą plażę tak od wiatru, jak i od gwałtownych fal przyboju. Tuż przy ścianie, skryta w jej cieniu, widniała krawędź podwodnej rafy. Zaczynała się ona na plaży; kraniec był niewidoczny, bo cała rafa wybiegała daleko poza ścianę zatoki, niknąc w miejscu, gdzie przelewała się kipiela. Przyszło mi na myśl, że idąc tą dróżką, można by się zapuścić głęboko w morze, choć jak na ścieżkę jest dość wyboista i śliska. Ściana po drugiej stronie zatoki była jeszcze bardziej poszarpana, jak gdyby zachłanny ocean pożerał ją kawałek po kawałeczku. Całą powierzchnię znaczyły dziury podobne do starych dziobów po ospie, które po każdym uderzeniu fali wypluwały z siebie białą obfitą pianę.

Kiedy teraz, po latach, staje mi przed oczami ta zatoczka, widzę wyraźnie, że było to miejsce budzące grozę; od gęsto zalegających plam mokrego cienia bił ziąb, który przenikał do szpiku kości. Może to niewidoczne, klujące w oczy ziarenka piasku przesłoniły nam czające się tu niebezpieczeństwo? Wszystkich nas dotknęła dziwna ślepotą, wywołana tą nową dla nas atrakcją: oto my, chińska rodzina, spędzamy dzień na plaży jak prawdziwi Amerykanie.

Matka rozpostarła na piasku wysłużoną pasiastą narzutę, którą wiatr zaczął od razu tarosić, i to z uporem godnym lepszej sprawy, aż w końcu trzeba ją było obciążyć wszystkimi dziewięcioma parami naszych butów. Ojciec z kawałków bambusa złożył długą własnoręcznie wykonaną wędkę — takich właśnie używano w Chinach za czasów jego dzieciństwa. My, to znaczy ja i moje rodzeństwo, zbiliśmy się w kupkę na kocu, łączywie sięgając do worka wyładowanego kanapkami z kielbasą. Zupełnie nie przeszkadzał nam fakt, że obficie solimy je piaskiem lepiącym się nam do pleców.

Nasz ojciec po chwili wstał i zajął się kontemplowaniem wytrzymałości oraz walorów estetycznych swojej wędki. Wyraźnie zadowolony z własnego dzieła, chwycił buty i ruszył na rafę, gdzie na stanowisko łowieckie wybrał sobie ostatni kawałek jej suchej powierzchni. Moje starsze siostry, Janice i Ruth, jednocześnie zeskoczyły z koca, energicznie otrzepały zapiaszczone uda i klepnąwszy jedną drugą

w plecy, z wrzaskiem pogalopowały w stronę odległej części plaży. Już chciałam pognać za nimi, kiedy matka wymownym ruchem głowy pokazała mi braci, kładąc kres moim zapędom.

— *Dangxing tamende shenti* — usłyszałam sakramentalne napomnienie. — „Pilnuj ich”, czyli tłumacząc dosłownie: „Miej na oku ich ciała.”

Ach, te ich ciała były moją kulą u nogi, a ściślej mówiąc, czterema kulami o imionach: Matthew, Mark, Lukę i Bing. Z rozpaczą opadłam na piasek.

— Dlaczego? — wykrztusiłam przez ściśnięte gardło.

— Dlaczego zawsze ja muszę się nimi zajmować? — Nie po raz pierwszy podnosiłam taki lament, więc i odpowiedź znałam na pamięć.

— *Yiding* — powiedziała tylko moja matka.

Bo musisz. Bo taki masz obowiązek. Bo to twoi bracia. Tobą też kiedyś opiekowały się starsze siostry. Jak inaczej nauczysz się odpowiedzialności? Czy bez tego byłabyś w stanie ocenić to wszystko, co zrobili dla ciebie rodzice?

Matthew miał lat dwanaście, Mark dziesięć, a Lukę dziewięć, byli więc na tyle duzi, że potrafili zabawić się sami

— na ogół dość hałaśliwie. Dwaj starsi zdążyli już zakopać Luke'a w płytkim grobowcu, tak że tylko głowa sterczała mu z piasku, a obecnie zaczęli nagarniać budulec potrzebny na mur zamczyska, które zamierzali wznieść nad pogrzebanym.

Gorzej było z czteroletnim Bingiem; łatwo się do wszystkiego zapalał, ale jeszcze szybciej nudził i irytował. Teraz także pogniewał się na braci, bo w obawie o całość swojej budowli odpychali go od niej, sarkając: „Przestań, Bing, idź stąd, bo nam popsujesz”.

Bing, sztywny z urazy, udał się zatem na samotną wędrowkę niczym wygnany cesarz, bombardując po drodze ocean kamykami i kawałkami drewna. Ja wlokłam się za nim, snując ponure fantazje o tym, co bym zrobiła, gdyby na plażę zniecka runęła ogromna fala.

— Nie podchodź do wody! Zamoczy ci nogi! — upominałam od czasu do czasu Binga, myśląc zarazem, jak strasznie jestem w tym podobna do matki. Ona też wciąż po cichu martwi się czymś wydumanym, chociaż równocześnie lekceważy prawdziwe niebezpieczeństwa, w każdym razie mó-

więc o nich zawsze je jakoś pomniejsza. Nieustająca troska mojej matki otaczała mnie na podobieństwo ścian tej zatoki, wywołując złudne przekonanie, że wszelkie możliwe zagrożenia zostały dawno przewidziane, środki bezpieczeństwa podjęte, ja zatem mogę być absolutnie spokojna.

Moja matka kierowała się w życiu różnymi przesądami, z których jeden głosił, że dzieci w zależności od daty urodzenia (według rachuby chińskiej) mają w niektórych dniach wybitną skłonność do ulegania pewnym ściśle określonym wypadkom. Wszystko to wyłożone było w małej książeczce zatytułowanej „Dwadzieścia sześć Bram Nieszczęścia”. Na każdej stronie widniał rysunek przedstawiający jakieś konkretne niebezpieczeństwo czyhające na nieroztropne dziecko. W rogach znajdowały się napisy, ale ja, nie znając chińskich znaków, mogłam się jedynie domyślać, przed czym ostrzegają te obrazki.

Na każdym pojawiał się ten sam chłopiec w różnych sytuacjach, z których każda groziła śmiercią lub kalectwem, ale on nie był tego świadom. Wspiął się na niebezpiecznie nadłamana gałąź, stawał pod walącą się bramą, ześlizgiwał do wielkiej drewnianej kadzi pełnej wody, dawał się porwać złemu psu, a w czasie burzy uciekał, ściągając na siebie pioruny. Chłopcu towarzyszyła wszędzie dziwna postać, która wyglądała jak człowiek w przebraniu jaszczurki. Stwór ten miał na czole wielką fałdę, a może były to dwa zaokrąglone rogi? Na jednym z obrazków człowiek-jaszczur, stojąc na łukowatym moście, drwił z malca, który lekkomyślnie musiał wspiąć się na poręcz, gdyż obecnie jego stopy znajdowały się już w powietrzu.

Niedobrze robiło się na myśl, że coś takiego może się przytrafić rodzonemu dziecku. Jakkolwiek każde z tych nieszczęść związane było z określoną datą urodzenia, moja matka bała się wszystkich, nie umiała bowiem przełożyć dat chińskich na tutejsze, amerykańskie. W tej sytuacji wołała dmuchać na zimne, czyli brać pod uwagę wszystkie całoroczne wypadki, co dawało jej absolutną pewność, że potrafi nas uchronić przed każdym.

Słońce zmieniło położenie, przesuając się na drugą stronę zatoki — wszędzie panował spokój. Matka od paru godzin

zajęta była tym samym: strzepywała piasek z koca, wytrząsała go z butów, po czym starannie ustawiała je od nowa. Ojciec wciąż tkwił na rafie, co pewien czas zarzucając wędkę w inne miejsce i cierpliwie czekając chwili, kiedy jego *nengyan* objawi się w postaci ryby. W oddali widać było dwie figurki, które sądząc po czarnych głowach i żółtych majtkach, musiały być moimi siostrami. Wrzaski moich trzech braci mieszały się z krzykiem mew. Bing znalazł sobie butelkę po wodzie sodowej i używając jej jako łopatkki, kopał dziurę tuż przy ciemnej ścianie zatoki. Ja siedziałam na piasku — na granicy słońca i cienia. Usłyszawszy, że Bing tłucze w skałę, krzyknęłam:

— Nie tak mocno, bo ją przebijesz na wylot i wylądujesz w Chinach!

Roześmiałam się głośno, widząc po jego minie, że mi chyba uwierzył. Wstał, podreptał w stronę brzegu i wyczekująco postawił stopę na rafie, a ja, jak się należało spodziewać, natychmiast go upomniałam:

— Bing!

— Idę do tatusia! — odkrzyknął, protestując przeciwko posądzeniu, że zamierza zrobić coś złego.

— No dobrze — powiedziałam — tylko idź przy samej ścianie, jak najdalej od wody i tych głupich ryb.

Patrzyłam, jak powolutku, krok za kroczkiem, posuwa się po rafie przyciśnięty pleckami do chropowatej ściany. Boże, tak żywo mam go przed oczami! Są takie chwile, kiedy wydaje mi się, że jeśli krzyknę, na zawsze zdołam go zatrzymać w tym miejscu.

Widzę go, jak stoi przy tej ścianie cały i zdrowy, jak woła do ojca, który odwraca głowę i patrzy na niego przez ramię. Taka jestem zadowolona, że tata popilnuje trochę Binga! Mały właśnie go mija, w tym momencie coś szarpie za linkę i ojciec gorączkowo zaczyna kręcić kołowrotkiem.

Na plaży wybucha wrzask. Jeden z braci przed sekundą sypnął piaskiem w oczy Luke'owi, który wyskakuje ze swojego grobowca i rzuca się na Marka. Zaczyna się bójka. Luke, siedząc okrakiem na Marku, tłucze go wszystkimi czterema kończynami. Matka krzyczy na mnie: „Uspokój ich!” W chwili gdy ściągam z Marka rozwścieczonego Luke'a, spoglądam

w górę i widzę, że Bing dochodzi już prawie do końca rafy

— sam! Przez tę bójkę nikt na to nie zwraca uwagi, ja tylko widzę, co on robi...

Bing idzie dalej... jeden krok, drugi, trzeci... jego mała figurka sunie naprzód z taką szybkością, jakby na skraju rafy wypatrzył coś niezwykle interesującego. Spadnie! — przebiega mi przez myśl. Widzę, co się stanie. Jeszcze nie skończyłam tej myśli, kiedy pod stopami mojego braciszka przez ułamek sekundy jest już tylko powietrze i zaraz potem Bing wpada do morza jak kamień. Słyszę plusk, widzę, jak znika w głębinie. Boże, tak bez śladu?! Na wodzie nie widać nawet zmarszczki.

Osunęłam się na kolana jak sparaliżowana, bez słowa gapiąc się w to miejsce, które pochłonęło Binga. Nie mogłam tego pojąć, nie wiedziałam, co robić. Pobiec tam i spróbować go jakoś wyciągnąć? — myślałam. — Krzyknąć na ojca? Czy uda mi się tak szybko stanąć na nogi, żeby zdążyć? Czy nie dałoby się tego wszystkiego cofnąć, nie pozwolić Bingowi wejść na rafę?

Tymczasem pojawiły się moje siostry. „A gdzie Bing?”

— spytała któraś. Po kilku sekundach śmiertelnej ciszy wybuchł krzyk. Zasypały mnie fontanny piasku tryskające spod stóp całej rodziny. Pognali nad wodę. Ja jedna nie mogłam się ruszyć, więc tylko patrzyłam, jak Ruth i Janice szukają przy ścianie, jak bracia, pełzną na czworakach, zaglądają za sterty morskich śmieci, jak rodzice rękami rozgarniają wodę...

Szukaliśmy go wiele godzin. Pamiętam łodzie ratunkowe, pamiętam ten zachód słońca... Nigdy jeszcze takiego nie widziałam. Jaskrawy pomarańczowy płomień musnął powierzchnię wody i nagle rozłożył się na niej gorącymi smugami niczym rozpostarty wachlarz. O zmroku łodzie włączyły żółte obrotowe światła. Na tle roziskrzonej czerni przypominały podlatujące świetliki...

Patrząc dziś wstecz na to wszystko, nie umiem powiedzieć, czy mój umysł funkcjonował normalnie. Jak w takiej chwili można myśleć o łodziach, o barwach zachodu słońca? Wszyscy zresztą zachowywaliśmy się dziwacznie, tyle że każdy na swój sposób. Ojciec przeprowadzał jakieś zawile kalkulacje — liczył

minuty, szacował temperaturę wody, po raz nie wiadomo który usiłował precyzyjnie ustalić moment wypadku. Moje siostry kręciły się w kółko, bez ustanku nawołując Binga, jak gdyby dla żartu ukrył się przed nimi gdzieś w rosnących nad skałami krzakach.

Bracia usadowili się w samochodzie, gdzie zaczęli czytać komiksy. A kiedy łodzie pogasiły swoje żółte kule, moja matka weszła do morza. W życiu nie przepłynęła nawet metra, ale przeświadczenie o sile własnego *nengyan* kazało jej wierzyć, że w pojedynkę dokona tego, co nie udało się całej zgrai nieudolnych Amerykanów. Znajdzie Binga.

Kiedy na koniec ratownicy wyciągnęli ją z wody, jej *nengyan* ciągle jeszcze nie doznało najmniejszego uszczerbku. Ubranie i włosy miała ciężkie, przesiąknięte lodowatą wodą, a przecież kiedy tak stała bez słowa, opanowana i wyniosła, można było pomyśleć, że to sama królowa syren wyłoniła się spośród fal swego rodzimego żywiołu. Policjanci odwołali poszukiwania, wpakowali nas do samochodu i odesłali do domu — razem z naszą rozpaczą.

Myślałam, że rzucą się na mnie wszyscy — ojciec, matka, rodzeństwo — że mnie zatłuką na śmierć. Mieli prawo. To ja byłam wszystkiemu winna. Nie upilnowałam Binga, a przecież widziałam, co się dzieje. Kiedy jednak usiedliśmy w ciemnym saloniku i usłyszałam ich szepty, zrozumiałam, że wszystkich nas dręczą wyrzuty sumienia.

— Zachciało mi się łowić ryby! Jakież ze mnie samolub — powiedział ojciec.

— Po co my poszliśmy na ten spacer? — szepnęła z rozpaczą Janice, a Ruth po raz dziesiąty hałaśliwie wytarła nos.

— Musieliście mi rzucać tym piaskiem w gębę? — jęknął Luke. — Przez was rozpętałem tę bójkę. Dlaczego? Dlaczego?

— To ja kazałam ci ich rozdzielić — cicho powiedziała matka. — Sama kazałam ci go spuścić z oka. — Nie zdążyłam nawet odczuć ulgi, a zresztą... i tak by się ulotniła, bo nie był to jeszcze koniec wyroku. — Dlatego teraz ci mówię: jutro, zaraz z rana, musimy go znaleźć. Cała rodzina opuściła na to oczy, ale ja zrozumiałam, że taka ma być moja kara. Mam pojechać z matką na plażę, aby pomóc jej odszukać ciało Binga.

Przez myśl mi nie przeszło, co naprawdę zamierza zrobić. Było jeszcze ciemno, kiedy zastałam ją w kuchni kompletnie ubraną. Zobaczyłam na stole kilka przedmiotów: termos, kubek, oprawną w sztuczną skórę Biblię oraz kluczyki do samochodu.

— Tatuś już gotowy?

— Tatuś nie jedzie.

— To jak się tam dostaniemy? Kto nas zawiezie? Matka bez słowa chwyciła kluczyki i ruszyła do wyjścia

— ja za nią. Przez całą drogę na plażę nie mogłam ochłonąć ze zdumienia: jakim cudem, na Boga, w ciągu jednej nocy nauczyła się prowadzić samochód? Gładziutko ruszyła z miejsca, sprawnie skręciła w ulicę Geary, a z niej na główną autostradę, cały czas prawidłowo sygnalizując swoje manewry, po czym bez problemu wydostała się na trasę przybrzeżną, gdzie z podobną łatwością pokonała odcinek pełen straszliwych zakrętów, które dla wielu bardziej od niej doświadczonych kierowców zakończyły się dachowaniem w przepaść.

Zatrzymałyśmy się nad zatoką. Matka bez zwłoki zeszła wyboistą ścieżką na plażę — z każdego jej ruchu biła pewność siebie. Bez wahania wkroczyła na rafę i stanęła dokładnie w tym miejscu, gdzie po raz ostatni widziałam Binga. Ściskając w rękę swoją białą Biblię, zapatrzona nieruchomym wzrokiem gdzieś w przestrzeń, zaczęła przyzywać Boga. Czy wierzyła, że jej cicha modlitwa dotrze na skrzydłach mew aż przed oblicze Pańskie? Bez wątplenia. Zaczynała się ona słowami „Dobry Boże”, które podobnie jak końcowe „amen” wypowiedziane zostały po angielsku. Cała reszta była po chińsku.

— Zawsze wierzyłam w Twoją łaskawość i w to, że darzysz nas błogosławieństwem — mówiła tym samym tonem, jakim zwykła była prawić swoje przesadne, typowo chińskie komplementy. — Czekaliśmy na Twoje dobrodziejstwa z wiarą, że nam je zesłesz. Nigdy nie sprzeciwialiśmy się Twojej woli, a Twoje decyzje przyjmowaliśmy za własne. Za tę wiarę Tyś nas wynagradzał.

My w zamian staraliśmy się okazywać Ci zawsze swój najgłębszy szacunek. Chodziliśmy do domu Twego, przynosiliśmy Ci pieniądze, śpiewaliśmy Twoje pieśni. Za to zsyłałeś nam wciąż nowe błogosławieństwa. I oto zmarnowaliśmy jedno z nich. Byliśmy nieostrożni, to prawda. Tyle już

posiedliśmy tych dobroci, że nie umieliśmy ich wszystkich spamiętać ani dobrze na nie uważać.

Może więc postanowiłeś dać nam nauczkę, ukrywając Binga przed naszymi oczami, żebyśmy w przyszłości lepiej pilnowali Twoich darów. Dobry Boże, ja już się tego nauczyłam, na zawsze wbiłam sobie do głowy tę Twoją lekcję, a teraz przychodzę po mojego Binga. Zwróć mi go.

Zdjęta grozą, w milczeniu słuchałam monologu matki; rozplakałam się dopiero na jej słowa:

— Wybacz mu, że źle się zachował. Moja córka, ta, która tu stoi, już ona dopilnuje, żeby nauczył się posłuszeństwa, zanim przyjdzie do Ciebie po raz drugi.

Po tej modlitwie wiara mojej matki wzrosła do tego stopnia, że aż trzy razy zobaczyła Binga: machał do niej rączką zza pierwszej przybrzeżnej fali.

— *Nale!* — Tam!

Wyprostowana jak podczas warty honorowej, stała nieruchomo, póki się nie okazało, że wzrok trzy razy ją zmylił. To, co brała za Binga, zmieniało się po chwili w ciemny pęk zbryzganych pianą wodorostów.

Komu innemu ręce by może opadły, ale nie mojej matce, Wycofała się z rafy na plażę i wymieniwszy Biblię na kubek i termos, skierowała się znowu nad ocean. Oznajmiła mi tonem wyjaśnienia, że ubiegłej nocy sięgnęła pamięcią aż do czasów swego dzieciństwa tam, w Chinach, i oto, co sobie przypomniła:

— Znałam chłopca, który stracił rękę od wybuchu sztucznych ogni. Widziałam na własne oczy te strzepy zwisające z jego ramienia. I wiesz, co powiedziała matka tego chłopca? Że wyrosnie mu nowa ręka, jeszcze lepsza od tamtej! Ta kobieta przyrzekła duchom przodków, że dziesięciokrotnie spłaci im to, co jest winna, i że zastosuje kurację wodną, by złagodzić gniew Zhu Ronga, trójokiego bóstwa Południa. I rzeczywiście! Już po tygodniu chłopiec ten jeździł na rowerze, wyobrażasz sobie! Miał dwie zdrowe ręce i trzymał nimi kierownicę. Mówię ci, przejechał prosto jak po sznurku tuż przed moimi zdumionymi oczami!

Matka zamilkła i przez chwilę stała bardzo cicho, pogrążona w głębokiej zadumie. Gdy odezwała się znowu, w jej głosie brzmiał niezwykle szacunek:

— Pewien nasz przodek skradł kiedyś wodę ze świętego źródła. Woda ta chce się teraz zemścić, dlatego porwała Binga. Musimy najpierw uśmierzyć gniew Spiralnego Smoka, który mieszka w tym morzu, a potem sprawić, by rozluźnił skrócone zwoje i wypuścił z ich uścisku twego brata. Trzeba dać mu inną jakąś rzecz, tak cenną, żeby zechciał ją zazdrośnie ukryć.

Matka napełniła kubek osłodzoną herbatą i wrzuciła to wszystko do morza. Powoli otworzyła zaciśniętą dłoń, a ja zobaczyłam w niej pierścień z przejrzyste błękitnym szafirem — dar jej dawno nieżyjącej matki. Wyjaśniła mi, że ten pierścień przyciągał pożądliwe spojrzenia wszystkich kobiet, nie wyłączając matek, które na jego widok zapomniały o swoich tak zwykle zazdrośnie strzeżonych dzieciach, więc i Spiralny Smok też na pewno zapomni o Bingu. Co powiedziawszy, cisnęła pierścień do oceanu.

Ale nawet po złożeniu tej ofiary Binga długo jeszcze nie było widać. Przez ponad godzinę na falach pojawiały się wciąż tylko pęki dryfujących wodorostów. I nagle spostrzegłam, że matka z rozszerzonymi oczyma przyciska ręce do piersi:

— Spójrz! — wykrztusiła zdławionym z wrażenia głosem. — Patrzyłyśmy nie w tę stronę!

Wtedy i ja zobaczyłam Binga. Mozolnie brnąc po grząskim piachu, szedł ku nam z dalekiego krańca plaży, kołysząc trzymaną w ręku parą butów. Musiał być bardzo zmęczony, bo tak nisko opuścił tę swoją czarnowłosą główkę... Czułam to samo, co matka. Czułam, jak wypełnia się pustka w dwóch naszych złąknionych sercach. A w chwilę potem... w chwilę tak krótką, że jeszcze nie zdążyłyśmy się podnieść, nasz Bing zapalił papierosa, nagle przybyło mu wzrostu i na naszych oczach zmienił się w nieznajomego wędrowca.

— Chodźmy stąd, mamó — poprosiłam najłagodniej, jak umiałam.

— On tu jest! — powiedziała z mocą, wskazując palcem poszarpaną ścianę po drugiej stronie zatoki. — Ja go widzę. Siedzi w jakiejś jaskini. Nad wodą jest w skale taki malutki występ. Tam siedzi Bing. Jest głodny i trochę zmarznięty, ale

dostał nauczkę, teraz już wie, że nie wolno za bardzo wybrzydzać.

Wstała i poszła po piaszczystej plaży jak po solidnej brukowanej drodze. Ja, próbując za nią nadążyć, raz po raz wpadałam w jakiś miękki kopczyk, który unieruchamiał mi nogi. Matka tymczasem, posuwając się niestrudzenie naprzód swoim marszowym krokiem, zdążyła już pokonać stromą ścieżkę, u której szczytu stał nasz samochód. Żeby choć ciężiej odetchnęła, wyciągając z bagażnika tę wielką dętkę

— skądże! Jak ona to robiła? Obwiązała koło luźnym końcem żyłki od bambusowej wędki ojca, zniosła je na dół i rzuciła do wody.

— Pójdzie tam, gdzie jest Bing. Wyciągnę go stamtąd

— powiedziała z absolutnym przekonaniem. Nigdy jeszcze w głosie mojej matki nie słyszałam aż tyle *nengyan*.

Kolo, jakby realizując jej zamysł, z wolna popłynęło ku drugiej stronie zatoki, gdzie od razu dopadła je silniejsza fala. Linka wyprężyła się nagle, matka jednak nie wypuściła z rąk wędki. Żyłka pękła. Zwinęta w długą spiralę opadła na wodę i znikła.

Wdrapałyśmy się na rafę, żeby lepiej widzieć. Dętka dopłynęła już do przeciwległej ściany zatoki. Runęła tam na nią ogromna fala i bezlitośnie rzuciła o skałę. Dzięki dużej zawartości powietrza nasza wysłanniczka odbiła się od chropowatej ściany, na sekundę wystrzeliła w górę, zaraz jednak wir wessał ją w głąb i utknęła w którejś z podwodnych szczelin. Wskoczyła po chwili na powierzchnię, niestety, znowu zniknęła. Błyskając czernią, pojawiała się tak i zniknęła wiele razy, sumiennie meldując mojej matce, że odnalazła Binga i że schodzi teraz po niego do jaskini. I chociaż po każdym zanurzeniu wracała bez pasażera, ciągle jeszcze budziła nadzieję. Aż wreszcie któryś z kolejnych wirów musiał wciągnąć ją w jakąś okropną czeluść, bo gdy tym razem wychynęła na powierzchnię, na jej czarnym korpusie widniały liczne rozdarcia. Nadzieja uszła z niej wraz z powietrzem

— była martwa.

Dopiero w tym momencie moja matka dała za wygraną. Póki życia nie zapomnę jej twarzy. Ta rozpacz, że utraciła Binga, ta groza, że mogła być aż tak głupia! Jak można myśleć, że wiara potrafi odmienić wyroki losu! Ogarnął mnie wtedy

gniew — ślepa, mordercza furia — że tak nas wszystko zawiodło.

Zdaję sobie dziś sprawę, że ani przez chwilę nie wierzyłam wtedy w odnalezienie Binga, tak jak wiem obecnie, że żaden cud nie uratuje mojego małżeństwa. A matka wciąż wywiera na mnie presję: spróbuj.

— Ale po co? Nie ma żadnej nadziei. Ani powodu.

— Po co? Bo musisz — odpowiada. — Tu nie chodzi o nadzieję czy powód. Takie jest twoje przeznaczenie. Trzeba robić, co się musi, takie jest życie.

— To co mam zrobić?

— Sama sobie odpowiedz. Myśl nad tym. Jak ktoś ci to powie, sama nie spróbujesz — stwierdza moja matka i zostawia mnie w kuchni. Mam myśleć.

Myślę o Bingu. Wiedziałam, co mu grozi, a jednak pozwoliłam, żeby się to stało. O moim małżeństwie. Widziałam oznaki rozkładu, a przecież dopuściłam do katastrofy. Pozwoliłam sprawom się toczyć. I myślę sobie, że tym, co decyduje o kształcie ludzkiego losu, są w połowie nasze oczekiwania, a w połowie to, że poświęcamy czemuś nie dość uwagi. Dopiero gdy tracimy obiekt miłości, zaczynamy czepiać się wiary. Trzeba lepiej pilnować tego, co grozi utratą. Pozbyć się oczekiwań.

Moja matka... Ona wciąż widzi tę Biblię pod stołem... Pamiętam, że zapisywała coś w środku, nim jeszcze zrobiła z niej podpórkę.

Wyciągam Biblię spod stołu i szybko przewracam kartki. Wiem, gdzie tego szukać. Przed księgą Nowego Testamentu znajduje się rubryka zatytułowana „Zgony”. Tu właśnie zapisała „Bing Hsu” — leciutko... łatwo ścieralnym ołówkiem...

Jing-mei Woo
DWIE KATEGORIE

Moja matka święcie wierzyła, że w Ameryce każdy ma nieograniczone możliwości. Może otworzyć restaurację, pracować na państwowej posiadzie i dorobić się niezłej emerytury, może kupić sobie dom, nie mając w zasadzie pieniędzy, zdobyć majątek, stać się z dnia na dzień sławą.

— Ty też oczywiście możesz być cudownym dzieckiem — oznajmiła mi, gdy miałam lat dziewięć. — Jesteś tak wszechstronnie uzdolniona! Dużo tam wie ciocia Lindo! Ta jej córuchna umie tylko dobrze kombinować.

Ameryka była miejscem, w którym matka ulokowała wszystkie swoje nadzieje. Przyjechała tu w 1949 roku, straciwszy w Chinach rodziców, dom, pierwszego męża i dwie córeczki-bliźniaczki, a jednak nie miała zwyczaju uzalać się nad swoją przeszłością. Istniało wszak tysiąc sposobów, by zmienić wszystko na lepsze!

Nie od razu zapadła decyzja co do rodzaju mojej przyszłej wielkości. Matka z początku uznała, że mogę być chińską Shirley Tempie. Za instruktaż miały mi posłużyć stare filmy. Siedziałyśmy przed telewizorem, a ona co chwila szturchała mnie w ramię: *Ni kan* — „patrz”. Podpatrywałam więc sposób, w jaki Shirleyka tupie nóżką, jak śpiewa piosenkę marynarską, jak wymawiając słowa „O Boże”, układa usteczka w okrągłutkie „o”.

— *Ni kan* — powiedziała pewnego razu na widok łez, które polały się z oczu gwiazdki. — Ty to już umiesz. O, do płaczu nie brak ci talentu!

Powziąwszy decyzję zrobienia ze mnie drugiej Shirley Tempie, zaczęła działać. Zaprowadziła mnie do dzielnicowego ośrodka misyjnego, gdzie odbywały się kursy dla przyszłych pracownic salonów piękności, i tam oddała w ręce jakiejś stremowanej praktykantki, która tak trzęsła się cała ze strachu, że z trudem trzymała nożyczki. Po jej zabiegach wyłoniłam się do nowego życia w zupełnie nowej postaci, tylko że zamiast grubych francuskich loków miałam na głowie skudłone, nierówno powygryzane runo — a la źle ostrzyżony baran. Matka zawlokła mnie do łazienki, gdzie wsadziwszy mi głowę pod kran, próbowała to jakoś przyklepać.

— Wyglądasz jak chińska Murzynka! — lamentowała, jak gdybym to ja celowo zrobiła jej na złość.

Żeby chociaż wyrównać mi włosy, pani instruktorka kursantek zmuszona była ściąć mi cały ten mokry kołtun.

— Piotruś Pan jest szalenie modny — pocieszała matkę. Miałam teraz fryzurę jak chłopiec, z króciuteńką grzywką

ukośnie przyciętą jakieś pięć centymetrów nad brwiami. Bardzo się w niej sobie podobałam i to dopiero rozbudziło we mnie myśl o przyszłej sławie.

Owszem, muszę się przyznać, że z początku perspektywa ta wywoływała we mnie entuzjazm równy matczynemu, a może nawet i większy. Genialna częśćka mojej natury objawiała mi się w coraz to innych postaciach, mogłam zatem w marzeniach robić sobie niezliczone przymiarki. Byłam więc tancerką, kruchą i delikatną jak porcelanowa figurynka... Ukryta za kulisami wyczekuję pierwszych taktów muzyki, by stanąć na pointach i wypłynąć na scenę porwana potokiem dźwięków. Niby płaczące na sianku Dzieciątko Jezus musiałam po prostu doczekać chwili, w której ktoś uzna moją boskość. Na razie byłam Kopciuszkiem wysiadającym z zaczarowanej karocy przy dźwiękach perlistej filmowej muzyki.

Każda z tych wizji napełniała mnie miłym przeświadczeniem, że już niebawem stanę się skończoną doskonałością. Rodzice będą mnie uwielbiać. Koniec z wymówkami i gderaniem — istota doskonała nie podlega krytyce. I nie będę się już musiała dąsać, by wyłudzić od matki byle drobiazg.

Zdarzały się jednak i chwile, kiedy mój utajony geniusz zaczynał się niecierpliwić, a nawet rzucać pogrożki: „Pospiesz się! Wydobądź mnie na światło dzienne, bo jak nie, to zniknę, i koniec! Mówię ci, potem zawsze już będziesz zerem!”

Co wieczór po kolacji zasiadałyśmy przy laminowanym stole kuchennym i matka poddawała mnie testom. Materiały czerpała z opowiadań o cudownych dzieciach, drukowanych na łamach „Ripley's Believe It or Not”, „Good Housekeeping”, „Reader's Digest” i tuzina innych tygodników, których całe sterty piętrzyły się w naszej łazience. Dostawała je od swoich pracodawców, a że w ciągu tygodnia sprzątała sporo mieszkań, więc i asortyment tytułów mieliśmy całkiem pokaźny. Matka dokładnie przeglądała wszystkie w poszukiwaniu przykładowych doniesień o różnych małych geniuszach.

Za pierwszy przykład posłużyła jej rzecz o trzyletnim chłopczyku, który potrafił wymienić nie tylko stolice wszystkich stanów, ale nawet niektórych państw europejskich, w dodatku prawidłowo wymawiał nazwy tych zagranicznych miast, co poświadczała własnym autorytetem cytowana w artykule nauczycielka.

— Stolica Finlandii? — spytała mnie matka, patrząc w tekst.

Cała moja wiedza w zakresie stolic sprowadzała się do jednej nazwy. W Chinatown mieszkaliśmy przy ulicy Sacramento, stąd wiedziałam, że tak się nazywa stolica Kalifornii.

— Nairobi! — zaryzykowałam najbardziej zagraniczne słowo, jakie mi przyszło do głowy. — Matka najpierw sprawdziła, czy przypadkiem nie istnieje możliwość takiej wymowy słowa „Helsinki”, a dopiero potem pokazała mi właściwą odpowiedź.

Testy stawały się coraz trudniejsze — mnożenie wielocyfrowych liczb w pamięci, odnajdywanie damy kier w talii kart, stanie na głowie bez pomocy rąk, przepowiadanie dziennych temperatur dla Los Angeles, Nowego Jorku i Londynu...

Pewnego razu matka wręczyła mi egzemplarz Biblii i poleciła przyswoić sobie wskazany fragment. Po upływie trzech minut miałam wyrecytować to, co uda mi się zapamiętać z całej strony.

— „Jozafat natenczas zyskał bogactw i czci obfitość i"... tyle zapamiętałam, mam — zakończyłam.

Wyraz bolesnego zawodu, który po raz kolejny odbił się na jej twarzy, sprawił, że coś we mnie pękło. Znienawidziłam to wszystko — testy, nadmierne ambicje, zawiedzione nadzieje. Przed pójściem do łóżka zerknęłam w wiszące nad umywalką lustro i kiedy zobaczyłam w nim tylko swoją twarz i nic więcej, a jeszcze uświadomiłam sobie, że na zawsze pozostanie już ona twarzą istoty przeraźliwie popolitej — zaczęłam szlochać. Zawsze mam być tą smutną, brzydką dziewczyną?! Wydając z siebie dźwięki godne rozwścieczonego kota, zaczęłam orać paznokciami lustro, usiłując wymazać tę twarz, unicestwić.

I nagle dostrzegłam w sobie coś, co miało się okazać najsilniejszą bodaj stroną mojej natury. Zobaczyłam to dopiero teraz, bo też nigdy przedtem nie widziałam u siebie takiego wyrazu twarzy. Szybko zamrugałam powiekami, chcąc lepiej przyjrzeć się swemu odbiciu. Dziewczyna w lustrze była zła, gniewna i silna. Ta dziewczyna to ja — skonstatowałam. W głowie zaczęły mi się kłębić całkiem nowe myśli, uparte i samowolne, czy może raczej same postanowienia na „nie". Nie dam się matce — obiecałam sobie — nie pozwolę jej siebie zmienić. Nie zrobi ze mnie kogoś, kim nie jestem.

Od tej pory stosowałam podczas testów bierny opór. Nonszalancko podpierając się łokciem, okazywałam matce swe demonstracyjne znudzenie. Było ono prawdziwe. Osiągało czasami takie rozmiary, że dla rozrywki zaczynałam liczyć dobiegające zdatki sygnały syren przeciwmgielnych. Ich dźwięk działał na mnie uspokajająco — przywodził na myśl tę krowę, co to przeskoczyła księżyc. Następnego dnia zrobiłam z tego zabawę: założyłam się sama z sobą o to, czy matka przestanie mnie piłować, nim syreny zawyją osiem razy. Bardzo szybko zaczęła mi odpuszczać już po jednym, najwyżej dwóch sygnałach. Pomyślałam, że wreszcie daje za wygraną.

Dwa, może trzy miesiące upłynęły bez wzmianki o mojej przyszłej sławie, aż tu nagle matka zobaczyła w telewizji

program Eda Sullivana. Telewizor mieliśmy stary — ciągle zanikał w nim dźwięk. Kiedy podnosiła się z sofy, by go podregulować, mniej więcej w połowie drogi Ed zaczynał mówić, gdy siadała — natychmiast przestawał. Wstała

— z głośnika buchały dźwięki fortepianu, usiadła — cisza. Tak to trwało: usiądź-powstań, do przodu-do tyłu, głośno-cicho. Moja matka i telewizor wykonywali coś na kształt tańca, w którym telewizor odgrywał rolę biernego, acz złośliwie usposobionego partnera. W końcu stanęła przy nim z ręką na regulatorze.

Wydawała się oczarowana muzyką, wprost zahipnotyzowana świetnym wykonawstwem. Grano jakiś krótki utwór fortepianowy: kaskada skocznych pasaży, po nich przekornie śpiewny motyw i powrót do swawolnie szybkiej części pierwszej.

— *Ni kan!* — zawołała matka, nakazując mi gestem, że mam się pospieszyć. — Patrz!

Teraz zobaczyłam, dlaczego tak ją zafascynował ten utwór. Na fortepianie bębniła dziewięcioletnia może Chinka, ostrzyżona na Piotrusia Pana. Dziewczynka miała w sobie szyk i wytworność młodocianej Shirley Tempie, była dumna i zarazem skromna — jak przystało na dobrze wychowane chińskie dziecko. Ach, i jak fantastycznie wykonała głęboki dyg, podczas którego pokryty pianą falbanek dół jej białej sukienki z wolna ułożył się na podłodze na podobieństwo płatków olbrzymiego goździka.

Mimo że były to wyraźne sygnały ostrzegawcze, w tym momencie nie wzięłam ich sobie do serca. Nie mieliśmy pianina, a moich rodziców nie stać było na kupno instrumentu, nie mówiąc już o opłatach za lekcje, nutach i tym podobnych wydatkach. Uzbrojona w tę świadomość, mogłam zachować się wielkodusznie, gdy matka zaczęła wybrzydzać i kręcić nosem.

— Phi, nuty gra prawidłowo, ale ten dźwięk! Niedobry! Nie śpiewa!

— Czemu się czepiasz? — palnęłam lekkomyślnie. — Jest całkiem dobra. Może nie najlepsza, ale bardzo się stara.

— Błąd. Połapałam się z miejsca, że słowa te wyjdą mi bokiem, było już jednak za późno.

— Zupełnie jak ty: nie najlepsza — brzmiała natychmiastowa riposta. — Bo ty się nie starasz! — parsknęła z irytacją, siadając na sofie.

Mała Chinka usiadła również, by na bis powtórnie wykonać „Taniec Anitry” Griega. Pamiętam ten utwór, bo też go musiałam ćwiczyć.

W trzy dni po programie Eda Sullivana matka przedstawiła mi szczegółowy rozkład lekcji gry na fortepianie oraz ćwiczeń. Okazało się, że rozmawiała już z panem Chongiem, tym emerytowanym nauczycielem muzyki z parteru, no i dobiła z nim targu: sprzątanie mieszkania w zamian za jedną lekcję w tygodniu plus codzienne udostępnianie instrumentu od czwartej do szóstej po południu.

Przyjęłam to jak zesłanie do piekieł. Zaskowyczałam, a nawet lekko tupnęłam nogą — bo kto by to mógł wytrzymać?

— Dlaczego nie podobam ci się taka, jaka się urodziłam? Nie jestem żadnym geniuszem! Nie umiem grać na fortepianie! A nawet gdybym umiała, też nie wystąpiłabym w telewizji, choćbyś mi dawała milion dolarów! — darłam się z płaczem.

Trzepnęła mnie za to w policzek:

— Kto cię prosi, żebyś była geniuszem? — krzyknęła.

— Masz tylko dać z siebie wszystko. Dla twojego własnego dobra. Może ja chcę, żebyś ty była geniuszem? Też coś! Kto cię o to prosi! Niewdzięcznica — wymamrotała po chińsku

— gdyby miała tyle talentu, ile temperamentu, już by pewnie zdobyła światową sławę.

Pan Chong, którego po cichu nazywałam Starym Chongiem, był strasznym dziwakiem. Jego palce nieustannie wybijały takt utworów granych przez jakieś niewidzialne orkiestry. W moich oczach wyglądał przynajmniej na sto lat. Czubek głowy miał prawie zupełnie pozbawiony włosów, nosił też okropnie grube okulary, a w jego zmęczonych oczach malowała się senność. Musiał być chyba jednak młodszy, niż myślałam, bo wciąż jeszcze był kawalerem i mieszkał z matką.

Starą panią Chong widziałam tylko raz — i chwiała Bogu. Ten jeden raz mi wystarczył. Roztaczała wokół siebie specyficzny zapasek małego dziecka, które zrobiło w majtki, a jej palce przypominały ciało nieboszczyka, czy może starą brzos-

kwinie znalezionej kiedyś w kącie zamrażarki. Kiedy ją wzięłam do ręki, skórka sama ześliznęła się z miększu.

Bardzo szybko się dowiedziałam, dlaczego stary Chong przeszedł na emeryturę: był głuchy.

— Jak Beethoven! — ryknął mi w ucho. — Tak jak on słyszę tylko w głowie! — co powiedziawszy, zaczął znów zapamiętane dyrygować swoją wyimaginowaną orkiestrą.

Nasze lekcje miały taki oto przebieg: Chong otwierał podręcznik, pokazywał mi jakieś znaki i wrzeszczał:

— Klucz! Wiolinowy! Basowy! Bez krzyżyków i bemoli! Znaczy, że to C-dur! Teraz słuchaj i graj tak jak ja!

Przegrywał parę razy gamę C-dur, jakiś prosty akord, a potem jakby pod wpływem nie dającego się przezwyciężyć impulsu przyozdabiał melodię w coraz więcej dźwięków, wysokich rozbieganych tryli i głucho dudniących basów, aż ta jego muzyka nabierała doprawdy wspaniałego brzmienia.

Teraz ja siadałam do fortepianu: gama, prosty akord, a potem kompletne bzdury. Była to istna kakofonia — coś jakby kot skakał po pojemniku na śmieci. Stary Chong uśmiechał się na to i bił mi brawo:

— Bardzo dobrze! Tylko musisz nauczyć się jeszcze grać w rytmie!

W ten sposób się przekonałam, że Chong nie jest w stanie wychwycić moich okropnych fałszów, z których przynajmniej połowa umyka jego krótkowzrocznym oczom. By mi pomóc w utrzymaniu rytmu, stawał za mną i przy każdym uderzeniu naciskał moje prawe ramię. Gdy zaczynałam wystukiwać zadane gamy i arpeggia, kładł mi na nadgarstkach monety jednopensowe, by zapobiec nadmiernemu unoszeniu przegubów. Wciskał mi do ręki jabłko i kazał zachowywać taki kształt dłoni przy graniu akordów, a demonstrując modne wtedy młoteczkowe uderzenie, zaczynał maszerować jak marionetka.

— Staccato! Tak powinny chodzić twoje palce! Jak żołnierzyki na mustrze!

Nauczył mnie naprawdę wielu rzeczy, niestety, również i tego, że mogę w ogóle nie ćwiczyć, a potem na lekcjach knocić, ile tylko dusza zapagnie. Nie ten dźwięk? A cóż to szkodzi? Wystarczyło lecieć dalej w rytmie. Stary Chong i tak tonął we własnych myślach, pochłonięty bez reszty brzmieniem swych urojonych orkiestr.

Dziś myślę, że w tych warunkach nie dałam sobie żadnej uczciwej szansy. Podstawy złapałam bardzo szybko, więc kto wie, może i byłaby ze mnie nie najgorsza pianistka, gdyby nie ten mój ośli upór. Bo zawzięłam się po prostu nie ćwiczyć, żeby uchowaj Boże, nie dać się przerobić matce. Skutek był taki, że tych kilka preludjów i hymnów, których już musiałam się nauczyć, grałam wyjątkowo haniebnie.

Uprawiałam te praktyki przez cały rok. Można nawet powiedzieć, że z rzadko spotykaną u mnie sumiennością. Aż tu pewnego dnia dobiegł mnie fragment rozmowy matki z jej przyjaciółką, Lindo Jong. Obie zresztą specjalnie mówiły bardzo głośno. Rzecz działa się po kościele. Ubrana w odświętną sukienkę na białych krochmalonych halkach, podpierałam plecami ścianę świątyni. W odległości półtora metra tkwiła w takiej samej pozycji Waverly Jong, moja rówieśnica, jedyna córka cioci Lindo. Jako że wychowywałyśmy się razem, łączyła nas siostrzana zażyłość, w tym zwłaszcza kłótnie o kredki i lalki. Inaczej mówiąc, na ogół zionęłyśmy do siebie nienawiścią. Ja osobiście uważałam Waverly za nadętą, zasmarkane g..., jednakże w naszej dzielnicy cieszyła się ona pewną dozą sławy, jako „Najmłodsza chińska mistrzyni szachowa Chinatown”.

— Ach, Waverly znosi do domu tak dużo tych swoich trofejów — usłyszałam płaczliwy głos cioci. — Cały dzień gra w szachy, a ja cały dzień nic tylko odkurzam jej nagrody!

— ciocia rzuciła karcące spojrzenie w stronę Waverly, która udawała, że jej nie widzi. — Tobie dobrze, bo nie masz takiego problemu — powiedziała z westchnieniem do mojej matki.

Zobaczyłam, że matka prostuje ramiona:

— My mamy jeszcze gorszy — pochwaliła się cioci.

— Poproś Jing-mei, żeby pomyła naczynia, to zobaczysz: ona nie słyszy. Ona słyszy tylko muzykę. Wrodzony talent. Wygląda na to, że nie da się go obkiełznać.

Wtedy właśnie podjęłam decyzję: trzeba okiełznać przede wszystkim te jej fałszywe ambicje.

W kilka tygodni później Stary Chong i moja matka uknuli przeciwko mnie spisek: postanowili, że wezmę udział w popisie młodych talentów organizowanym w sali zgromadzeń naszego kościoła. Do tego czasu rodzicom udało się już

zaoszczędzić trochę grosza, więc kupili mi używane pianino, czarnego wurlitzera, i do tego pokiereszowaną ławeczkę.

Na konkursie miałam zagrać utwór zatytułowany „Prośba dziecięcia” ze „Scen dziecięcych” Schumanna. Był to prościutki smętny kawałek, który jednak na pierwszy rzut oka wydawał się dużo trudniejszy. Miałam się go wyuczyć na pamięć i żeby wydłużyć całość, dwukrotnie odegrać powtarzające się części muzyczne. Oczywiście robiłam to, co zwykle, czyli zbijałam baki. Parę taktów zagrałam z pamięci, a potem zaczynałam oszukiwać, zerkając ukradkiem w nuty. Nie miałam zwyczaju wsłuchiwać się w to, co grałam — marzyłam sobie wtedy o niebieskich migdałach. Znajdowałam się zupełnie gdzie indziej, miałam inną twarz, inny strój — po prostu byłam kimś innym.

Jedyną przyjemność sprawiało mi ćwiczenie ukłonu: prawa noga wytwornie wysunięta do przodu, dotknięcie róży na dywanie końcem wyprężonej stopy, wdzięczny balans w bok, lewa noga ugięta, spojrzanie w górę i uśmiech.

Na świadków mego debiutu rodzice zaprosili wszystkie pary małżeńskie z Klubu Radości i Szczęścia, byli więc obecni ciocia Lindo i wuj Tin, a także Waverly wraz z dwoma starszymi braćmi. Pierwsze dwa rzędy widowni zajmowali wykonawcy, niektórzy starsi ode mnie, inni młodsi. Na pierwszy ogień poszli ci najmniejsi. Przez dłuższy czas słuchaliśmy więc łatwiutkich wierszyków i rzepolenia na miniaturowych skrzypeczkach, oglądaliśmy pokazy hula-hop oraz popisowe podskoki baletniczek w krótkich różowych spódniczkach. Po każdym takim występie publiczność wydawała zbiorowe „ou” i rozlegały się huraganowe brawa.

Kiedy nadeszła moja kolej, byłam niesłuchanie pewna siebie. Do dziś pamiętam przenikający mnie na wskroś dreszczyk emocji. Jak gdybym naprawdę żywiła niezachwianą wiarę w ten mój wielki ukryty talent. Nie odczuwałam strachu, zmieszania, nic z tych rzeczy. To jest to! To jest to! — myślałam sobie. Rozejrzawszy się po widowni, zobaczyłam sztucznie obojętną twarz matki, ziewnięcie ojca, wymuszony uśmiech cioci Lindo, nadąsaną minę Waverly... Miałam na sobie białą sukienkę naszytą kilometrami koronek, a jako dodatek do mojej ekstramodnej fryzury — wielką różową kokardę. Siadając przy fortepianie wyobraziłam sobie, że

publiczność zrywa się z miejsc, a Ed Sullivan spieszy przedstawić mnie telewidzom.

Zaczęłam grać. Ach, jakie to wszystko piękne! Tak byłam pochłonięta własnym zjawiskowym wyglądem, że z początku wcale nie martwiłam się o to, jak zagram. Pierwszy fałszywy dźwięk, który mi uświadomił, że coś tu brzmi niezupełnie tak, jak powinno, był dla mnie prawdziwą niespodzianką. A potem po raz drugi i trzeci trafiłam w niewłaściwy klawisz... Czubek głowy dziwnie mi złodowaciał. Czułam, jak ten śmiertelny chłód kropelkami spływa mi po grzbiecie... Grałam jednak dalej, zresztą nie mogłam przestać, bo ręce poruszały mi się bez udziału woli — jak zaczarowane. Jeszcze pocieszałam się myślą, że palce same jakoś wskoczą gdzie trzeba, odnajdą wyznaczony im szlak niczym rozpedzony pociąg... Przebrnęłam w ten sposób przez dwie powtórki, potykając się jak na wybojach, przy czym cały czas aż do końca fałsze zgrzytały mi w uszach.

Wstając stwierdziłam, że drżą mi nogi. Ach — pomyślałam — może to tylko nerwy, może publiczność przyjmie wszystko za dobrą monetę, jak Stary Chong, może nikt nie usłyszał żadnych fałszów... Wysunęłam prawą stopę, ugięłam lewe kolano, spojrzałam w górę i uśmiechnęłam się do widowni. Sala milczała z wyjątkiem Starego Chonga, który z rozpromienioną miną klaska! w dłonie, wołając: „Brawo, brawo! Świetnie!” A potem zobaczyłam twarz mojej matki — wyglądała jak po ciężkiej chorobie. Wracając na miejsce z ustami drżącymi od powstrzymywanego płaczu usłyszałam głośny szept jakiegoś malca:

— To było okropne.

— Cóż, z pewnością bardzo się starała — odpowiedziała szeptem jego matka.

Teraz dopiero uświadomiłam sobie, ile osób jest na widowni — wydawało mi się, że chyba cały świat przyszedł oglądać moją klęskę. Spojrzenia tych ludzi dosłownie paliły mnie w plecy. Widziałam, co przeżywają moi rodzice, sztywno wyprostowani na krzesłach do samego końca imprezy, czułam, jak strasznie im wstyd.

Mogliśmy wymknąć się w czasie przerwy, widocznie jednak duma czy może jakieś osobliwe poczucie honoru nie pozwoliły memu ojcu ani matce ruszyć się z miejsca. Tak więc

obejrzelśmy wszystko: pokaz iluzji w wykonaniu osiemnastolatka ze sztucznym wąsem, który następnie wsiadł na jednokołowy rower i zaczął żonglować płonącymi obręczami... Piersiastą, na biało wymalowaną dziewczynę, która za arię z „Madamy Butterfly” otrzymała honorowe wyróżnienie... Zdobywca pierwszej nagrody miał lat jedenaście, a zaprezentował skomplikowany utwór skrzypcowy, który brzmiał jak brzęczenie pszczoły.

Po zakończeniu imprezy podeszli do nas członkowie Klubu Radości i Szczęścia — państwo Hsu, Jong i St. Clair.

— Pełno utalentowanych dzieciaków — zauważyła wymijająco ciocia Lindo. Na jej twarzy widniał szeroki uśmiech.

— I nie tylko — rzucił mój ojciec. Co ma na myśli? Czy to taka aluzja do mojej osoby? A może nie... Czy on w ogóle pamięta, co zrobiłam?

Waverly popatrzyła na mnie i wzruszyła ramionami:

— Nie jesteś geniuszem takim jak ja — stwierdziła bardzo rzeczowo. Gdybym się tak podle nie czuła, pewnie bym ją szarpnęła za warkocz albo przyłożyła tej zgadze w żołądek.

Jednak tym, co ostatecznie obróciło mnie w proch, był wyraz twarzy mojej matki, jej puste spojrzenie, mówiące: To już koniec, straciłam wszelką nadzieję. Czułam dokładnie to samo. Zbliżający się do nas ludzie drażnili mnie jak uliczni gapie, co zlatują się do wypadku: którą to kończynę obcięło ofierze? W autobusie ojciec nucił sobie melodię „pracowitej pszczołki”, matka głucho milczała. Odkłada to na później — myślałam — w domu zacznie na mnie krzyczeć, ale nie. Jak tylko ojciec otworzył drzwi, poszła od razu do sypialni. Nic. Żadnych oskarżeń, żadnych wyrzutów. Sprawiała mi tym pewien zawód — czekałam przecież, żeby zaczęła na mnie krzyczeć... Mogłabym się jej wtedy odszczeknąć, rozplakać, zwalić na nią winę za całe swoje nieszczęście.

Przyjęłam niejako a priori, że moje popisowe fiasko oznacza koniec gry na fortepianie, jednak gdy w dwa dni później rozsiadłam się przed telewizorem, matka wytknęła głowę z kuchni i upomniała mnie, jakby nic nie zaszło:

— Czwarta. — Osłupiałam. Prawie tak, jak gdyby ponownie skazywała mnie na tortury konkursu młodych talentów.

Mocniej przywarłam do swego miejsca na podłodze przed telewizorem.

— Wyłącz telewizor! — zawołała po pięciu minutach z kuchni.

Ani drgnęłam. A potem podjęłam decyzję: niech się dzieje, co chce, nie będę więcej słuchać matki. Nie jestem jej niewolnicą. To nie Chiny. Słuchałam jej i proszę, co z tego wyszło! Ona jest głupia.

Wyłoniła się z kuchni i stanęła w łukowato sklepionym wejściu do saloniku:

— Jest czwarta — powtórzyła tym razem głośniej.

— Nie zamierzam więcej grać na fortepianie — powiedziałam nonszalancko. —

Po co? Nie jestem genialna.

Obeszła mnie i stanęła przez telewizorem. Widziałam jak ze złości faluje jej klatka piersiowa.

— Nie! — powiedziałam prędko, utwierdzając się w oporze. Poczułam się nagle silniejsza, jakby moje prawdziwe „ja” ostatecznie wypłynęło na powierzchnię. Ach, więc to jest to coś, które cały czas we mnie tkwiło! — Nie! Ani myślę!

— wrzasnęłam.

Gwałtownym szarpnięciem za ramię poderwała mnie z podłogi i z trzaskiem wyłączyła telewizor. Wydawała się przerażająco silna, kiedy tak pół wlokła mnie, pół niosła w stronę pianina, a ja mogłam tylko kopać rozłożone po pokoju dywaniki. Dźwignęła mnie w górę i twardo opuściła na ławeczkę. Teraz już szlochałam wniebogłosy, wpijając w nią wrogie spojrzenie. Dyszała ciężko, jej otwarte usta wykrzywił jakiś zwariowany uśmiech, jakby mój płacz sprawiał jej przyjemność.

— Ty chcesz zrobić ze mnie kogoś, kim nie jestem!

— łkałam. — A ja nigdy nie będę taką córką, jakiej ty byś sobie życzyła!

— Są tylko dwie kategorie córek! — krzyknęła po chińsku.

— Posłuszne i te, które pojadły wszystkie rozumy! W tym domu jest miejsce tylko dla jednej kategorii! Tu nie będzie nieposłusznych córek!

— No to żałuję, że jestem twoją córką! Wielka szkoda, że jesteś moją matką! — krzyknęłam i w tej samej chwili ogarnęło mnie przerażenie. Czułam, że z piersi zaczynają mi wylazić robaki, ropuchy i inne oślizłe paskudztwo. A jednak, jednak,

było w tym i coś z ulgi. Paskudna strona mojej natury ukazała się wreszcie w całej pełni — i dobrze.

— Tego już się nie da zmienić. Za późno — ostro odparła moja matka.

Czułam, że jej wściekłość lada chwila osiągnie punkt wrzenia; korciło mnie zobaczyć, kiedy w końcu wykipi. Wtedy przyszły mi na myśl te dzieci, które porzuciła w Chinach, te, o których nigdy się nie mówiło.

— No to żałuję, że się urodziłam albo że nie umarłam! — wrzasnęłam. — Jak one!

Słowa te podziały na nią jak zakłęcie. Zamknęła usta, ręce jej opadły, na znieruchomiłej nagle twarzy odmalowała się pustka. W tym jakimś oszołomieniu wycofała się z pokoju, jakby ją wywiało... Przypominała cienki, zbrązowiły, zeschnięty listek, w którym nie pozostało ani odrobiny życia.

Nie był to jedyny zawód, jaki sprawiłam mojej matce. W następnych latach zawiodłam ją jeszcze wiele razy; zawsze chodziło o to, że stawiam na swoim, że robię, co mogę, żeby tylko nie spełniać jej oczekiwań. Nie przynosiłam samych piątek. Nie zostałam przewodniczącą samorządu klasowego. Nie dostałam się na Stanford. Rzuciłam college.

A działo się tak dlatego, iż w przeciwieństwie do mojej matki nie uważałam, że jestem w stanie osiągnąć wszystko i być, kim tylko zechcę. Wiedziałam, że potrafię być wyłącznie sobą.

Nigdy później nie rozmawialiśmy ani o moim katastrofalnym występie, ani o strasznych słowach, które rzuciłam jej w twarz, siedząc na tej fortepianowej ławeczce. Wszystko to legło między nami jak tabu, jak zdrada, o której mówić nie sposób nawet po latach. Dlatego też nigdy nie potrafiłam jej spytać, z jakiego powodu spodziewała się po mnie czegoś tak wielkiego, że nie mogło się to skończyć inaczej niż klęską.

Najgorsze, że zabrakło mi odwagi, aby zapytać ją o to, co mnie osobiście wprawiło w prawdziwe przerażenie: dlaczego wyzbyła się wtedy nadziei? Tak, bo po owej pamiętnej awanturze matka już ani słówkiem nie wspomniała o dalszej

nauce. Lekcje zostały przerwane, wieko pianina zatrzaśnięte. Moje udreki i jej marzenia zostały tam zamknięte jak w trumnie razem z pokrywającym je kurzem.

Dlatego bardzo mnie zaskoczyła kilka lat temu, ofiarowując mi to pianino z okazji moich trzydziestych urodzin. Od czasów dzieciństwa nie grałam, więc ta propozycja była dla mnie gestem wybaczenia, poczułam, że kamień spada mi z serca.

— Czy dobrze to przemyślałaś? — spytałam nieśmiało.

— To znaczy... nie będzie go wam brakowało, tobie i tatusiowi?

— Nie, przecież to twoje pianino — odparła stanowczo.

— Było i jest. Tylko ty umiesz grać.

— No, teraz to już chyba nie. Tyle lat...

— Szybko złapiesz — stwierdziła matka w taki sposób, jakby żywiła co do tego całkowitą pewność. — Masz wrodzony talent. Mogłaś być geniuszem, jakbyś chciała.

— O, nie!

— Ty się po prostu nie starasz. — W jej tonie nie było gniewu ani smutku, ot, konstatacja faktu, który nie podlega dyskusji. — Bierze je — powiedziała.

Z początku tego nie zrobiłam. Wystarczyło, że mi je ofiarowała. Ilekroć potem widziałam swoje pianino w jej saloniku w obramowaniu wykuszowych okien, ogarniała mnie duma. Było jak świetne trofeum, które szczęśliwie udało mi się odzyskać.

W zeszłym tygodniu wysłałam stroiciela do mieszkania rodziców i kazałam mu odnowić pianino z przyczyn czysto sentymentalnych. Matka od kilku miesięcy nie żyła, a ja na prośbę ojca po trochu, z przerwami, zajmowałam się porządkowaniem jej rzeczy. Biżuterię umieściłam w specjalnych jedwabnych saszetkach, jej własnoręcznie robione swetry

— w kolorach, których nie znoszę: żółci, rózu, ognistej pomarańczy — wpakowałam do antymolowych worków. Znalazłam w szafie kilka jedwabnych chińskich sukien, bardzo już starych, takich z małymi rozcięciami po obu bokach... Powoli przesunęłam dłońmi po chłodnej, śliskiej tkaninie, otarłam się o nią twarzą, a potem zawinięłam suknie w bibułkę i postanowiłam zabrać je do domu.

Pianino było już nastrojone, więc otworzyłam wieko i wzięłam parę akordów. Dźwięk miało głęboki, pełniejszy nawet, niż zapamiętałam. Cóż, było to przecież naprawdę świetne pianino. We wnętrzu ławeczki wciąż leżały moje stare zeszyty nutowe z ręcznie wypisanymi gamami i te same używane nuty z okładkami poklejonymi żółtą taśmą.

Wyjęłam zbiorok Schumanna, by poszukać rzewnego drobiazgu, który grałam podczas recitalu. Był, znajdował się na lewej, parzystej stronie albumu... „Prośba dziecięcia”... Wydał mi się jakby trudniejszy niż kiedyś, ale po przegraniu kilku taktów zdziwiłam się, że z taką łatwością wraca mi pamięć tych dźwięków.

Po raz pierwszy też — tak mi się przynajmniej zdawało — zauważyłam utwór zamieszczony obok na stronie prawej. Tytuł brzmiał: „Zupełnie kontent”. Spróbowałam zagrać i ten. Melodia była trochę weselsza, rytm podobnie rozlewny, całość okazała się szalenie łatwa. „Prośba dziecięcia” była krótsza i wolniejsza, „Zupełnie kontent” dłuższy, ale szybszy. Kiedy przegrałam oba parę razy, zrozumiałam, że to dwie części tego samego utworu.

Z CHIŃSKIEGO
NA AMERYKAŃSKIE

„Uu! — zawołała matka, widząc ozdobną szafę z lustrem w głównym apartamencie nowego kondominium córki. — Nie wolno stawiać luster w nogach łóżka! Odwróci się od ciebie całe małżeńskie szczęście! Odbije się w lustrze i poleci w przeciwną stronę!”

„Trudno. Ta szafa musi stać tutaj. To jedyne miejsce, gdzie pasuje” — odrzekła córka z irytacją. Że też matka we wszystkim widzi złe wróżby! A ona od urodzenia musi wysłuchiwać takich przestroóg!

Matka ze zmarszczonymi brwiami sięgnęła do swojej sfatygowanej torby.

„Hm, na szczęście można temu zaradzić” — powiedziała, wydobywając z niej swój prezent na nowe mieszkanie, zakupiony przed tygodniem w Price Club. Było to lustro o połączonych brzegach. Oparła je o wezglowie, podkładając pod spód dwie poduszki. „Zawieszisz je tutaj — wskazała miejsce nad łóżkiem. — Gdy to lustro przejrzy się w tamtym, pomnoży ci szczęście kwitnienia brzoskwiń.”

„Co za szczęście? Jakie znów kwitnienie brzoskwiń?”

„Jest tutaj — odrzekła matka, wskazując z figlarnym uśmiechem lustro. — Popatrz. No i co ty na to? Czy nie mam racji? W tym lustrze jest moja przyszła wnuczka. Już z wiosną posadzę ją sobie na kolanach.”

Córka spojrzała w lustro — i rzeczywiście! Było tak, jak powiedziała matka: z głębi tafli patrzyło na nią jej własne lustrzane odbicie.

Lena St. Clair
RYŻOWY MAŻ

Po dziś dzień w to wierzę, że moja matka ma pewną niesamowitą zdolność: potrafi przewidywać przyszłość. Na pytanie, skąd wiedziała, że to czy owo się zdarzy, odpowiada takim chińskim powiedzonkiem: *Chun wang chihan* — „jak postradasz wargi, to nałykasz się zimna”, co według mnie oznacza chyba tyle, że wszystko zawsze ma swoją przyczynę.*

Przedmiotem przewidywań mojej matki nie są jednak wydarzenia tej wagi, co trzęsienia ziemi czy sytuacja na giełdzie. Jej proroctwa ograniczają się tylko do tego, co zagraża naszej rodzinie. Matka twierdzi poza tym, że znała przyczyny każdego z tych spełnionych nieszczęść. Teraz lamentuje, że nie starała się im zapobiec.

Pewnego razu — było to jeszcze za czasów mego dzieciństwa, zaraz po przeprowadzce do San Francisco — stwierdziła, że nasz nowy dom źle stoi, ponieważ pobudowano go na zbyt stromym zboczu. W związku z tym przepowiedziała, że dziecko, które nosi w łonie, przyjdzie na świat martwe — i tak się też stało.

Kiedy naprzeciwko naszego banku otwarto sklep z armaturą łazienkową i innymi akcesoriami wodnokanalizacyjnymi, matka orzekła, że tylko patrzeć, jak z banku wyciekną wszystkie pieniądze. W miesiąc później aresztowano tam któregoś z urzędników za zdefraudowanie znacznych kwot.

* Chińskie powiedzenie oznaczające ścisły związek przyczynowy rzeczy i zjawisk.

Po śmierci ojca (zmarł w ubiegłym roku) oświadczyła, że również i to nie było dla niej niespodzianką, ponieważ usechł ofiarowany jej przez ojca filodendron. A przecież podlewała go regularnie! Okazało się, że biedna roślina zupełnie nie pobierała wody, no bo czym, skoro miała tak mocno uszkodzone korzenie? A co wykazała sekcja zwłok ojca? Dziewięćdziesięcioprocentową blokadę arterii. Zmarł na zawał serca — jak podawał raport — w wieku lat siedemdziesięciu czterech. Mój ojciec, ożeniony z Chinką, sam był z pochodzenia Anglo-Irlandczykiem, który do końca życia nie mógł sobie odmówić tego, co lubił, zwłaszcza zaś amerykańskich śniadań: pięć plasterków bekonu i do tego trzy dobrze przyrumienione jajka.

Dlaczego akurat teraz przypomniałam sobie o niecodziennych zdolnościach mojej matki? Bo gościmy ją właśnie oboje z mężem w naszym nowo zakupionym domu w Woodside. Ciekawa jestem, co też mi powie.

Mieliśmy szczęście — mówię o sobie i Haroldzie — że udało nam się znaleźć takie miejsce. Leży ono w pobliżu najwyższego punktu autostrady numer 9; zaraz po trzech ostrych zakrętach typu „agrafka” uchodzą od niej trzy nie oznakowane polne drogi. Nie oznakowane dlatego, że tutejsi mieszkańcy systematycznie wrywają wszystkie pojawiające się na nich znaki, chcąc w ten sposób zniechęcić różnych przedsiębiorców, handlowców tudzież inspektorów miejskich do penetrowania tych okolic. Od mieszkania matki w San Francisco dzieli nas raptem czterdzieści pięć minut jazdy. No tak, ale z matką zrobiła się z tego godzina. Bo kiedy już wydostaliśmy się na krętą dwupasmówkę prowadzącą na to nasze wzniesienie, pozwoliła sobie bardzo delikatnie dotknąć ramienia Harolda:

— *Ajjal* Piszczą te opony! — upomniała go łagodnie.

— Szkoda samochodu — dodała w chwilę później. Harold uśmiechnął się i zwolnił, widziałam jednak, jak

kurczowo zacisnął ręce na kierownicy jaguara! A to jego nerwowe zerkanie w lusterko, gdy z minuty na minutę gęstniał za nami tłum zniecierpliwionych kierowców!... Dobrze ci tak!

— cieszyłam się w duchu. Bo zazwyczaj bywa odwrotnie: to Harold, siedząc na ogonie różnym buickom prowadzonym

przez starsze panie, zachowuje się arogancko. Z taką złością naciska klakson, tak demonstracyjnie hałasuje silnikiem, jakby je zamierzał staranować.

Jakkolwiek wyrzucałam sobie małoduszność, to jednak nie umiałam pozbyć się myśli, że należy mu się nauczka. Byłam na niego wściekła, a on na mnie. Rano, zanim wyjechaliśmy po matkę, zdążyliśmy się pokłócić.

— Ty zapłacisz tępicielom — oświadczył. — Mirugaj to twój kot, zatem i pchły są twoje. Tylko tak będzie sprawiedliwie.

Żaden z naszych znajomych nigdy by nie uwierzył, że potrafimy kłócić się o coś takiego jak pchły — czyż to nie idiotyzm? — ale też nikt by się nie domyślił prawdziwych przyczyn naszych konfliktów. Gdzie one leżą? Sama nie wiem nawet, jak głęboko trzeba by sięgnąć.

Na razie, póki jest u nas matka (w jej budynku w San Francisco odbywa się wymiana instalacji elektrycznej, która potrwa — jak podano — tydzień), musimy udawać, że nie ma sprawy.

Na razie odpowiadamy jej w kółko wciąż na to samo pytanie: czy naprawdę musieliśmy zapłacić aż tyle pieniędzy za przebudowaną stodołę i zapleśniały basen plus cztery akry gruntu, z których dwa nie nadają się do użytku, bo rosną tu tylko sekwoje i trujące dęby? Ściślej mówiąc, ona właściwie nie pyta, ona lamentuje, oglądając jakiś fragment domu czy pola: „*Ajjal* tyle pieniędzy!” Każda taka odzywka wyzwala w Haroldzie nieodpartą potrzebę wyjaśnień.

— Rozumiesz — tłumaczy jej jak dziecku — detale tyle kosztują. Spójrz na tę podłogę: to drewno wybiela się ręcznie. No albo ta ściana: wygląda jak marmur, ale żeby uzyskać taki efekt, trzeba ją marmurkować ręcznie. Cóż, to kosztuje, ale przyznasz, że warte jest tych pieniędzy.

Matka kiwa głową:

— No tak, wybielanie, marmurkowanie, to są koszty — przytakuje.

Już przy pobieżnych oględzinach domu wynalazła różne usterki. Podłoga jest pochyła. Idąc po niej, ma wrażenie, jakby „zbiegała z góry”. Pokój gościnny, który jej oddałam, faktycznie dawny stryszek na siano, ma kształt wyznaczony przez pochyłość dachu, ale dla niej „wali się z obu stron do środka”.

Dodajmy do tego, że w każdym kącie pod sufitem widzi pająki... pchły widzi również. Skaczą jej przed oczami. Jak to ona mówi? „Pach, pach, pach! Pryskają w powietrze jak olej z patelni!” Tak, ona się nie da oszukać. Ten dom może sobie mieć nie wiem ile kosztownych detali, ale dla niej pozostanie zawsze tylko zwyczajną stodołą.

Moja matka niczego nie przeoczy. Ale dlaczego widzi tylko same wady, usterki i niedoróbki? Złości mnie to. Chociaż... jak tak dobrze się przyjrzeć, to ona właściwie ma rację. I co z tego? Prosty wniosek: dobrze widzi też i wszystko inne, na przykład to, co dzieje się między mną i Haroldem. Wie, jak te sprawy potoczą się dalej. Dlaczego tak myślę? Bo przypominam sobie pewną naszą rozmowę, kiedy byłam ośmioletnią dziewczynką.

Matka spojrzała w moją miseczkę z ryżem i orzekła już wtedy, że będę miała niedobrego męża.

— Oj, Leno, za każde nie zjedzone ziarnko ryżu twój mąż będzie miał na twarzy taki dziób jak po ospie — powiedziała, odstawiając moją miseczkę. — Znałam kiedyś jednego dziobatego. Zły był z niego człowiek, małostkowy i skąpy.

Natychmiast pomyślałam o pewnym chłopaku z sąsiedztwa, który miał na policzkach właśnie coś jakby takie malutkie wyrwy. Rzeczywiście były wielkości ryżu. Chłopak ten liczył sobie lat dwanaście, a na imię mu było Arnold.

Ten opryszek strzelał mi gumą po nogach, ile razy w drodze ze szkoły przechodziłam koło jego domu, a raz przejechał rowerem moją lalkę, miażdżąc jej nóżki aż do kolan. O, nie chciałam, żeby ten okrutnik został moim mężem! Prędko schwyciłam miseczkę z wystygłym już ryżem, a gdy zmiotłam go co do okruszynki, uśmiechnęłam się z ulgą do matki: no, teraz dostanie mi się mąż z twarzą gładką jak dno tej miseczki!

— Ale wczoraj też nie zjadłaś ryżu — westchnęła. Stały mi przed oczyma wszystkie te nie dojedzone

ziarnka ryżu z wczoraj, przedwczoraj i sprzed tygodnia... Okropność. Z każdą minutą wpadałam w coraz większą panikę, a moje ośmioletnie serce przepełniła rozpacz: to już koniec! Mój los wydał mi się definitywnie przesądzony — Boże, będę musiała wyjść za tego paskudnego Arnolda! A ponieważ jestem niejadkiem, ile jeszcze dziobów zdąży mu

wyskoczyć na tej wstrętnej gębie? Tyle, ile kraterów na księżycu?

Z perspektywy lat można by cały ten incydent uznać za dość humorystyczny, dla mnie jednak i dziś nie jest śmieszny. Ilekroć wspomynam Arnolda, zawsze robi mi się niedobrze, a jednocześnie odczuwam wyrzuty sumienia. Moja nienawiść do tego chłopaka osiągnęłam bowiem taki pułap, że w pewnym momencie zaczęłam myśleć, co by tu zrobić, żeby umarł. Myślałam i w końcu wymyśliłam sposób. Pozwoliłam działać przyczynom wywołującym założone skutki. O, wszystko to mogło być oczywiście po prostu tylko szeregiem niezależnych od siebie zbiegów okoliczności, pomijając już jednak kwestię wiary w skutek mojego przedsięwzięcia, liczy się przecież sama zabójcza intencja — a ta niewątpliwie istniała. Jeszcze i dziś, kiedy chcę, żeby coś się stało — lub pragnę tego uniknąć — zaczynam we wszystkim dookoła dostrzegać związek ze sprawą, która mnie zaprzęta — szukając niejako uzasadnienia dla swoich poczynań.

Wtedy też znalazłam uzasadnienie... Tak się złożyło, że w parę dni po tym, jak matka powiedziała mi to o ryżu i przyszłym mężu, w szkółce niedzielnej pokazano nam pewien film. Był wstrząsający. Pamiętam, że przed projekcją nauczycielka przygasiała światła, tak że widzieliśmy tylko swoje niewyraźne sylwetki, po czym obrzuciła nas melancholijnym spojrzeniem (byliśmy gromadą rozdokazywanych, dobrze odżywionych chińskich dzieciaków) i powiedziała:

— Dzieci, film, który zobaczycie, uświadomi wam, dlaczego naszym obowiązkiem jest płacić Panu Bogu dziesięcinę i spełniać dobre uczynki. Chciałabym — mówiła dalej — byście pomyślały o pieniążkach, które każde z was wydaje co tydzień na lody, wafelki, chipsy, a potem porównały to z tym, co zobaczycie na filmie. Zastanówcie się przy okazji, co w życiu człowieka jest prawdziwym błogosławieństwem — po tym przemówieniu uruchomiła rozklekotany projektor.

Film był o misjonarzach pracujących w Indiach i w Afryce. Ci dobrzy ludzie opiekowali się chorymi, którzy nogi mieli jak kloce albo wszystkie cztery kończyny uschnięte i powykręcane jak liany w dżungli. Ale najpotworniejsze wrażenie robili trędowaci. Na ich twarzach widać było tyle okropności, że przechodziło to ludzkie pojęcie: dzioby, krosty, pęcherze,

guzy... Niektórzy mieli też w twarzach olbrzymie ziejące pustką dziury... Patrząc na nie, można było sobie wyobrazić, że to puste muszle po ślimakach, które nagle pierzchły w popłochu, kiedy posypano je solą... Gdyby ten film oglądała moja matka, na pewno by powiedziała, że wszyscy ci biedacy to ofiary swoich współmałżonków, którzy w dzieciństwie zostawiali na talerzach mnóstwo resztek.

Zrozumiałam, że w żaden sposób nie mogę wyjść za Arnolda, i od razu zaczęłam wprowadzać w życie pewien niegodziwy zamysł: w mojej miseczce zostawało teraz co dzień więcej ryżu. Zaczęłam od chińskich potraw, ale potem na wszelki wypadek poszerzyłam asortyment niedojadków o płatki kukurydziane ze śmietanką, brokuły i sandwicze z masłem orzechowym... Któregoś dnia, kiedy wbiłam zęby w nadziewaną czekoladkę i poczułam, jak strasznie jest klajstrowata, ile w niej dziwnych ciemnych grudek i czegoś białego a lepkiego, i ją też zdecydowałam się poświęcić.

Czyniąc to wszystko, brałam pod uwagę i tę możliwość, że nic się jednak nie stanie, to znaczy, że Arnold nie pojedzie do Afryki, gdzie nabawi się trądu i umrze, która to myśl równoważyła niejako tę pierwszą, ponurą ewentualność.

Umarł, choć nie tak zaraz. Ściśle mówiąc, stało się to dopiero w pięć lat później, kiedy już nieźle wychudłam. Głodziłam się od jakiegoś czasu już wcale nie z powodu Arnolda, o którym dawno zdażyłam zapomnieć, lecz by sprostać nakazom mody. Modna była wtedy anorektyczna chudość, więc wszystkie ówczesne trzynastolatki odprawiały głodówki, nie szczędząc w zamian swym ciałom różnych wymyślnych tortur. O Arnoldzie dowiedziałam się pewnego ranka. Siedząc przy stole czekałam, aż matka skończy pakować moje drugie śniadanie, którego zresztą pozbywałam się zaraz za rogiem. Ojciec jedną ręką chwycił przyrumienione plasterki bekonu, a w drugiej trzymał gazetę.

— Oj, posłuchajcie — powiedział nagle, nie przerywając jedzenia — Arnold Riesman, ten chłopak z naszej dawnej dzielnicy w Oakland, zmarł wskutek komplikacji po odrze. Piszą, że dopiero co został przyjęty do Cal State Hayward. Chciał zostać pediatrą.

„Lekarze z początku nie rozpoznali choroby — zaczęli odczytywać informację.
— Twierdzą, że takie przypadki

zdarzają się niezmiernie rzadko. Ofiarami są zazwyczaj dzieci i młodzież w wieku od dziesięciu do dwudziestu lat, a objawy choroby występują po upływie dłuższego czasu od momentu zakażenia wirusem ospy. Matka Arnolda Riesmana podała, że syn w wieku lat dwunastu przeszedł odrę o nietypowo lekkim przebiegu. Komplikacje wystąpiły dopiero w tym roku w postaci utraty koordynacji ruchów i narastającej ospałości umysłowej, która w końcu rozwinęła się w śpiączkę. Siedemnastoletni chłopiec zmarł, nie odzyskawszy przytomności." Ty, zdaje się, znałaś tego chłopaka? — zwrócił się do mnie ojciec. Stałam jak słup, bo odebrało mi mowę.

— To skandal — powiedziała moja matka. Patrzyła na mnie. — Prawdziwy skandal.

Przejrzała mnie! — pomyślałam. — Ona wie, kto jest przyczyną śmierci Arnolda! Ogarnęło mnie przerażenie.

Wieczorem objadłam się jak proszę. Zwędziłam z zamrażarki pół galona* lodów truskawkowych i łyżka po łyżce wepchnęłam je sobie do gardła. Po kilku godzinach zwróciłam to wszystko do pustego pojemnika — zgięta we dwoje na galerijce przeciwpożarowej za oknem. Pamiętam, nad czym wtedy rozmyślałam: dlaczego zjedzenie czegoś dobrego potrafi wywołać tak obrzydliwe samopoczucie, a zwrócenie jakiegoś obrzydlistwa — wprost przeciwnie?/

Myśl, że mogłam spowodować śmierć Arnolda, nie jest wcale taka absurdalna. Może naprawdę przeznaczone mu było zostać moim mężem? Bo przeznaczenie chyba istnieje. Inaczej skąd w tym świecie totalnego chaosu brałoby się tyle zbiegów okoliczności, tyle uderzających podobieństw, tyle skrajnych przeciwieństw? Dlaczego Arnold właśnie mnie wybrał sobie na ofiarę swoich złośliwych tortur? Mógł przecież równie dobrze znęcać się nad kimś innym. Czy to jedynie przypadek, że zachorował na odrę tego samego roku, kiedy ja zaczęłam świadomie go nienawidzić? Dlaczego kiedy matka wspomniała o nie dojadanym ryżu, od razu przyszedł mi do

* Galon am. = 3,78 l (przyp. tłum.).

głowy właśnie Arnold, dlaczego później musiałam go tak znienawidzić? No, a nienawiść... Czy nie jest ona skutkiem zranionej miłości?

Jeśli nawet odrzucić to wszystko jako idiotyczny absurd, i tak pozostaje coś jeszcze: dziwne przekonanie, że zawsze spotyka nas to, na co sobie zasłużyliśmy... co nam się należy. Obroniłam się przed Arnoldem, więc... dostał mi się Harold.

Oboje pracujemy w tej samej firmie architektonicznej Livotny i Spółka. Tylko że Harold Livotny jest tu szefem, a ja „spółką”, czyli pomagierem. Poznaliśmy się osiem lat temu, kiedy jeszcze nie istniała ta firma. Mając lat dwadzieścia osiem, pełniłam funkcję asystentki projektanta, którym był właśnie trzydziestoczteroletni Harold. Pracowaliśmy w dziale projektowania i budowy lokali gastronomicznych w firmie Harned Kelley and Davis.

Nasze spotkania rozpoczęły się od zwyczajnych roboczych lunchów, podczas których rozmawialiśmy głównie na tematy zawodowe. Rachunki płaciliśmy zawsze po połowie, chociaż ja zamawiałam przeważnie tylko jakąś sałatkę ze względu na moją skłonność do szybkiego przybierania na wadze. Ten zwyczaj pozostał nam i później, kiedy już te nasze południowe pogawędki ustąpiły miejsca dyskretnie intymnym kolacyjkom.

Wszystko nadal było po połowie. Na pytanie, kto właściwie bardziej za tym optował, musiałabym odpowiedzieć, że ja. Nieraz proponowałam nawet, że sama pokryję całość: jedzenie i trunki plus napiwek. Nie widziałam w tym nic nadzwyczajnego, tymczasem...

— Leno, jesteś naprawdę nadzwyczajna — oświadczył Harold po pół roku naszych tajnych biesiad i pięciu miesiącach postkolacyjnych igraszek w łóżku, po których nastąpił tydzień dość powściągliwych miłosnych wyznań. Leżeliśmy w nowej purpurowej pościeli, którą mu ostatnio nabyłam. Stary komplet Harolda nie nastrajał mnie romantycznie, gdyż na jego niegdysiejszej bieli rozpościerały się plamy — i to w najbardziej widocznych miejscach. — Ach — wyszeptał, przesuwając nosem po mojej szyi — nawet nie przypuszczałem, że kiedykolwiek spotkam kobietę tak cudownie poskładaną wewnątrz. Nie dorównuje ci...

Pamiętam, że na słowa „żadna inna” ze strachu omal nie dostałam czkawki. O, bo bez trudu mogłam sobie wyobrazić dziesiątki, ba! setki kobiet gotowych płacić za śniadania, obiady i kolacje Harolda, byle tylko poczuć na skórze jego oddech. — I jeszcze do tego jesteś taka rozkoszna — dodał z pośpiechem, gryząc mnie miłośnie w szyję.

Omdlałam wewnątrz, słysząc to wyznanie. To chyba cud, że tak wspaniała mężczyzna uważa mnie za osobę nadzwyczajną!

Teraz, kiedy wściekam się na Harolda, trudno mi sobie przypomnieć, jakie jego walory wydawały mi się godne tak wielkiego podziwu. No nie, coś chyba jednak w sobie ma, inaczej nie byłabym przecież taka głupia, żeby się w nim zakochać, a co dopiero wyjść za niego za mąż. Dobrze natomiast pamiętam jedno: uczucie bezgranicznej szczęśliwości, do którego z miejsca dołączył się lęk, że przecież absolutnie na to nie zasługuję, więc czy taki uśmiech losu może trwać? Skryte marzenia o tym, jak to będzie, kiedy zamieszkamy razem, wyzwalały we mnie wszelkie najgorsze obawy. Harold powie mi na przykład, że brzydko pachnę albo że za długo przesiaduję w łazience (inne moje łazienkowe nawyki też uzna za odrażające!), no a muzyka, której słucham, moje ulubione programy telewizyjne — lepiej nie mówić! Świadczą o zatrwających gustach! Zadręczałam się myślą, że pewnego dnia mój ukochany sprawi sobie nowe okulary, spojrzy na mnie rano i powie: „A kimże ty jesteś, na Boga! Przecież nie tą dziewczyną, za którą cię brałem!”

Myślałam, że już do końca życia nie opuści mnie paniczny strach przed zdemaskowaniem, przed uznaniem za podłą oszustkę, ale ostatnio Rose, moja przyjaciółka, która obecnie poddaje się psychoterapii w związku z postanowionym już rozwodem, pocieszyła mnie mówiąc, że takie lęki to rzecz typowa dla wielu kobiet naszego pokroju.

— Ja przez pewien czas myślałam, że to skutek chińskich metod wychowawczych, całej tej filozofii pokory... Może dlatego jakby z góry zgadzam się na wszystko, że urodziłam się Chinką? No wiesz, płynąć z prądem, jak mówi Tao, nie pozostawiając na wodzie żadnych śladów... Ale mój psychoterapeuta się z tym nie zgadza: „Przestań obwiniać rodzimą kulturę i swój rodowód etniczny!” Czytałam też kiedyś artykuł

o ludziach, którzy jak już coś osiągną, to zaczynają podnosić sobie poprzeczkę, a z wiekiem skłonni są coraz niżej się cenić...

Po tej rozmowie poczułam się trochę lepiej. To oczywiste, myślałam, że oboje z Haroldem jesteśmy sobie równi. Weźmy chociażby wygląd. Harolda trudno by nazwać szczególnie przystojnym, przynajmniej według klasycznych definicji, jakkolwiek wypada przyznać, że nie ma on żadnych defektów skórnych i że jego żyłasta sylwetka w połączeniu z twarzą intelektualisty to mieszanka niewątpliwie atrakcyjna. Ja z kolei może i nie jestem piękną, której widok odbiera panom rozum, ale sporo kobiet uprawiających razem ze mną aerobik uważa mnie za niezwykle „egzotyczną”... Wiele zazdrości mi jędrnych piersi, jako że mały biust jest teraz bardzo na fali. Do tego, jak twierdzi jeden z moich klientów, odznaczam się nieprawdopodobną witalnością, a zdrowie ze mnie aż tryska.

Myślę więc, że zasługuję na kogoś takiego jak Harold, przy czym to „zasługuję” należy rozumieć w sensie pozytywnym, a nie jako złą karmę. Oczywiście, że z nas równi partnerzy! Mnie też nie brakuje inteligencji. Kieruję się zdrowym rozsądkiem. Mam ponadto intuicję, powiedziałabym nawet inaczej: mam bardzo dobrego nosa. Czyż nie ja uprzytomniłam Haroldowi, że takiego fachowca jak on stać na założenie własnej firmy?

Pracowaliśmy wtedy jeszcze u Kelleya i Davisa.

— Haroldzie — powiedziałam — oni dobrze wiedzą, że robią na tobie majątek. Jesteś po prostu kurą znoszącą złote jajka. Gdybyś dziś otworzył własny interes, odebrałbyś im ponad połowę klientów z branży gastronomicznej.

— Połowę? — wybuchnął śmiechem. — Kochana jesteś, że tak mówisz.

— Ponad połowę! — krzyknęłam, śmiejąc się do niego. — Przecież jesteś świetnym architektem! Jeśli chodzi o projektowanie i budowę restauracji, nie ma drugiego takiego! Nie tylko my o tym wiemy, spora część przedsiębiorców również.

Jeszcze tej samej nocy Harold podjął decyzję — postanowił „o to zawalczyć”; nawiasem mówiąc, nie cierpię tego zwrotu od czasu, gdy pewien bank, który niejedną raz dał mi się we znaki, uczynił z niego dewizę i główne kryterium oceny skuteczności swoich pracowników. Odrzucając jednakowoż wszelkie uprzedzenia, powiedziałam:

— Zawalczmy wspólnie, Haroldzie. Tak bardzo chciałabym ci pomóc. Zdaję sobie sprawę, że przede wszystkim będziesz potrzebował pieniędzy.

Miałby brać ode mnie pieniądze? Nie chciał nawet o tym słyszeć, choć proponowałam mu je w najrozmaitszych formach: przyjacielskiej pożyczki, systematycznego spłacania mojego udziału w firmie, czy wreszcie korzystnej dla mnie inwestycji. Za bardzo sobie ceni nasz związek — odparł.

— Pieniądze mogłyby go skalać.

— Ty też nie przyjąłabyś jałmużny — argumentował.

— Poza tym tylko wtedy będziemy pewni naszej miłości, jeśli każde z nas zachowa osobną kasę.

Chciałam zaprotestować, powiedzieć: „Nie, ja naprawdę nie przywiązuję aż tak wielkiej wagi do pieniędzy, wcale nie jestem zwolenniczką tych zasad, które obecnie stosujemy. Lubię dawać z potrzeby serca...” Cóż, kiedy nie wiedziałam, jak zacząć. Miałam ochotę zapytać Harolda, kto, to znaczy, która kobieta zraniła go do tego stopnia, że tak bardzo wzdraga się przed każdym przejawem miłości... Wszystko, co dajemy z miłości, jest przecież jednakowo cudowne... No ale właśnie w tym momencie wypowiedział słowa, na które tak długo czekałam:

— Jeżeli naprawdę chcesz mi pomóc, to się do mnie wprowadź. Wtedy mógłbym skorzystać z tych pięciuset dolarów, które płaciłabyś mi tytułem czynszu...

— Wspaniały pomysł! — powiedziałam szybko, rozumiejąc, ile go musiała kosztować taka prośba. Byłam szaleńczo szczęśliwa. Czy w tych warunkach fakt, że za swoją dotychczasową pracownię płaciłam tylko czterysta trzydzieści pięć dolarów, mógł mieć jakiegokolwiek znaczenie? Poza tym mieszkanie Harolda było dużo ładniejsze... miało dwie sypialnie oraz panoramiczny widok na zatokę. Gdybym nawet miała je dzielić z kimś obcym, i tak byłoby warte tych dodatkowych pieniędzy.

W ciągu roku, licząc od dnia, w którym zapadło pamiętne postanowienie, odeszliśmy od Kelleya i Davisa. Harold otworzył własną firmę, a ja podjęłam w niej pracę jako osoba do wszystkiego. Co do klientów to nie udało się ich odebrać naszym byłym pracodawcom; prawdę mówiąc, Kelley i Davis zagrozili Haroldowi sądem, w razie gdyby w okresie najbliż-

szego roku podkupił im już nie tylko połowę, ale nawet jednego zleceniodawcę. Po tej groźbie nieźle się musiałam natrudzić, żeby go podnieść na duchu. Nie martw się, zaczęłam mu kłaść do głowy, myśl raczej o tym, jak się wybić. Twoja firma musi się różnić od wszystkich innych. Potrzebne jest bardziej awangardowe podejście... no choćby projektowanie restauracji z „tematyczną kuchnią”.

— Komu potrzebny jest jeszcze jeden dębowo-mosięzny bar z grillem? — zaczęłam rozwijać tę myśl. — Albo jeszcze jedna grzeczniutka restauracyjka a la Italiana? Ile razy można oglądać na ścianach szarżujące wozy policyjne? To nasze miasto jest dosłownie zatłkane identycznymi lokalami, bo projektanci wciąż powielają tylko parę ogranych tematów. Wejź w istniejącą lukę. Rób za każdym razem co innego. Mógłbyś oprzeć się przy tym na inwestorach z Hongkongu. Zobaczysz, że chętnie postawią trochę zielonych na amerykańską pomysłowość.

Harold posiał mi swój czuły uśmiech, mówiący: „uwielbiam tę twoją naiwność”. Co do mnie — uwielbiałam ten jego uśmiech. Z nadmiaru uczuć zaczęłam się nawet trochę jąkać.

— Wiesz... możesz... możesz naprawdę wprowadzić bardzo wiele nowych pomysłów... jeśli chodzi o kuchnię tematyczną... ee... na przykład... ee... domek na prerii! Domowa kuchnia, przy piecu mama w kraciastym fartuchu... słowem, rodzinna atmosfera. Kelnerki też w typie macierzyńskim. Rozumiesz, taka może nawet upomnieć gościa, że trzeba zjeść całą zupkę...

Przerwałam dla zaczerpnięcia oddechu.

— Albo na przykład... restauracja serwująca potrawy ze znanych powieści! Kuchnia literacka! Kanapki, powiedzmy, z kryminałów Lawrence'a Sandersa, a desery z „Heartburn” Nory Ephron! Można także wykorzystać wątki baśniowe, dowcipy, gagi...

Harold posłuchał mojej rady. Podsunięte pomysły przetworzył na swój intelektualno-metodyczny sposób i zaczął je skutecznie stosować. To prawda, że on je wprowadził w życie, ale sama koncepcja była moja.

Dzisiaj Livotny i Spółka to dynamiczna firma, zatrudniająca dwanaście osób w pełnym wymiarze; specjalizujemy się w projektowaniu gastronomii tematycznej, czyli jak ja to

mówię, „tematycznej kuchni”. Koncepcjonistą, głównym architektem, projektantem, osobą przedstawiającą nasze warunki nowym klientom jest oczywiście Harold. Ja jestem tylko podręczną architektką wewnątrz, gdyż zdaniem Harolda promowanie żony szefa mogłoby zostać źle przyjęte przez zespół, a w ogóle byłoby trochę nie fair. Owszem, trochę to śmieszne, bo pobraliśmy się przecież całe pięć lat temu, w dwa lata po uruchomieniu tej firmy. Dobrze mnie tu wszyscy znają. Ale jest też i drugi argument. Wprawdzie wywiązuję się ze swoich zadań bardzo dobrze, jednak nie kończyłam architektury i nie legitymuję się żadnym formalnym wykształceniem w tej dziedzinie. Za jedyny mój kontakt z projektowaniem w czasie studiów (specjalizowałam się w problemach amerykańsko-azjatyckich) można uznać parę wykładów ze scenografii, na które zapisałam się w związku z przygotowywaną przez college inscenizacją „Madamy Butterfly”.

Do moich obowiązków w firmie „Livotny” należy wyszukiwanie i dostarczanie elementów składających się na wystrój danego wnętrza. Do moich najcenniejszych znalezisk zaliczam na przykład wspaniałą złotą łódź dla restauracji „Opowieści Rybackie”. Pięknie tam teraz wygląda, starannie zakonserwowana werniksem... Na burcie widnieje nazwa „Overboard”. To ja również wpadłam na pomysł, żeby jadłospisy zwisały z miniaturowych wędek, a na serwetkach znalazła się drukowana podziałka, za pomocą której łatwo przeliczyć stopy na cale i odwrotnie. Co się tyczy delikatesów jakiegoś Lawrence'a z Arabii pod nazwą „W Roztruchanie Szejka”, jestem właściwie autorką całej koncepcji wnętrza. To ja doszłam do wniosku, że powinno przypominać wschodni bazar. Wynałazałam poza tym kilka mularzy kobry wygrzewającej się na hollywoodzko malowniczych głazach.

Kocham swoją pracę — kiedy o niej za bardzo nie myślę. Bo kiedy pomyślę — na przykład o tym, ile zarabiam, jak ciężko haruję i jak przyzwoicie traktowany jest cały zespół z wyjątkiem mojej skromnej osoby — zaczyna mnie trochę nosić.

O tak, jesteśmy równi, z tą różnicą, że Harold zarabia siedem razy więcej ode mnie. I oczywiście wie o tym, bo sam podpisuje moje miesięczne czeki, które ja następnie przelewam na własne oddzielne konto.

Ostatnio cała ta zabawa w równość zaczęła mi już wyraźnie doskwierać. Problem ten musiał tkwić we mnie i dawniej, tylko pewnie nie zdawałam sobie z tego sprawy. Czułam po prostu coś jakby lekki niepokój — ale z jakiego powodu? Dopiero mniej więcej tydzień temu wszystko stało się jasne. Kończyłam właśnie sprzątać po śniadaniu, a Harold poszedł uruchomić samochód. Całkiem przypadkowo wzrok mój padł na gazetę pozostawioną przez niego na kontuarze kuchennym. Na gazecie leżały jego okulary, obok stała ulubiona filiżanka do kawy z trochę wyszczerbionym uszkiem. Trudno powiedzieć dlaczego, lecz te drobne i jakże swojskie oznaki naszych wspólnych domowych rytuałów poruszyły mnie nagle do głębi. Zobaczyłam mego męża takim, jakim był wtedy, gdy kochaliśmy się po raz pierwszy. Odżyło we mnie zapomniane uczucie absolutnego oddania, tego zatracenia się w miłości, które nie pozwala liczyć zysków ani strat.

Jeszcze gdy wsiadałam do samochodu, zarzyło się we mnie to uczucie. Dotknęłam ręki mego męża:

— Kocham cię, Haroldzie.

— Ja ciebie też — powiedział ze wzrokiem utkwionym w lusterku, nie przestając wycofywać samochodu. — Nie zapomniałaś zamknąć drzwi?

I właśnie wtedy pomyślałam: Chyba jednak trochę za mało.

Harold pobrząkuje kluczykami:

— Jadę na dół kupić coś na kolację. Mogą być steki? A może masz ochotę na coś specjalnego?

— Ryż nam się skończył — dyskretnie wskazuję głową matkę. Nie widzi mego gestu, bo siedzi przy oknie, wpatrzona w pnącą się po kracie bugenwillę. Harold wychodzi, słyszę basowe granie silnika, a potem szelest rozpryskującego się żwiru.

Zostaję sama z matką. Zaczynam podlewać swoje rośliny doniczkowe. Widzę, że matka, stojąc na palcach, czyta przypiętą do lodówki kartkę. Znajduje się na niej lista zatytułowana „Lena” i „Harold”, a pod spodem skrupulatnie wyszczególnione zakupy oraz wydatki.

Lena
kurczaki, jarz., chleb,
brokuły, szampon, piwo 19,63

Harold
rzeczy do garażu 25,35
rzeczy do łazienki 5,41

Maria (sprzątanie + napiwek) 65,00	rzeczy do sam. 6,57
art. spożywcze (patrz spis) 55,15	sprzęt
petunie, ziemia don. 14,11	oświetleniowy 87,26
wywołanie filmu 13,83	żwir na ścieżkę 19,99
	paliwo 22,00
	sprawdzanie układu
	wydechowego 35,00
	kino,
	kolacje 65,00
	lody 4,50

Tak się składa, że w tym tygodniu Harold wydał już o ponad sto dolarów więcej, zatem winna mu jestem pięćdziesiąt.

— Co to jest? — pyta moja matka po chińsku.

— A, takie tam głupstwa — odpowiadam możliwie niedbałym tonem. — Rzeczy, które finansujemy na spółkę.

Spogląda na mnie ze zmarszczonymi brwiami, ale na razie milczy. Zaczyna znów studiować listę, tym razem bardziej uważnie — wodząc palcem po poszczególnych pozycjach.

Robi mi się wstyd. Cale szczęście, że widzi tylko ten spis. Co by to było, gdyby tak posłuchała naszych dyskusji! Ileż trzeba było tych rozmów, by osiągnąć konsensus w sprawie niewłączenia do podziału rzeczy czysto osobistych, takich na przykład jak tusz do rzęs, woda do golenia, lakier do włosów, tampony, żyletki, czy wreszcie puder do stóp.

I działo się tak od początku. Gdyśmy się pobierali (w ratuszu), Harold postanowił sam uiścić opłatę za udzielenie nam ślubu. W porządku. Zrewanżowałam się w ten sposób, że pewien mój znajomy, imieniem Robert, wykonał nam za darmo ślubne fotografie. Co się tyczy przyjęcia, to odbyło się ono w naszym domu, no i każdy z gości przyniósł szampana. Po zakupieniu tej posesji zawarliśmy następującą umowę: będę spłacać tylko taki procent długu hipotecznego, jaki wynika z różnicy naszych zarobków, za co przysługuje mi prawo do ekwiwalentnej części wspólnej własności. Ustalenia te zostały wpisane do naszej umowy przedślubnej. Harold płaci więcej, ma zatem głos decydujący w sprawie aranżacji wnętrza. Jest niezwykle uporządkowane, oszczędne

i — jak on to mówi — „płynne”; nie ma tu miejsca na żadne

graty, żadne bałaganiarstwo w moim stylu. Jeśli chodzi o koszty wakacji, za te spędzane wspólnie płacimy fifty-fifty. Inne wyjazdy pokrywa Harold z uzasadnieniem, że jest to jego prezent — na moje urodziny, Boże Narodzenie albo rocznicę ślubu.

Komu jednak przypisać płatności, nazwijmy je pośrednimi? Tu już nasze dyskusje przybierały charakter nieledwie filozoficzny. A dotyczyły one m.in. moich pigułek antykoncepcyjnych, gości (jego klienci albo moi znajomi z college'u), wreszcie tygodników poświęconych kulinariom, które prenumeruję ja, ale on przecież czyta je również, chociaż jak twierdzi, wyłącznie z nudów i tylko dlatego, że są w domu, bo sam by ich nigdy nie kupił.

Od zeszłego roku ciągle kłócimy się o Mirugaja — tego kota. Nie naszego czy mojego kota, tylko tego... Harold dał mi go na urodziny.

— Co? I to też na spółkę? — wykrzykuje ze zdumieniem matka.

Jestem zaskoczona: odczytała moje myśli w sprawie Mirugaja, czy co? Ach nie, jej palec wskazuje pozycję „lody” w spisie wydatków Harolda. Najwidoczniej pamięta ten „lodowy” incydent... Znalazła mnie przecież za oknem drżącą z zimna i wyczerpania obok pojemnika z nie strawioną zawartością mego żołądka. Od tej pory nie znoszę lodów.

Znów przeżywam moment zaskoczenia, uświadamiam sobie bowiem, że Harold wcale tego nie zauważył. Co piątek przynosi do domu lody i nigdy nie dotarł do niego oczywisty fakt, że ja ich nie jem!

— Dlaczego wy to robicie? — pyta matka urażonym tonem. Do licha! Jakbym specjalnie spreparowała tę listę, żeby jej akurat wyrządzić przykrość!

Ale jak mam jej to wytłumaczyć? Przypominam sobie argumenty, którymi oboje z Haroldem próbowaliśmy uzasadnić swoje postępowanie: wyeliminować wszelką fałszywą zależność... równość... miłość bez zobowiązań... Nie, to nie są argumenty dla mojej matki. Ona takich słów nie rozumie. Mówię więc:

— Wyobraź sobie, że nie wiem. Zaczęliśmy to robić przed ślubem i tak już jakoś zostało.

Po powrocie ze sklepu Harold bierze się do rysowania. Ja wyładowuję zakupy, marynuję steki, gotuję ryż, nakrywam do stołu. Matka siedzi przy granitowym blacie i pije kawę. Co chwila wyciera spód filiżanki papierową chusteczką, którą potem wtyka do rękawa swetra.

Przy kolacji Harold grzecznie podtrzymuje konwersację, snując plany rozbudowy i upiększenia domu: świetliki w dachu, poszerzenie tarasu, a w ogrodzie wielkie rabaty krokusów i tulipanów... Trujące dęby zostaną oczywiście wycięte. Dobuduje się jeszcze jedno skrzydło... będzie nowa łazienka w stylu japońskim, cała wykładana kafelkami. Po kolacji sprząta ze stołu, po czym wstawia naczynia do zmywarki.

— Kto ma ochotę na deser? — pyta, sięgając do zamrażalnika.

— Ja dziękuję, mam dosyć.

— Lena nie może jeść lodów — odzywa się matka.

— Na to wygląda. Stale jest na jakiejś diecie.

— Nigdy ich nie je. Nie lubi.

Harold uśmiecha się do mnie wyczekująco: mam mu przetłumaczyć to, co powiedziała matka.

— To prawda — potwierdzam bez szczególnego nacisku.

— Nienawidzę lodów, więc ich nie jem. Prawie przez całe życie.

Spogląda na mnie z takim wyrazem twarzy, jak gdybym również mówiła do niego po chińsku.

— Ja... cóż... przypuszczałem, że się po prostu odchudzasz.

— Zrobiła się już taka chuda, że niedługo jej nie zobaczysz

— stwierdza moja matka. — Wygląda jak duch, jeszcze trochę i zniknie.

— To prawda! A niech mnie! Ładna perspektywa!

— śmieje się Harold.

Widać, że mu ulżyło. Wyobraża sobie, że matka chce go ratować z opresji.

Po kolacji biorę czyste ręczniki i idę do pokoju matki. Siedzi na łóżku. Pokój nosi na sobie piętno Harolda i jego skrajnego minimalizmu: podwójne łóżko, na nim zwykłe białe prześcieradło i biały koc, nieskazitelnie wypolerowana drewniana podłoga, krzeselko ze sztucznie rozjaśnianego dębu, szare ściany bez żadnych ozdób.

Jedyny mebel, który można by uznać za ozdobny, stoi obok łóżka. Jest to taki podłużny stolik: nierówno ucięty kawałek marmuru umieszczony na strasznie wątlm krzyżaku z czarno lakierowanego drzewa. Matka stawia na nim torbę — i czarny cylindryczny wazonik zaczyna się natychmiast chybotać. Drżą tkwiące w wazonie frezje.

— Ostrożnie, nie jest zbyt mocny. — Stolik to studenckie dziełko Harolda, które nie najlepiej udało się swemu twórcy. Zupełnie nie mam pojęcia, dlaczego taki jest z niego dumny. Brak temu wdzięku i proporcji. Ani śladu słynnej płynności, wokół której robi dziś takie halo.

— Co z tego za pożytek? — pyta matka, pogardliwie trącając stolik. — Postawisz coś na nim, to się rozleci. *Chun wang chi han.*

Zostawiam matkę i schodzę na dół. Okna pootwierane na oścież — Harold „wpuszcza nocne powietrze”. Powtarza się to co wieczór.

— Zimno mi.

— Co mówisz?

— Bardzo cię proszę, zamknij te okna.

Spogląda na mnie i wzdycha, jednak z uśmiechem spełnia moją prośbę. Siada teraz po turecku na podłodze, bierze jakiś tygodnik i otwiera go pstryknięciem palca. Siedzę na sofie i wszystko się we mnie gotuje — żebym chociaż wiedziała dlaczego! Nie chodzi o to, że zrobił coś nie tak. Harold jest, jaki jest, i w tym cały problem.

Jeszcze zanim rozpoczynam kłótnię, mam świadomość, że zanoszę się na coś większego... Nie najlepiej radzę sobie w takich chwilach... Mniejsza o to. Podchodzę do zamrażarki i wykreślam z listy pozycję „lody”.

— Co tam robisz?

— Nic takiego. Uważam tylko, że nie powinieneś obciążać mnie kosztami swoich lodów.

Harold wzrusza ramionami. Widać, że go to bawi.

— Zgoda. Nie zgłaszam sprzeciwu.

— Musisz zawsze być taki cholernie fair? — podnoszę głos do krzyku.

Odkłada tygodnik. Na twarzy ma teraz dobrze mi znany wyraz. Kiedy coś wyprowadzi go z równowagi, otwiera usta.

— Bo co? Może powiesz mi wreszcie, o co ci naprawdę chodzi?

— Nie wiem... nie wiem. O wszystko... o to liczenie. To razem, a to osobno! Zmęczona jestem tym dodawaniem, odejmowaniem i dzieleniem po równo! Mdło mi się po prostu robi!

— Przecież to ty chciałaś tego kota.

— O czym ty mówisz?

— Dobra. Jeśli uważasz, że niesłusznie każę ci płacić za pchły, pokryjemy to po połowie.

— Nie o to chodzi!

— Więc bądź łaskawa powiedzieć o co!

Zaczynam płakać, czego Harold nie znosi. Robi mu się nieprzyjemnie i jest wściekły. Myśli, że próbuję nim manipulować. Wszystko to wiem, ale nie mogę się powstrzymać, bo nagle dochodzę do wniosku, że nie mam pojęcia, co właściwie chcę uzyskać przez tę kłótnię. Żeby Harold wziął mnie na utrzymanie? Chcę płacić mniej niż połowę? Czy naprawdę uważam, że powinniśmy przestać się rozliczać? Kto wie, czy i wtedy nie prowadzilibyśmy rachunków, tyle że w głowie? A gdyby Harold płacił więcej... czy nie poczułabym się gorzej jako mniej równy partner? A może w ogóle nie powinniśmy się byli pobierać? Może Harold jest złym człowiekiem... a czy nie stał się taki przeze mnie?

Nie, to wcale nie tak. Bez sensu. Nic z tego nie jestem w stanie uznać za prawdę. Ogarnia mnie czarna rozpacz.

— Myślę, że powinniśmy coś zmienić — mówię wreszcie. Zdawało mi się, że już panuję nad głosem, tymczasem brzmi to żałośnie, jak... skomlenie. — Musimy zastanowić się nad naszym małżeństwem... Co właściwie nas łączy... Czy tylko ten świstek papieru, gdzie mamy wypisane, kto i ile jest komu winien?

— Cholera! — rzuca Harold. Z westchnieniem odchyła się do tyłu, jakby chciał to sobie przemyśleć. Po chwili milczenia odzywa się tonem, w którym słychać nutę urazy: — Ja wiem, co nas łączy! Wiem, że to coś ważniejszego niż ten świstek. Coś naprawdę dużo ważniejszego. A jeżeli ty tego nie wiesz, to cóż... powinnaś się najpierw zastanowić, czego właściwie chciałabyś od małżeństwa, a dopiero potem wprowadzać zmiany.

Teraz już w ogóle nie wiem, co myśleć. Co mam powiedzieć? A Harold? O czym my oboje mówimy? Siedzimy długą chwilę w milczeniu. Duszno tu jakoś. Za oknem widać w oddali dolinę usianą tysiącem świateł lśniących pośród letniej mgiełki. A potem dobiega mnie dźwięk tłuczonego szkła i odgłos przesuwanego krzesła. Harold podnosi się z podłogi.

— Nie — mówię. — Ja pójde zobaczyć, co się stało.

Drzwi są otwarte, ale w pokoju panuje ciemność, więc wołam od progu:

— Mamo?

Aha, teraz widzę — stolik! Marmurowa płyta leży na przewróconych wrzecionowatych nogach, obok — czarny wazonik. Gładki cylinder rozpękł się na połówki, sponiewierane frezje mokną w rozlanej wodzie.

Matka siedzi przy otwartym oknie — widzę jej ciemną sylwetkę na tle wieczornego nieba. Odwraca się do mnie, ale jej twarz pozostaje niewidoczna.

— Zawalił się — mówi po prostu. Nie przeprasza.

— Nie ma sprawy. — Zaczynam zbierać skorupy. — Wiedziałam, że tak się stanie.

— Więc mogłaś temu zapobiec — mówi moja matka. — Czemu nic nie zrobiłaś?

No proszę, jakie to proste.

Waverly Jong
CZTERY STRONY

W nadziei, że wprawię ją w dobry humor, zabrałam moją matkę na lunch do ulubionej chińskiej restauracji pod nazwą „Cztery Strony” —niestety, odniosło to jak najgorszy skutek.

Już na powitanie zmierzyła mnie wzrokiem pełnym dezaprobaty:

— *Ajja!* Co z twoimi włosami? — wykrzyknęła po chińsku.

— A co ma być? — odpowiedziałam pytaniem na pytanie.

— Trochę je kazałam podciąć. — Pan Rory uczesał mnie tym razem inaczej: w gęste, prosto przycięte kosmyki, krótsze po lewej stronie. Modnie, acz bez przesady. Żadna awangarda.

— Wygląda to jak odrąbane siekierą — stwierdziła. — Powinien ci zwrócić pieniądze.

Westchnęłam:

— Dajmy temu spokój. Zjedzmy raczej coś smacznego, dobrze?

Studiowała jadłospis z typowym dla niej wyrazem twarzy

— ściągając wargi i marszcząc niechętnie nos.

— Nie za dużo tu dobrego w tym menu — mruknęła. Postukała kelnera w ramię, demonstracyjnie przeciągnęła palcem po pałeczkach i wydała z siebie gniewne prychnięcie:

— Aż się lepią od tłuszczu! I ja mam jeść czymś takim?

— Zaraz potem nastąpił wielki pokaz mycia miseczki gorącą herbatą, przeznaczony na użytek bliżej siedzących bywalców. Poradziła im zrobić to samo. Przykazała kelnerowi dopilnować, żeby zupa była „naprawdę gorąca”, no i oczywiście to, co nam przyniósł, okazało się „nawet nie letnie”. Czy ktokol-

wiek w świecie byłby w stanie wygodzie podniebieniu takiego eksperta?

— Nie warto się denerwować — zwróciłam jej uwagę, kiedy już powiedziała, co myśli o dwudolarowej dopłacie za herbatę. Zażądała chryzantemowej zamiast wkalkulowanej do rachunku zielonej. — Lepiej unikać niepotrzebnych stresów. Szkodzą sercu.

— Z moim sercem nie dzieje się nic złego! — fuknęła, nie spuszczać morderczego spojrzenia z kelnera.

Prawda. Mimo tych ciągłych napięć, których nie szczędzi sobie i innym, moja sześćdziesięciodziewięcioletnia matka ma zdaniem lekarzy ciśnienie krwi szesnastolatki i siłę konia. I to się zgadza.

Urodzona w Roku Konia (1918), jest dokładnie taka, jak ją przedstawia horoskop: uparta, wytrzymała i szczerą — do granic braku taktu.

We dwie tworzymy nie najszcześniejszą kombinację, gdyż ja, typowy Zając (1951), podobnie jak wszyscy przedstawiciele tego znaku posiadam dość cieką skórę, a na krytykę tak jestem wyczulona, że już najdrobniejszy sygnał ataku wyzwała we mnie chęć ucieczki.

Po tym naszym niefortunnym lunchu wyzbyłam się wszelkiej nadziei, iż kiedykolwiek nadejdzie odpowiedni moment na powiadomienie matki o ważnym dla mnie wydarzeniu: że wychodzę za Richa Schieldsa.

— Czym ty się tak przejmujesz? — spytała moja przyjaciółka, Marlenę Ferber, dzwoniąc do mnie przedwczoraj wieczorem. — Zupełnie jakbyś musiała wstydzić się Richa! Na litość boską, przecież to nie żaden lump, tylko prawnik, taki sam doradca podatkowy jak ty! Dlaczego twoja matka miałaby się go czepiać?

— Nie znasz mojej matki. Dla niej nikt nie jest nigdy dość dobry. Czymkolwiek by się zajmował.

— W takim razie pryśnij gdzieś z facetem.

— Już to kiedyś zrobiłam, z Marvinem. — Marvin był moim pierwszym mężem, sympatią ze szkoły średniej.

— Ładna historia!

— Kiedy to matka wykryła, rzuciła w nas pantoflem. I to tylko na dobry początek.

Matka nie zetknęła się dotychczas z Richem. Sytuacja wyglądała tak, że ilekroć wymieniałam jego imię — wspominając na przykład, że byliśmy właśnie w filharmonii albo że Rich zabrał do zoo moją czteroletnią córkę Szoszanę — ona zawsze potrafiła zmienić temat.

— Nie pamiętam, czy ci mówiłam — zaczęłam w „Czterech Stronach” podczas oczekiwania na rachunek — jaką frajdę miała Szoszana w Eksploratorium? Tak się zapaliła do badań! Byli tam we dwójkę z Richem...

— Och — natychmiast weszła mi w słowo — nie powiedziałam ci o ojcu! Lekarze myśleli, że może trzeba mu otworzyć brzuch i zrobić badanie jelit! Ale nie, teraz mówią, że wszystko normalnie. Że to tylko obstrukcja. — Skapitulowałam. Ciąg dalszy naszego spotkania potoczył się według z góry wiadomego scenariusza.

Płacąc rachunek, położyłam dziesiątkę i trzy monety jednodolarowe. Matka błyskawicznie zagarnęła bilon, dokładnie odliczyła trzynaście centów — tyle wynosiła końcówka rachunku — i położyła je na tacy ze słowami:

— Żadnego napiwku! — mówiąc to, odrzuciła do tyłu głowę i uśmiechnęła się jak dowódca zwycięskiej armii.

Korzystając z chwili, kiedy udała się do toalety, wsunęłam kelnerowi banknot pięciodolarowy. Ukłonił mi się z wyrazem głębokiego zrozumienia, żeby nie powiedzieć współczucia. Ja tymczasem naprędce układałam plan drugiego podejścia.

— *Chougila!* Śmierdzi tam jak zaraza! — wymamrotała matka, wracając do stolika. — Potrzebujesz? — trąciła mnie łokciem, podtykając paczuszkę podróżnych kleenexów. Cudzy papier toaletowy nie budził jej zaufania.

Przecząco pokręciłam głową:

— Zanim cię podrzucę do domu, wstąpimy na chwileczkę do mnie, dobrze? — zaproponowałam. — Chcę ci coś pokazać.

Matka od wielu miesięcy nie była w moim mieszkaniu. Za czasów mego małżeństwa z Marvinem miała zwyczaj wpadać tu z nienacką, póki jej nie zwróciłam uwagi, że powinna nas o tym uprzedzić. Od tej pory wizyty ustały. Przychodziła już tylko wtedy, gdy ją oficjalnie zaprosiłam.

Staralam się więc teraz zaobserwować jej reakcje na zmiany, które zaszły w moim otoczeniu: od nieskazitelnego ładu panującego tu po rozwodzie, kiedy nagle się okazało, że mam aż za dużo czasu na porządkowanie całej swojej egzystencji, do dzisiejszego stanu totalnego chaosu — domu pełnego życia i miłości. W hallu walały się zabawki Szoszany, barwne plastikowe drobiazgi pozbawione niektórych fragmentów, na podłodze w salonie leżał komplet sztang Richa, na stoliku bezwstydnie tkwiły dwie szklaneczki po brandy; wszędzie poniewierały się szczątki aparatu telefonicznego poddanego dzień wcześniej drobiazgowym badaniom na okoliczność, skąd biorą się w nim te głosy? /

— To tam — powiedziałam, prowadząc matkę do położonej na tyłach mieszkania sypialni. Powitało nas nie pościelone łóżko oraz powyciągane szuflady, z których wylewały się skłębione rajstopy tudzież skarpetki. Matka wchodząc musiała przekroczyć parę treningowych butów i kolejną górę zabawek Szoszany; dalej rozpościerały się czarne pantofle Richa, moje porozrzucane szaliki i sterta białych koszul — niewątpliwie męskich — prosto z pralni.

Rozlany na jej twarzy wyraz bolesnego protestu wobec niechcianych faktów przypomniał mi pewne wydarzenie z dzieciństwa. Zaprowadziła wtedy całą naszą trójkę do kliniki na szczepienie przeciwko polio. Kiedy po wbiciu igły jeden z moich braci wrzasnął, matka zwróciła ku mnie twarz z wyrytym na niej takim samym wyrazem udręki: „Następny już nie zaboli” — zapewniła.

Ciekawe tylko, jakim cudem może teraz nie dostrzegać bijącego w oczy faktu, że mieszkamy razem i że sprawa między nami jest poważna? Nie może przecież sobie wyobrazić, że taka sprawa rozejdzie się po kościach, ponieważ ona pominie ją milczeniem! Musi coś w końcu powiedzieć!

Podeszłam do szafy i wyjęłam z niej kurtkę z nerek ofiarowaną mi przez Richa na gwiazdkę — najbardziej ekstrawagancki prezent, jaki kiedykolwiek zdarzyło mi się otrzymać.

— Trochę zwariowany pomysł — powiedziałam nerwowo, narzucając na siebie futerko. — W San Francisco nie ma właściwie pogody na futro, za ciepło tutaj, ale wśród mężczyzn

panuje teraz prawdziwy sza! mody na ofiarowywanie swoim damom takich fanaberyjnych prezentów.

Matka milczała, wpatrzona w otwarte drzwi szafy. Wnętrze wypchane było stojakami z damskim i męskim obuwiem, moimi sukniami, krawatami i ubraniami Richa.

— Nie najlepsze — zawyrokowała wreszcie, przebiegając palcami po futrze. — Same ścinki. I włos za krótki.

— Jak można krytykować prezent! — krzyknęłam, boleśnie dotknięta. — Ofiarował mi go przecież ze szczerego serca.

— I to mnie właśnie martwi — odrzekła.

Patrząc w lustro i widząc siebie w tej kurtce poczułam, że nadal nie potrafię oprzeć się jej sile woli, jej niesamowitej umiejętności wpływania na mój sposób widzenia: wystarczyło, że ona tak chciała, a wszystko, co przed chwilą było białe, stawało się dla mnie czarne i odwrotnie. Kurtka wydała mi się nędzna... taka imitacja romantyczności...

— Nic mi więcej nie powiesz? — spytałam cicho.

— A co mam powiedzieć?

— No choćby o mieszkaniu... o tym — wskazałam gestem widome ślady obecności Richa.

Potoczyła wzrokiem po pokoju, spojrzała też w stronę hallu:

— Robisz karierę. Jesteś zajęta. Chcesz żyć w bałaganie, to co ja mam ci mówić?

O, moja matka umie trafić w najczulszy punkt! Po jej słowach odczuwam ból dotkliwszy od wszelkich najgorszych cierpień. Potrafi zadać go w sposób tak perfidny, że zawsze przeżywam szok. Jest to coś takiego jak porażenie prądem, którego refleks pozostaje człowiekowi na całe życie. Do dziś pamiętam swoje pierwsze tego rodzaju doświadczenie.

Miałam dziesięć lat, a jednak już wtedy rozumiałam, że moje szachowe umiejętności to prawdziwy talent. Gra była dla mnie czymś nieskończenie łatwym, nie wymagającym żadnego wysiłku. Widziałam na szachownicy rzeczy, których nie dostrzegali inni. Potrafiłam wzniesić na niej bariery niewidocz-

ne oku przeciwnika. Napełniało mnie to spokojem, dawało poczucie absolutnej pewności siebie. Wiedziałam ruch po ruchu, co zrobi mój przeciwnik. Precyzyjnie umiałam przewidzieć moment, w którym opadnie mu szczęka: będzie to chwila, w której moja pozornie prosta, na oko dziecięca taktyka objawi mu swą niszczycielską siłę — okaże się dokładnie przemyślaną linią postępowania, zmierzającą ku jego nieuchronnej klęsce. Kochałam wygrywać.

Moja matka natomiast kochała się mną popisywać, tak samo zresztą jak kolekcją moich turniejowych trofeów, które z taką lubością co dzień pucowała miękką szmatką. A te jej dyskusje o taktyce! Zupełnie jakby to ona była jej autorką!

— Mówię mojej córce: wypuść na wroga konie! — usłyszałam pewnego razu jej rozmowę z jakimś sklepikarzem.

— I tym sposobem raz dwa go pokonała! — Przy okazji nie omieszkała podkreślić, że udzieliła mi tej instrukcji grubo przed rozpoczęciem partii. Wciąż przytaczała zresztą dziesiątki równie bezsensownych uwag, które miały się jakoby przyczyniać do moich zwycięstw.

— Nie trzeba wielkiego sprytu, żeby wygrywać w szachy

— zwierzała się konfidencjonalnie zaufanym przyjaciom rodziny. — Musisz znać parę sztuczek, i tyle. O, uderzasz na tamtego z czterech stron: z Północy, z Południa, Wschodu i Zachodu, aż mu się pomiesza w głowie. Nie wie, którądy uciekać.

Tak już miałam dosyć tego przypisywania sobie przez nią wszystkich moich zasług, że któregoś dnia jej to wygarnęłam. Zaczęłam nagle wrzeszczeć na samym środku Stockton Street, wśród całego tłumu przechodniów. Powiedziałam, że komuś, kto nie ma pojęcia o szachach, nie wypada mówić takich rzeczy, więc powinna się zamknąć. Skutki mego wybuchu trudno opisać.

Tego wieczoru ani następnego dnia nie raczyła się do mnie odezwać, a zwracając się niby to do ojca czy braci, rzucała na mój temat takie uwagi, jakbym była powietrzem albo co gorsza, zgniłą rybą, która nawet po wyrzuceniu na śmietnik pozostawiła po sobie paskudny zapach.

O, znałam tę jej metodę. Miała ona na celu doprowadzić człowieka do szału, żeby go tym łatwiej złapać w potrzask.

Postanowiłam ją ignorować. Słówka nie pisnę, poczekam, aż sama do mnie przyjdzie.

Kiedy jednak po kilku dniach milczenia sytuacja nie uległa zmianie, zasiadłam nad szachownicą, by w jej sześćdziesięciu czterech polach poszukać natchnienia. Sposób! Trzeba wymyślić jakiś sposób. Wymyśliłam. Przestanę grać w szachy.

Nie na zawsze, rzecz jasna. Najwyżej na kilka dni. Ale zrobię z tego demonstrację. Zamiast jak zwykle wieczorem ćwiczyć w swoim pokoju, wkroczyłam do salonu i usiadłam przed telewizorem razem z braćmi. Powitali mnie jak niemiłego intruza. Dobrze! W moich planach i oni mieli do odegrania pewną rolę. Żeby ich zdenerwować, zaczęłam strzelać palcami.

— Mamo! — rozległy się protesty — każ jej przestać! Niech ona sobie stąd idzie! — Matka nic nie powiedziała.

Wciąż jeszcze się nie martwiłam, uznałam tylko, że trzeba zastosować trochę mocniejsze posunięcie. Trudno, poświęcę turniej — pomyślałam. Najbliższy miał się odbyć za tydzień. Jak powiem, że nie gram, matka na pewno się do mnie odezwie. Zaczną do niej dzwonić sponsorzy, stowarzyszenia dobroczynne, będą ją prosić, krzyczeć na nią, błagać, żeby mi kazała grać.

Turniej nadszedł i odbył się beze mnie, a ona nic. Wcale do mnie nie przybiegła, wcale nie zaczęła zawodzić: „*Ajja*, czemu ty nie chcesz grać w szachy?” I to nie ona płakała. To we mnie łkała dusza — zwłaszcza gdy się dowiedziałam, że zwycięzcą turnieju został ten sam chłopak, którego dwa razy pokonałam prawie spacerkiem.

Stało się dla mnie jasne, że matka zna więcej chytrych sztuczek, niż mogłam ją o to posądzać. Zmęczyła mnie już tą swoją grą, chciałam jak najszybciej rozpocząć przygotowania do następnego turnieju. Niech jej się zdaje, że zwyciężyła. Odezwe się do niej pierwsza.

— Jestem gotowa znów grać — oznajmiłam. Wyobrażałam sobie, że słysząc to od razu się rozpromieni i zapyta, co bym dobrego zjadła. Ona tymczasem, chmurnie zmarszczywszy brwi, popatrzyła mi w oczy, jakby usiłowała wydobyć ze mnie jakąś prawdę.

— Po co mi to mówisz? — spytała ostrym tonem. — Dla ciebie takie to łatwe: jednego dnia nie gram, drugiego gram. I tak jest u ciebie ze wszystkim. Szast-prast, łatwo i szybko!

— Powiedziałam, że będę grać — jęknęłam.

— Nie! — krzyknęła, aż podskoczyłam. — Tak łatwo ci już nie pójdzie!

Zaczęłam drzeć na całym ciele, oszołomiona tym, co powiedziała. Jakie znaczenie mogły mieć te jej słowa? Wróciłam do swojego pokoju i wlepiłam oczy w szachownicę: kombinowałam, jak by tu zażegnać to nieszczęsne nieporozumienie? Po wielu godzinach uporczywego wpatrywania się w tych kilkadziesiąt czarodziejskich pól nabrałam wiary, że udało mi się zamienić białe kwadraty w czarne, czarne natomiast w białe, i że dzięki temu wszystko już będzie dobrze.

I rzeczywiście — zdobyłam ją sobie na powrót. Tego samego wieczoru dostałam wysokiej gorączki, a ona siedząc przy łóżku, natarła mi uszu za chodzenie do szkoły bez swetra. Rano znów była przy mnie. Nakarmiła mnie kleikiem ryżowym na rosole z kurczaka. Rosół był domowy — matka ugotowała go sama. Muszę to zjeść — powiedziała — bo mam wietrzną ospę, a kto wie najlepiej, jak pokonać kurczaka? Drugi kurczak!* Po południu zasiadła w fotelu i zaczęła robić mi różowy sweter na drutach, opowiadając równocześnie, jakie to szkaradzieństwo zrobiła ciocia Suyuan dla swojej córki June. Kolor okropny, a włóczka jeszcze gorsza! Byłam cała szczęśliwa: moja matka stała się znowu sobą!

Później przekonałam się jednak, że niezupełnie, że w istocie matka się zmieniła. Nie stawała już teraz nade mną, kiedy wypróbowywałam różne warianty rozgrywek, nie codziennie odkurzała moje trofea, nie wycinała tak jak kiedyś z gazet najdrobniejszych nawet wzmianek z moim nazwiskiem. Wyglądało to tak, jakby wzniosła przed sobą niewidzialny mur, którego rozmiarów nie byłam w stanie ogarnąć, choć każdego dnia ukradkiem wyciągałam ręce, starając się po omacku zmierzyć jego szerokość i wysokość.

Nadszedł następny turniej. Chociaż generalnie spisałam się dobrze, nie zdobyłam wymaganej liczby punktów. Przegrałam. Co gorsza, matka nie powiedziała słowa. Przeciwnie, miałam wrażenie, że krąży koło mnie z tak zadowoloną miną,

* Gra słów. *Wietrzna ospa* to po ang. *chicken-pox*, dosłownie: „kurza ospa” (przyp. tłum.).

jak gdyby wszystko to było skutkiem jakiejś jej przemyślanej strategii.

Ogarnęło mnie przerażenie. Codziennie całymi godzinami głowiłam się nad przyczynami swojej porażki. Coś mi mówiło, że to nie przypadek, że nie skończy się na tej jednej. Kiedy od nowa przeanalizowałam każdą figurę i pionka, każdy ruch i każdą pozycję, wyszła na jaw okropna prawda: że nie widzę w nich już ani żadnej sekretnej siły, ani magii. Że dostrzegam jedynie własne słabości i błędy. Nie mam już swojej czarodziejskiej zbroi i moi przeciwnicy to widzą. Teraz wiedzą, jak mnie atakować. To łatwe.

Przez następnych parę tygodni, a później miesięcy i lat grałam nadal, niestety, już bez tego cudownego poczucia niezachwianej pewności siebie. Walczyłam zacięcie — ze strachem i desperacją. Wygrywając czułam wdzięczność i ulgę. Kiedy przegrywałam, przepełniała mnie groza granicząca z paniką: nie jestem już cudownym dzieckiem, utraciłam talent, stałam się istotą pospolitą!

Przestałam grać w szachy już definitywnie, gdy dwa razy z rzędu pokonał mnie chłopak, z którym przed paroma laty zwyciężałam gładko. Ogłosiłam tę swoją decyzję — i nikt nawet nie zaprotestował. Miałam lat czternaście.

— Wiesz, ja cię zupełnie nie rozumiem — powiedziała Marlenę, kiedy zadzwoniłam do niej w kilka godzin po incydencie z futrem. — Potrafisz powiedzieć tym z Urzędu Podatkowego, żeby cię pocałowali gdzieś, a nie umiesz się postawić własnej matce!

— Wciąż sobie przysięgam, że tak zrobię, a potem ona rzuci jakieś perfidne słówko... tu zasłona dymna, tam jeden czy drugi haczyk i...

— To jej powiedz, żeby cię przestała torturować — obstawała przy swoim Marlenę. — Niech przestanie rujnować ci życie. Każ jej się wreszcie zamknąć!

— No, to ci się udało! Ja mam powiedzieć matce, żeby się zamknęła!

— Pewnie, a czemuż by nie?

— Nie wiem, czy w tej materii istnieje jakiś konkretny przepis, ale w Chinach córka nie ma prawa powiedzieć matce „zamilknij”. Gdybyś tak postąpiła, równałoby się to samobójstwu.

Bałam się matki nie tyle ze względu na siebie, co na Richa. Dobrze wiedziałam przecież, co potrafi! Nietrudno było przewidzieć, jaką metodą go zaatakuje. Z początku będzie siedziała cicho, ale po pewnym czasie rzuci słówko — ot, taka tam błahostka, która właśnie wpadła jej w oko — a potem drugie i trzecie... Każde jak ziarnko piasku ciśnięte raz z przodu, raz z tyłu, tylko że wciąż ich będzie przybywało... Dopóki na ciele ofiary, jej charakterze i umyśle nie powstaną głębokie rysy. Więc chociaż znałam jej strategię — te perfidne ataki zza węgła — bałam się, że mimo wszystko wpadnie mi w oko niewidoczny okruszek prawdy, który na trwałe zmaćmi mi obraz Richa. Bałam się, że z bóstwa, za które go uznałam, wyłoni się pospolity śmiertelnik naznaczony fatalnym piętnem ziemskich przywar.

Coś takiego stało się już z moim pierwszym mężem, Marvinem Chenem. Zwaliliśmy oboje z domu, kiedy ja miałam osiemnaście, a on dziewiętnaście lat. Póki się w nim durzyłam, był w moich oczach niemal doskonałością. Matureę zdał z trzecią lokatą, zdobywając pełne stypendium na studia w Uniwersytecie Stanfordzkim. Grał w tenisa, miał imponująco umięśnione łydki, a na piersi sto czterdzieści sześć prostych jak szczecina czarnych włosów. Każdego potrafił rozśmieszyć, a jak seksownie brzmiał jego własny śmiech! Marvin pysznił się zresztą, że na każdy dzień, a nawet godzinę tygodnia ma inną ulubioną pozycję miłosną. Wystarczyło, że szepnął „środa po południu”, a ja już drżałam z rozkoszy.

Wady Marvinina zaczęłam dostrzegać dopiero wtedy, kiedy matka wzięła go na język. Na przykład „ten jego mózg. Tak już skurczył się od lenistwa, że nadaje się tylko do wymyślania wymówek”. Doszłam poza tym do wniosku, że „ta jego gonitwa za piłkami (do tenisa i golfa) to ucieczka od obowiązków rodzinnych”. A dlaczego nigdy nie wraca prosto do domu? Bo ma zwichrowane oko „od gapienia się na nogi różnych dziewczuch”. Lubi opowiadać dowcipy, być duszą towarzystwa? Tak, po to, żeby „inni czuli się przy nim mali”. A to, że zostawia kelnerom dziesięciodolarowe napiwki?

„Chce się pokazać przed ludźmi, a tak naprawdę jest skąpy. Warto przyjrzeć się prezentom, które daje rodzinie.” „Woli całe popołudnie polerować to czerwone sportowe auto, niż zabrać nim gdzieś swoją żonę.”

Moje uczucia do Marvinina nie osiągnęły nigdy skali nienawiści, ale kto wie, czy nienawiść nie byłaby od nich lepsza? Zaczęło się od rozczarowania, które przeszło w pogardę, a następnie w apatię i nudę. Dopiero w pewien czas po separacji, kiedy po uśpieniu Szoszany dopadała mnie wieczorami samotność, zaczęłam się zastanawiać, czy to aby nie matka wsączyła w moje małżeństwo truciznę.

Dzięki Bogu, że ta trucizna nie dotknęła mojego dziecka. Teraz kocham nieprzytomnie swoją córkę, ale przecież omal nie zrobiłam skrobanki! Dostałam ataku furii, kiedy się przekonałam, że jestem w ciąży. Nie dość że po cichu nazywałam swój stan „puchnącą paskudą”, to jeszcze zaciągnęłam Marvinina do kliniki, żeby on też miał za swoje: niech wie, niech się i on pomęczy! Traf chciał, że poszliśmy nie do tej, co trzeba, kliniki. Kazano nam tam obejrzeć łzawo purytański filmik, inaczej mówiąc, poddano nas klasycznemu praniu mózgow. Zobaczyłam malutkie zarodki — na filmie już w siódmym tygodniu nazywano je „dziećmi” — z tyciami, tyciutkami paluszkami. Te półprzezroczyste paluszki umieją się już poruszać — pouczał nas lektor. Wyobraźcie sobie! Czepiają się życia, błagają o swoją szansę, czyż to nie prawdziwy cud istnienia? Nie pamiętam, czy było tam coś jeszcze poza tymi paluszkami, ale dziękuję Bogu i za to. Bo Szoszana naprawdę stała się dla mnie cudem. Była doskonałością. Każdy najdrobniejszy szczegół jej anatomii godny był najwyższego podziwu, zwłaszcza to, jak cudownie prostowała i zginała paluszki. Pokochałam ją od pierwszej chwili, od kiedy oderwała piąstkę od buzi i zaczęła wrzeszczeć. Wiedziałam, że jest to taka miłość, której nic i nigdy nie będzie w stanie naruszyć.

Z Richem rzecz się miała inaczej. Moje uczucia do niego nie były tak niepodważalne, aby nie mogły nimi zachwiać insynuacje mojej matki, jej rzucane mimochodem zjadliwości, jej podejrzenia. A bardzo bałam się o to, co mogę wtedy utracić, o, bo Rich Schields uwielbiał mnie zupełnie tak samo, jak ja uwielbiałam Szoszane. Jego miłość była niedwuznaczna

i oczywista. Żadna siła nie była w stanie tego zmienić. Ode mnie Rich nie oczekiwał niczego — wystarczył mu sam fakt, że istnieję. A przy tym — jak mówił — ja odmieniłam jego, i to na lepsze. Był wprost zawstydzająco romantyczny: utrzymywał, że nie istniał naprawdę, póki ja nie zjawiłam się w jego życiu. Wyznanie to przydawało jeszcze poetyckiej otoczki różnym jego drobnym gestom. W biurze na przykład, przesyłając mi do wglądu wyszczególnienia podatków czy zbiorcze raporty kwotowe, przyczepiał do nich karteluszki z nadrukiem FYI („For Your Information” — „Do wiadomości”), który to skrót rozszyfrowywał odręcznie jako: „Forever You and I” — „Ty i ja na zawsze”. W firmie nikt nie wiedział o naszym związku, więc to uroczo lekkomyślne szaleństwo przyprawiało mnie o bicie serca.

Największą chyba jednak niespodzianką było to, że tak cudownie pasujemy do siebie seksualnie. Początkowo skłonna byłam sądzić, że Rich to facet z gatunku tych nadmiernie delikatnych niezgrabiaszy o średnim temperamencie, co to pytają partnerkę: „Czy aby nie sprawiam ci bólu” w sytuacji, gdy kobieta nie czuje nic zgoła. Ale nie, myliłam się całkowicie. Okazał się niebywale czułym odbiornikiem, tak idealnie dostrojonym do moich potrzeb, że można go było posądzać o czytanie w myślach. Sam nie miał żadnych zahamowań, a gdy odkrył coś takiego we mnie, zaczynał to powolutku drażnić i w końcu pozbawiał mnie ukrytego kompleksu z delikatnością człowieka wyjmującego klejnot z drogocennej szkatułki. Znał mnie pod każdym dosłownie względem; była to znajomość tyle samo wszechstronna, co intymna, bo obejmująca zarówno najtajniejsze strefy cielesne, jak i ciemne strony mojej psychiki, takie jak małoduszność, małostkowość, nienawiść do samej siebie, słowem wszystko, co starałam się trzymać w ukryciu. Przy Richu byłam kompletnie naga, i właśnie w tych momentach, gdy najłatwiej było mnie zranić, kiedy jedno niebaczne słowo mogło stać się powodem mojej panicznej — i bezpowrotnej — ucieczki, on zawsze umiał znaleźć to właściwe. Nie pozwalał mi się opancerzać ani nakładać masek. Kiedy tego próbowałam, chwycił mnie za rękę, patrzył prosto w oczy i mówił o swojej miłości. O tym, dlaczego mnie kocha. I za każdym razem potrafił podać mi nowy powód.

Nie zaznałam dotąd miłości tak czystej, dlatego drżałam ze strachu, że matka swoim zwyczajem zechce mi ją splamić. Staralam się zapamiętywać każde czułe słowo, każdą pieszczotę Richa, by móc się do nich odwołać w chwili próby. Wiedziałam, że musi nadejść.

Po dłuższym namyśle ułożyłam plan działania, który wydał mi się kapitalny. Wykoncypowałam mianowicie taki sposób, dzięki któremu Rich nie tylko miał poznać moją matkę, ale i podbić jej serce. Konkretnie mówiąc, postanowiłam wszystko tak ułożyć, żeby specjalnie dla niego zapragnęła ugotować którąś ze swoich słynnych potraw. Pomocy w tym przedsięwzięciu miała mi udzielić ciocia Suyuan. Ciocia Su była starą przyjaciółką mamy. Łączyła je bliska zażyłość, co oznaczało, że bez przerwy z sobą wojowały, próbując udowodnić jedna drugiej, która z nich ma więcej tytułów do chwały, w tym wszelkich umiejętności, jak również sekretów. Podsunęłam więc cioci Su pewien malutki sekret licząc, że zechce się nim pochwalić.

Po niedzielnym spacerze w North Beach zaproponowałam Richowi, żebyśmy wpadli na chwilkę do cioci Su i wuja Canninga. Zrobimy im niespodziankę. Wujostwo mieszkali przy Leavenworth, w odległości paru zaledwie przecznic od moich rodziców. Zjawiliśmy się tam późnym popołudniem, w sam czas, by zastać ciocię Su przy gotowaniu niedzielnej kolacji.

— Zostańcie, zostańcie! — zaczęła nalegać.

— Nie, nie. Wstąpiliśmy tak tylko na chwilkę po drodze — wymawiałam się grzecznie.

— Ugotowałam tyle, że starczy i dla was. Widzisz? Jest zupa i jeszcze cztery dania. Nie zjecie, to będę musiała wyrzucić. Zmarnuje się!

Jak można było odmówić? W trzy dni później ciocia Su otrzymała od nas bilecik z podziękowaniem: „Rich mówi, że pierwszy raz w życiu próbował tak wspaniałej chińskiej kuchni” — napisałam.

Nazajutrz zadzwoniła matka, zapraszając mnie na kolację z okazji urodzin ojca — choć było już trochę po terminie. Mój brat Vincent przychodzi ze swoją sympatią Lisą Lum. Ja także mogę przyprowadzić znajomego.

Wiedziałam, że tak będzie. Gotowanie było dla niej formą wyrażania miłości, dumy, władzy, wreszcie widowym dowodem tego, że jest lepszą kucharką od cioci Su.

— Tylko nie zapomnij pochwalić jej kuchni. Powiedz, że nie ma ona sobie równych, że wszystko, co jadłeś, było o niebo lepsze niż u cioci Su — ustawiałam Richa. — Przekonasz się, że mam rację.

Siedząc tego wieczoru w matczynej kuchni i patrząc, jak przygotowuje kolację, wyczekiwałam zarazem odpowiedniego momentu na wyjawienie jej naszych małżeńskich planów. Postanowiliśmy pobrać się w lipcu, a więc mniej więcej za pół roku. Matka siekała bakłażany, obmawiając przy okazji ciocię Suyuan.

— Ona gotuje tylko z przepisu. Ja tam mam przepisy w palcach. Na nos wiem, czego dodać. Powącham i wiem!

— wygłaszając te arbitralne opinie, z niezwykłą energią operowała tasakiem, nie zwracając pozornie uwagi na migające w ręku ostrze. Bałam się, że lada moment czubki jej palców powiększą zestaw ingrediencji przewidzianych do potrawy z duszonych na czerwono bakłażanów i wieprzowiny.

Spodziewałam się, że zanim zacznę mówić o ślubie, ona pierwsza powie coś o Richu. Widziałam jej minę, kiedy otworzyła nam drzwi: z wymuszonym uśmiechem zlustrowała go od stóp go głów, najwyraźniej porównując własną ocenę z tym, co usłyszała od cioci Su. Dość łatwo było przewidzieć możliwe kierunki ataku.

Rich nie był Chińczykiem, mało tego, był o parę lat ode mnie młodszy, co gorsza, wyglądał jeszcze młodziej. Sprawiały to jego wijące się, ogniście rude włosy, dziecięco biała skóra i nos zabawnie usiany piegami w kolorze dojrzałej pomarańczy. Był raczej niewysoki i choć jego mięśnie miały swoją wagę, dość szczupły. W ciemnym wizytowym garniturze prezentował się dobrze, zarazem jednak niczym się nie wyróżniał. Był z gatunku tych, których się zupełnie nie pamięta, a jeżeli już w ogóle, to kojarzą się z kimś widzianym kiedyś przelotnie

— na przykład z czyimś siostrzeńcem na pogrzebie znajomej osoby. Z tego właśnie powodu ja sama nie zauważyłam Richa przez cały pierwszy rok wspólnej pracy w firmie. Ha, ale nie moja matka! Ona widzi wszystko.

— No więc co myślisz o Richu? — zaryzykowałam, wstrzymując oddech. Rzuciła akurat bakłazany na gorący olej; w proteście wydały wściekły syk.

— Tyle ma na twarzy tych kropek.

— To piegi! — czułam ciarki na grzbiecie. — Wiesz, piegi przynoszą szczęście — powiedziałam może trochę zbyt zapalczywie, przekrzykując kuchenne odgłosy.

— Tak? — zapytała niewinnie.

— Tak. Im więcej plamek, tym lepiej. Każdy to wie. Rozważała moje słowa przez moment, po czym z uśmiechem powiedziała po chińsku:

— A wiesz, może to i prawda? Pamiętasz, jak w dzieciństwie miałaś wietrzną ospę? Tak cię wtedy gęsto obsypało, takie mnóstwo miałaś tych kropek, że przez dziesięć dni nie musiałaś chodzić do szkoły. Uważałaś to za wielkie szczęście.

Nie udało mi się uratować Richa ani w kuchni, ani trochę później przy stole.

Przyniósł butelkę francuskiego wina nie mając pojęcia, że za ten akurat prezent gospodarze nie będą mu wdzięczni. W domu moich rodziców nie było nawet kieliszków do wina. A potem popełnił drugi błąd: wypił dwie pełne szklaneczki schłodzonego trunku, podczas gdy wszyscy pozostali zaledwie umoczyli usta — „dla smaku”.

Zaproponowałam mu widelec, ale uparł się jeść pałeczkami — były śliskie jak wszystkie wyroby z kości słoniowej. Trzymając je pod takim kątem, że przypominały nogi koślawego strusia, chwycił kawałek ociekającego sosem bakłazana, który oczywiście w połowie drogi wykonał perfidny unik i zamiast w ustach Richa wylądował najpierw na białej, mocno wykrochmalonej koszuli, a następnie dokładnie w jego kroczu. Szoszana pokładała się ze śmiechu — przez dobrych kilka minut nie mogłam jej uspokoić.

Nie koniec na tym. Nałożył sobie na talerz olbrzymią porcję krewetek i drugą — równie dużą — zielonego groszku nie wiedząc, że chińska etykieta nakazuje wziąć za pierwszym razem tylko jedną łyżkę, a dopiero później, kiedy już wszyscy zjedzą po odrobince, sięgnąć ewentualnie po dokładkę.

Podziękował za gotowane nowalijki, a były to młodziutki, niesłychanie delikatne listki fasoli, nie mówiąc już o tym, że

szalenie drogie, gdyż zrywa się je bardzo wcześnie, zanim jeszcze pędy wydadzą strąki. Szoszana oczywiście też ich nie chciała, powołując się na Richa:

— On tego nie je! Nie je!

Kolejny błąd polegał na tym, że mój ukochany uznał za stosowne konsekwentnie nie dobrać potraw, co znów było całkiem opacznym rozumieniem chińskiego ceremoniału przy stole. Należało postępować tak jak mój ojciec, który robił z tego wielki pokaz, dobierając sobie mikroskopijne porcyjki po raz drugi, trzeci, a nawet czwarty. Nigdy przy tym nie omieszkał dodać, że ach! nie może się wprost powstrzymać, by nie uszczknąć jeszcze odrobinki tego czy owego, a potem głośno dawał wyraz swemu zadowoleniu: „Oj, taki jestem pełny, że zaraz pękne!”

Najgorsze nastąpiło w chwili, kiedy Rich skrytykował kuchnię mojej matki, kompletnie nie zdając sobie sprawy, że popełnił tę niewybaczalną gafę. Podobnie jak wszystkie chińskie kucharki moja matka miała zwyczaj wypowiadać niepochlebne uwagi pod adresem wytworów własnej sztuki kulinarnej. Tego wieczoru wzięła pod ostrzał słynną wieprzowinę gotowaną na parze z kiszoną gorczycą bulwiastą — przedmiot swej wyjątkowej dumy:

— Oj, niesione, całkiem bez smaku — podniosła lament po skosztowaniu pierwszego kawałeczka. — Nie nadaje się do jedzenia!

My, domownicy, wiedzieliśmy, jak na to reagować: próbowało się potrawy, po czym obwieszczało wszem i wobec, że jest to najwspanialsza wieprzowina, jaką kiedykolwiek zdarzyło się matce przyrządzić. Niestety, nie zdążyliśmy tego zrobić.

— Wiesz — wyrwał się Rich — tu wystarczy odrobinka sosu sojowego — co powiedziawszy, zalał cały półmisek olbrzymią ilością czarnej i bardzo słonej substancji tuż przed oczyma mej skamieniałej ze zgrozy matki.

Aż do końca przyjęcia kołatała się we mnie resztką nadziei, że może mimo wszystko matka dostrzeże w Richu jakieś pozytywne cechy — jego dobroć, poczucie humoru, chłopięcy wdzięk — doświadczenie podpowiadało mi jednak, że nie ma sensu się łudzić: w jej oczach wypadł fatalnie.

Rich najwyraźniej był odmiennego zdania.

— Wiesz — powiedział skromnie po powrocie do domu, kiedy już uspiliśmy Szoszanę — myślę, że sprawa chwyciła. Fajnie. — Mówiąc to miał minę wiernego dalmatyńczyka dopraszającego się pieśczoć.

— Uhm — mruknełam, wkładając starą koszulę nocną, co oznaczało, że nie jestem dziś nastrojona amoroso. Wciąż jeszcze trzęsło mnie na wspomnienie pożegnalnego uścisku dłoni, którym uraczył oboje moich rodziców. Był to uścisk wyjątkowo mocny, a wykonany został z tą samą poufałą swobodą, z jaką mój luby odnosił się do swych nowo poznanych, co bardziej nerwowych klientów.

— Linda, Tim, do zobaczenia wkrótce.

Imiona moich rodziców brzmią „Lindo” i „Tin”, poza tym nikt, z wyjątkiem starych przyjaciół, nie zwraca się do nich po imieniu.

— No więc, co powiedziała? — Zorientowałam się, że pyta mnie o reakcję na wiadomość o naszym ślubie. Zapowiedziałam mu wcześniej, że najpierw powiem o tym matce. Niech sama przekaże nowinę ojcu.

— Nic jej nie mówiłam, nie miałam okazji. — Tak było. Jak mogłam mówić z nią o ślubie? Przecież gdy choćby na chwilę zostawałyśmy same, od razu padała cierpka uwaga: ile to drogiego wina Rich potrafi wypić, jaki on blady — pewnie chory! — jaką smutną minkę ma Szoszana.

Uśmiechnął się do mnie z niedowierzaniem:

— Aż tyle czasu wymaga poinformowanie rodziców o tym, że wychodzisz za mąż?

— Ty tego nie rozumiesz. Ty zupełnie nie rozumiesz mojej matki.

— Mowa! Straszny jest ten jej angielski! Wyobraź sobie, że kiedy opowiadała tę scenę z „Dynastii”, w której zabijają jakiegoś faceta, myślałem, że mówi o czymś, co wydarzyło się w Chinach, i to sto lat temu!

Tej nocy długo nie mogłam zasnąć. Z nerwów. Moją rozpacz z powodu fiaska planu ostatniej szansy powiększała jeszcze beznadziejna ślepotą Richa. Boże, jak on nic nie

rozumie! A wygląda tak wzruszająco! „Wzruszająco"! Cóż za kretyńskie słowo! Tak, to robota mojej matki. Znów każe mi widzieć czarne tam, gdzie ja widzę białe. Ha, w jej rękach nie od dziś stoję się pionkiem. Pionek może najwyżej rejterować. o ona zawsze była hetmanem... Jej wolno atakować mnie z każdej strony, no i robi to bez przerwy, zwłaszcza że umie wykryć moje najsłabsze punkty.

Obudziłam się późno. Zęby miałam zaciśnięte, a nerwy napięte jak postronki. Rich, już po porannych ablucjach, czytał niedzielną gazetę.

— Dzień dobry, laleczko — powitał mnie z ustami pełnymi płatków kukurydzianych.

Włożyłam dres, wsiadłam do samochodu i pojechałam do rodziców. Marlenę ma rację. Muszę wygarnąć matce, że zdaję sobie sprawę z tego, co ze mną wyprawia, że przejrzałam te jej krecie sposoby wpędzania mnie w czarną rozpacz. Nim przyjechałam na miejsce, zdążyłam już wpaść w taką wściekłość, że niestraszny byłby mi nawet zmasowany atak latających tasaków.

Drzwi otworzył ojciec, który zdziwił się na mój widok.

— Gdzie mama? — zapytałam, starając się uspokoić oddech. Gestem skierował mnie do saloniku.

Zastałam ją na sofie — spała z głową na białej haftowanej serwetce. Usta jej złagodniały, z twarzy poznikały wszystkie zmarszczki. Z tą nagle wygładzoną twarzą wyglądała jak młoda dziewczyna — szczerą, kruchą i niewinna... Jedno jej ramię bezwładnie zwisało z sofy, klatki piersiowej nie poruszał oddech... Odbiegła ją cała potęga. Postradała wszystko, co było jej bronią, pierzchły otaczające ją demony. Wydawała się zupełnie bezsilna. Pokonana.

Chwycił mnie nagle potworny strach, że wygląda tak, bo umarła! Umarła w chwili, gdy ja niegodziwie o niej myślałam! Pragnęłam wyrzucić ją ze swego życia, a ona uczyniła temu zadość. Wyfrunęła z ciała, by uciec przed moją nienawiścią.

— Mamo! — krzyknęłam przeraźliwie. — Mamo! — jęknęłam i zaczęłam płakać.

Powoli otworzyła oczy. Powieki zatrzepotały, ręce nabrały życia.

— *Shenma?* Meimei? To ty?

Nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Od iluż to lat nie mówiła do mnie „meimei”? Od czasów mego dzieciństwa. Usiadła i na twarz jej powróciły zmarszczki, choć nie tak ostre jak zwykle; teraz były to już tylko łagodne ścieżynki smutku.

— Dlaczego tu jesteś? Dlaczego płaczesz? Coś się stało? Nie wiedziałam, co mówić, co robić. W ciągu tych kilku,

jak mi się zdawało, sekund przebyłam daleką drogę, doznałam tylu różnych uczuć. Najpierw była to złość, że taką ma nade mną władzę, potem zdumienie na widok jej młodzieńczo naiwnej twarzy, wreszcie strach: jest krucha, jest taka bezradna. Teraz ogarnęło mnie otepienie; w całym ciele czułam dziwną słabość, jakby ktoś nagle przekreślił jakiś kontakt i płynący przeze mnie strumień uczuć zatrzymał się w biegu.

— Nic się nie stało. Nic ważnego. Właściwie nie wiem, po co tu przyszedłam — wykrztusiłam ochryple. — To znaczy... chciałam z tobą porozmawiać... Chciałam ci powiedzieć, że... że Rich i ja... że się pobieramy. — Mocno zacisnęłam powieki, oczekując protestów, zawodzenia, oschłych słów, które zabrzmiały jak bezlitosny wyrok.

— *Zhidaole*, przecież ja to już wiem — powiedziała takim tonem, jakby chciała zapytać, po co jej to powtarzam.

— Ty wiesz?

— No pewnie. Chociaż ty mi tego nie mówiłaś — odparła po prostu.

O, było to gorsze, niż myślałam! A więc cały czas wiedziała o wszystkim! Wiedziała już wtedy, gdy krytykowała moją kurtkę z norek, kiedy lekceważąco wyraziła się o piegach Richa, kiedy wyrzekła na jego alkoholowe nawyki. Ona go nie akceptuje.

— Wiem, że nienawidzisz Richa — powiedziałam drżącym głosem. — Myślisz, że nie jest dla mnie dość dobry, ale ja...

— Nienawidzę? Skąd tobie przyszło do głowy, że ja nienawidzę twojego przyszłego męża?

— Nie chcesz o nim rozmawiać. Tego dnia, kiedy ci zaczęłam opowiadać, że byli z Szoszaną w Eksploratorium, ty... ty zaraz zmieniłaś temat... powiedziałaś o tych badaniach tatusia i...

— A co ważniejsze? Zabawa w badania czy badanie choroby?

KLUB RADOŚCI I SZCZĘŚCIA

O nie! — pomyślałam. Tym razem nie pozwolę ci się wymknąć.

— A kiedy go poznałaś, powiedziałaś, że jest cały w kropki.

— No a czy to nieprawda?

— Prawda, ale powiedziałaś tak ze złości, żeby mnie zranić, żeby...

— *Ajjal* Dlaczego ty tak źle o mnie myślisz? — jej twarz postarzała się nagle, stała się zwierciadłem smutku. — A więc myślisz, że twoja matka to zła kobieta. Zdaje ci się, że mam jakieś ukryte myśli. Ale to ty masz ukryte myśli. *Ajjal* Jej się zdaje, że jestem aż taka zła! — wyprostowała się na sofie, mocno splatając ręce i zaciskając usta. W oczach jej lśniły Izy gniewu.

Och, ta jej siła i ta jej słabość! Byłam rozdarta na dwoje. Rozum ciągnął mnie w jedną stronę, serce w drugą. Usiadłam obok niej na sofie. Czy musimy się nawzajem ranić?

Miałam uczucie, że przegrałam jakąś bitwę. Jaką? Czy ja w ogóle brałam udział w bitwie? Ogarnęło mnie wielkie znużenie.

— Idę do domu — powiedziałam po chwili milczenia.

— Jakoś kiepsko się czuję.

— Nie rozchorujesz się czasem? — mruknęła, kładąc mi rękę na czole.

— Nie. — Chciałam już wyjść. — Ja... po prostu nie wiem, co się ze mną dzieje, tu... w środku. Nie rozumiem.

— No to ja ci powiem. — Wybałuszyłam oczy. Czyżby dla niej było to takie proste? — Połowa wszystkiego, co masz w sobie — zaczęła mi wyjaśniać po chińsku — pochodzi ze strony twego ojca. Tak już jest w naturze. Ród Jongów to Kantonczycy, dobrzy, uczciwi ludzie, chociaż czasami bywają skorzy do gniewu, no i skąpi. Znasz ojca, to wiesz. Wiesz, jaki potrafi być, póki go nie przywołam do porządku.

Po co ona mi to mówi? — zastanawiałam się w duchu.

— Czy to ma jakikolwiek związek z tym, co powiedziałam? Matka jednak, wciąż uśmiechając się i żywo gestykułując, ciągnęła dalej rozpoczęty wątek.

— A drugą połowę tego wszystkiego, co jest tobą, wzięłaś po mnie i moich przodkach, członkach rodu Sun z Taiyuanu

— nakreśliła parę chińskich znaków na odwrocie jakiejś

koperty, zapominając chyba, że nie umiem czytać po chińsku.

— Sunowie to ludzie rożgarnięci i bardzo silni. Umiemy poza tym być chytry i wygrywać wojny. Z tego jesteřmy sławni. Słyszalas o Sun Wenie?*

Kiwnęłam głową.

— On też pochodził z rodu Sun, tylko że jego przodkowie kilkaset lat temu przenieřli się na południe, więc teraz to już niezupełnie ten sam ród.* Moja rodzina od niepamiętnych czasów mieszka w Taiyuanie. Byli tam jeszcze przed narodzeniem Sun Wei'a. Słyszalas o Sun Wei'u?*

Przecząco pokręciłam głową. Nadal nie miałam pojęcia, dokąd zmierza ta konwersacja, a jednak działała na mnie kojąco. Chyba po raz pierwszy w życiu prowadziłyśmy z matką prawie normalną rozmowę.

— Sun Wei ruszył do walki z Czyngis-chanem. Kiedy podczas bitwy Mongołowie zaczynali szyc z luków, ich strzały

— ha! — odbijały się od pancerzy wojowników Sun Wei'a jak krople deszczu od kamienia. Tak mocne były zbroje, które zrobił Sun Wei. Czyngis-chan wierzył nawet, że są zaczarowane.

— Czyngis-chan musiał w takim razie wynaleźć magiczne strzały, bo jednak udało mu się podbić Chiny — zauważyłam.

Matka puściła tę uwagę mimo uszu.

— Zawsze umieliśmy zwyciężać, my Sunowie, taka jest prawda. No więc teraz już wiesz, co masz w sobie. Prawie wszystkie najlepsze cechy ludzi z Taiyuanu.

— Ta nasza umiejętność zwyciężania zmieniła chyba teraz postać. Przeniosła się na rynek zabawek i wyrobów elektronicznych.

— Skąd to wiesz? — skwapliwie spytała matka.

*** Sun Wei (1163—1240) — słynny płatnerz i kowal, nigdy nie dowodził wojskami, choć wyrabiane przez niego zbroje i tarcze odbijały mongolskie strzały z grotami z miękkiego żelaza. Chiny podbił nie Czyngis-chan, lecz jego wnuk w blisko 50 lat po śmierci Czyngisa.**

— Wszędzie widać produkty „made in Tajwan”.

— *Ajja!* — wydała okrzyk protestu. — Ja nie pochodzę z Tajwanu!

No i proszę! Pękła ta wątpa nić porozumienia, którą już zaczynałyśmy nawiązywać!

— Urodziłam się w Taiyuanie — oznajmiła z naciskiem. — Tajwan to nie są Chiny.

— Ale te dwie nazwy brzmią podobnie, więc myślałam, że mówisz o Tajwanie — zaczęłam się bronić. Znów mnie zirytowała. Taka przypadkowa pomyłka, a ona już robi z tego sprawę.

— Nic podobnego! To dwa różne brzmienia i dwa różne kraje! — prychnęła. — Ludzie na Tajwanie mogą sobie tylko marzyć, że to Chiny. Bo jak już jesteś Chińczykiem, Chiny nigdy nie schodzą ci z myśli!

Zapadła cisza — znalazłyśmy się jak gdyby w martwym punkcie. Po chwili oczy jej zabłyśły:

— Wiesz co? Na Taiyuan możesz też mówić „Bing”. Wszyscy pochodzący stamtąd tak mówią. Dla ciebie to łatwiejsze do wymówienia. Bing to taka starodawna nazwa. — Nakreśliła hieroglif, a ja pokiwałam głową, jakby teraz już wszystko było absolutnie jasne. — Tak samo jak tutaj — uzupełniła po angielsku. — Tu też na Nowy Jork mówią „Apple”*, a na San Francisco „Frisco”.

— Nikt tak nie nazywa San Francisco — zaprotestowałam ze śmiechem. — Ci, którzy tak mówią, nie mają pojęcia, jak jest naprawdę.

— Teraz rozumiesz, co ci chciałam powiedzieć — zakończyła z satysfakcją moja matka.

Ja uśmiechnęłam się tylko.

Ale rzeczywiście — w końcu zrozumiałam. Nie to, co mi powiedziała, lecz pewną ogólną prawdę o niej i o sobie.

Zrozumiałam, o co z nią tak walczyłam: o siebie! Byłam małym, przerażonym dzieckiem, które dawno temu uciekło, dokąd? Tam, gdzie bezpieczniej. No i siedząc w tej swojej kryjówce otoczonej całym systemem niewidzialnych barier, wciąż widziałam grożące mi z tamtej strony niebezpieczeństwa. Jej podstępne ataki z za węgła. Jej sekretne bronie. Jej

* „Apple” — jabłko (przyp. tłum.).

niezwykłą umiejętność trafiania w moje najsłabsze punkty. Dopiero teraz — w tej krótkiej jak okamgnienie chwili — kiedy wreszcie zerknęłam przez barierę, zobaczyłam prawdę: starą kobietę z garnkiem zamiast tarczy i drutami do robótek zamiast miecza, już odrobinę zgorzkniałą po tylu latach cierpliwego oczekiwania. Na co? Żeby córka wyciągnęła do niej rękę... żeby ją wpuściła do środka.

Postanowiliśmy z Richem odłożyć termin ślubu. Matka twierdzi, że lipiec to niedobra pora na miesiąc miodowy w Chinach. Mówi, że ma na ten temat świeże doświadczenia, bo przecież oboje z ojcem dopiero co wrócili z wycieczki do Pekinu i Taiuanu.

— W lecie tam jest za gorąco. Tyle kropek ci wyskoczy na twarzy, że cały już będziesz czerwony — ostrzega Richa, a ten szczyrzy zęby i celując kciukiem w swoją przyszłą teściową, mówi do mnie:

— Ty słyszysz, co ona wygaduje? Wierzyć się nie chce! Teraz wiem, po kim odziedziczyłaś ten swój słodki charakterek!

— Pojedziecie w październiku. To jest najlepszy okres. Nie za gorąco, nie za zimno. Ja też myślę tam jeszcze raz jechać

— stwierdza autorytatywnie matka i natychmiast dodaje:

— Oczywiście nie z wami!

Chichoczę trochę nerwowo, a Rich pozwala sobie na żarcik:

— O, Lindo, to byłaby kapitalna sprawa! Tłumaczyłabyś nam jadłospisy. Przynajmniej mielibyśmy pewność, że przez pomyłkę nie zjemy psa albo i szczura. — Mam ochotę kopnąć go w kostkę.

— Nie, ja wcale nie mam takiego zamiaru — powtarza moja matka. — Wcale was o to nie proszę.

Uhm, dobrze wiem, o co jej chodzi. Niczego by tak nie pragnęła, jak pojechać do Chin razem z nami. Tylko że ja bym tego nie zniosła. Trzy razy dziennie przez trzy tygodnie słuchać narzekań na brudne pałeczki i zimną zupę? O nie, to byłoby straszne!

A jednak jest we mnie jakaś cząstka, której ten pomysł wydaje się nie tylko możliwy, ale i sensowny. Cała nasza trójka pozostawia za sobą wszystkie dzielące nas różnice... Wsiadamy do samolotu... razem... wzbijamy się w powietrze... Ach, oddalić się od Zachodu, aby wspólnie dotrzeć tam... na Wschód.

Rose Hsu Jordan
BEZ DRZEWA

Nawet gdy zupełnie jej nie rozumiałam, bez zastrzeżeń wierzyłam każdemu słowu mojej matki. Byłam jeszcze malutka, gdy oznajmiła mi pewnego razu, że zanosi się na deszcz, bo za naszym oknem krążą duchy i jęczą, żeby je wpuścić. Mówiła, że drzwi wejściowe koniecznie trzeba sprawdzać dwa razy, bo inaczej same otworzą się o północy. Mówiła, że lustro widzi tylko moją twarz, ona tymczasem nawet z drugiego pokoju widzi mnie całą na wylot.

Wszystko to przyjmowałam za prawdę — tak wielką moc miały jej słowa.

Powinnam jej słuchać, powiedziała, gdyż dzięki temu nauczę się dobrze rozpoznawać słowa prawdy: zawsze płyną one z góry, bo unoszą się ponad wszystkimi innymi. Jeśli zaś nie będę jej słuchać, zacznę nakłaniać ucha na to, co mówią inni — na słowa pozbawione trwałego znaczenia, pochodzące z samego dna ludzkich serc. Jest to taki ciasny zakamarek, w którym żyją wyłącznie cudze pragnienia i dla mnie nie ma tam miejsca.

Słowa mojej matki naprawdę płynęły z wysoka. Wieczorami, kiedy się pojawiała przy łóżku, miałam zawsze jej twarz nad sobą. Wtedy jeszcze wraz z dwiema siostrami sypiałam -w jednym podwójnym łóżu. Janice, najstarsza z nas, cierpiała na jakąś alergię, wskutek czego jedno jej nozdrze śpiewało nocami jak ptaszek, a my nazywałyśmy ją Świszczącym Nosem. Ruth zyskała sobie miano Szkaradnej Stopy, bo tak potrafiła odgiąć wielkie palce, że przypominały czarcie szpony. Mnie zwano Strachliwym Okiem, gdyż wprost nieprzy-

tomnie bałam się ciemności i kurczowo zaciskałam powieki, żeby w nią przypadkiem nie spojrzeć, co Ruth i Janice zgodnie uważały za głupotę. W owych latach ja byłam tą, która zasypiała ostatnia. Broniąc się przed wejściem do krainy snów, esperacko czepiałam się łóżka.

— Twoje siostry poszły już z wizytą do starego pana Zhou

— szeptała moja matka po chińsku. Pan Zhou był strażnikiem drzwi wiodących do świata snów. — A ty jak? Jesteś gotowa? Możesz już odwiedzić pana Zhou? — Przecząco kręciłam na to głową. Było tak co wieczór.

— Nie! Pan Zhou zabiera mnie w takie okropne miejsca!

— łkałam.

Moje siostry nie skarżyły się na pana Zhou — usypiał je tak, że rano nigdy nic nie pamiętały. Wobec mnie zachowywał się inaczej. Z rozmachem otwierał drzwi na oścież, ale gdy tylko próbowałam przestąpić próg, zatrząskiwiał je z hukiem, najwyraźniej chcąc zgnieść mnie jak muchę. Dlatego też w mgnieniu oka rzucałam się do ucieczki.

Pan Zhou po pewnym czasie męczył się jednak pilnowaniem wejścia i zostawiał je na chwilę bez dozoru. Moje łóżko tymczasem robiło się coraz cięższe u wezglowia, powolutku zaczynało się przechylać, aż w końcu stawało dęba, a ja w pozycji głową na dół przelatywałam znienacka przez otwarte wrota, by wylądować w jakimś domu bez drzwi i okien.

Pamiętam taki oto ciąg dalszy jednego z tych snów: w podłodze domu pana Zhou znajdowała się dziura, przez którą wpadłam do ogrodu. Była noc. W ciemności rozlegały się okrzyki: „Kto tam? Kto chodzi po moim podwórzu?” Zaczęłam uciekać. Tratowałam jakieś rośliny... w ich listkach tętniła krew... biegłam przez ogromne zagony lwich paszcz, które zmieniały kolory jak światła na skrzyżowaniu, aż znalazłam się na kolosalnym placu zabaw zastawionym rzędami prostokątnych piaskownic. W każdej z nich leżała nowiutka lalka. Mojej matki wcale tu nie było, a jednak powiedziała staremu panu Zhou, że wie, którą lalkę sobie wybiorę — widziała mnie przecież na wylot. Aha, no to wezmę zupełnie inną

— postanowiłam.

— Nie pozwól jej! Łap ją! — krzyknęła moja matka, na co pan Zhou puścił się za mną w pogoń, wołając:

— No i widzisz, co się dzieje, kiedy nie słuchasz matki?

— Stałam jak wryta. Strach sparaliżował mi nogi. Kiedy rano opowiedziałam matce o swoich nocnych przeżyciach, zaczęła się śmiać:

— Nie przejmuj się panem Zhou. To tylko sen. Mnie jednej powinnaś słuchać.

— Tak? — rozbeczałam się w głos. — Ale przecież pan Zhou też robi tylko to, co mu każesz!

Od tego czasu minęło ponad trzydzieści lat, a matka nadal usiłuje mną rządzić. Chyba w miesiąc po rozmowie o tym, że zanoszę się na rozwód z Tedem, spotkałyśmy się w naszym kościele na pogrzebie niejakiej China Mary, cudownej dzie-więćdziesięciodwuletniej staruszki, która wobec każdego dzieciaka z kongregacji Pierwszego Chińskiego Kościoła Baptystów pełniła obowiązki chrzestnej.

— Chudniesz w oczach — zauważyła moja matka zbolalym głosem, ledwo zdążyłam przy niej usiąść. — Musisz więcej jeść.

— Czuję się świetnie. — Uśmiechnęłam się na dowód, że to prawda. — A poza tym, czyż sama nie mówiłaś, że każdy ciuch na mnie pęka?

— Jedz więcej — powtórzyła, jakby nie słyszała mojej repliki, trącając mnie w bok małą chałupniczo odbitą broszurką z ręcznie wykonaną stroną tytułową: „Gotuj po chińsku

— przepisy zalecane przez China Mary”. Sprzedawano to przy wejściu do kościoła za jedne pięć dolarów egzemplarz. Zebrane pieniądze zasilić miały Fundusz Stypendialny dla Uchodźców.

Organy umilkły, duchowny odchrząknął. Był to jakiś nietutejszy pastor, w którym po chwili rozpoznałam Winga, dawnego kumpla mego brata Luke'a. Jako podrostki razem podkradali karty wstępu na mecze baseballa, tylko że później Wing za sprawą China Mary wybrał seminarium duchowne, Lukę natomiast wylądował w stanowym więzieniu za handel stereofonicznymi odbiornikami radiowymi kradzionymi ze źle strzeżonych samochodów.

— Wciąż dźwięczą mi w uszach jej słowa — przemówił Wing do żałobników. — A brzmią one tak: „Bóg stworzył cię, chłopcze, z samych doskonałych ingrediencji, dlatego szkoda by było, gdyby strawił cię ogień piekielny”.

— A teraz z niej został już tylko sam popiół. Skremowana — trzeźwo zauważyła moja matka. Uczyniła to donośnym szeptem, wskazując głową ołtarz, gdzie ustawiono kolorową, oprawną w ramkę fotkę China Mary. Przyłożyłam palec do ust jak w czytelni, ale widać nie zrozumiała mego gestu.

— Te kwiaty są od nas. — Wskazała wielką wiązaną czerwonych róż i jaskrawo żółtych chryzantem. — Trzydzieści cztery dolary, wszystko sztuczne, nigdy się nie zniszczy. Możesz oddać mi swoją część później. Janice i Matthew też coś dorzuca. Masz pieniądze?

— Mam. Ted przysłał mi czek.

Pastor wezwał wiernych do modlitwy za zmarłą — i wszyscy pochyłili głowy. Matka nareszcie umilkła i zajęła się osuszaniem nosa wyjętym z torebki kleenexem.

— Widzę ją wśród aniołów — powiedział pastor.

— Wszyscy wychwalają jej chińską kuchnię i *gonghe* — ten jej życzliwy stosunek do ludzi.

Wszyscy powstali, aby odśpiewać hymn oznaczony numerem 335, ulubiony hymn China Mary: „Możesz być aniołem co dzień na-tej-zie-mi”...

Zamiast się przyłączyć do chóru, moja matka przyspiliła mnie wzrokiem:

— Dlaczego on przysłał ci czek? — Nie odrywając oczu od tekstu pieśni, zaśpiewałam: „Dawać ludziom radość wśród słoń-ca-pro-mie-ni”... Widząc, że chwilowo nic nie wskóra, zrobiła ponurą minę i sama udzieliła sobie odpowiedzi:

— Wdał się w małpie figle z jakąś inną.

Małpie figle? Ted? Chciało mi się śmiać już nie tylko z jej frazeologii, ale i z samego pomysłu. Co, ten chłodny, milczący, pozbawiony owłosienia Ted, który nawet u szczytu namiętności potrafił oddychać w rytmie szwajcarskiego zegarka, miałby wpaść w małpi amok? Ha, już go widzę, jak drapiąc się pod pachami wydaje godowe pomruki, po czym rzuca się na oblubienicę, by złapać ją z wraskiem za pierś!

— O nie, to mało prawdopodobne — powiedziałam głośno.

— Tak? A dlaczego?

— Czy musimy rozmawiać o Tedzie? Ani na to pora, ani miejsce.

— Ciekawe, że możesz o nim mówić z jakimś s y k i a t r ą, a z matką nie możesz.

— Psychiatrą.

— Psykiatrą — raczyła się poprawić. — A matka najlepiej poradzi. Matka widzi cię na wylot — oświadczyła, przekrzykując śpiew. — Psykiatrą robi ci tylko *hulihudu*. Przez niego masz koło siebie *heimengmeng*.

Po powrocie do domu zaczęłam rozmyślać nad tym, co mi powiedziała. Prawda! Ostatnio rzeczywiście ogarnęło mnie *hulihudu*, a wszystko dookoła wydawało mi się tak niewyraźne, jak gdyby naprawdę tonęło w *heimengmeng*. Treści tych słów nie próbowałam nigdy oddać po angielsku, myślę jednak, że najbliższymi ich odpowiednikami byłyby takie pojęcia, jak „zamęt” i „ciemna mgła”.

W rzeczywistości znaczyły o wiele więcej. Być może dlatego tak trudno je było przetłumaczyć, że wiązały się z doznaniem właściwym jedynie Chińczykom?... Na przykład z tym okropnym uczuciem, że człowiek wpadł nagle do mieszkania starego pana Zhou i teraz stara się z niego wydostać, ale jest tak przerażony, że nie śmie otworzyć oczu, więc pada na czworaki i maca dookoła siebie na oślep, nasłuchując, czy nie odezwie się jakiś głos, który wskaże mu drogę wyjścia...

O swojej obecnej sytuacji rozmawiałam z różnymi osobami

— przyjaciółmi z dzieciństwa, znajomymi, no chyba ze wszystkimi z wyjątkiem samego Teda — i każdej zupełnie inaczej przedstawiłam swój aktualny stan ducha. A jednak każda z tych wersji była prawdziwa, przynajmniej w chwili kiedy ją formułowałam.

Moja przyjaciółka Waverly usłyszała więc opowieść o cierpieniu. To, jak szalenie kocham Teda — zwierzyłam jej się

— dotarło do mnie dopiero wtedy, kiedy poczułam, jak dotkliwie mnie potrafi zranić. Bólu, który sprawił mi swoim odejściem, doświadczam po prostu fizycznie — dodałam. Czuję się jak człowiek, któremu bez znieczulenia wyrwano obydwie ręce i...

— A wyrywano ci je kiedyś pod znieczuleniem? — wykrzyknęła Waverly. — Boże, przecież to czysta histeria! W takim stanie jeszcze cię nie widziałam. Chcesz wiedzieć, co ja o tym myślę? Myślę, że bez Teda jest ci o wiele lepiej.

A cierpisz tylko dlatego, że dopiero teraz widzisz, co z niego za mięczak. Po piętnastu latach! O, ja dobrze wiem, jak to jest!

Lenie, drugiej mojej przyjaciółce, oznajmiłam, że lepiej mi jest bez Teda. No tak, z początku przeżyłam szok, ale gdy się z tego otrząsnęłam, okazało się, że wcale za nim nie tęsknię. Brakuje mi tylko tych uczuć, których doznawałam w czasie trwania naszego związku.

— To znaczy jakich? — zachnęła się Lena—Według mnie byłeś w totalnej depresji. Narzekałeś na Teda, że cię wpędził w kompleksy, że czujesz się przy nim zerem! I co? Teraz znów ci się zdaje, że to bez niego nic nie znaczysz? Przestań! Ja na twoim miejscu wzięłabym sobie dobrego adwokata i poszła na całość. Zrewanżuj się draniowi, daj mu wycisk!

Mój psychiatra wysłuchał kolejnej wersji: o władnęła mną żądza zemsty. Marzę o zaproszeniu Teda do modnego lokalu, powiedzmy, „Cafe Majestic” lub „U Rosalie”, żeby mu tam dać wycisk. Zamówimy kolację, będę dla niego miła i dopiero przy pierwszym daniu, kiedy się już całkiem odpręży, zaatakuję drania: „O nie, mój drogi, nie ma tak dobrze!” Wyjmę z torebki lalkę voodoo (Lena wypożyczyła ją dla mnie z firmowej rekwizytornii), wyceluję widelczyk do ślimaków w strategiczne miejsce i powiem bardzo głośno, tak żeby usłyszała mnie cała ta zgraja snobów: „Wiesz co? Bezpłciowe z ciebie ścierwo, ale skoro tak ci z tym dobrze, to masz, zrobię z ciebie stuprocentowego eunucha!” I dźgnę tym widelcem, gdzie trzeba.

Snułam te wynurzenia z uczuciem, że galopem wdzieram się na jakiś szczyt, gdzie dokona się we mnie absolutny przełom: proszę, po dwutygodniowej zaledwie kuracji wyłania się ze mnie całkiem nowa kobieta! Spojrzałam na swego psychiatrę, ale on, podpierając dłonią podbródek, sennie klapał powiekami.

— Wygląda na to, że doszły w tobie do głosu niezwykle silne emocje — skonstatował. — Pomówimy o tym w przyszłym tygodniu”

Po tego rodzaju stwierdzeniu nic już więcej nie umiałam wymyślić. Następną parę tygodni zajęło mi sporządzanie remanentu życiowych aktywów. Przeglądając pokój po pokoju, próbowałam odtworzyć dzieje wszystkich znajdujących się w domu przedmiotów: rzeczy, które posiadałam przed po-

znaniem Teda (stare szkło, ściennie makramy, fotel na biegunach, w którym kazałam wymienić trzciniową plecionkę), rzeczy nabyte wspólnie z Tedem (większość ciężkich mebli), prezenty od różnych osób (zegar pod szklaną kopułką, obecnie zepsuty, trzy komplety do sake, cztery czajniczki do herbaty), rzeczy wynalezione gdzieś przez Teda (sygnowane litografie z serii dwustu pięćdziesięciu egzemplarzy, wszystkie jednak o numerach niższych od dwudziestu pięciu, kryształowe truskawki od Steubena), wreszcie rzeczy, które znalazły się w domu za moją sprawą, gdyż nie umiałam przejść obok nich obojętnie (nie pasujące do siebie świeczniki z jakiejś garażowej wyprzedaży, dziurawy starożytny kilt, dziwaczne buteleczki, fiolki i flakoniki do perfum, maści i przypraw).

Zacząłam inwentaryzować książki, gdy nieoczekiwanie nadszedł list od Teda. Była to właściwie notatka pospiesznie nabazgrana długopisem na jego bloczku do recept: „Podpisz 4 x, gdzie zaznaczono”. Drugie zdanie, dopisane wiecznym piórem, brzmiało: „W zał. czek na pokrycie potrzeb do czasu podziału majątku.”

Notatka i czek na dziesięć tysięcy dolarów (podpisany znowu wiecznym piórem) przypięte zostały do pozwu i reszty rozwodowych dokumentów. Zamiast wdzięczności poczułam urazę.

Dlaczego przysłał mi czek razem z pozwem? Dlaczego raz użył długopisu, a raz pióra? Może czek dołączył dopiero po dłuższym namyśle? Właśnie... Ile czasu zajęły mu rozważania nad wysokością sumy? A podpis na czeku? Dlaczego akurat tym piórem?

Pamiętam, z jakim wyrazem twarzy rozwijał w zeszłym roku złocistą folię... Robił to tak ostrożnie... wydawał się zaskoczony. Powolutku obracał to pióro w świetle rozjarzonej choinki, a potem pocałował mnie w czoło: „Będę nim podpisywał tylko najważniejsze papiery” — obiecał mi uroczyście.

Wspomnienie tej sceny oraz czek, który trzymałam w ręku, dosłownie odebrały mi siły. Przysiadłam na tapczanie z uczuciem, że głowa, poczynając od czubka, robi mi się coraz cięższa. Bezmyślnie wpatrywałam się w miejsca zaznaczone iksami, w nadruk na recepcie, w słowa wypisane niebieskim atramentem i te nagryzmołone czarnym długopisem, w datę

wystawienia czeku, w pedantycznie wykaligrafowaną formułkę: „Dziesięć tysięcy dolarów zero centów”.

Siedziałam tak dłuższą chwilę, nasłuchując głosu serca: jaką by tu podjąć decyzję. Nie — uświadomiłam sobie w końcu. — Nie jestem w stanie tego zrobić... Nie wiem nawet, jaki mam wybór... Wepchnęłam pozew i czek do szuflady, gdzie trzymam kupony sklepowe, których nie potrafię ani wyrzucić, ani wykorzystać. Cała ja. Nigdy na nic nie mogę się zdecydować.

Moja matka wytłumaczyła mi kiedyś, dlaczego jestem osobą tak niepozbitą wewnątrz. Podobno brakuje mi drzewa. Urodziłam się bez tego pierwiastka i dlatego słucham zbyt wielu ludzi. Zwierzyła mi się, że sama omal się taka nie stała, więc dobrze wie, o czym mówi.

„Dziewczynka jest jak młode drzewko, rozumiesz? Powinnaś stać prosto i słuchać matki, która stoi tuż obok ciebie. Tylko w ten sposób urośniesz silna i prosta. Bo kiedy się zaczniesz wyginać, by usłyszeć, co mówią inni, powykrzywiasz się i osłabniesz. Zwali cię pierwsza silniejsza wichura, a wtedy żyć zaczniesz jak chwast, jak dzikie zielsko, co płoży się po ziemi na wszystkie strony, póki go ktoś nie wyrwie. Chcesz, żeby cię wyrzucono na śmietnik?”

Cóż, powiedziała mi o tym, kiedy już było za późno, kiedy już się zaczęłam wyginać. W naszej szkole była wtedy pewna nauczycielka, pani Berry, która ustawiała nas w szereg i kazała maszerować po korytarzach: „Chłopcy, dziewczęta, za mną marsz!” Niech by jej ktoś nie posłuchał! Ten, kto choć raz sobie na to pozwolił, zmuszony był się pochylić, a pani Berry wymierzała mu karę: dziesięć uderzeń prętem.

Jeszcze wtedy słuchałam matki, choć już nauczyłam się puszczać niektóre jej słowa mimo uszu. Pozwalałam też sobie od czasu do czasu przyjmować cudze opinie, przezornie przyswajając je w myślach po angielsku. Teraz niech matka zajrzy mi nawet do głowy, śmiałam się w duchu, i tak się w tym nie połamie.

Z czasem nauczyłam się wybierać najlepsze spośród różnych poglądów na ten sam temat. Chińczycy mieli swoje i Amerykanie swoje, przy czym te amerykańskie na ogół okazywały się dużo lepsze.

Znacznie później przekonałam się na własnej skórze, że w amerykańskim sposobie myślenia tkwi jeden, za to bardzo poważny błąd: stwarza on nadmiar możliwości. Człowiekowi wolno dokonywać tylu i tak różnych wyborów, że miesza się od tego w głowie. Bardzo łatwo tu o pomyłkę, której rezultatem bywają nie najszcześniejsze decyzje. Odnosiło się to w całej rozciągłości do mojej obecnej sytuacji z Tedem. Tyle trzeba tu było przemyśleć, o tylu sprawach postanowić... Każda kolejna próba decyzji mijała się z poprzednią, każda prowadziła do sprzecznych wniosków.

Na przykład ten czek. Może Ted chce mnie zwyczajnie podejść? Przyjęcie pieniędzy można przecież uznać za wyraz postawy ugodowej — że niby zgadzam się na rozwód... I że kwota dziesięciu tysięcy dolarów w całości pokrywa moje roszczenia z tytułu podziału majątku. Ted może tak później twierdzić... Po tej dość trzeźwej refleksji pojawiła się resztką sentymentu: wyobraziłam sobie — o, tylko przez chwilę! — że przysłał mi aż dziesięć tysięcy, ponieważ ciągle mnie kocha. Stara się dać mi do zrozumienia, jak wiele dla niego znaczę. Myśl ta trwała bardzo krótko, bo od razu wyparła ją inna: dziesięć tysięcy dolarów to dla Teda tyle, co nic. Ja też jestem dla niego niczym.

A gdyby tak położyć kres tym udrękom — i podpisać? Już miałam sięgnąć do szuflady, kiedy pomyślałam o domu.

Kocham to miejsce — powiedziałałam sobie — kocham tu właściwie wszystko... Te wielkie dębowe drzwi prowadzące do foyer o oknach z kolorowych witraży. Kocham poranne słońce w pokoju śniadaniowym... widok na miasto o południu z okien frontowego salonu... zioła i kwiaty zasadzone w ogrodzie przez Teda. Miał zwyczaj pracować tam w każdy weekend. Klęcząc na zielonej gumowej wycieracze, poddawał każdy listek tak drobiazgowej inspekcji, że przywodził tym na myśl wzorową manikiurzystkę. W skrzynkach na kwiaty obowiązywał ścisły rygor: tulipanów pod żadnym pozorem nie wolno było mieszać z bylinami. Dla sadzonki aloesu, którą dała mi Lena, w ogóle zabrakło miejsca. Aloes wymagał towarzystwa innych sukulentów, my zaś nie prowadziliśmy hodowli tych roślin.

Wyjrzałam przez okno. Zbrązowiałe kwiaty kalii smętnie zwisały z łądy, krzaczki stokrotek głużyły się nawzajem ciężarem wybujałego kwiecica, przerośnięta sałata wydała na-

siona. Między płytkami ścieżki zapuściło korzenie mnóstwo płożących się chwastów, których długie pędy wiły się jak macki wokół kwiatowych gazonów. Wystarczyło na tych parę miesięcy pozostawić ogród samemu sobie, a już wszystko zdążyło zdziczeć.

Widok ten skojarzył mi się z przepowiednią wyczytaną w jakimś wróżebnym ciastku. Kiedy mąż przestaje się troszczyć o ogród, znaczy to, że długo tu już nie popasie. Zaraz... Kiedy to Ted ostatnio przycinał rozmaryn? Kiedy opryskiwał klomby?

Pobiegłam do ogrodowej szopy obejrzeć pojemnik z pestycydami, jak gdyby jego zawartość albo data ważności mogły mi cokolwiek wyjaśnić. Zniechęcona odstawiłam butelkę. Miałam wrażenie, że śledzą mnie czyjeś oczy, że słyszę czyjś głośny śmiech.

Zawróciłam do domu z mocnym postanowieniem, że zadzwonię do jakiegoś adwokata, ale po wybraniu paru cyfr odłożyłam słuchawkę. No bo co mu mogę powiedzieć? Czego oczekuję po rozwodzie? Nie mam pojęcia, tak samo jak nigdy nie umiałam sobie odpowiedzieć, czego spodziewałam się po małżeństwie.

Następny ranek nie przyniósł zmian — nadal rozmyślałam o dziejach naszego związku: piętnaście lat w cieniu Teda... Leżałam w łóżku ze szczelnie zaciśniętymi powiekami, niezdolna podjąć najprostszej decyzji.

Leżałam tak przez całe trzy dni, podnosząc się tylko po to, aby pójść do łazienki lub podgrzać kolejną puszkę rosółu z makaronem. Przeważnie spałam. Zażyłam tabletki nasenne, pozostawione przez Teda w apteczce, i po raz pierwszy, jak pamięcią sięgnę, nic mi się nie śniło. Wiem tylko, że osuwałam się miękko w jakąś ciemną przestrzeń, pozbawioną zarówno rozmiarów, jak i kierunków. W tej wszechogarniającej ciemności byłam jedyną żyjącą istotą. Ilekroć zdarzyło mi się ocknąć, brałam następną pigułkę i co szybciej wracałam w tę kojącą ciemność.

Czwartego dnia przyśnił mi się koszmar. W otaczającym mnie mroku nie mogłam dostrzec sylwetki starego pana Zhou, usłyszałam jednak jego głos. Powiedział, że już on mnie znajdzie, no a gdy to uczyni, zrobi ze mnie miazgę. Miał przy sobie dzwonek — im głośniej dźwięczał, tym bliższy był mój

koniec. Wstrzymywałam oddech, żeby nie krzyknąć, ale dzwonek brzmiał coraz głośniejsze, potężniejsze... Wypuściłam powietrze i gwałtownie oprzytomniałam.

Telefon. Musiał tak dzwonić non stop chyba z godzinę. Sięgnęłam po słuchawkę.

— No, skoro się zbudziłaś, przyniosę ci coś do jedzenia. Zostało z obiadu — usłyszałam głos matki. Mówiła tak, jakby mnie widziała, chociaż w pokoju było ciemno z powodu szczelnie zaciągniętych zasłon.

— Mamo, nie... — bąknęłam. — Teraz nie mogę. Jestem zajęta.

— Aż tak jesteś zajęta, że nie możesz zobaczyć się z matką?

— Mam umówione spotkanie z... z moim psychiatrą. Na chwilę umilkła.

— Dlaczego ty nie umiesz mówić sama z siebie? — rzuciła w końcu swoim zbolowanym głosem. — A nie możesz porozmawiać z własnym mężem?

— Mamo... — poczułam się do cna wyczerpana. — Mamo, proszę cię, nie mów mi znów, że mam ratować swoje małżeństwo. I bez tego nie jest mi lekko.

— A czy ja ci każę ratować małżeństwo? Mówię tylko, że powinnaś się wygadać.

Ledwo odłożyłam słuchawkę, telefon odezwał się znowu. Opuściłam dzisiejszą wizytę — wytknęła mi recepcjonistka mojego psychiatry — dwa dni temu również. Nie odpowiadają mi terminy? Chcę je zmienić? Powiedziałam, że przejrzę swój rozkład zajęć i oddzwonię.

Telefon brzęknął po pięciu minutach.

— Gdzie ty byłaś? — Boże, to Ted. Zaczęłam się trząść.

— Wychodziłam...

— Od trzech dni próbuję się do ciebie dodzwonić. Interweniowałam nawet w centrali, żeby sprawdzili linię.

Nie zrobił tego z troski o mnie, ale że interweniował to pewne. O coś mu chodzi. Kiedy czegoś chce, zaczyna się niecierpliwie. Zachowuje się wtedy dość irracjonalnie wobec ludzi, którzy każą mu czekać.

— Czy ty wiesz, że minęły już dwa tygodnie? — rzucił z wyraźną irytacją.

— Dwa tygodnie?

— Nie zrealizowałaś czeku ani nie zwróciłaś mi dokumentów. Słuchaj, Rose, chciałem elegancko załatwić sprawę. Wiesz przecież, że mogę przesłać ci pozew drogą oficjalną.

— Tak?

Nie bawiąc się w dalsze konwenanse, przystąpił już teraz do rzeczy. Nikczemna bezwzględność, z jaką wyliczył mi swoje żądania, przerosła moje najczarniejsze fantazje.

Żąda zwrotu dokumentów — podpisanych. Żąda oddania mu domu. Zakończenia sprawy w trybie jak najszybszym, zamierza się bowiem ożenić.

— Co? — sapnęłam, zanim zdążyłam pomyśleć. — Ty n a p r a w d ę wdałeś się w małpie figle z jakąś babą? — z upokorzenia omal nie wybuchnęłam płaczem.

I nagle po tylu miesiącach nieustającego piekła wszystko skończyło się w ułamku sekundy. Żadnych pytań, żadnych wątpliwości.

Spływały ze mnie, jakby ich nigdy nie było. Żadnych alternatyw. Pustka. Dziwne, że owej pustce towarzyszyło uczucie dzikiej, szalonej wolności. W głowie huczał mi czyjś śmiech. Płynął z wysoka.

— I cóż cię tak bawi? — spytał ze złością Ted.

— Przepraszam... to po prostu... — usilnie starałam się zdusić chichot, z tym skutkiem, że uciekł mi nosem razem z głośnym parsknięciem, co wprawiło mnie w jeszcze większą wesołość. Po chwili zaczęłam już pękać ze śmiechu, bo... bo Ted milczał.

Wciąż sapiąc, spróbowałam po raz drugi nieco równiejszym głosem:

— Słuchaj, Ted, przepraszam... chyba najlepiej byłoby, gdybyś przyjechał dziś do mnie po pracy. — Nie miałam pojęcia, dlaczego to mówię, czułam jednak, że postępuję słusznie.

— Rose, nie mamy sobie nic do powiedzenia.

— Wiem. — Głos mój brzmiał bardzo spokojnie, samą mnie to zdziwiło. — Chcę ci tylko coś pokazać. I nie martw się o papiery, dostaniesz je, możesz mi wierzyć.

Nie przygotowałam żadnego planu, nie zastanowiłam się nad tym, co mu powiem. Wiedziałam jedno: chcę zobaczyć się z Tedem jeszcze raz przed rozwodem.

Skończyło się na tym, że pokazałam mu ogród. Przyjechał późnym popołudniem, kiedy już nad ziemią rozpostarła się mgła. Papiery rozwodowe miałam w kieszeni wiatrówki. Ted, lustrując szkody wśród warzyw i kwiatów, dygotał w swojej sportowej marynarce.

— Co za bałagan — mruknął pod nosem, uwalniając nogawkę od kolców jeżyny, której mocny pęd rozłożył się zakosami na ścieżce. Wiedziałam, o czym teraz myśli: oblicza, ile czasu zajmie mu przywrócenie wszystkiego do ładu.

— Mnie się tak podoba — powiedziałam, muskając dłonią przerośniętą marchew. Jej pomarańczowe czubki wylażyły z gruntu, jakby miały za moment przyjść na świat. Potem zobaczyłam chwasty: jedne wypuszczały wszędobylskie pędy spomiędzy szczelin w patio, inne zaczepiły się o ścianę domu, a były i takie, które zapuściwszy korzonki pod obluzowanymi kamykami muru, pokonały już połowę drogi na dach. Gdy na dobre wgryzą się w zaprawę, nikt ich już stąd nie ruszy. Kto by chciał usunąć takie zielsko, musiałby rozwalić cały dom.

Ted zajął się zbieraniem opadłych śliwek i przerzucaniem ich przez płot do sąsiada.

— Gdzie te papiery? — zapytał wreszcie.

Kiedy mu je podałam, nie patrząc wcisnął cały plik do wewnętrznej kieszeni marynarki, po czym stanął przede mną. W jego oczach malowało się to wszystko, co przywykłam brać za opiekuńczość, jak również wrodzoną dobroć.

— Nie musisz się od razu wyprowadzać — powiedział ciepło. — Zdaję sobie sprawę, że znalezienie jakiegoś mieszkania zajmie ci przynajmniej miesiąc.

— Już je sobie znalazłam — powiedziałam prędko, ponieważ właśnie w tym momencie stało się dla mnie jasne, gdzie chcę i będę mieszkać. Uniósł brwi i uśmiechnął się pytająco, ale tylko na ułamek sekundy. Póki nie padło moje: — Tutaj.

— Co takiego? — warknął. Brwi nadal miał uniesione, tylko uśmiech zniknął jak zdmuchnięty.

— To znaczy, że zostaję w tym domu — powtórzyłam dobitnie.

— Kto to powiedział? — skrzyżowawszy ręce na piersi, wpił się we mnie zmrużonymi oczyma, najwidoczniej przekonany, że zaraz pękne. Dotychczas ten wyraz twarzy skutecznie

odbierał mi mowę, teraz nie czułam nic — ani strachu, ani gniewu.

— Ja ci to mówię. To samo powie też adwokat, kiedy ci dostarczy mój pozew.

Ted pospiesznie wydobył dokumenty. Miejsca zaznaczone iksami były puste.

— Co ty wyprawiasz? Zdaje ci się, że co w ten sposób zyskasz? No co takiego?
— syknął.

Odpowiedź, ta najważniejsza, ta płynąca sponad wszystkich innych, pojawiła się we mnie natychmiast. Przebiegła przez moje ciało i sama wypadła mi z ust:

— Nie wyrwiesz mnie ot tak sobie ze swego życia. Nie pozwolę się wyrzucić na śmietnik.

Zobaczyłam to, czego pragnęłam: w jego oczach odbiło się zmieszanie, potem strach. Ogarnęło go *hulihudu*. Taką moc miały moje słowa.

Tej nocy śniło mi się, że błądę po ogrodzie. Drzewa i krzewy spowijała mgła. I nagle dostrzegłam starego pana Zhou. Po chwili we mgle zamajaczyła druga postać — moja matka. Oboje wykonywali jakieś szybkie ruchy, wzniesając wokół siebie mgielne wiry. Rozpoznałam skrzynkę z sadzonkami. Matka i pan Zhou, nisko pochyleni, coś tam majstrowali.

— No, otóż i ona! — wykrzyknęła moja matka. Pan Zhou uśmiechnął się i pomachał mi ręką. Zbliżywszy się stwierdziłam, że matka krząta się wokół czegoś w skrzynce z taką pieczołowitością, jakby miała przed sobą niemowlę.

— Popatrz — zwróciła ku mnie rozpromienioną twarz. — Zasadziłam je dzisiaj rano. Trochę dla ciebie, trochę dla mnie.

Spojrzałam. Wokół unosiły się opary *heimenmeng*, poprzez które zobaczyłam na ziemi kłębiące się morze chwastów. Ich długie pędy wyskakiwały ze skrzynki, rozbiegając się dziko we wszystkich możliwych kierunkach.

Jing-mei Woo
NAJWYŻSZA JAKOŚĆ

Po uroczystej kolacji z krabami wydanej pięć miesięcy temu z okazji chińskiego Nowego Roku matka ofiarowała mi moją „wartość życia” — nefrytowy wisiołek na złotym łańcuszku. Nie była to na pewno ozdoba, jaką sama bym sobie kupiła. Wisiołek był prawie długości mojego małego palca, a przypominał zielony, biało nakrapiany marmurek, pokryty zawiłym rzeźbionym wzorem. Tworzyło to w sumie nie najlepszą całość: zbyt duże, zbyt zielone, zbyt krzykliwe. Włożyłam wisiołek do kasetki na biżuterię — i zapomniałam o nim.

Teraz jest inaczej. Teraz bardzo często myślę o tej mojej „wartości życia”. Niestety, nie wiem, co oznacza. Matka już mi tego nie powie — zmarła trzy miesiące temu, sześć dni przed trzydziestą szóstą rocznicą moich urodzin. Była jedyną osobą, która mogłaby mi wytłumaczyć wymowę tego talizmanu... Może wtedy zrozumiałabym przyczyny swoich niepowodzeń?

Noszę teraz ten wisiołek codziennie. Myślę, że te jego rzeźbione wzory muszą coś znaczyć, bo przecież kształty i detale, których ja z reguły nie dostrzegam, póki ktoś mi nie zwróci uwagi, dla większości Chińczyków mają zawsze jakieś ukryte znaczenie. Mogłabym spytać o to ciocię Lindo, ciocię An-mei czy innych moich chińskich przyjaciół, ale oni podaliby mi znaczenie odmienne od tego, które leżało w intencjach mojej matki. Dla nich ta wygięta linia rozwidlająca się w trzy małe owale może być gałęzią drzewa granatu, więc powiedzą, że matka życzyła mi płodności i liczego potomstwa, a tym-

czasem dla niej mogła to być gałąź owocującej gruszy, symbolu czystości i uczciwości. A może te owale to dziesięć tysięcy lat liczące kropelki ze szczytu czarodziejskiej góry, które wskazują mi kierunek życia rokujący tysiąc lat sławy? Nieśmiertelność?

Pewnie dlatego, że tyle o tym myślę, wciąż wpadają mi w oko takie same nefrytowe wisiorki. Nie płaskie medaliony w kształcie regularnego prostokąta albo te białe, okrągłe, z dziurką w środku, ale właśnie takie jak mój: wydłużony, pięciocentymetrowy niby-prostokąt w kolorze niedojrzałego jabłka. Mam chwilami wrażenie, jakbym razem z innymi posiadaczami tych talizmanów była członkiem jakiegoś tajnego bractwa o tak pilnie strzeżonej regule, że nawet my sami jej nie znamy. Podczas ostatniego weekendu też zauważyłam taki wisiorek na szyi jednego kelnera.

— Skąd pan to ma? — zapytałam, ujmując swój w palce.

— Od matki.

Zapytałam, dlaczego mu go dała, co było oczywiście jawnym wścibstwem, z gatunku tych, na które może pozwolić sobie jedynie Chińczyk wobec Chińczyka: dwie takie osoby w tłumie białych Amerykanów to już prawie rodzina.

— Ofiarowała mi go zaraz po moim rozwodzie. Chciała pewnie dać mi do zrozumienia, że wciąż jeszcze jestem coś wart.

Z jego tonu wywnioskowałam, że w gruncie rzeczy nie ma pojęcia, co naprawdę znaczy ten wisiorek.

Z okazji chińskiego Nowego Roku — ostatniego w jej życiu — moja matka ugotowała jedenaście krabów — po jednym dla każdego plus jeden ekstra. Kupowałyśmy je wspólnie na Stockton Street w Chinatown. Idąc tam z mieszkania rodziców trzeba było zejść z dosyć stromego wzgórza. Mieszkanie moich rodziców zajmowało cały parter ich własnego sześciopokojowego domku na Leavenworth. Stał on w odległości sześciu zaledwie przecznic od lokalu małej agencji reklamowej, w której zatrudniona byłam jako autorka tekstów, tak że dwa, trzy razy w tygodniu mogłam wpadać tutaj po pracy. Matka zawsze miała tyle jedzenia, że zatrzymywała mnie na kolację.

Tym razem chiński Nowy Rok wypadł w czwartek, więc specjalnie wyszłam wcześniej z biura, by jej pomóc w zrobieniu zakupów. Skończyła już siedemdziesiąt jeden lat, wciąż jednak poruszała się niezwykle żwawo, prostując na całą wysokość swoją drobną postać. Każdy jej gest był celowy i przemyślany. Podczas naszych wspólnych wypraw po zakupy ona taszczyła kwiecistą plastikową torbę, ja ciągnęłam za sobą metalowy wózek.

Ilekoć zachodziłyśmy do Chinatown, pokazywała mi Chinki w swoim wieku. „Damy z Hongkongu” — mówiła, mierząc wzrokiem eleganckie kobiety w długich fokowych futrach, o nieskazitelnie czarnych, starannie ułożonych włosach. „Kantoriskie wieśniaczki” — rzucała szeptem na widok postaci we włóczkowych czapkach, uginających się pod ciężarem kilku ponakładanych na siebie męskich kamizelek i watowanych kaftanów. Ona sama, moja matka, ubrana w jasnoniebieskie syntetyczne spodnie, czerwony sweter oraz długą dziecięcą kurtkę w kolorze zielonego groszku, nie dawała się zakwalifikować w żaden sposób. Przyjechała tu w 1949 roku po bardzo długiej wędrówce, która rozpoczęła się pięć lat wcześniej od miasta o nazwie Guilin. Pierwszym etapem był położony na zachodzie Chongqing, gdzie los zetknął ją z moim ojcem. Już razem zawędrowali następnie na wschód do Szanghaju, skąd uciekli jeszcze dalej na południe, to znaczy do Hongkongu, by tam dopiero wsiąść na statek do San Francisco. Matka pochodziła zatem z wielu bardzo różnych stron.

Teraz w rytm marszu po pochyłości pagórka z rozdrażnieniem wylewała swoje żale:

— Człowiek nie chce ich, a musi cierpieć. — Odnosiło się to do lokatorów z pierwszego piętra, którzy doprowadzali ją do szewskiej pasji. Już dwa lata temu próbowała ich wyeksmitować pod pretekstem, że spodziewa się przyjazdu rodziny z Chin. Tamci jednak przejrzeni podstęp, a że broniła ich ważna umowa najmu, oświadczyli, iż nie ruszą się z miejsca, póki na własne oczy nie zobaczą tych mitycznych krewnych. Od tej pory zmuszona byłam wysłuchiwać szczegółowych relacji o wszystkim, co ją od tych ludzi spotyka.

Twierdziła na przykład, że mężczyzna — znany mi z widzenia nobliwy pan o siwiejących skroniach — ładuje stanowczo zbyt dużo śmieci do pojemników; „A mnie to kosztuje

ekstra!" Kobieta znów — bardzo elegancka blondynka w malowniczo artystycznym typie — rzekomo potwornie zeszpeciła mieszkanie, każąc je pomalować na dzikie kolory: czerwień z zielenią! „Coś strasznego! — jęczała moja matka. — A kąpią się dwa, trzy razy dziennie. Leci ta woda i leci, bez przerwy!"

— W zeszłym tygodniu — poinformowała mnie ze wzburzeniem (jej gniew zdawał się wzrastać z każdym kolejnym krokiem) — ci waiguoren mieli sze 1 ność mnie oskarżyć.

— Wszyscy biali byli dla niej „waiguoren", cudzoziemcami, tak też ich nazywała. — Mówią, że nadziałam trucizną rybę i zamordowałam tego kota.

— Jakiego kota? — zadałam to pytanie doskonale wiedząc, którego dachowca ma na myśli. Widziałam go wiele razy. Był to potężny jednouchy kocur w szare pręgi, który wyraźnie upodobał sobie zewnętrzny parapet kuchennego okna mojej matki. Widząc go tam, stawała na palcach i zaczynała łomotać w futrynę, ale ów potwór syczał tylko na nią, zdecydowany twardo bronić zdobytych przez siebie pozycji.

„Wciąż zadziera ogon pod moimi drzwiami, żeby śmierdziały kotem" — wyrzekła.

Widziałam kiedyś, jak pochwyciwszy garnek wrzącej wody, przeganiała go ze swojej klatki schodowej. Korciło mnie zapytać, czy naprawdę podsunęła mu zatrutą rybę, oparłam się jednak pokusie. Doświadczenie nauczyło mnie przezorności: lepiej nie narażać się matce

— No, a co się stało z tym kotem? — zapytałam.

— Poszedł gdzieś! Zniknął! — triumfalnie zamachała rękami, uśmiechając się z widoczną satysfakcją, trwało to jednak krótko. Już po chwili na jej twarzy osiadł znów wyraz gniewu. — A ten człowiek podnosi rękę, o tak, pokazuje mi swoją brzydką pięść i nazywa najgorszą gospodynią z Fujian! Ja wcale nie jestem z Fujian! Phy! Dużo on wie! Nic!

— zakończyła z zadowoleniem wyraźnie wskazującym, że dała temu typowi nauczkę.

Dotarłszy do Stockton Street, zaczęłyśmy wędrować od jednego sklepu rybnego do drugiego w poszukiwaniu najżywszych krabów.

— Nie daj sobie wcisnąć zdechłego — ostrzegła mnie matka po chińsku. — Martwego kraba nie je nawet żebrak.

Szturczałam więc każdego ołówkiem, by sprawdzić, jak zareaguje. Te, które błyskawicznie zaciskały na nim kleszcze, wyjeżdżały do góry, po czym wędrowały do naszego plastikowego worka. Wyjawszy w ten sposób kolejny egzemplarz stwierdziłam wszakże, iż jedna jego noga tkwi w kleszczach któregoś ze współtowarzyszy. Nastąpiła krótka szarpanina, w której mój krab postradał kończynę.

— Odłóż go — wyszeptała matka. — Taka oderwana noga to w chiński Nowy Rok zła wróżba.

Niestety, podszedł już do nas człowiek w białym kitlu i zaczął bardzo głośno mówić po kantońsku. Moja matka, której kantoński niedaleko odbiegał od jej rodzimego ogólnochińskiego, odpowiadała równie głośno, wskazując kraba oraz jego luźną nogę. Po trwającej jeszcze chwilę ostrej utarczce słownej zarówno krab, jak i jego noga znalazły się w naszej torbie.

— Nie szkodzi — orzekła matka. — To i tak jedenasty, dodatkowy.

W domu odwinęła kraby z kilku warstw gazet i wrzuciła je do napełnionego zimną wodą zlewozmywaka. Wyciągnęła z jakiegoś zakamarka swoją starą drewnianą deseczkę tudzież wysłużony tasak, sprawnie posiekając szczypior i imbir, po czym w osobnej płytkiej salaterce rozmieszała odpowiednią ilość sosu sojowego z olejem sezamowym.

Nadszedł czas zając się krabami. Chwytając każdego po kolei za grzbiet, mocno otrząsała je zarówno z wody, jak i chwilowego odrętwienia. W połowie drogi między zlewem i piecem zaczynały już objawiać wigor energicznym zginaniem kończyn. Miejscem ich przeznaczenia był kilkupoziomowy kocioł do gotowania na parze, ustawiony na dwóch palnikach. Po równomiernym ułożeniu krabów na poszczególnych piętrach i szczelnym przykryciu garnka matka włączyła oba palniki. Ja nie byłam w stanie na to patrzeć, wyszłam więc do jadalni.

Na uroczystą kolację w dniu moich ósmych urodzin matka kupiła mi kraba, a ja zaczęłam się z nim bawić. Z początku szturczałam go końcem palca i odskakiwałam, kiedy tylko wyciągnął szczypce, ale gdy w pewnym momencie ruszył przed siebie i spokojnie przemierzył całą szerokość blatu, doszłam do przekonania, że nawiązała się między nami nić

głębokiego porozumienia. Niestety, zanim zdążyłam podjąć decyzję co do imienia swego nowego ulubieńca, matka wrzuciła go do garnka z zimną wodą, który postawiła na kuchence. Patrzyłam z rosnącą grozą, jak ta woda zaczyna się gotować: garnek perkotał na ogniu, a krab, obijając się pancierzem o jego ścianki, na próżno starał się uciec z własnej kipiącej zupy. Do dziś pamiętam, jak strasznie krzyczał, rozpaczliwie wysuwając z garnka swoje czerwone szczypce. Musiał to być chyba mój własny krzyk, no bo przecież kraby strun głosowych nie mają — dziś zdaję sobie z tego sprawę. Próbuję też sobie wmówić, że stworzenia te nie mogą mieć tyle rozumu, aby rozpoznać różnicę między gorącą kąpielą a powolną śmiercią.

Na uroczystość Nowego Roku matka zaprosiła Lindo i Tina Jongów, z którymi od lat łączyła nas serdeczna przyjaźń. Rozumiało się samo przez się, że zaproszenie to obejmuje również ich dzieci: trzydziestoosmioletniego Vincenta, który wciąż jeszcze mieszkał z rodzicami, oraz jego siostrę Waverly, moją rówieśnicę. Vincent wpadł zapytać, czy może przyprowadzić swoją sympatię, Lisę Lum, Waverly oznajmiła, że przyjdzie z nowym narzeczonym, Richem Schieldsem, który podobnie jak ona był doradcą podatkowym zatrudnionym w firmie Price Waterhouse. Zapytała też w imieniu Szoszany, swojej czteroletniej córki z pierwszego małżeństwa, czy rodzice mają magnetowid? Gdyby się dziecku znudziło, mogłoby obejrzeć sobie „Pinokia”. Mnie matka wcześniej już przypominała, że mam zaprosić pana Chonga, swego niegdysiejszego nauczyciela fortepianu, który wciąż mieszkał w naszym dawnym bloku w odległości zaledwie trzech przecznic.

Razem ze mną i rodzicami do stołu miało więc zasiąść jedenastu biesiadników, jednak matka w swoich rachunkach uwzględniła tylko dziesięciu, Szoszana bowiem nie liczyła się dla niej jako osoba — przynajmniej w aspekcie krabów. Oczywiście nie wzięła pod uwagę, że Waverly może być innego zdania.

Gdy na stole pojawił się półmisek dymiących skorupiaków, Waverly pierwsza chwyciła najlepszą, to znaczy najjaśniejszą i najtłuściejszą sztukę dla córki oraz dwie następne pod względem jakości dla Richa i siebie, a ponieważ umiejętności

wybierania zawsze tego, co najlepsze, nauczyła ją matka, nic przeto dziwnego, że i ciocia Lindo potrafiła wybrać najlepsze spośród pozostałych krabów i rozdzielić je między męża, syna, jego sympatię i siebie. Moja matka, oszacowawszy wzrokiem cztery ostatnie, dała najlepiej wyglądającego Staremu Chon-gowi, który zbliżał się do dziewięćdziesiątki, zatem zasługiwał na tego rodzaju względy, następnego zaś położyła na talerzu ojca. Na półmisku pozostały dwa kraby: jeden wielki, w kolorze jasnej pomarańczy, no i numer jedenasty, ten z oderwaną nogą.

Matka potrząsnęła przede mną półmiskim:

— Bierz. Już zimne.

Od chwili gdy żywcem ugotowano mego urodzinowego kraba, niespecjalnie lubię jeść jego współplemiericów, odmówić było jednak nie sposób. Chińskie matki rzadko okazują dzieciom miłość poprzez pocałunki czy pieszczoty. Czynią to raczej właśnie przez takie oto szorstkie z pozoru podsuwanie smacznych kąsków: kaczych żołądków, pierożków albo krabów.

Sądziłam, że postąpię właściwie, biorąc tego jedenastego, ale mój gest spotkał się z gwałtownym protestem matki:

— Nie, nie! Tego dużego! Zjesz. Ja nie dam rady. Pamiętam, jakie przedziwne odgłosy towarzyszyły naszej

krabiej uczcie: trzask pękających pancerzy, żarłoczne ciamkanie przy wysysaniu resztek mięsa, zgrzyt pałeczek wyskrobujących szczególnie smakowite fragmenty — i pośród tego wszystkiego cisza na talerzu mojej matki. Tylko ja zauważyłam, że w pewnym momencie odchyliła skorupę, powąchała mięso, a potem z talerzem w rękę zniknęła w kuchni. Wróciła już bez swego kraba, donosząc dodatkowe miseczki z sosem sojowym, imbirem i szczypiorem.

Napełniwszy po chwili brzuchy, biesiadnicy zaczęli gadać jeden przez drugiego.

— Suyuan! — zawołała do matki ciocia Lindo. — Dlaczego ty nosisz ten kolor? — trzymaną w rękę krabią nogą wskazała jej czerwony sweter. — Nie powinnaś. Za młody.

Moja matka przyjęła tę uwagę, jakby to był komplement:

— Emporium Capwell — oświadczyła z dumą. — Dziewiętnaście dolarów. Taniej, niż robić samej.

Ciocia Lindo skinęła głową, co miało chyba oznaczać: Ha, taka cena, jaki kolor, a potem wycelowała krabi szczątek w swego przyszłego zięcia:

— Patrzcie, jak ten nie umie jeść chińskiego jedzenia!

— Kraby to nie chińskie jedzenie — zauważyła Waverly swoim wiecznie niezadowolonym tonem. Zdumiewające! — pomyślałam. Że też ta Waverly wciąż mówi w taki sam sposób jak ćwierć wieku temu, kiedy to obie miałyśmy po dziesięć lat! Powiedziała mi wtedy: „Nie jesteś geniuszem, takim jak ja” — i brzmiało to identycznie.

Ciocia Lindo spojrzała na nią z irytacją:

— Skąd wiesz, co jest chińskie, a co nie chińskie? A ty dlaczego nie jesz najlepszego? — zwróciła się rozkazująco do Richa.

Rich uśmiechnął się w odpowiedzi, ja jednak dostrzegłam w tym jego uśmiechu rozbawienie bez śladu unізoności. Pod względem kolorystyki własnej był uderzająco podobny do konsumowanego kraba: czerwone włosy, śmietankowobiała skóra poznaczona wielkimi piegami o pomarańczowym zabarwieniu. Nie zważając na jego głupi uśmieszek, ciocia Lindo zaczęła demonstrować technikę postępowania z krabem, dźgając swoją pałeczką we wskazaną część gąbczastej pomarańczowej tkanki.

— Tu masz wydłubać i wyjąć. Mózdzek jest najsmaczniejszy, spróbuj.

Waverly i Rich wykrzywili się do siebie z jednakowym niesmakiem. Vincent i Lisa parsknęli, szepcząc: „To wstrętne, ohyda”.

Wuj Tin roześmiał się głośno — na własny niejako użytek, pragnąc jednak dać do zrozumienia, że za chwilę uraczy nas żartem. Sądząc po wstępnej serii prychnięć i klepaniu się po kolanach, musiał to być wielkokrotnie już ćwiczony dowcip.

— Mówię swojej córce: hej, po co masz być biedna? Wyjdź za bogatego! — Wuj ryknął śmiechem, rozejrzał się, po czym trącił łokciem siedzącą obok niego Lisę: — Hej, nie kapujesz? Słuchaj. Ona wychodzi za tego tutaj faceta, Richa. Bo jej powiedziałem: Wyjdź za bogatego!*

*** Nieprzetłumaczalna gra słów, polegająca na jednakowym brzmieniu imienia „Rich” (skrót od „Richarda”) i przymiotnika „rich” — „bogaty” (przyp. tłum.).**

— Kiedy zamierzacie się pobrać? — zapytał Vincent.

— Mogłabym was spytać o to samo — ucięła Waverly ku zakłopotaniu Lisy.
Vincent puścił tę uwagę mimo uszu.

— Mama, ja nie lubię kraba! — jęknęła kapryśnie Szoszana.

— Fajnie jesteś ostrzyżona — rzuciła Waverly pod moim adresem.

— Dziękuję. David jest niezawodny.

— Co, więc ty jeszcze chodzisz do tego faceta na Howard Street? — Waverly uniosła jedną brew. — Nie strach ci?

Wyczułam niebezpieczeństwo, mimo to odpowiedziałam spokojnie:

— Dlaczego mam się bać? Facet świetnie zna swoje rzemiosło.

— Chodzi mi o to, że on jest gejem — odparła Waverly

— więc może mieć AIDS, a obcinanie włosów to przecież cięcie żywej tkanki.

Hm, może ja rzeczywiście trochę już świruję, ale no wiesz, jestem matką, a w dzisiejszych czasach lepiej dmuchać na zimne...

Milczałam. Czułam się tak, jakby po włosach skakały mi dziesiątki wirusów HIV.

— Powinnaś pójść do mojego fryzjera — kontynuowała Waverly. — Nazywa się Rory. Czesze fantastycznie, choć pewnie zapłacisz mu więcej niż... niż jesteś przyzwyczajona.

Chciało mi się wrzasnąć: co za żmija! Tak chyłkiem umie prawić te swoje impertynencje! Ilekroć na przykład zadawałam jej najprostsze pytanie dotyczące podatków, zaczynała się wykręcać, chyba po to, aby mi uświadomić, że nie stać by mnie było na jej oficjalną poradę prawną. „O ważnych problemach podatkowych bardzo nie lubię rozmawiać poza moim biurem

— tłumaczyła mi jak komu głupiemu. — Powiedzmy, że spytasz mnie o coś przy lunchu, ot tak, mimochodem, ja ci odpowiem w podobny sposób, a ty zastosujesz się do mojej rady i źle na tym wyjdiesz, bo udzielając ci jej, nie otrzymałam od ciebie pełnej informacji. Jak bym się wtedy czuła? No, okropnie, i ty chyba też, prawda?"

Podczas naszej krabiej uczyty tak już wyprowadziła mnie z równowagi tym gadaniem o moich włosach, że zapragnęłam zrobić jej wstyd przy wszystkich. Niech widzą, jaka jest małostkowa! Postanowiłam mianowicie wygarnąć Waverly, co

myślę o jej firmie, na której zlecenie napisałam niedawno ośmiostronicową broszurkę reklamową. Uplłynął miesiąc, jak im przedłożyłam fakturę, a pieniędzy nie otrzymałam.

— Może i stać by mnie było na strzyżenie u pana Rory, gdyby pewna firma zapłaciła mi na czas honorarium — powiedziałam z żartobliwie-złośliwym uśmiechem. Nieoczekiwana reakcja Waverly sprawiła mi kolosalną satysfakcję: po prostu straciła głowę, zaniemówiła! Teraz nic już nie byłoby w stanie powstrzymać mnie od pójścia za ciosem: — Dosyć to nawet śmieszne, że wielka firma pilnująca cudzych płatności nie potrafi w terminie regulować własnych. Słowo daję, Waverly, w jakiej ty firmie pracujesz?

Milczała z ponurą miną.

— Hej, hej, dziewczęta, dość tej kłótni! — zawołał mój ojciec, jakby upominał dwie sześciolatki chandryczące się o kredki i trójkołowy rowerek.

— Rzeczywiście, to nie pora na taką rozmowę — mruknęła dziwnie cicho Waverly.

— No to, jak myślicie, co teraz będą robić nasze maleństwa? — rzucił Vincent, siląc się na dowcip. Nikt się nie roześmiał.

O nie, tym razem nie dam jej się wykręcić! — pomyślałam.

— Cóż, tak jakoś się składa, że ilekroć dzwonię do ciebie do biura, również nie możesz o tym mówić.

Waverly spojrzała na Richa, ale ten wzruszył tylko ramionami. Westchnęła więc i obróciła się do mnie ze zboląłą miną:

— Słuchaj, June, naprawdę nie wiem, jak ci to powiedzieć... Tekst, który napisałaś... no cóż, szefowie uznali za nie do przyjęcia.

— Kłamiesz! Sama mówiłaś, że jest świetny! Waverly westchnęła powtórnie:

— Tak, wiem. Nie chciałam ranić twoich uczuć. Próbowałam jakoś to załatwić, ale się nie udało.

Wrzucona tak zniecka w śmiertelną topiel, zaczęłam chwytac się brzytwy:

— Większość tekstów wymaga dodatkowego szlifu... odpowiedniego rozłożenia akcentów... To... to normalne, że pierwsza wersja nie jest jeszcze idealna. Powinnam była może dokładniej objaśnić waszą działalność.

— June, naprawdę nie sądzę...

— Za kolejne wersje klient już nie płaci. Mnie tak samo zależy, aby rzecz była trafiona...

Waverly jakby tego nie słyszała:

— Spróbuję przekonać szefów, żeby zrekompensowali ci przynajmniej stracony czas. Wiem, że włożyłaś w tę pracę sporo wysiłku... Jestem ci winna chociaż tyle, bo to ja przecież podsunęłam pomysł, żebyś ty to robiła.

— Powiedz mi po prostu, co chcieliby zmienić. Zadzwoń do ciebie w przyszłym tygodniu i przejrzymy całość słowo po słowie.

— June... ja... Ja nie mogę — powiedziała Waverly tonem chłodno nieodwołalnym. — Ten tekst jest po prostu... mało skomplikowany. Och, nie wątpię, że to, co piszesz dla innych klientów, robi na nich wspaniałe wrażenie, ale my jesteśmy wielką firmą. My potrzebujemy kogoś, kto zrozumie hm... nasz styl — przyłożyła rękę do piersi, jakby to chodziło o jej styl. Roześmiała się niefrasobliwie i podjęła po chwili: — Naprawdę, June, wiem, co mówię. — Zaczęła nagle przemawiać głębokim głosem prezentera telewizyjnego: — „T r z y korzyści, t r z y potrzeby, t r z y powody to dość, by kupić... Gwarancja rzetelnej obsługi podatków na dziś i jutro”.

Wyrecytowała te słowa w sposób tak niebywale zabawny, że wszyscy roześmiali się głośno, uznając to za doskonały żart.

— Prawda, stylu nikogo nie nauczysz — odezwała się moja matka. Jeszcze i ona! — June nie jest tak skomplikowana jak ty, Waverly. Musiała się już taka urodzić.

Poczułam się upokorzona — aż sama dziwiłam się w duchu, że tak bardzo. No, ale nie bez powodu! Nie dość że Waverly znów była górą, to jeszcze zdradziła mnie własna matka. Z całych sił starałam się uśmiechać... czułam, że z tego napięcia lata mi dolna warga... nie myśleć... skoncentrować się na czymś innym. Pamiętam, że chwyciłam dwa talerze — swój i pana Chonga — udając bardzo zajęta sprzątaniem ze stołu. Łzy w oczach nie przeszkadzały mi dostrzegać powyszczer-bianych brzegów tych starych talerzy, przeciwnie, widziałam je niezwykle ostro. Dlaczego matka nie używa nowego serwisu, przecież kilka lat temu po to jej go kupiłam?

Po całym stole walały się krabie szczątki. Waverly i Rich zapalili papierosy, używając opróżnionego pancerza zamiast popielniczki. Szoszana powędrowała do pianina i zaczęła walić

w klawisze parą krabich kleszczy. Pan Chong, obecnie już głuchy jak pień, ożywił się na ten widok, jał klaskać w dłonie i wołać: „Brawo, brawo!” Pozostali milczeli. Matka przyniosła z kuchni talerz pokrajanych w trójkątne części pomarańczy; ojciec rozdłubywał resztki swego kraba; Vincent dwukrotnie odchrząknął, nic nie powiedział, po czym ze zmieszania poklepał po ręku Lisey'

To ciocia Lindo w końcu zabrała głos:

— Waverly, pozwól June jeszcze raz spróbować. Za pierwszym razem kazałaś jej pracować za szybko. Nie mogła tego dobrze zrobić.

Usłyszałam, jak matka gryzie częśćkę pomarańczy. Poza nią nie znam nikogo, kto potrafiłby chrupać pomarańcze jak twarde jabłka. Odgłos ten był gorszy niż zgrzytanie zębami.

— Coś dobrego wymaga czasu — kontynuowała ciocia Lindo, kiwając głową na potwierdzenie własnych myśli.

— Weź się za reklamę loterii — poradził mi wuj Tin. — Kampania reklamowa loterii, o, to jest coś! Tego właśnie ci trzeba: pokazać, co umiesz. Świetnie to zrobisz.

— Pewnie nie — uśmiechnęłam się, rejterując z talerzami do kuchni.

W tej właśnie kuchni miałam czas uświadomić sobie jedno: jestem, jaka jestem i nie mam powodu uważać się za coś lepszego. Pracuję w małej agencji jako dostarczycielka reklamowych sloganów. Każdego nowego klienta raczę tą samą obietnicą: „Pański towar stanie się przebojem. Potrafimy zrobić z niego wystrzał”. W praktyce to wystrzałowe hasło sprowadza się niezmiennie do „trzech korzyści, trzech potrzeb, trzech powodów decydujących o kupnie”, zaś towar to zawsze jakiś współosiowy kabel, superpowielarka, urządzenie do protokołowania czy jeszcze coś w tym rodzaju. W tym akurat jestem bardzo dobra, leżą mi jak ulał takie małe, nieskomplikowane zadania.

Puściłam wodę i zaczęłam zmywać naczynia. Złość na Waverly już mi przeszła, pozostało znużenie. No i było mi głupio: zupełnie jakbym biegła bardzo długo przekonana, że przed kimś uciekam, by spojrzawszy za siebie zobaczyć pustkę. Nikt mnie nie ściga.

Sięgnęłam po talerz matki, ten, który wyniosła do kuchni zaraz na początku uczy. Jej krab był nie tknięty. Powąchałam

go, unosząc pancerz. Hm, może to dlatego, że w ogóle nie lubię krabów, nie umiałam dociec, czy z tym akurat coś jest nie w porządku.

Kiedy wszyscy już wyszli, matka zjawiała się w kuchni — chowałam właśnie czyste talerze na miejsce. Nastawiwszy wodę na herbatę, przysiadła na niskim zydłu. Teraz zacznijcie dawać mi w kość — pomyślałam.

— Dobra kolacja, mamó — zagaiłam uprzejmie.

— Nie za dobra — odparła, dłubiąc w zębach wykałaczką.

— Co z tym twoim krabem? Czemu go wyrzuciłaś?

— Nie za dobry. Ten krab zdechł. Nawet żebrak takiego nie je.

— Skąd wiesz? Wąchałam go i nic nie poczułam.

— Było czuć już przed gotowaniem — wstała z zydła i stanęła przy oknie, patrząc w ciemność. — Przed gotowaniem trzęsę nim, a jemu nogi opadają. Gębę ma otwartą jak martwy człowiek.

— To po co go było gotować, skoro wiedziałaś, że zdechł?

— Myślałam... może on jest dopiero trochę nieżywy. Może w smaku nie będzie taki zły. Ale miał trupi zapach, niesilny, ale miał. Czułam.

— No, a gdyby go wybrał któryś z gości? Moja matka popatrzyła na mnie z uśmiechem:

— Tylko ty go mogłaś wziąć. Nikt inny. Już ja to wiem. Wszyscy chcą najwyższej jakości. Ty myślisz inaczej.

Powiedziała to w taki sposób, jakby ta moja odmienność świadczyła o czymś pozytywnym. Z jej wypowiedzi nigdy nie można było odczytać prawdziwych intencji. Wydawały się równocześnie i pochwałą, i naganą.

— Mamó — zmieniłam temat, bo odstawiając na półkę ostatni już wyszczerbiony talerz, przypomniałam sobie, że chciałam ją o to zapytać: — Mamó, dlaczego nie używasz tych nowych talerzy ode mnie? Jeśli ci się nie podobały, trzeba mi było powiedzieć, mogłam je od razu wymienić.

— Oczywiście, że mi się podobają! — odparła z wyraźną irytacją. — Czasem coś wydaje mi się takie dobre, że chcę to oszczędzać. Chowam i potem nie pamiętam, że schowałam.

Jak gdyby właśnie w tym momencie przypomniała sobie o czymś, zdjęła swój złoty łańcuszek, energicznym gestem

zwinęła go w dłoni, potem zaś chwyciła mnie za rękę i włożywszy mi w nią naszyjnik, zacisnęła moje palce na wisiorku.

— Ależ mam — zaczęłam protestować — nie mogę tego przyjąć.

— *Nala, nala, weź, weź* — powiedziała gderliwie, a potem dodała po chińsku: — Od dłuższego już czasu chciałam ci dać ten naszyjnik. Popatrz, nosiłam go na ciele, więc gdy teraz ty zrobisz to samo, poznasz moje intencje. To jest twój talizman. Mówi o tym, co dla ciebie najważniejsze.

Przyjrzałam się naszyjnikowi: nefrytowy wisiorek mienił się jasną zielenią. Miałam wielką ochotę zwrócić go matce, nie chciałam tego wisiorka, a jednocześnie czułam, że już go właściwie przyjąłam.

— Dajesz mi go tylko ze względu na to, co się dziś stało

— powiedziałam w końcu.

— A cóż się stało?

— To, co powiedziała Waverly, co mówili wszyscy...

— Cii! Dlaczego ty jej słuchasz? Dlaczego chcesz ją naśladować, łowisz każde jej słówko? Ona jest jak ten krab

— matka trąciła palcem krabie szczątki w puszcze na śmieci

— nic, tylko chodzi bokiem, krętymi ścieżkami. Ty możesz inaczej stawiać nogi.

Założyłam naszyjnik — był zimny.

— Nie za dobry ten nefryt — stwierdziła rzeczowo matka, dotykając wisiorka.

— To młody kamień. — Przeszła na chiński: — Na razie jeszcze trochę blady, ale jeśli będziesz go nosić codziennie, ta zieleń nabierze barwy.

Ojciec od śmierci matki nie jada nic porządnego, dlatego jestem tutaj, w jej kuchni, i gotuję mu obiad. Właśnie kroję sojowy twaróg. Postanowiłam przyrządzić go na ostro. Matka często powtarzała, że ostre rzeczy krzepią ciało i ducha, ale ja nie dlatego... Ojciec tę potrawę uwielbia, a ja akurat umiem ją zrobić, lubię te zapachy — imbiru, szczypiorku, czerwonego sosu chili, który zaczyna lechtać moje nozdrza, gdy tylko otworzę słoik...

Na górze rozlega się donośne fuuk! — to stare rury z dygotem podejmują służbę; równocześnie strumień wody płynący z mojego kranu zmniejsza się do rozmiarów wątlej strużki. Aha, któryś z lokatorów bierze prysznic. Przypomina-

ją mi się utyskiwania matki: „Człowiek nie chce ich, a musi cierpieć”. Teraz wiem, co miała na myśli.

Kiedy pochylam się nad kranem, żeby wypłukać twaróg, za oknem miga coś dużego i ciemnego. Ach, to jednouchy kocur tych z góry! Zaczyna balansować po parapecie, ocierając się bokiem o szybę.

A więc matka jednak nie zamordowała tego zwierzaka — myślę z ulgą. Kocisko coraz energiczniej wierci się na parapecie i... bezczelnie zaczyna podnosić ogon!

— Wynoś się stąd! — krzyczę biegnąc do okna. Trzykrotnie tłukę ręką w szybę — precz, precz! — Kot zwęża ślepią, przypłaszcza swoje jedyne ucho i syczy. Co za potwór!

KRÓLOWA
MATKA ZACHODU

„O, huai dongxi! — O, ty mała paskudo! — zawołała żartobliwie kobieta do swojej maleńkiej wnuczki. — Czy to Budda uczy cię tak śmiać się bez przyczyny?” A gdy niemowlę nie przestawało gulgotać, kobieta poczuła, że serce jej zaczyna ożywać skrytym głęboko życzeniem.

„Nawet gdybym żyła wiecznie — zwierzyła się dziecku — wciąż jeszcze nie byłabym pewna, czego cię uczyć. O, ja też byłam kiedyś tak beztroska i taka naiwna! I ja lubiłam śmiać się bez przyczyny.

Później pozbyłam się jednak tej głupiej prostoduszności— no cóż, musiałam się bronić! — a jeszcze później nauczyłam tego samego moją córkę, a twoją matkę: Nie bądź naiwna, to nie będziesz cierpieć.

Powiedz mi, ty mała niecnoto, czy nie był to jednak błąd? Może dlatego widzę dzisiaj zło w ludziach, że sama stałam się zła? Czy jeżeli ktoś wydaje mi się nazbyt podejrzliwy, to nie z tego powodu, że i ja wszędzie węszę niegodziwość?”

Niemowlę śmiało się do rozpuku, słuchając tych jej lamentów.

„O, o! Co mówisz? Że śmiejesz się, bo żyjesz wiecznie w coraz to innym wcieleniu? Mówisz, że ty Xi Wang Mu, Królowa Matka Zachodu, co przyszła oto na świat, by mi odpowiedzieć na moje pytania? No dobrze, dobrze, słucham cię, mów!...

Dzięki ci, Maleńka Królowo! Musisz jeszcze pouczyć o tym moją córkę. Powiedz jej, jak pozbyć się naiwności, nie tracąc przy tym nadziei. Jak żyć, by móc śmiać się całą wieczność.”

An-mei Hsu
SROKI

„Moje małżeństwo się wali" — powiedziała mi onegdaj córka.

No tak, a ona, rzecz jasna, nie ma już nic do zrobienia, jak tylko patrzeć na ten upadek. Położyć się na kozetce u swojego psychiatry i ronić łzy nad tą okropną hańbą. I będzie tak pewnie leżeć dopóty, dopóki nie pozostanie już nic, co by się mogło zawalić, co by się dało opłakać... aż wszystko wyschnie już do cna.

„Nie mam wyboru! Jestem w sytuacji bez wyjścia!" — wykrzykiwała. Dużo ona tam wie! Przecież dokonuje wyboru, chociażby przez to, że nie chce na ten temat mówić. Jeżeli teraz nie próbuje, może zdarzyć się i tak, że los odbierze jej tę szansę — już nieodwołalnie.

Ja to rozumiem, ale mnie wychowano inaczej, po chińsku: niczego nie pragnąć, łykać cudzą niedolę, jeść własną gorycz.

Uczyłam swoją córkę czegoś wręcz przeciwnego, no i proszę! Ona wciąż robi to samo. Może dlatego, że to właśnie ja ją urodziłam i że przeznaczony jej był los kobiety, a znów ja urodziłam się mojej matce i też przyszłam na świat jako dziewczynka. Wszystkie jesteśmy jak kolejne stopnie schodów; chodzić można po nich do góry i na dół, ale cały czas tą samą drogą.

Co ja umiem? Umiem milczeć, słuchać i patrzeć na wszystko tak, jakby to nasze życie było snem. Kiedy nie ma się już ochoty patrzeć, zawsze można zamknąć oczy, czy jest jednak jakiś sposób na to, żeby już dłużej nie słuchać? Bo ja

wciąż słyszę to wszystko, co zdarzyło się ponad sześćdziesiąt lat temu.

Kiedy moja matka pojawiła się w domu swego brata, a mego wuja, w Ningbo, była dla mnie osobą obcą. Miałam wtedy lat dziewięć i przez ponad pół życia nie oglądałam matki, mimo to rozpoznałam ją od razu, chyba przez to, że udzielił mi się jej ból.

— Nie patrz na tę kobietę! — krzyknęła ciotka. — Ona straciła twarz! Cisnęła ją do strumienia, co płynie na wschód! Zaprzepaściła ducha przodków! Osoba, którą tu widzisz, to tylko ciało, złe i zepsute do szpiku kości!

A ja nie mogłam oderwać od niej wzroku. Nie wyglądała na złą. Pragnęłam dotknąć jej twarzy, w której widziałam siebie.

Prawda, że w tym swoim zagranicznym stroju wyglądała obco, jednak na obelgi ciotki odpowiedziała milczeniem, a kiedy wuj wymierzył jej policzek za to, że zwróciła się do niego „bracie”, jeszcze niżej pochyliła głowę. Widziałam też, jak wypłakiwała oczy, kiedy umarła Popo, chociaż to przecież Popo, jej matka, przed laty wypędziła ją z domu. No i zaraz po pogrzebie Popo posłusznie zastosowała się do woli wuja, który kazał jej się wynosić. Niech wraca sobie do Tianjinu, tam gdzie wedle słów ciotki splamiła swoje wdowieństwo, zostając trzecią konkubiną pewnego bogacza.

Ale jak ona może wyjeżdżać beze mnie? — myślałam. Nie wolno mi było o to pytać. Byłam przecież dzieckiem, które mogło tylko patrzeć i słuchać.

W wieczór poprzedzający dzień wyjazdu objęła moją głowę i mocno przytuliła do piersi, jak gdyby pragnąc mnie osłonić przed niewidzialnym niebezpieczeństwem. Płakałam. Płakałam, żeby wróciła, nim jeszcze zdążyła wyjechać. I gdy tak leżałam na jej kolanach, opowiedziała mi tę oto historię:

— An-mei — zaczęła szeptem — widziałas kiedy w stawie tego małego żółwia? — Skinęłam głową. Staw znajdował się na naszym dziedzińcu, a ja często maciłam wodę patykiem, żeby wypłoszyć żółwia spod skały. — Ja też w dzieciństwie dobrze go znałam — powiedziała matka. Siadywałam nieraz nad

stawem, żeby mu się przyglądać i wiesz, wypływał na powierzchnię, otwierał swój maleńki pyszczek i tak jakby kąsał powietrze... To bardzo, bardzo sędziwy żółw.

Przywołałam przed oczy obraz znanego mi żółwia i doszłam do wniosku, że to ten sam, o którym mówi matka.

— On żywi się naszymi myślami — powiedziała nieoczekiwanie. — Przekonałam się o tym, kiedy byłam akurat w twoim wieku. Popo oznajmiła mi właśnie, że nie mogę już zachowywać się jak dziecko. Nie wolno mi krzyczeć, biegać, siadać na ziemi i łapać świerszczy. No, a przede wszystkim nie wolno mi płakać, choćby spotkał mnie największy zawód. Mam milczeć i słuchać starszych. A jak nie, powiedziała Popo, to ogoli mi głowę i odeśle do klasztoru buddyjskich mniszek.

Kiedy mi to powiedziała, poszłam wieczorem nad staw i zapatrzyłam się w wodę, a ponieważ byłam bardzo słabą istotą, więc zaczęłam płakać. I nagle zobaczyłam żółwia: wytknąwszy pyszczek na powierzchnię, chwycił moje łzy i pożerał je z wielkim pośpiechem, gdy tylko dotknęły wody. Pochłonał tak pięć, sześć, siedem łez, a potem wylazł ze stawu, wdrapał się na taką gładką skałkę i zaczął mówić:

„Zjadłem twoje łzy i dowiedziałem się, dlaczego płaczesz, ale powiadam ci: Nie płacz, by życie twoje nie stało się wiecznym smutkiem.”

Otworzył pyszczek i oto wyskoczyło z niego pięć, sześć, siedem jajeczek, które błyszczały jak perły. Skorupki w mig pękły i z jajek wykluło się siedem ptaków, które natychmiast zaczęły wesoło szczebiotać i śpiewać. Po ich miłych głosikach i śnieżnobiałych brzuskach poznałam, że to sroki, ptaki radości. A one zanurzyły w stawie dzióbki i zaczęły łapczywie pić wodę. Wyciągnęłam rękę, chcąc którąś złapać, ale poderwały się wszystkie naraz, bijąc mnie czarnymi skrzydłami po twarzy, a potem śmiejąc się rozgłośnie, frunęły wysoko w powietrze.

„Teraz widzisz — odezwał się żółw, wracając z wolna do stawu — co przyjdzie ci z tego, że będziesz płakać. Łzy nie zmyją z ciebie smutku, staną się tylko pokarmem dla cudzej radości. Naucz się je przetykać, tak trzeba.”

Matka skończyła opowieść, a ja spojrzałam na nią i zobaczyłam, że płacze. Sama też znowu zaczęłam płakać, że taki

to już nasz los: żyć na dnie bajorka jak dwa żółwie, a świat oglądać zawsze tylko przez Izy, tak jak one widzą go przez wodę.

Budząc się rano usłyszałam nie śpiew ptaka radości, ale czyjeś gniewne okrzyki. Wyskoczyłam z łóżka i na palcach podbiegłam do okna.

Na frontowym dziedzińcu zobaczyłam matkę — na kolanach. Rozpostartymi dłońmi drapała kamienie ścieżki jak człowiek, który zgubił coś cennego i teraz zdał sobie sprawę, że nigdy już tego nie odzyska. Przed nią stał wuj, jej brat, i to on właśnie tak krzyczał.

— No proszę, zabierać ze sobą córkę, żeby i jej zrujnować życie! — wuj aż tupnął nogą, rozwścieczony taką zuchwałością. — Wynoś się stąd! Już cię tu miało nie być!

Moja matka słowa nie wyrzekła — nadal klęczała. Jej zgięty grzbiet przypominał naszego wodnego żółwia. Płakała, zaciskając usta. Ja też zaczęłam płakać w ten sam sposób, połykając dławiące mnie łzy. Były bardzo gorzkie.

Spieszyłam się jak mogłam z ubieraniem, ale zanim zbiegłam z piętra, matka była już gotowa do wyjazdu — służący wynosił właśnie na dwór jej kuferek. Przed domem stała ciocia, trzymając za rękę mojego małego brata. Zapominając, że nie wolno mi mówić, krzyknęłam:

— Mamo!

— Patrz, jak fatalny wpływ wywarłaś już na swoją córkę!

— zawołał wuj.

Matka z wciąż pochyloną głową spojrzała na mnie i zobaczyła moją twarz. Teraz już w żaden sposób nie mogłam powstrzymać łez — płynęły mi z oczu jak grad. Myślę, że właśnie ten widok wywołał w niej nagłą zmianę: wstała, wyprostowała plecy, tak że była teraz chyba wyższa od wuja, i wyciągnęła do mnie rękę. Rzuciłam się ku niej na oślep.

— An-mej — powiedziała cichym, spokojnym głosem

— o nic cię nie pytam, mówię po prostu: wracam do Tianjinu, a ty możesz jechać ze mną.

— Tym się stajesz, czym chcesz być! — syknęła natychmiast ciocia. — Ty pewnie myślisz, An-mej, że jak wsiądziesz na nowy wóz, to zobaczysz całkiem coś nowego. Zastanów się

jednak, co będziesz mieć przed oczami. Wciąż tylko zadek tego samego starego muła! Życie jest tym, co masz przed sobą!

Słowa te jeszcze bardziej utwierdziły moją chęć wyjazdu, bo cóż teraz widziałam przed sobą? Życie w domu mojego wuja, a dom ten pełen był mrocznych zagadek i cierpienia, którego nie mogłam ani znieść, ani zrozumieć. Zamknęłam uszy na dziwne słowa mojej ciotki i przeniosłam oczy na matkę.

Wuj tymczasem chwycił jakąś porcelanową wazę.

— Czy ty wiesz, co chcesz zrobić? — zagrzemiał. — Chcesz zniszczyć sobie życie! Jeżeli pójdziesz za tą kobietą, nigdy już nie podniesiesz głowy! — mówiąc to rąbnął wazę o ziemię, tak że rozprysnęła się na kawałki. Podskoczyłam. Matka ujęła mnie za rękę. Jej dłoń była taka ciepła!

— Chodźmy, An-mei, musimy się pospieszyć — rzuciła tonem, jakim mówi się o nadciągającym deszczu.

— An-mei! — zawodziła za mną ciotka.

— *Suanlal* Dosyć! Koniec z nią! — usłyszałam głos wuja. — To już nie ta sama dziewczyna.

Skłamałabym twierdząc, że rozstawałam się ze swym dotychczasowym życiem bez obaw czy wątpliwości. A jeżeli prawdą jest to, co mówił wuj, że uległam jakiejś strasznej przemianie i że nigdy już nie podniosę głowy? Spróbowałam to zrobić — i udało mi się.

Dotarł do mnie wtedy rozpaczliwy płacz mojego braciszka, którego ciotka wciąż trzymała za rączkę. Nasza matka nie odważyła się go zabrać. Było rzeczą nie do pomyślenia, aby syn, mając rodzinny dom, mógł zamieszkać w cudzym. Gdyby tak się stało, straciłby wszelkie widoki na przyszłość. Ale mój braciszek o tym nie myślał. Płakał po prostu ze zgrozy i gniewu, bo mama go zostawiła, nie chciała, nawet nie poprosiła, żeby jej syn z nią jechał!

Mój wuj miał rację. Kiedy zobaczyłam brata w takim stanie, głowa od razu mi zwisała — nisko, bardzo nisko.

— An-mei, moje ty biedactwo — powiedziała półgłosem matka, kiedy riksza wiozła nas na dworzec — ty jedna tylko rozumiesz, co ja cierpię. — Poczulałam się bardzo dumna, że tylko ja dzielę z nią jej najgłębsze myśli, które wydawały mi się takie subtelne i cenne.

Dopiero w pociągu dotarło do mnie, jak strasznie daleko pozostawiam za sobą całe dotychczasowe życie — i ogarnęło mnie przerażenie. Podróżowałyśmy aż tydzień — jeden dzień pociągiem, sześć dni parowcem. Matka z początku była ogromnie ożywiona. Kiedy tylko widziała po mojej minie, że oglądam się za siebie, by myśleć o wszystkim, co minęło, zaczynała opowiadać mi o Tianjinie.

Opisywała sprytnych ulicznych sprzedawców, podsuwających przechodniom wszelkie rodzaje prostych a smacznych potraw, takich jak bułeczki gotowane na parze, prażone orzeszki ziemne, czy też jej ulubione naleśniki, cienkie jak bibułka, posmarowane jajkiem i pastą z czarnej kiszonej fasoli; zwija się je później w ruloniki i tak prosto z patelni — aż patrzą palce! — wtyka się ów smakołyk do ręki zgłodniałemu nabywcy.

W porcie handluje się wszystkim, co pochodzi z morza — opowiadała. — Więcej tego i lepsze niż wszystko, co jadłyśmy w Ningbo: wielkie przegrzebki, krewetki, kraby, niezliczone gatunki ryb — świeżych oraz solonych — no i każdy towar najwyższej jakości! Gdyby tak nie było, po cóż tylu cudzoziemców przybywałoby do tego akurat portu?

Ach, a jaki ścisk panuje na bazarach, które rozsiadły się w wąskich uliczkach miasta! Wczesnym rankiem wieśniacy przywożą tam warzywa, jakich jeszcze w życiu nie widziałaś! A owoce! Zobaczysz, jakie są słodkie, jakie delikatne, jakie świeże! Będą ci smakowały — zapewniała mnie z wielkim przekonaniem. A wiesz, że są w Tianjinie całe dzielnice zamieszkałe przez cudzoziemców — Japończyków, białych Rosjan, Amerykanów, Niemców — i pomyśleć, że każda z tych nacji mieszka osobno, ani mowy, żeby razem... każda ma swoje zwyczaje, maniery, stroje... Niektórzy z tych cudzoziemców widać nie lubią się kapać, bo są brudni, a niektórzy znowu przeciwnie. A jakie dziwne kształty i kolory mają ich domy! Wyobraź sobie, że malują je na przykład na różowo. Są też takie, w których pokoje wyskakują jakby z muru na zewnątrz pod różnymi kątami, tak że ściana wygląda jak gors starej angielskiej sukni z czasów królowej Wiktorii. Inne znow mają dachy w kształcie spiczastych kapeluszy, a pokryte są całe drewnianymi rzeźbami pomalowanymi na biało; można by pomyśleć, że to prawdziwa kość słoniowa!

A w zimie zobaczysz śnieg! — obiecała mi z dumą. Za parę miesięcy nadejdą Zimne Rosy,* potem zaczną się deszcze, które będą powoli łagodnieć, aż wreszcie kropelki wody wyschną i staną się białe jak płatki kwitnącej pigwy. Ale ja opatulę cię w tyle kaftaników, futrzanych płaszczy i spodni, że nie będziesz się bała nawet trzaskających mrozów!/

Tyle mi o tym wszystkim naopowiadała, że przestałam spoglądać do tyłu, obracając się całą twarzą ku przyszłości. Jaki będzie ten mój nowy dom w Tianjinie? Bardzo już chciałam go poznać. Tymczasem w piątym dniu podróży, gdyśmy się już zbliżali do Tianjina, morze raptem zmieniło kolor: woda z brudnożółtej stała się w mgnieniu oka czarna, a nasz statek zaczął się huścić i tak dziwnie, tak okropnie jęczeć. Wpadłam w panikę, dostałam też choroby morskiej. W nocy przyśniło mi się to, przed czym ostrzegała mnie ciotka: ten jakiś strumień płynący na wschód i jego ciemne, tajemnicze wody, które na zawsze już zmieniają człowieka. Widząc ze swego łóżka bóleści takie same czarne odmęty, myślałam z przerażeniem, czy aby słowa ciotki nie okażą się prawdą? Matka już nawet zaczęła się zmieniać — jej twarz stała się mroczna i gniewna. Zapatrzona gdzieś w morze milczała, pogrążona we własnych myślach. Moje myśli przybrały równie chmurną barwę, co gorsza, zapanował w nich straszny zamęt.

W dniu naszego przybycia do Tianjina widziałam rankiem matkę w białej żałobnej sukni, ale gdy trochę później przyszła na górny pokład do salonu, wyglądała już jak cudzoziemka. Środek brwi miała pogrubiony, dalej biegły długie, ostro zakończone kreski... wokół oczu widniały ciemne smugi. Od białej, upudrowanej twarzy dziwnie odbijały ciemnoczerwone wargi. Na głowie miała miękki brązowy kapelusik ze skośnie przypiętym z przodu, brązowo nakrapianym piórem jakiegoś ogromnego ptaka. Wepchnęła pod ten kapelusz wszystkie swoje krótkie włosy z wyjątkiem dwóch opuszczonych na czoło loczków. Były one idealnie równe, skierowane wklęsłą stroną ku sobie, przez co przypominały czarno lakierowaną rzeźbę.

*** Zimne Rosy przypadają na pierwsze tygodnie października. Tradycyjny kalendarz księżycowy dzielił rok na cztery pory i dwadzieścia cztery sezony.**

No i ta suknia! Długa, brązowa, z sięgającym talii białym koronkowym żabotem, spiętym wielką jedwabną różą.

Na jej widok doznałam wstrząsu — byliśmy przecież w żałobie! — nic jednak nie powiedziałam. No bo jak? Czy dziecko ma prawo upominać własną matkę? Było mi tylko strasznie wstyd, że tak bez mrugnięcia powieką obnosi przed światem swoją hańbę!

W obciążonych rękawczkami dłoniach trzymała duże kremowego koloru pudło, na którym widniał obcy napis: „Wytworne angielskie stroje na zamówienie. Tianjin.” Pamiętam, że postawiła to pudło między nami, mówiąc: „Otwórz je! Szybciutko!” Uśmiechała się przy tym i oddychała tak, jakby brakowało jej tchu. Byłam zbyt zaszokowana nowym wyglądem i zachowaniem matki, żeby zdziwił mnie widok prezentu. Dopiero po wielu latach, kiedy to pudło od dawna już służyło mi do przechowywania listów i fotografii, zadałam sobie pytanie: skąd ona wiedziała? Nie widywałyśmy się wszak tyle czasu, a jednak jakimś cudem wiedziała, że od razu zgodzę się z nią jechać i że potrzebna mi będzie nowa sukienka! Skąd?

Kiedy otworzyłam pudło, w mgnieniu oka pierzchły moje obawy i wstyd: w środku leżała sztywno wykrochmalona biała sukienka! Nowiutka, cała w falbankach, wszędzie — przy kołnierzu, rękawach, w dole spódnicy — gdzie było ich aż sześć rzędów! Do tego białe pończochy, białe skórkowe pantofelki i olbrzymia biała kokarda, już zawiązana; wystarczyło przymocować ją tylko do włosów za pomocą dwóch luźnych wstążeczek.

Wszystko to okazało się o wiele na mnie za duże. Okrągły dekolot opadał mi do połowy ramion, a w talii zmieściłyby się ze dwie takie osoby jak ja, ale dla mnie była to drobnostka. Dla matki również. Stałam jak posąg z podniesionymi rękami, gdy ona za pomocą szpilek oraz igły z nitką zręcznie dopasowywała mi suknię: tu zrobiła zakładkę, tam wszyła coś w puste miejsce — i dobrze. Podobnie postąpiła z bucikami, wypychając ich noski bibułką. Mnie wydawało się tylko, że w tym ubraniu wyrosły mi nowe ręce i nogi i że będę musiała na nowo uczyć się chodzić.

Matka tymczasem znowu jakoś sposepniała. Złożywszy skrzyżowane ręce na kolanach, w zamyśleniu śledziła zbliżającą się przystań.

— An-mei — odezwała się wreszcie — od tej chwili zaczyna się dla ciebie nowe życie. Zamieszkasz w nowym domu, będziesz miała nowego ojca, mnóstwo sióstr i jeszcze jednego małego braciszka. Nie zabraknie ci strojów ani dobrego jedzenia. Jak myślisz, czy to ci wystarczy do szczęścia?

W milczeniu skinęłam głową, myśląc o rozpaczy mojego brata tam — w Ningbo. Matka nic już nie powiedziała o domu, nowej rodzinie ani o tym, czy będę szczęśliwa, bo w tym momencie rozległ się dzwon okrętowy i steward obwieścił, że jesteśmy w Tianjinie. Matka wskazała tragarzowi dwa nasze kuferki, szybko wydała mu instrukcje, jakby w życiu nic innego nie robiła, po czym z tą samą swobodą wręczyła mu zapłatę. Sięgnęła teraz po jeszcze inne pudło i ostrożnie wydobyła z niego coś jakby pięć czy sześć nieżywych lisów. Musiały być martwe, bo pazury smętnie im zwisały, a zamiast ślepiów miały błyszczące paciorki. Tylko nastroszone ogony wyglądały jak żywe. Zrzuciwszy tę okropną rzecz na ramiona, chwyciła mnie mocno za rękę i tak ruszyliśmy ciasnym korytarzykiem do wyjścia razem z tłumem innych pasażerów.

W porcie nikt na nas nie czekał. Matka powoli zeszła z pochyłej rampy i nerwowo zerkając na boki, minęła pomost bagażowy.

— Chodźże, An-mei! Dlaczego tak się wleciesz? — zawołała dziwnie zaleknionym głosem.

Ostrożnie szurałam nogami, bo bałam się przewrócić w swoich za dużych butach, w dodatku ziemia pode mną wciąż kołysała się jak huśtawka. W tych krótkich chwilach, kiedy nie patrzyłam pod nogi, przyglądałam się ludziom. Wszyscy strasznie się gdzieś spieszyli, wszyscy wyglądali na zirytowanych. I poubierane w ponure kolory ubogie chińskie rodziny — od sędziwych rodziców do małych dzieci — wlokące, pchające, dźwigające toboły z całym życiowym dobytkiem, i blade cudzoziemskie damy, ubrane jak moja matka, w towarzystwie cudzoziemskich panów w kapeluszach, i bogate wdowy, głośno wylewające swoją złość na służbę, która w odległości paru kroków za chlebobawczynią taszczyła walizy, kosze z jedzeniem i niemowlęta.

Staliśmy przy ulicy prowadzącej na przystań. Roilo się tu od rikszy i wozów jadących to w tę, to w drugą stronę.

Trzymając się za ręce, obie z matką w milczeniu przyglądałyśmy się tym, którzy przybywali na dworzec, i tym, którzy opuszczali go w takim samym pośpiechu. Poranek przechodził już w przedpołudnie, na dworze było ciepło, chociaż niebo przesłaniały szare chmury.

Po długim wyczekiwaniu matka z westchnieniem przywołała riksę.

Podczas jazdy najpierw kłóciła się z riksaszem, który żądał dodatkowej zapłaty za drugą osobę i bagaż, potem zaczęła narzekać na kurz, smrody, wyboje, na to, że jest późno i że boli ją brzuch, a skończywszy z tym, wzięła się za mnie. Po kolei wytknęła mi plamę na nowej sukience, pozwijane pończochy i potargane włosy. Na gwałt próbowałam znów ją sobie zjednać, wypytując to o widoczny przed nami skwerek, to o ptaszka przelatującego mi nad głową, to o długi elektryczny pojazd, który minął nas, głośno trąbiąc. Nie pomogło. Rozzłościła się na mnie jeszcze bardziej.

— Siedź spokojnie, An-mei, nie podniecaj się tak. Po prostu jedziemy do domu.

Znalazłszy się wreszcie na miejscu, obie byłyśmy, prawdę mówiąc, wykończone.

Od początku zdawałam sobie sprawę, że nie będzie to taki zwyczajny dom. Matka mówiła już wcześniej, że zamieszkamy w tianjińskiej siedzibie Wu Jinga, który był bardzo bogatym kupcem i przedsiębiorcą. Posiadał mnóstwo fabryk wyrabiających dywany, a jego rezydencja mieściła się na terenie Koncesji Brytyjskiej, najlepszej dzielnicy Tianjina dozwolonej dla Chińczyków. Dom — opowiadała matka — stoi niedaleko Paima Dilu, Racehorse Street, gdzie mogą mieszkać tylko zachodni cudzoziemcy, ale mamy też blisko i do małych sklepików, gdzie sprzedaje się tylko jeden rodzaj towaru: w tym tylko herbatę, w tamtym materiały, w jeszcze innym mydło.

Dom — mówiła dalej — zbudowany jest po cudzoziemsku sama zobaczysz! Wu Jing lubi wszystko, co zagraniczne, ponieważ to cudzoziemcy uczynili go bogatym. Domyśliłam

się, że z tego też powodu matka musi nosić cudzoziemskie stroje. Wielu świeżo wzbogaconych Chińczyków lubiło w ten sposób świecić ludziom w oczy swoją nowo zdobytą zamożnością.

Wszystko to już wiedziałam, a jednak na widok domu zdumienie zaparło mi oddech.

Prowadziła do niego chińska kamienna brama, u góry zaokrąglona, z wielkimi czarno lakierowanymi drzwiami i bardzo wysokim progiem. Za bramą znajdował się dziedziniec — i to była pierwsza niespodzianka. Nie było tu wierzb ani słodko pachnących drzew kasji, nie było ogrodowych pawilonów ani sadzawki otoczonej wianuszkami ławeczek czy ozdobnych cebrzyków z rybkami. Zamiast tego wszystkiego po obu stronach szerokiej wyłożonej cegłą ścieżki rosły długie rzędy jakichś krzewów, a za nimi rozpościerały się ogromne trawniki, pośród których stały fontanny. Kiedy zbliżyliśmy się do domu, zobaczyłam budowlę w zachodnim stylu — same cegły plus zaprawa murarska. Budynek ten miał dwa piętra, wzdłuż których biegingy długie żelazne balkony, nad dachem z każdego rogu wznosił się komin.

Na spotkanie wybiegła nam młoda służąca, która powitała matkę okrzykami radości. Głos miała cienki i trochę skrzek-liwy:

— O, *taitai*, już jesteście? Jakże to się stało? — Dziewczyna ta nazywała się Yan Chang i była osobistą służącą mojej matki. Najwidoczniej umiała jej też nadskakiwać, bo czyż nie powitała swej pani zaszczytnym tytułem „*taitai*”, oznaczającym panią domu, jak gdyby moja matka była pierwszą i jedyną małżonką?

Zaczęła teraz głośno wołać służbę, polecając różnym osobom wziąć nasze bagaże, przynieść herbatę, przygotować gorącą kąpiel. Spiesznie wyjaśniła matce, co zrobiła Druga Żona: zapowiedziała wszystkim, że nie należy się nas spodziewać wcześniej niż w przyszłym tygodniu.

— Co za wstyd! — lamentowała Yan Chang. — Nikt was nie wyszedł powitać! Druga Żona pojechała do Pekinu odwiedzić krewnych. Jaka ładna ta pani córka i jaka podobna! Nieśmiała, co? Pierwsza Żona z córkami znów udała się na pielgrzymkę do kolejnej buddyjskiej świątyni... W zeszłym tygodniu był tutaj ktoś z wizytą... chyba trochę pomyłony...

Powiedział, że jest wujem kuzynki, a okazało się, że to ani wuj, ani żaden kuzyn... w ogóle nie wiadomo, co to za człowiek....

Po przekroczeniu progu wielkiego domu zupełnie już nie wiedziałam, na co wprawdzie patrzeć. Były tam kręte schody, które pięły się w górę wielką spiraalą, a z każdego kąta sufitu spoglądała na mnie jakaś twarz. Po chwili zaczęło mieszać mi się w głowie od tego labiryntu korytarzy skręcających to w tę, to w tamtą stronę, tu prowadzących do jednego pokoju, tam znów do drugiego. Po prawej stronie ujrzałam olbrzymi salon — nigdy jeszcze nie widziałam tak ogromnego pokoju! — zastawiony mnóstwem mebli z drzewa tekowego — były to jakieś sofory, stoły i krzesła — a przez otwarte drzwi w końcu tej długachnej sali widać było następne pokoje, znowu meble i znowu drzwi. Pokój po lewej był ciemniejszy, urządzony w stylu zachodnim; stały tu kryte ciemnozieloną skórą kanapy, fotele i mahoniowe biurka, wisały liczne malowidła przedstawiające psy myśliwskie. Po pokojach kręcili się różni ludzie, o których Yan Chang informowała mnie krótko: „Ta młoda osoba to pokojówka Drugiej Żony. Ta tutaj to nikt ważny, córka pomocnika kucharza. Ten człowiek zajmuje się ogrodem.”

Na piętrze też znajdował się wielki salon; skręciłyśmy w lewo w jakiś korytarz, minęłyśmy jeden pokój i weszły do następnego.

— To jest pokój twojej matki — oznajmiła z dumą Yan Chang. — Tu będziesz spała.

Pierwszą rzeczą, która wpadła mi w oko, było wspaniałe, królewskie łóżce, i ono to pochłonęło całą moją uwagę. Potężne, a zarazem lekkie... Takie wrażenie robiło połączenie miękkiego różowego jedwabiu z ciemnym, lśniącym drzewem, całym rzeźbionym w smoki. Jedwabny baldachim podtrzymywały cztery wysokie kolumny i z każdej zwisało jedwabne wiązadło do kotar. Łóżce spoczywało na czterech ugiętych lwich łapach, jak gdyby zniecała przygniotło bestię swoim ogromnym ciężarem. Korzystając ze wskazówek Yan Chang oraz specjalnego podnóżka, wdrapałam się na górę i runęłam na stertę jedwabnej pościeli, radośnie chichocząc z rozkoszy. Ależ ten materac mięciutki! Chyba z dziesięć razy grubszy od mojego posłania w Ningbo.

Siedząc w łozu zaczęłam podziwiać pokój. W pobliżu szklanych drzwi na balkon ustawiony był okrągły stół z tego samego drzewa co łóżko, zamiast zwykłych nóg miał też rzeźbione lwie łapy. Dookoła stały cztery krzesła. Jakaś służąca przyniosła już nam herbatę i ciastka, a teraz rozpałała *huolu*, mały piecyk na żarzące się węgle/

Nie powiem, żeby nasz dom w Ningbo był ubogi, przeciwnie, memu wujowi wiodło się bardzo dobrze, mimo to jego posiadłość w żadnym razie nie mogła się równać z tą oto rezydencją. O, była ona godna najwyższego podziwu! Wuj jest w grubym błędzie — pomyślałam. — I cóż w tym złego, że matka poślubiła Wu Jinga? Doprawdy, nie ma się czego wstydzić!

Rozmyślenia te przerwało mi nagle „klang, klang”, po którym dała się słyszeć muzyka. Naprzeciw łóżka wisiał wielki drewniany zegar, zdobny płaskorzeźbą wyobrażającą las, a pośród niego niedźwiedzie. W pewnej chwili z trzaskiem otworzyły się drzwiczki i ze środka wyjechała izdebka z trojgiem śmiesznych ludzików. Przy stole siedział brodacz w spiczastej czapce, który cały czas ruszał głową, nadaremnie próbując napić się zupy: wystarczyło, że się pochylił, a w miseczce lądowała jego długa broda! A tymczasem stojąca obok dziewczyna w białym szalu i niebieskiej sukni niestrudzenie zginała swoją wdzięczną postać, dolewając człowieczkowi zupy. Druga dziewczyna, ubrana w spódnicę i krótki żakiecik, wodziła smyczkiem po strunach skrzypiec. Ach, że też po tylu latach ta rzewna melodyjka wciąż jeszcze dźwięczy mi w uszach: *ni-a! na! na! na-nina!*

Byłby to naprawdę czarodziejski zegar, gdyby można było tylko na niego patrzeć, niestety, po kilku godzinach słuchania miało się go serdecznie dosyć. Dopóki nie nauczyłam się go nie słyszeć, długo nie powalał mi zmrużyć oka. Później ta cenna umiejętność nieprzyjmowania do wiadomości dźwięków pozabawionych dla mnie znaczenia ogromnie mi się przydała.

Przez pierwszych kilka dni czułam się niewymownie szczęśliwa w tym jakże zajmującym domu; cóż to była za rozkosz sypiać w wielkim mięciutkim łozu razem z matką! Przed zaśnięciem rozmyślałam o domu mego wuja w Ningbo, o tym, jak bardzo byłam tam nieszczęśliwa i co przeżywa mój

mały, biedny braciszek, najczęściej jednak wszystkie moje myśli zaprzętały te cudowne, otaczające mnie teraz nowości. Tyle tu było do zobaczenia! Tyloma ciekawymi rzeczami można się było zająć.

Choćby ta gorąca woda. Zdumiewało mnie, że sama leje się z rurek — do kuchennego zlewu, do umywalek i wanien na wszystkich trzech kondygnacjach. Otwierałam szeroko oczy widząc, jak zmyślnie spłukuje się urządzenia zastępujące nocniki — żadna służąca nie musiała ich opróżniać, a przecież były czyściutkie! Chodziłam po całym domu i podziwiałam pokoje równie eleganckie jak sypialnia mojej matki. Dowiedziałam się od Yan Chang, które należą do Pierwszej Żony, a które do pozostałych konkubin, zwanych Drugą i Trzecią Żoną. Ale były i takie, które nie należały do nikogo. „Są przeznaczone dla gości” — wyjaśniła mi Yan Chang.

Poinformowała mnie również, że na drugim piętrze znajdują się pomieszczenia wyłącznie dla męskiej części służby, a w którymś z nich są nawet niewidoczne drzwiczki do sekretnego schowka, który w razie najazdu piratów może służyć komuś za kryjówkę.

Dziś trudno mi już sobie przypomnieć wszystko, co widziałam w tym domu — za dużo w nim było tych dobroci, zresztą szybko zaczynały mi powshednieć. Taka już byłam

— nudziła mnie każda rzecz, kiedy tylko traciła urok nowości. „O — bąknęłam pełna zawodu — gdy Yan Chang przyniosła mi to samo słodko przyprawione mięsiwo, co dzień wcześniej

— przecież tego już próbowałam.”

Matka na szczęście odzyskała właściwe jej naturze pogodne usposobienie. Znowu zaczęła chodzić w długich chińskich sukniach, obszytych z powodu żaloby białą lamówką. W ciągu dnia pokazywała mi dziwne, czasami zabawne rzeczy, podając ich obco brzmiące nazwy: bidet, aparat fotograficzny, widelec do sałatek, serwetka. Wieczorami, kiedy nie było się czym zająć, obmawiałyśmy służbę: ten jest sprytny, ta pracowita, a tamta bardzo lojalna! Tak plotkując, piekłyśmy sobie na *huolu* małe jajeczka i pataty, nie dlatego, że byłyśmy głodne

— po prostu obie lubiłyśmy ich smakowity zapach. A później zasypiałam w objęciach matki, słuchając jej opowieści.

Patrząc wstecz na całe swoje życie mogę powiedzieć, że nigdy — ani wcześniej, ani później — nie czułam się tak dobrze

i tak bezpiecznie. Nie miałam żadnych trosk, lęków ani pragnień... Życie było czymś tak wygodnym, jak wylegiwanie się w kokonie różowego jedwabiu. O, ale też świetnie pamiętam moment, w którym cały ten komfort utracił swoje kojące właściwości.

Stało się to chyba w dwa tygodnie po naszym przyjeździe. Bawiłam się z dwoma psami w wielkim ogrodzie na tyłach domu, kopiąc piłkę i patrząc, który dopadnie jej pierwszy. Matka usadowiona przy ogrodowym stole przyglądała się tym naszym harcom. Raptem dobiegło mnie trąbienie auta i czyjeś podniesione okrzyki; psy w jednej chwili zapomniały o piłce i pognały gdzieś z radosnym ujadaniem.

Na twarzy matki odbił się ten sam niezrozumiały wyraz lęku, który kiedyś już u niej widziałam — prawda, w porcie! Wstała z ogromnym pośpiechem i szybko ruszyła do domu. We mnie górę wzięła ciekawość, więc pobiegłam do frontowego wejścia. Stały tam dwie czarno lakierowane riksze, a za nimi wielki czarny automobil. Z pierwszej rikszy wyładowywano właśnie bagaże, z drugiej wyskoczyła młoda pokojówka.

Cała obecna w domu służba tłoczyła się wokół samochodu, przeglądając się w jego wypolerowanej powierzchni, podziwiając okienne zasłonki i aksamitne obicia. Po chwili szofer otworzył tylne drzwiczki i ze środka wyłoniła się młodzianka dziewczyna z krótkimi włosami ułożonymi w równiutkie fale. Musiała być niewiele ode mnie starsza, a miała na sobie elegancką kobiecą suknię! Obrzuciłam spojrzeniem jej wysokie obcasy i cienkie jedwabne pończoszki, po czym ze wstydem opuściłam wzrok na swoją białą sukienkę: widniały na niej brzydkie zielone plamy.

Zgięci w pół służący powolutku wyciągali kogoś z samochodu, holując go z widocznym wysiłkiem za ramiona. Domyśliłam się, że to Wu Jing. Cóż, był okazałym mężczyzną, nie to, że wysokim, ale ciało miał tak nalane tłuszczem, że wyglądał jak nastroszone ptaszysko. Musi być dużo starszy od matki — pomyślałam. Czoło sięgało mu bardzo daleko, łącząc się z połyskliwą łysiną, na szerokim nozdrzu przysiadło wielkie czarno zabarwione znamię. Od góry ubrany był w marynarkę i kamizelkę zachodniego kroju, ciasno opinające jego wydatne brzuszysko, reszta tonęła w szerokich, workowatych spod-

niach. Kiedy wyciągano go z auta, stękał i gniewnie pomrukiwał, a dotknąwszy stopami gruntu, ruszył prosto do domu, jakby nie widział tych ludzi, którzy kłaniali mu się w pas, otwierali drzwi, nieśli jego osobiste rzeczy. Tak wszedł do domu, a za nim ta młoda dziewczyna. Ona za to z dosyć głupawym uśmiechem wdzięczyła się do wszystkich, jak gdyby całe to zgromadzenie zwołano wyłącznie na jej cześć. Drzwi się za nią jeszcze nie zamknęły, kiedy usłyszałam czyjaś głośno rzuconą uwagę: „Piąta Żona jest w takim wieku, że nie musiała przywozić służby, tylko niańkę!”

Spojrząwszy w górę, zobaczyłam w oknie moją matkę — a więc widziała! W ten oto sposób — trudno nazwać go delikatnym! — została powiadomiona o nowej, czwartej konkubinie Wu Jinga, którą nabył właściwie jako dodatek, czy raczej bez namysłu dobrany ozdobnik do swego nowego auta.

Czy matka była zazdrosna o tę młodziutką dziewczynę, która odtąd miała być zwana Piątą Żoną? Ależ skąd! Niby dlaczego? Wcale przecież nie kochała Wu Jinga. Chińska dziewczyna nie wychodziła wtedy za mąż z miłości. Robiła to dla pozycji, i na tym właśnie polegała tragedia mojej matki. Jej pozycja w tym domu — o czym wówczas jeszcze nie wiedziałam — nie mogła już doprawdy być gorsza.

Po powrocie Wu Jinga zdarzało jej się cały dzień nie wychodzić z pokoju — haftowała. Czasami tylko udawałyśmy się na milczącą popołudniową przejażdżkę do miasta — na przykład po sztukę jedwabiu; chodziłyśmy później po sklepach, szukając jakiegoś koloru, którego najwyraźniej nie potrafiła określić. Tak samo było z jej cierpieniem — też nie umiała go nazwać.

Mogłoby się więc wydawać, że otacza nas niczym niezmacony spokój, ale ja wiedziałam, że tak nie jest! Jeśli ktoś powątpiewa, czy dziewięcioletnie dziecko może zdawać sobie z tego sprawę, niechaj mi jednak uwierzy. Ja sama dziś się sobie dziwię... Nie, nie potrafię tego wytłumaczyć. Pamiętam tylko, że trawił mnie dziwny niepokój: czułam, że w powietrzu wisi coś strasznego — jakby ta wiedza wnikała we mnie przez skórę... A może mówił mi to mój żołądek? W każdym razie było to takie samo okropne uczucie jak w piętnaście lat później, kiedy to zaczęły spadać na nas japońskie bomby. Nasłuchując ich dalekiego huku, miałam absolutną pewność, że cała ta

groza lada chwila zwali mi się na głowę, że nadciąga już ku mnie — nieodwracalna jak śmierć.

W kilka dni po powrocie Wu Jinga matka obudziła mnie nagle w środku nocy, delikatnie potrząsając mym ramieniem.

— An-mej — wyszeptała znużonym głosem — bądź grzeczną dziewczynką i idź do pokoju Yan Chang.

Przetarłam oczy i widząc nad sobą jakiś czarny cień — był to Wu Jing — zaczęłam płakać.

— Cicho, nie ma czego płakać, idź do Yan Chang — wyszeptała matka. Wzięła mnie pod pachy i ostrożnie postawiła na zimnej podłodze. Usłyszałam granie zegara, a potem basowe narzekanie: „Jak tu zimno!” Yan Chang nie zdziwiła się na mój widok — chyba spodziewała się i tego, że przyjdę, i że będę płakać.

Rano oczu nie mogłam podnieść na matkę, zauważyłam jednak opuchniętą od płaczu twarz Piątej Żony. Wyglądała zupełnie tak samo jak ja. Niedługo potem — bo już przy śniadaniu — nastąpiła eksplozja: Piąta Żona w obecności wszystkich ordynarnie zbesztła pokojówkę, że usługując jej, strasznie się guzdrze. Wszyscy, nie wyłączając mojej matki, ze zgorzaniem zgromili ją wzrokiem — jak można w taki sposób łajać służbę!? Jakiż to niedopuszczalny pokaz najgorszych manier! Wu Jing też rzucił jej ostre spojrzenie — trochę jak surowy ojciec — więc zaraz zaczęła płakać, ale już w parę godzin później znowu rozdawała uśmiechy, paradując po domu w nowej sukni i pantofelkach.

Po południu moja matka po raz pierwszy zaczęła mówić o swoim nieszczęściu. Jechałyśmy akurat do miasta kupić jakieś nici do haftu.

— Teraz widzisz, jak wygląda to moje życie? — łkała. — Co za hańba! Nie mam tu żadnej pozycji! A on jeszcze sprowadza do domu nową żonę, i to kogo? Dziewczynę z nizin, bez wychowania! Widziałaś, jaką ma ciemną skórę? Kupił ją za parę yuanów od jakiegoś wiejskiego nędzarza! Wiesz, co robi jej ojciec? Cegły z rzecz nego błota! Ach ten Wu Jing! Kiedy w nocy ma już jej dość, wtedy przyłazi do mnie, cały śmierdzący tym błotem!

Rozpłakała się już teraz na dobre, rzucając pośród tych łkań słowa pozbawione logiki — jakby ją coś opętało:

— Teraz rozumiesz, o ile gorzej być czwartą żoną niż piątą! Pamiętaj o tym, An-mei! Ja byłam kiedyś pierwszą żoną, tak, jedyną małżonką uczonego człowieka! Pamiętaj! Twoja matka nie zawsze była tą czwartą!

Tak nienawistnie wypluła z siebie słowo „si” — „czwarta”

— że przeszedł mnie dreszcz, bo zabrzmiało ono jak to drugie „si”, które oznacza „śmierć”. Przypomniałam sobie, co mówiła mi kiedyś Popo: czwórka to bardzo nieszczęśliwa liczba, bo kiedy wypowiesz ją w gniewie, zawsze wyniknie z tego jakieś zło.

Nadeszły Zimne Rosy i na dworze zrobiło się zimno. W dniu, gdy do Tianjina powróciły Druga i Trzecia Żona wraz z dziećmi i służbą, w domu zapanowało niesłychane poruszenie. Wu Jing pozwolił wysłać na kolej swój nowy automobil, ale że nie wszyscy mogli się w nim pomieścić, więc za samochodem wtoczyło się na dziedziniec chyba ze dwanaście rikszy, podskakując jak świerszcze za wielkim, błyszczącym żukiem.

Stałyśmy z matką przed domem — ona za moimi plecami

— gotowe do powitania. Zobaczyłam najpierw kobietę w takiej sobie zwykłej zagranicznej sukni i ogromnych, bardzo brzydkich butach; za nią szły trzy dziewczynki, z których jedna była w moim wieku.

— To Trzecia Żona i jej córki — powiedziała matka. Wszystkie trzy były strasznie nieśmiałe, bardziej chyba

płochliwe ode mnie. Ze spuszczoneymi głowami, bez słowa tłoczyły się koło matki jak stadko kurcząt. A ja nadal się na nie gapiłam. Nie były ładne, co to, to nie — zupełnie tak samo jak ich matka — miały wielkie zęby i grube wargi, a ich krzaczaste brwi do złudzenia przypominały czarne włochate gąsienice. Trzecia Żona przywitała się ze mną bardzo serdecznie i nawet pozwoliła ponieść jeden ze swoich pakunków.

Wróciłam do matki, która znów położyła mi dłoń na ramieniu, więc zaraz też poczułam, że sztywnieje.

— A to jest Druga Żona — rzuciła szeptem. — Będzie sobie życzyła, abyś zwracała się do niej „Starsza Matko”.

Ujrzałam kobietę w długim czarnym futrze i ciemnej zagranicznej sukni — bardzo wytwornej. Niosła ona malut-

kiego chłopczyka o tłusciutkich różowych policzkach — wyglądał może na dwa latka.

— To Xiaodi, twój najmłodszy braciszek — usłyszałam szept matki. Miał na główce czapkę z takiego samego ciemnego futra i bawił się długim perłowym naszyjnikiem Drugiej Żony, okręcając go sobie dookoła paluszka. Zdziwiłam się, jak ta kobieta może być matką tak małego dziecka. Druga Żona wydała mi się dość ładna, cieszyła się też chyba dobrym zdrowiem, ale miała już przecież ze czterdzieści pięć lat albo i więcej. Przekazała właśnie dziecko służącej, a sama zaczęła wydawać polecenia tłoczącym się koło niej ludziom.

Po chwili nieoczekiwanie zerknęła w moją stronę i powziąwszy chyba jakąś decyzję, żywo skierowała się ku mnie. Jak cudownie lśniło to jej falujące futro... Przypatrywała mi się długą chwilę, jak gdyby poddawała mnie szczegółowemu egzaminowi. Musiał on wypaść dobrze, bo na usta jej wypłynął uśmiech, łaskawie poklepała mnie po głowie, a potem wdzięcznym ruchem swoich drobnych dłoni zdjęła ten cudowny sznur pereł i zawiesiła mi go na szyi.

Spośród wszystkich klejnotów, których dotykały moje ręce, ten był najpiękniejszy! Ach, no i wzór miał zagraniczny: bardzo długi sznur jednakowych pereł — każda miała nie tylko tę samą wielkość, ale i taki sam różowy odcień — spięty srebrną ozdobną broszą!

— O, to zbyt cenny podarek dla takiego dziecka! — zaprotestowała natychmiast moja matka. — Zaraz go rozerwie albo zgubi.

— Taka ładna dziewczynka powinna mieć jakąś ozdobę, która rzuci blask na jej śliczną buzię, prawda? — powiedziała Druga Żona. Tylko tyle.

Po zachnięciu się matki i nagłym jej zamilknięciu nietrudno było rozpoznać, jaka jest zła. Zorientowałam się, że nie lubi Drugiej Żony. W takim razie trzeba uważać: matka nie powinna się domyślać, że tamta zdążyła zdobyć już moją sympatię. Tak, niebacznie poddałam się już temu uczuciu. Prawdę mówiąc, nie posiadałam się z radości: Druga Żona okazała mi specjalne względy!

— Dziękuję ci, Starsza Matko — powiedziałam z szacunkiem. Patrzyłam przy tym w ziemię, żeby nikt nie widział mojej twarzy, mimo to nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

Przy popołudniowej herbacie w pokoju matki wyraźnie widziałam, że złość jej jeszcze nie przeszła.

— Bądź ostrożna, An-mei — ostrzegła mnie cierpko. — To, co usłyszałaś, nie jest szczere. Ta kobieta jedną ręką przywołuje chmury, a drugą deszcz. Chce cię po prostu podejść. Chce, żebyś była gotowa zrobić dla niej wszystko, czego zażąda.

Siedziałam cicho i żeby nie dopuszczać do siebie jej przestroóg, myślałam o czym innym. O tym, że matka zanadto chyba narzeka i że kto wie, czy nie z tego właśnie bierze się jej całe nieszczęście. A gdyby tak jej nie posłuchać?

— Daj mi ten naszyjnik — powiedziała nagle.

Nie odwracając od niej oczu, siedziałam dalej bez ruchu.

— Aha, nie wierzysz mi na słowo, więc dobrze, rozkazuję ci dać mi tę błyskotkę!

Kiedy nie drgnęłam i na to, matka wstała i o nic już nie pytając, sama sięgnęła po mój naszyjnik. Nie zdążyłam nawet krzyknąć, tak szybko przydepnęła go pantoflem! Dopiero kiedy położyła moje perły na stole, zrozumiałam, dlaczego to zrobiła. Klejnot, przez który już prawie zaprzedałam się Drugiej Żonie duszą i sercem, okazał się zwyczajnym szkiełkiem — po jednej z jego perełek pozostał tylko szklany proszek.

Nieco później matka po usunięciu zmiażdżonego szkiełka skróciła w pustym miejscu nitkę, tak że naszyjnik wyglądał jak nowy. Przez tydzień musiałam go nosić codziennie: miał przypominać mi o tym, jak łatwo można zgubić siebie, jeśli nie umie się odróżnić tego, co prawdziwe, od fałszu. Gdy uznała, że dobrze zapamiętałam sobie tę lekcję, pozwoliła mi zdjąć fałszywe perły, a sama otworzyła jakieś pudełeczko.

— Wiesz już teraz, jak wygląda prawda?

Skinęłam głową, a ona wtedy włożyła mi coś do ręki. Otworzyłam dłoń i oczom moim ukazał się złoty pierścień z przejrzystym błękitnym szafirem. W samym jego środku jarzyła się gwiazdka, od której biły białe ognie. Ach, był to kamień tak czystej wody, że jeszcze po wielu latach nie mogłam spojrzeć nań bez zachwyty!

Pod koniec pierwszego zimnego miesiąca zjechała z Pekinu Pierwsza Żona, która posiadała tam stałą rezydencję dla siebie i dwóch swoich niezamężnych córek. Pamiętam, co sobie

wtedy pomyślałam: No, już ona przytrze nosa Drugiej Żonie! Zgodnie z prawem i obyczajem pierwszej małżonce przysługiwała władza nad całym domem.

Pierwsza Żona Wu Jinga okazała się wszakże żyjącym duchem, który ani nie stanowił żadnej groźby dla Drugiej Żony, ani wcale nie myślał przykrócić jej cugli. Wyglądała jak zmurszała starość z tym swoim kruchym, przygarbionym ciałem, obandażowanymi stopami i pobrużdżoną twarzą. Ubierała się też staromodnie — w spodnie i watowany kaftan. Teraz myślę, że nie była wcale taka stara — mogła być mniej więcej w wieku Wu Jinga, który miał lat pięćdziesiąt.

Kiedy ją poznałam, wydawało mi się w pierwszej chwili, że jest ślepa, bo zachowywała się tak, jakby nikogo z nas nie widziała — ani mnie, ani Wu Jinga, ani mojej matki. Swoje córki jednak widziała — dwie stare, co najmniej dwudziestopięcioletnie panny, które dawno już przekroczyły wiek stosowny do zamążpójścia — potrafiła też zawsze jakoś odzyskać wzrok, gdy zmuszała ją do tego konieczność. To znaczy, kiedy trzeba było skarcić dwa domowe psy — bo miały czelność węszyć w jej pokoju, ryć ziemię pod oknem albo bezwstydnie obsikiwać którąś nogę od stołu.

— Dlaczego Pierwsza Żona czasami źle widzi, a czasami nie? — spytałam pewnego razu Yan Chang podczas wieczornej kąpieli.

— Ha, ona widzi tylko to, co jest doskonałością według Buddy — odrzekła. — Mówi, że na błędy jest ślepa. Przynajmniej na te najgorsze.

Zdaniem Yan Chang Pierwsza Żona postanowiła być ślepa na swoje nieudane małżeństwo. Połączono ją z Wu Jingiem w *tian di*, czyli związek Niebios i Ziemi, było to więc małżeństwo uświęcone, skojarzone przez swatkę, zgodne z wolą rodziców małżonka, związek, na którego straży stały duchy przodków, a mimo to po upływie roku przysłała w nim na świat dziewczynka z jedną nogą krótszą! To jakże okrutne nieszczęście stało się przyczyną nieustających wędrówek Pierwszej Żony po niezliczonych buddyjskich świątyniach. Ofiarowywała im hojne jałmużny, kazała szyć jedwabne szaty dla czcigodnych posągów Buddy, paliła przed nimi kadzidła — i błagała o cudowne wydłużenie za krótkiej nóżki. Budda jednakowoż postanowił inaczej: pobłogosławił ją drugą córką,

która nóżki miała idealnie równe, za to niestety! na całej połowie buzi szpetną brązowoherbacianą plamę. Po tym nieszczęściu Pierwsza Żona zaczęła odbywać tak już częste pielgrzymki do Qinanu, odległego od Tianjina o pół dnia drogi koleją na południe, że Wu Jing postanowił kupić jej tam dom położony między Skałą Buddy o Tysiącu Obliczach a Bambusowym Gajem Kipiących Źródeł. Rokrocznie zwiększał jej apanaże na utrzymanie domu, ona zaś dwa razy do roku

— w porze najostrzejszych chłodów oraz największego gorąca

— zjeżdżała do Tianjina złożyć mu swoje uszanowanie, zdecydowana oczywiście pozostać ślepa na panujące w jego domu obyczaje. Po całych dniach przesiadywała w swojej sypialni nieruchoma jak posąg Buddy, paląc opium i cicho coś do siebie mamrocząc. Nie schodziła do jadalni na wspólne posiłki, bo przeważnie pościła, a jeżeli już w ogóle coś jadła, to u siebie, i tylko to, czego nie zabraniał jej wegetarianizm. Wu Jing raz w tygodniu w porze przedpołudniowej składał jej półgodzinną wizytę, aby zapytać o zdrowie, a po wypiciu herbaty natychmiast grzecznie się oddalał. Nocą nie zdarzało mu się naprzykrzać swojej Pierwszej Żonie.

Czy ten duch, czy to widmo kobiety mogło w jakikolwiek sposób zaszkodzić mojej matce? Wydawałoby się, że nie, a jednak... Bo stało się tak, że to właśnie Pierwsza Żona mimo woli podsunęła jej pewien pomysł... Przekonana, że dość się już nacierpiała i że coś jej się za to należy, uznała, że i ona powinna mieć dom jak Pierwsza Żona. O, niekoniecznie w Qinanie, ale na przykład w położonym dalej na wschód Beidaihe, małym, lecz niezwykle uroczym morskim uzdrowisku, pełnym ukwieconych tarasów, pięknych ogrodów, jak również bogatych wdów.

— Zamieszkamy we własnym domu! — oznajmiła mi radośnie tego akurat dnia, kiedy w całym ogrodzie zrobiło się białe od śniegu. Miała na sobie nową bramowaną futrem suknię w jasnoturkusowym odcieniu piór zimorodka. — Nie będzie to oczywiście dom taki duży jak ten. Wystarczy nam całkiem malutki. Och, będziemy w nim same, tylko z Yan Chang i kilkorgiem służby! Wu Jing już mi to przyobiecał!

Z nadejściem najsroższych zimowych chłodów zaczęła doskwierać nam nuda — tak dzieciom, jak i dorosłym. Strach

było wyjść z domu. Mróz wlezie ci w skórę — ostrzegła Yan Chang — i rozpęknie się ona na tysiąc kawałeczków. Reszta służby też co dzień przynosiła z miasta przerażające wieści: rano nie można otworzyć tylnych wejść do magazynów, bo na gankach leżą stosy zamrożonych żebraków! Nie da się nawet rozróżnić, czy to mężczyźni, czy kobiety, bo ich ciała skute są grubym pancerzem zmrożonego śniegu.

Siedziałyśmy więc w domu, próbując wymyślać sobie rozrywki. Moja matka przeglądała zagraniczne żurnale, a gdy wpadł jej w oko jakiś model, wycinała zdjęcie i schodziła na dół podyskutować ze szwaczką, czy nie da się uszyć takiej sukni z możliwych do zdobycia materiałów?

Ja mogłam bawić się z córkami Trzeciej Żony, jednak bardzo tego nie lubiłam; te dziewczyny były tak samo nudne i potulne jak ich matka. Wszystko, czego trzeba im było do szczęścia, to tkwić całymi dniami w oknie i po prostu gapić się na słońce. O nie! O wiele lepiej było mieć za towarzyszkę Yan Chang i piec z nią sobie kasztany na rozpalonym *huolu*. Jedząc te słodkiutkie kuleczki, które parzyły nam palce, chichotałyśmy jak najęte i z zapalem oddawały się plotkom — jakże by inaczej? Zegar co godzina wtórował nam swoim „klang”, po którym rozbrzmiewała wciąż ta sama muzyczka. Pewnego razu Yan Chang zaczęła bardzo śmiesznie naśladować śpiewaczkę z klasycznego dramatu muzycznego, okropnie przy tym fałszując. Śmiałyśmy się obie tym głośniejszy, że przypomniało nam to zaraz miniony wieczór: wszyscy zgromadzili się w salonie, by posłuchać śpiewu Drugiej Żony. Ach, cóż to był za występ! Drżący głos śpiewaczki brzmiał jak miauczenie kota, a jej palce raz po raz potykały się o jedyne trzy struny lutni. Słuchacze cierpieli męki, póki Wu Jing nie położył kresu tym katuszom — zasypiając na swoim krześle. Yan Chang pośmiała się jeszcze trochę z tego nieudanego popisu Drugiej Żony, a potem opowiedziała mi jej historię:

— Przed dwudziestu laty była ona słynną pieśniarką, znaną w całej powincji Shandong. Miała nawet pewną pozycję, cieszyła się bowiem szczególnym uznaniem żonatych panów, częstych bywalców miejskich herbaciarni. Urodziwa to ona nie była, za to sprytu jej nie brakowało! O, nikt tak jak ona nie umiał uwodzić mężczyzn! Mówię ci, istna czarodziejka! Grała na kilku instrumentach, a jak stylowo śpiewała

starodawne pieśni! Trafiwały słuchaczy prosto w serce, a w dodatku śpiewaczka umiała tak wdzięcznie dotknąć paluszkami policzka, tak wytwornie skrzyżować swoje małe stopy!

Kiedy Wu Jing zaproponował tej uwodzicielce, aby została jego konkubina, zrobił to nie z miłości, ale żeby podnieść swój prestiż, jako jedyny właściciel tego, o co dobijało się tylu mężczyzn. Ona najpierw zasięgnęła języka, a dowiedziawszy się o jego nieprawdopodobnym bogactwie i o tym, że Pierwsza Żona jest osobą dającą sobą powodować — przystała na jego propozycję.

Od razu też położyła rękę na jego pieniądzech. Jak? Ano spostrzegła, że Wu Jing strasznie boi się duchów, a odkryła to widząc, jak błędnie na byle szelest. O, umiała to wykorzystać. Każdy wie, że gdy kobieta chce zerwać więzy małżeńskie albo zemścić się na małżonku, ma na to tylko jeden sposób — popełnić samobójstwo. Wraca wtedy do domu jako duch i rozsypuje herbatę, a wiadomo, że to koniec fortuny!

Dlatego kiedy Wu Jing nie chciał jej podwyższyć pensji, Druga Żona udą, że popełnia samobójstwo: zjadła kawłek nie oczyszczonego opium — tyle, żeby się rozchorować — a Wu Jinga kazała zawiadomić, że umiera. Po trzech dniach dostała więcej pieniędzy, niż prosiła.

Odgrywała takie komedie mnóstwo razy. My, służba, zaczęliśmy podejrzewać, że już nawet nie chce jej się jeść opium — po co? I bez tego jest doskonałą aktorką! Dostała tym sposobem najlepszy pokój, potem wyludziła riksę, w końcu dom dla swych wiekowych rodziców, a także dużo pieniędzy dla rozmaitych świątyni. O, nakupiła sobie ona tych błogosławieństw!

Miała wszystko z wyjątkiem jednego: dzieci, a znając dobrze Wu Jinga, wiedziała, że wkrótce zacznie dopominać się o syna. Bo tylko syn, odprawiając tradycyjne rytuały ku czci przodków, zapewnia nieśmiertelność duchowi ojca. Dlatego wyprzedzając nieuniknione wymówki Wu Jinga, że nie rodzi mu synów, oznajmiła któregoś dnia: „Znalazłam ci już konkubinę odpowiednią na matkę twoich męskich potomków. Z samego jej zachowania widać, że jest dziewicą.” Była to szczerza prawda. Wiesz, jaka brzydka jest Trzecia Żona! Żeby chociaż stopy miała małe — i to nie!

Trzecia Żona, bezgranicznie wdzięczna tej, którą uważała za swą dobrodziejkę, nie spierała się naturalnie o to, kto ma zarządzać domem. Tak więc Druga Żona, która gdyby tak postanowiła, nie musiałaby nawet ruszać palcem, sama trzyma wszystko w garści — pilnuje zakupów żywności i innych domowych dostaw, dogląda wynajmu służby, decydując o tym, kogo przyjąć, a przed świętami ona wysyła zaproszenia wybranym przez siebie krewnym. Ha! Znalazła nawet mamki dla każdej z córek Wu Jinga urodzonych przez Trzecią Żonę. A potem kiedy Wu Jing znów zaczął domagać się syna i tracić zbyt dużo pieniędzy w herbaciarniach to w tym, to w innym mieście, tak wszystko ułożyła, żeby jego trzecią konkubina i czwartą żoną została twoja matka.

Yan Chang opowiedziała tę historię tak żywo, z tak wielką swadą, że gdy skończyła, zaczęłam jej bić brawo. Spryciara! Wiedziała, w którym miejscu skończyć! Zapadło na chwilę milczenie przerywane tylko trzaskiem pękających kasztanów. W końcu nie wytrzymałam.

— W jaki sposób Druga Żona nakłoniła moją matkę do poślubienia Wu Jinga? — spytałam nieśmiało.

— To nie dla ciebie. Dzieci takich rzeczy nie rozumieją — skarciła mnie Yan Chang.

Posłusznie wbiłam oczy w ziemię i zaniemówiłam, ale... ale w domu było tak cicho, a ona tak bardzo chciała znów usłyszeć swój głos!

— Twojej matki — powiedziała jakby do siebie — szkoda dla tej rodziny. Zasługuje na coś lepszego.

Pięć lat temu — podjęła przerwany wątek — w rok po śmierci twojego ojca wybrałyśmy się do Hangzhou odwiedzić Pagodę Sześciu Harmonii nad rzeką Cuantang. Twój ojciec, powszechnie szanowany uczonec, był człowiekiem wielce oddanym czczonym w owej świątyni sześciu cnotom, więc i twoja matka postanowiła pokłonić się Buddzie, ślubując przestrzegać harmonii ciała, myśli i mowy, nikomu nie szkodzić, powstrzymywać się od wydawania sądów, jako też stronić od bogactw. W drodze powrotnej miejsca naprzeciwko nas w łodzi zajęła para nieznajomych. Byli to Wu Jing i Druga Żona.

On musiał od razu zauważyć urodę mojej pani! Miała wtedy włosy długie do pasa, upięte w kok. A ta olśniewająca cera w niezwykłym, wprost niespotykanym różowym od-

cieniu! O tak, była bardzo, bardzo piękna nawet w tych wdowich szatach. Niestety, wdowieństwo z różnych względów odbierało jej całą wartość. No, a przede wszystkim twojej matce nie wolno było powtórnie wyjść za mąż.

Myślisz, że zraziło to Drugą Żonę? Skądże! Póty się głowiła, aż wykombinowała sposób... Nie mogła już spokojnie patrzeć, jak Wu Jing szasta pieniędzmi w domach publicznych. Wystarczyłoby tego na utrzymanie pięciu nowych żon! Pilno jej było ukrócić te jego wypadki, a jak najlepiej okiełznać lubieżny apetyt męża? Podsunać mu w domu smaczny kęs. I tak w porozumieniu z Wu Jिंगiem uknuła spisek: postanowiła podstępem zwabić do jego łóżka twoją matkę.

Wciągnęła moją panią w pogawędkę, podczas której udało jej się dowiedzieć, że wybieramy się nazajutrz do Klasztoru Poskromienia Ducha, więc oczywiście i ona się tam zjawiła. Po kolejnej miłej rozmowie zaprosiła twoją matkę na obiad, a że ta spragniona była dobrego towarzystwa, przyjęła to zaproszenie z przyjemnością. „Czy grasz w madżonga? — zapytała po obiedzie Druga Żona. — Nie szkodzi, jeżeli nawet grasz kiepsko. Mamy wielką ochotę zabawić się przy stole, a zabrakło nam niestety czwartego partnera. Zrób mi, bardzo proszę, tę przyjemność i zechciej łaskawie odwiedzić nas jutro wieczorem.”

Następnego dnia gra przeciągnęła się do późna. Druga Żona, ziewając, jeła namawiać twoją matkę, żeby została u nich na noc. „Zostań, zostań, daj spokój tym uprzejmościom. Wcale nam nie sprawisz kłopotu, a jeżeli już, to raczej przez tę nadmierną grzeczność. Po co budzić chłopca od rikszy? Spójrz na moje łóżko! Doskonale zmieścimy się w nim obie!”

Kiedy twoja matka mocno zasnęła, Druga Żona wymknęła się po ciemku, a jej miejsce zajął Wu Jing. Moja pani zbudziła się nagle, bo poczuła na sobie czyjeś ręce — gmerały jej pod bielizną — a rozpoznając Wu Jinga, jednym susem wyskoczyła z łóżka. Ale on chwycił ją za włosy i rzucił na podłogę, a potem postawił jej nogę na gardle i kazał się rozbierać. Nawet nie wydała głosu, kiedy się na nią zwałił.

O świcie odjechała z tego domu wynajętą rikszą — z włosami w nieładzie i twarzą zalaną łzami. Nikomu poza mną jedną nie powiedziała, co ją spotkało. To Druga Żona zaczęła rozpowiadać wszem i wobec o pewnej bezwstydney wdowie,

która uwiodła jej męża, pakując mu się do łóżka. Cóż mogła zrobić twoja matka? Zarzucić kłamstwo tak bogatej osobie? Któż by uwierzył nic nie znaczącej wdowie!

W niedługi czas potem Wu Jing złożył jej propozycję: niech zostanie jego trzecią konkubina, niech urodzi mu syna, którego on tak bardzo pragnie! Zgodziła się na to, bo nie miała innego wyjścia. W oczach ludzi stała się już kobietą upadłą, traktowali ją jak prostytutkę. A kiedy przyjechała do domu swojego brata i kłaniając mu się w pas trzy razy, chciała się z nim pożegnać, on wymierzył jej kopniaka, a własna matka kazała jej zabierać się precz! Dlatego tak długo jej nie widywałeś... aż do śmierci twojej babki. Zamieszkała w Tianji-nie, by ukryć swoją hańbę pod Wu Jingowym bogactwem. A w trzy lata później urodziła syna, którego przywłaszczyła sobie Druga Żona. I w taki to sposób ja również zamieszkałam w tym domu — zakończyła z pewną dumą Yan Chang.

A ja w taki oto sposób dowiedziałam się o tym, że malutki Xiaodi jest rodzonym synkiem mojej matki i moim najmłodszym braciszkiem.

Źle się stało doprawdy, że Yan Chang dała mi poznać całą historię mojej matki. Dzieci nie powinny wiedzieć takich rzeczy. Lepiej już ukrywać przed nimi niektóre sekrety. Po to kładzie się na garnku pokrywkę, żeby zupa nie wykypiała. Bo jak wykipi, może wyjść na jaw zbyt dużo bolesnej prawdy.

Opowieść Yan Chang otworzyła mi oczy. Zaczęły docierać do mnie sprawy, których przedtem nie rozumiałam. O, a przede wszystkim poznałam prawdziwą naturę tej kobiety — Drugiej Żony.

Zrozumiałam teraz, dlaczego daje Piątej Żonie tyle pieniędzy i zachęca tę głupią dziewczuchę, by jak najczęściej odwiedzała swoją ubogą wioskę. „Pokaż znajomym i rodzinie, jaka jesteś bogata!” Oczywiście! Bo im częstsze były te wizyty, tym dokładniej przypominały Wu Jingowi o niskim pochodzeniu jego piątej żony, i o tym, jaką niewybaczalną głupotą było dać się złapać na jej wulgarną cielesność.

Widziałam, jak ta kobieta potrafi bić pokłony przed Pierwszą Żoną, a równocześnie podsuwać jej coraz więcej opium. Stało się dla mnie jasne, jaki to demon wysał wszystkie soki żywotne z pierwszej małżonki Wu Jinga.

Widziałam przerażenie Trzeciej Żony karmionej opowieściami o nędznym losie podstarzałych konkubin, kiedy boso i nago znajdują się pewnego dnia na ulicy... Wcale się już nie dziwiłam, że ta rozpaczliwie zabiega o zdrowie i dobry humor pani swego życia i śmierci.

Widziałam, jak okrutnie cierpi moja matka, kiedy tamta, huśtając Xiaodiego na kolanach, zaczyna obcałowywać to niktzemnie wydarte jej dziecko: „Póki ja będę twoją matką, nigdy nie zaznasz ubóstwa. Nie dosięgnie cię żadna niedola. Dorośniesz, staniesz się panem tego domu, a mnie na stare lata otoczysz czcią i opieką”.

Wiedziałam też, dlaczego moja matka ostatnio tak często płacze w samotności. Obietnica Wu Jinga, że ofiaruje jej dom w nagrodę za wydanie na świat jego jedyne go syna, ulotniła się z wiatrem. A stało się to w chwili, gdy Druga Żona sfingowała kolejne samobójstwo, by i z tej próby sił wyjść zwycięsko. Matka zdała sobie wtedy sprawę, że nie ma już żadnych szans na powtórne uzyskanie takiej obietnicy.

Ja sama też zaczęłam cierpieć, od chwili gdy Yan Chang wyjawiała mi prawdę. Ach, jakże pragnęłam, żeby matka otworzyła usta, żeby krzyknęła na Wu Jinga, na Drugą Żonę! Niech by skrzyczała i Yan Chang, że źle zrobiła, opowiadając mi to wszystko. Niestety, nawet i do tego nie miała prawa. Była w sytuacji bez wyjścia.

Na dwa dni przed księżycowym Nowym Rokiem Yan Chang obudziła mnie gwałtownie, choć za oknem było jeszcze ciemno.

— Szybko! — krzyknęła, pociągając mnie za sobą. Byłam półprzytomna, każde moje oko patrzyło z osobna.

W pokoju matki było tak jasno, paliło się tyle świateł... Oprzytomniałam. Już od progu zobaczyłam, że dzieje się z nią coś złego. Podbiegłam i stanęłam w nogach łóżka. Leżała na plecach, poruszając rękami i nogami jak żołnierz maszerujący donikąd... głowa jej obracała się miarowo raz w jedną, raz w drugą stronę... Tak minęła chwila. Ciało mojej matki wyprężyło się nagle i zeszywniało, jak gdyby z całych sił starała się z niego wyrwać. Zaczęła gwałtownie kaszleć, usiłując wypluć z otwartych ust olbrzymi, obrzmiały język.

— Obudź się, mamó! — wyszeptałam. Zobaczyłam teraz, że są tu wszyscy: Wu Jing, Yan Chang, Druga Żona, Trzecia Żona, Piąta Żona, lekarz.

— Ona najadła się opium! — załkała Yan Chang. — Lekarz mówi, że nic już nie może zrobić! Twoja matka zażyła śmiertelną truciznę!

Nie robili więc nic — czekali... ja też... tyle, tyle godzin.

Ciszę przerywała tylko ta głupia muzyczka z zegara. Chciałam krzyknąć, uciszyć te bezsensowne dźwięki — i milczałam.

A moja matka wciąż odbywała ten swój ostatni marsz... O, gdybym знаła słowa, które przyniosłyby spokój jej udreżonemu ciału i duszy! Nie znałam takich słów, więc stałam przy niej wraz z innymi — patrząc, czekając i milcząc.

I wtedy przypomniałam sobie tę opowieść o żółwiu, o tym, że nie wolno płakać. Nie wolno? Pragnęłam krzyknąć do matki, że to niemożliwe, bo tych łez jest za dużo! Próbowałam łykać jedną po drugiej — na nic, za szybko ich przybywało. W końcu tak już napały na moje zaciśnięte wargi, że chcąc nie chcąc musiałam je otworzyć i wybuchnęłam płaczem. Płakałam, zanosiłam się od tego płaczu, milkłam i znów płakałam, pozwalając wszystkim tym ludziom żywić się moimi łzami.

Zemdlałam w końcu z żalu i rozpaczy, zaniecono mnie więc znowu do łóżka Yan Chang. Rankiem, gdy moja matka umierała, mnie przyśnił się ten oto sen:

Spadałam z jakiejś wielkiej wysokości, chyba z samego nieba, i nagle znalazłam się w stawie. Gdy woda zamknęła mi się nad głową, stałam się małym żółwiem przycupniętym na dnie swojej podwodnej norki. Nad sobą widziałam zanurzone w stawie dzioby tysiąca srok. Piły wodę, aż pęczniały im śnieżnobiałe brzuszki, i śpiewały, śpiewały swoją pieśń radości. Płakałam z całych sił, ale one wciąż piły i było ich tyle, że w końcu zabrakło mi łez, a staw wysechł do ostatniej kropli. I nie było już nic, tylko piasek.

Yang Chang powiedziała mi później, że moja matka za namową Drugiej Żony chciała tylko udąć samobójstwo. Nic podobnego! Kłamstwo! Moja matka nigdy by nie posłuchała tej kobiety! Za dużo zadała jej bólu!

Ja wiem, jak to było naprawdę. Posłuchała własnego serca — ono miało już dość udawania. Jestem tego pewna, bo czy gdyby było inaczej, umarłaby akurat na dwa dni przed księżycowym Nowym Rokiem? Wiem, że śmierć swoją zaplanowała z rozmysłem, tak by stała się ona jej bronią.

Trzy dni przed Nowym Rokiem, pamiętam, jadła *yuan-xiao*¹. Nie było w tym nic dziwnego — tradycja nakazuje jeść tę potrawę przed świętem. Tylko że matka wrzucała je do ust tak jakoś prędko... No i dziwne było to, co powiedziała: „Popatrz, jakie jest to nasze życie! Nigdy w nim nie dość goryczy!” Tak, teraz wiem. Jej *yuanxiao* nafaszerowane były jakąś gorką trucizną, a nie smażonym w cukrze ziarnem, ani też przynoszącym tępą błogość opium, jak sądziła Yan Chang i pozostali. A kiedy już ta trucizna wniknęła w jej ciało, znów wypowiedziała szeptem dziwne słowa, że chętnie uśmierci własną duszę, która i tak jest słaba, byleby mój duch nabrał mocy.

Trucizna przez swoją lepkość przywarła do ciała mojej matki i żadnym sposobem nie udało się jej usunąć. Umarła na dwa dni przed Nowym Rokiem. Położyli ją w hallu na drewnianych marach, ubraną w szaty daleko bogatsze od tych, które nosiła za życia. Nie dali jej ciężkiego futranego płaszcza, tylko jedwabną bieliznę — żeby jej było ciepło... Jedwabna suknia uszyta została złotymi nićmi. Głowę matki ozdobił stroik ze złota, jadesztów i lapis lazuli, stopy jej wsunięto w mięciutkie sandały o podeszwach z najdelikatniejszej skórki, a do dużych palców przymocowano dwie ogromne perły, by ułatwić jej drogę do nirwany.

Tak widziałam ją po raz ostatni. Rzuciłam się na jej martwe ciało, a ona powoli otworzyła oczy. Nie zlekłam się ani trochę. Wiedziałam, że chce na mnie spojrzeć, chce, żebym zrozumiała, dlaczego to zrobiła. Własną ręką zamknęłam jej oczy. Znam prawdę — wyszeptałam do niej w myślach. — I jestem silna.

Wiedziałam, co teraz nastąpi — ona też. W trzecim dniu po śmierci dusza zmarłego powraca wyrównać rachunki. W przy-

¹*Yuanxiao* — pyzy z kleistego ryżu ze słodkim nadzieniem. Tradycyjnie spożywa się je piętnastego dnia nowego roku księżycowego, nigdy przed nowym rokiem.

padku mojej matki stanie się to w pierwszym dniu księżycowego Nowego Roku. W tym dniu każdy dłużnik musi spłacić wszystko co do grosza, inaczej czekają go same nieszczęścia i klęski.²

W tym to dniu Wu Jing, zdjęty strachem przed mściwym duchem mojej matki, przywdział żałobne szaty z białego surowego płótna, po czym gnąc się w pokłonach, złożył uroczystą przysięgę, że uzna Xiaodiego i mnie za swe prawowite dzieci, że zapewni nam wychowanie i przyszłość należne swoim spadkobiercom. Ją zaś, moją matkę, przyrzekł czcić w sposób przysługujący pierwszej żonie, i to tak, jakby była ona jedyną jego małżonką.

Tego dnia stanęłam przed Drugą Żoną, trzymając w ręku naszyjnik z fałszywych pereł, po czym na jej oczach rozgniotłam go butem.

Tego dnia włosy Drugiej Żony zaczęły siwieć.

Tego też dnia nauczyłam się krzyczeć.

Wiem, co to znaczy przeżywać życie jak we śnie. Wiem, jak to jest wciąż tylko słuchać i patrzeć, a potem zbudzić się z tego snu i próbować zrozumieć to wszystko, co się już stało...

Do tego, by zrozumieć, nie trzeba psychiatry. Psychiatra zresztą wcale nie chce budzić pacjenta. Pośpij sobie jeszcze, poszukaj stawu, żebyś miał do czego ronić łzy. Psychiatra to też taki ptak, co żywi się ludzkim bólem.

Moja matka... tak, ona naprawdę cierpiała. Straciła twarz i usiłowała hańbę tę ukryć, cóż, kiedy przez to wpadła tylko w jeszcze większe nieszczęście i tego już w końcu ukryć się nie dało. Że trudno to zrozumieć? A cóż tu jeszcze jest do rozumienia? Takie były Chiny. Tamtejsi ludzie tak wtedy postępowali. Nie mieli innego wyjścia. Nikt ich nie nauczył mówić pełnym głosem. Nie umieli przed niczym uciec. Przyjmowali swój los — i koniec.

²Zgodnie z tradycyjnym zwyczajem dłużnik musi spłacić diugi na trzy dni przed nowym rokiem księżycowym.

Teraz dopiero mogą żyć inaczej. Nie muszą już łykać własnych łez ani słuchać urągliwego śmiechu srok. Wiem, bo czytałam o tym w prasie. Przysłano mi z Chin ten tygodnik.

Pisano, że ptaki od paru tysięcy lat znęcały się nad chińskim chłopem. Całe ich stada zlatywały się na pola patrzeć, jak człowiek zgina grzbiet, jak z mozołem ryje twardą ziemię, jak leje łzy w bruzdę, by napoić nimi ziarno. Wystarczyło, że się wyprostował, a one już spadały z góry jak kamienie, aby pić jego łzy i wyjadać te świeżo zasadzone nasiona. A tymczasem dzieci marły z głodu.

Aż któregoś dnia wszyscy ci zmordowani wieśniacy — jak Chiny długie i szerokie — powychodzili na pola i patrząc na żerujące ptaki, postanowili wspólnie: „Dosyć krzywd! Dosyć milczenia!” Zaczęli klaskać w dłonie, łomotać w garnki i krzyczeć: „*Si! Si! Si!* — Śmierć! Śmierć! Śmierć!”

Ptaki, spłoszone i zbite z tropu tym nowym dla nich ludzkim gniewem, uniosły się w powietrze i czekały, łopocząc czarnymi skrzydłami. Krążyły niziutko nad głowami ludzi i czekały, aż hałas ustanie. Nic z tego! Okrzyki nabierały mocy, dźwięczał w nich gniew coraz większy. A ptakom — kiedy tak nie mogły nigdzie wylądować ani się najeść — z każdą chwilą ubywało sił. Trwało to wiele godzin i wiele dni, póki setkami, tysiącami — w końcu były to już miliony ptaków! — nie opadły na ziemię jak martwe liście. Nie uchwalił się ani jeden — niebo nad głowami ludzi było czyste.

Ciekawe, co by powiedział jakiś uczony psychiatra, gdybym tak mu się przyznała, że czytając ten artykuł, krzyknęłam z radości!

Ying-ying Saint Clair
CZEKAJĄC WŚRÓD DRZEW

Moja córka wpakowała mnie do klitki — najmniejszego pokoiku w jej nowo nabytym domu.

— Pokój gościnny — oznajmiła tym swoim amerykańsko-zarozumiałym tonem. Uśmiechnęłam się na to. Według chińskich pojęć pokój gościnny to najlepsza sypialnia — a więc ta, którą na co dzień zajmują mąż i żona. Nie, ja jej tego nie powiem. Jest przecież wszechwiedząca. Jej mądrość przypomina staw, w którym nie zgłębisz dna: rzuć kamieniem, to zatonie w ciemności i zniknie. Kiedy potem spojrzysz na człowieka, jej wzrok odbija tylko pustkę.

Myślę tak o niej w duchu, chociaż przecież kocham moją Lenę. Był czas, kiedy dzieliłyśmy to samo ciało. Jakaś część jej umysłu należy też i do mnie. Tak, ale już od chwili urodzenia, kiedy to wysliznęła się ze mnie jak ryba i natychmiast zaczęła sama pływać, od tej chwili wciąż się ode mnie oddala. Przez całe jej życie patrzę na nią jak gdyby z drugiego brzegu. Teraz muszę z tym skończyć. Muszę wyjawić jej prawdę o całej mojej przeszłości. Tylko tym sposobem mam szansę przebić jej się przez skórę, zaciągnąć w takie miejsce, gdzie można ją będzie ocalić.

Ten pokój ma ukośny sufit, co opada jak skarpa tuż nad moim łóżkiem. A te ściany! Zamykają się nad człowiekiem niczym wieko trumny! Muszę ostrzec Lenę, że nie wolno jej tu umieszczać małych dzieci. Ach, i tak to do niej nie dotrze. Zapowiedziała już zresztą, że ona sama w żadnym razie nie chce mieć dzieci. Są za bardzo zajęci oboje z mężem. Czym? Ano rysowaniem tych domów, które będzie budował ktoś inny,

a zamieszka w nich ktoś jeszcze inny. Jak się nazywa po amerykańsku to, co oni robią, ten ich zawód? Nie umiem wymówić tego słowa, ale to brzydkie słowo.

„A r k i t e k t y” — powiedziałam kiedyś w rozmowie z bratową.

Słyszac to, moja córka parsknęła śmiechem. Za rzadko dostawała po buzi za brak szacunku dla starszych. Teraz już na to za późno. Teraz ja od niej dostaję pieniądze — od niej i od jej męża. Mówią, że to dopłata do tych paru groszy, co je mam z ubezpieczenia. Dlatego kiedy czasem zaczyna mnie świerzbić ręka, muszę tę chęć powściągnąć i jeszcze głęboko ją ukryć.

Co to za sens rysować luksusowe domy, a samemu mieszkać w czymś takim, co się do niczego nie nadaje? Co z tego, że moja córka ma pieniądze, kiedy w tym jej domu wszystko jest tylko na pokaz? Żeby to przynajmniej było na co patrzeć! No chociażby ten stolik: ciężki, prostokątny marmur na takich chudziutkich nóżkach! Blat biały, nogi czarne. Trzeba ciągle pamiętać, żeby nie postawić na nim nawet cięższej torby, bo się rozleci. Jedyne, co tu może stać, to ten wysoki czarny wazon. Też wygląda jak pajęcza nóżka, a taki jest wąski, że da się do niego wcisnąć jeden jedyny kwiatek. Potrącić stolik, to się to wszystko przewróci.

Wszędzie dookoła widzę tu same złe znaki. A moja córka ich nie dostrzega. Ona patrzy, ale nie widzi. Przecież ten dom już niedługo rozleci się na kawałki! Skąd to wiem? Bo widzę rzeczy, które mają się dopiero zdarzyć. Tak było zawsze.

Za czasów mego dzieciństwa, kiedy mieszkałam w Wuxi, byłam *lihai* — niedobra i uparta. Nosłam na twarzy głupi uśmiezek, ale w głębi duszy wiedziałam: stać mnie na więcej, niżli tylko na to, żeby słuchać. Byłam drobna i ładna, miałam maleńkie stopy. Z ich powodu rozpierała mnie próżność. Wystarczyło mi zakurzyć obuwie, a już wyrzucałam je na śmietnik. Nosłam tylko drogie zagraniczne buciki z cielęcej skóry na podwyższonym obcasie. Zdarłam mnóstwo takich par butów i pończoch, uganiając się po kocich łbach naszego dziedzińca.

Lubiłam rozplatać warkocze i chodzić z rozpuszczonymi włosami. Matka nie mogła patrzeć na te moje poplątane strąki.

— *Ajja!* Ying-ying — zaczynała mnie strofować — wyglądasz jak te topielice z jeziora!

Kobiety, o których mówiła, utopiły ongiś w jeziorze swą hańbę, a teraz miały zwyczaj snuć się z rozwianym włosom po różnych domach, ukazując żywym ku przestrodze swą wiekuiłą rozpacz. Matka lamentowała, że tak pewno będzie i ze mną, że i ja przyniosę memu domowi hańbę, ale co tam! Kiedy usiłowała pospinać mi włosy kilkoma długimi szpilkami, chichotałam — i tyle. Za bardzo mnie kochała, żeby się długo gniewać. Czyż nie byłam taka sama jak ona? Czyż nie dlatego nadała mi imię „Ying-ying” — „Lustrzane odbicie”?

Nasza rodzina była jedną z najbogatszych w Wuxi. Mieliśmy mnóstwo pokoi zastawionych mnóstwem ogromnych stołów z masywnego drzewa. Na każdym stało nefrytowe puzderko z taką samą, szczelnie dopasowaną pokrywką — znajdowały się w nich papierosy. Były to angielskie papierosy bez filtra, zawsze w odpowiedniej ilości — nie za dużo, nie za mało. Nefrytowe puzderka świetnie się nadawały do przechowywania takich akurat papierosów. Wtedy nie poświęcałam im żadnej myśli — ot, jakieś tam rupiecie. Pewnego razu zwędziłam wraz z braćmi jedno takie puzderko. Pozbyliśmy się papierosów, wysypując je na ulicę, a sami pobiegliśmy nad wielką dziurę, kędy dołem płynęła woda. Przysiedliśmy w kucki razem z gromadą dzieciaków żyjących przy tym rynsztoku — i zaczęliśmy się bawić. Puzderko posłużyło nam do czerpania brudnej wody; spodziewaliśmy się złowić w niej rybę albo znaleźć zatopione skarby. Nic nie znaleźliśmy, tyle że umorusani od stóp do głów błotem przestaliśmy się różnić od naszych towarzyszy — biednych, bezdomnych uliczników.

W naszym domu było wiele kosztowności — jedwabne narzuty, klejnoty, rzadka porcelana, rzeźbione drobiazgi z kości słoniowej — ale gdy zaczynam o nich myśleć — choć zdarza się to nieczęsto — zawsze wspominam to właśnie nefrytowe puzderko. Dlaczego? Może dlatego, że trzymałam w ręku prawdziwy skarb — to nic, że oblepiony szlamem! — a nie miałam o tym pojęcia!

Z domem moich rodziców wiąże się coś jeszcze, co też pamiętam tak wyraźnie. Mam szesnaście lat, jest wieczór, trwa

wesele mojej najmłodszej ciotki. Ona sama i jej świeżo poślubiony małżonek udali się już do swojej sypialni w głębi tego wielkiego domu w towarzystwie matki pana młodego i reszty jego rodziny.

Pamiętam, że liczne grono naszych przyjezdnych krewnych ociągało się jakoś z północnym wiatrem do łóżek. Zgromadzeni w głównym salonie przy ogromnym stole, śmiali się, chrupali orzeszki ziemne, obierali pomarańcze — i znowu wybuchali śmiechem. Był wśród nich pewien przybysz z innego miasta

— przyjaciel męża mojej ciotki. Był starszy od mego starszego brata, więc zwracałam się do niego „wujku”. Twarz miał zaczerwienioną od whisky.

— Ying-ying! — zawołał ochryple, podnosząc się z krzesła

— czy aby na pewno nie jesteś już głodna, hę? Może masz na coś ochotę?

Uśmiechnęłam się do wszystkich, dziękując za te specjalne względy. Myślałam, że „wujek” chce mnie poczęstować jakąś wyjątkową pysznością, bo sięgnął po coś do wielkiej torby. Może po słodzikach? On tymczasem wyjął wielkiego arbuza i tak mocno położył go na stole, że huknęło.

— *Kai gua?* Przebić? — zapytał, mierzając wielkim nożem w dojrzały owoc i nie czekając na odpowiedź, potężnym pchnięciem wbił go aż po rękojeść. Ryknął przy tym gromkim śmiechem i tak rozdziawił swe szerokie usta, że zobaczyłam z tyłu złote zęby. Biesiadnicy też śmiali się na całe gardło. Oblałam się rumieńcem. Było mi strasznie wstyd, że nie rozumiem, co budzi w nich taką wesołość.

Tak, to prawda. Mogłam być sobie zuchwała i rozhukana, ale byłam też niewinna i młodzieńczo naiwna. Nawet się nie domyślałam, co złego zrobił „wujek”, rozcinając tego arbuza. Zrozumiałam to dopiero w pół roku później, kiedy go poślubiłam, a on syknął pijanym szeptem „*kai gua*” i dodał, że jest gotowy.

Był to taki zły człowiek, że jeszcze dzisiaj nie mogę wymówić jego imienia. Dlaczego za niego wyszłam? Dlatego że w dzień po ślubie mojej najmłodszej ciotki to się u mnie zaczęło: zaczęłam widzieć wydarzenia, które miały dopiero nastąpić.

Większość krewniaków nazajutrz wyjechała, więc pod wieczór zrobiło się trochę nudno. Siedziałam z mymi dwiema

przyrodnimi siostrami przy tym samym ogromnym stole, zabijając czas piciem herbaty i zajadaniem prażonych pestek arbuza. One gawędziły z ożywieniem, ja ze znudzoną miną w milczeniu gryzłam pestki, układając z ich łupinek schludny stosik.

Jedynym marzeniem moich sióstr było wyjść za mąż za dwóch nic nie znaczących młodzieńców, nie bacząc na to, że należą oni do rodzin dużo gorszych niż nasza. Te dziewczyny nie umiały wysoko mierzyć. Były córkami konkubin mojego ojca, ja zaś dzieckiem jego małżonki.

— Ha, jego matka będzie cię traktować jak sługę! — fuknęła jedna z nich słysząc, kto jest wybrankiem drugiej.

— A wuj tego twojego to wariat — odpaliła natychmiast tamta. — Uważaj, to dziedziczne.

Wzajemne złośliwostki wkrótce im się znudziły, więc przypomniały sobie o mnie: kogóż to ja pragnę poślubić?

— Nie znam nikogo takiego — odparłam wyniośle.

Nie byłoby prawdą, gdybym powiedziała, że nie interesowali mnie chłopcy. O, umiałam zwracać na siebie uwagę, potrafiłam budzić podziw młodych mężczyzn! Byłam po prostu bardzo próżna, dlatego uważałam, że żaden z moich znajomych nie jest mnie godzien.

Odpowiadając siostróm, właśnie to miałam na myśli. Tylko że każdy człowiek ma w głowie myśli dwojakiego rodzaju. Te pierwsze to ziarna zasiane w nim przy urodzeniu przez ojca, matkę i wszystkich kolejnych przodków, drugie zaś to myśli wszczepione przez ludzi obcych. Może to te pestki arbuza, które akurat jadłam, przypomniały mi o minionym wieczorze i roześmianym mężczyźnie? Tak czy owak w tym momencie do pokoju wpadł raptowny podmuch północnego wiatru, który złamał stojący na stole kwiatek. Jego odłamana główka upadła mi do stóp.

Naprawdę tak było! Jakby ktoś odciął ją nożem, ażeby dać mi znak... Od razu zrozumiałam, że poślubię tego mężczyznę. Czy myśl ta wzbudziła we mnie radość? Nie. Tylko ogromne zdumienie: jak to się dzieje, że mam taką pewność?

Wkrótce jego imię zaczęło mi się obijać o uszy; wciąż ktoś je wymieniał — to ojciec, to wuj, to świeżo poślubiony mąż ciotki. A przy obiedzie wlewano mi je chyba do miseczki razem

z zupą. Wyszłam raz z domu i zobaczyłam go na podwórzu wuja: gapił się na mnie.

— Hu, hu, patrzcie na nią! — zawołał. — Wcale nie odwraca oczu! Już jest moja!

To prawda — nie odwracałam oczu, wołałam mocować się z nim wzrokiem. Słuchałam go z wysoko podniesionym nosem, bo brzydko pachniało mi to, co mówił: że ojciec pewno nie zechce dać mu takiego posagu, jakiego zażądał. Ach, tyle wysiłku wkładałam w to, żeby wyrzucić tego człowieka z myśli, że ani się spostrzegłam, kiedy wylądowałam z nim razem w małżeńskim łożu.

A mojej córce nawet się nie śni, że byłam już kiedyś zamężna. No, wszystko to działo się bardzo dawno — dwadzieścia lat przed jej urodzeniem.

Nie wie, jaka byłam piękna, o ileż ładniejsza od niej! Moja córka ma wielkie stopy jak wieśniaczka i do tego duży nos — jak jej ojciec.

Ja jeszcze dziś mam twarz bez zmarszczek, a figury mogłaby mi pozazdrościć niejedna dziewczyna. Tylko koło ust porobiły mi się bruzdy — to od tych przyklepanych uśmiechów. Najbardziej żal mi moich malutkich, tak kiedyś ślicznych stopek! Teraz są popuchnięte, pełno na nich jakichś zgrubień, a te pięty! Całe popękane. Oczy też... Kiedy miałam szesnaście lat, jakież były bystre, jakie paliły się w nich ogniki! A dziś? Pożółkły i przygasły.

Ale i tak wciąż jeszcze widzę wyraźnie prawie wszystko, co się zaś tyczy pamięci... Wspominanie jest jak spojrzenie w miseczkę pod koniec posiłku: zawsze coś się tam znajdzie. Jakieś ostatnie nie dojedzone ziarnko ryżu.

Było to popołudnie na jeziorze Tai wkrótce po naszym ślubie. Dlaczego tak je pamiętam? Bo wtedy pokochałam tego człowieka. Obrócił mnie twarzą ku zachodzącemu słońcu i gładząc pieszczotliwie po policzku, powiedział:

— Wiesz, Ying-ying, oczy masz jak tygrysica. Za dnia gromadzą płomień, by nocą lśnić złotem.

Wcale go nie wyśmiałam, chociaż był to po prostu kawałek znanego wiersza, a on wyrecytował go bardzo kiepsko. Zapłakałam z radości. Prawdziwej radości. Zalało mnie dziwne uczucie: jakby w sercu miało mi się coś żywego, co pragnie

wyrwać się z klatki i zarazem chce w niej pozostać. I tak uświadomiłam sobie, że kocham tego mężczyznę. Bardzo. Tak to jest, gdy łącząc z kimś swoje ciało, stajemy się z nim jednością. Wtedy też mimo woli opuszcza nas i jakaś część umysłu, by połączyć się z tą drugą osobą.

Nie poznawałam siebie, stałam się sobie obca. To dla niego chciałam być ładna. Włożyć pantofelki znaczyło wybrać takie, które spodobają się jemu. Co wieczór dziewięćdziesiąt dziewięć razy przeciągałam szczotką po włosach (sprowadza to błogosławieństwo w małżeńskie łóżce) z nadzieją, że pocznę jego syna.

Już tej nocy, kiedy zasiał we mnie nasienie — od razu o tym wiedziałam, w tej samej chwili. To chłopiec! Dokładnie widziałam w swoim łonie jego maleńkie ciało. Miał duże, szeroko rozstawione oczy mojego męża, długie stożkowate paluszki, mięsiste płatki uszne i gładkie, lśniące włoski, wyrastające wysoko nad szerokim czołem.

To dlatego, że taką przeżywałam radość, ogarnęła mnie później tak wielka nienawiść. Ale nawet już wtedy, pośród największego szczęścia, zaczął drążyć mnie jakiś niepokój. Czułam go w głowie nad okiem, tam gdzie rodzą się myśli. Łał się on kropelkami do serca, tam gdzie powstają przecucia, które bardzo szybko okazują się prawdą.

Mój mąż zaczął często podróżować na północ — mówił, że w interesach. Zdarzało się tak i zaraz po ślubie, ale w miarę jak dziecko rosło w moim łonie, podróże te stawały się coraz dłuższe. Pamiętając, że północny wiatr przynosi szczęście — czyż nie przywiał męża na mą ścieżkę? — zawsze, nawet w najchłodniejsze noce na oścież otwierałam okna sypialni. Niechaj wiatr przyniesie mi znów jego duszę i serce.

Nie wiedziałam, niestety, że wiatr z północy jest też najzimniejszym z wiatrów. Że przenika do serca i pozbawia je ciepła. Ten wiatr nabrał któregoś dnia takiej mocy, że nie tylko przeniósł mego małżonka obok drzwi naszej sypialni, ale go wywiał na zewnątrz. Tylnymi drzwiami. Dowiedziałam się od najmłodszej ciotki, że porzucił mnie dla jakiejś śpiewaczki. Występowała w dramatach muzycznych.

Później jednak, kiedy już zdusiłam w sobie żal, gdy nie pozostało we mnie już nic poza nienawiścią i wstrętem, ta sama ciotka powiedziała mi o innych. Tancerki, Amerykanki,

prostytutki. Jakaś moja kuzynka, jeszcze młodsza ode mnie. Wyjechała potajemnie do Hongkongu zaraz po zniknięciu mego męża.

No cóż, opowiem Lenie o tej swojej hańbie. Że byłam kiedyś bogata i piękna. Że żaden mężczyzna nie był mnie godzien, a potem znalazł się taki, co uczynił ze mnie wybrakowany towar. Opowiem jej, jak to w wieku lat osiemnastu spłynęła ze mnie cała uroda. Myślałam o rzuceniu się do jeziora za przykładem tamtych zhańbionych kobiet, które nie mogły znieść wstydu. Opowiem jej też o dziecku, które zabiłam z nienawiści do jego ojca.

Wydarłam je z łona, zanim zdążyło się narodzić. W Chinach takie rzeczy były wtedy dozwolone, ja jednak wiedziałam, że to, co robię, jest złe. Kiedy wyciekało ze mnie życie mego dziecka, pierwородnego syna tego człowieka, wezbrało we mnie straszne uczucie: całą sobą doznawałam smaku zemsty.

W odpowiedzi na pytanie pielęgniarek, co zrobić z nieżywym dzieckiem, cisnęłam w nie gazetą. Niech je zapakują jak rybę, a potem wrzucą do jeziora. A moja córka myśli, że ja nie wiem, co to znaczy nie chcieć dziecka!

Dla Leny jestem tylko malutką starszą panią, bo ona widzi mnie od zewnątrz. Nie ma tego, co po chińsku nazywa się *chuming* — umiejętności postrzegania istoty rzeczy. Gdyby naprawdę umiała patrzeć, zobaczyłaby tygrysicę. I miałyby się na baczności.

Przyszłam na świat w roku Tygrysa. Chociaż bardzo niedobrze było urodzić się w tym roku, to jednak Tygrysy, którym udało się przeżyć, miały się bardzo dobrze. Stały się prawdziwymi tygrysami. W tym roku na ziemię zstąpił zły duch z całą swoją potęgą. Ludzie na wsi padali jak muchy, ludzie w mieście zamieniali się w cienie — wchodzili do domów i nikt ich już później nie widział. Noworodki nie przybierały na wadze; ciało odpadało im od kości — i umierały.

Ten zły duch władał światem przez cztery lata. Ja jednak z urodzenia miałam w sobie takiego ducha, który mu się oparł, więc przeżyłam. Tak powiedziała mi matka, gdy już na tyle podrosłam, że mogła mi wytłumaczyć, czemu zawdzięczam swą szczególną siłę.

A dlaczego tygrys jest złoto-czarny? Też mi powiedziała. Bo ma dwie natury — złotą i czarną. Gdy do głosu dochodzi ta złota, która płynie z jego zapalczego serca, tygrys atakuje. Ta czarna jest chytra; tygrys stoi wtedy cicho, kryjąc swe złoto wśród drzew i tylko patrzy, sam niewidoczny. Czeką cierpliwie na to, co mu los przyniesie. Ja do czasu, gdy ten niegodziwiec mnie rzucił, nie przyzwyczaiałam się jeszcze żyć według nakazów czarnej strony mej tygrysiej natury.

Stałam się podobna do tych topielic z jeziora i żeby nie oglądać swojej rozpacz, zasłoniłam lustro białym płótnem. Zupełnie straciłam siły: nie mogłam nawet podnieść ręki, żeby upiąć włosy. Byłam jak zeschnięty liść na wodzie. Ona to po pewnym czasie wyniosła mnie z domu mojej teściowej.

Pojechałam na wieś niedaleko Szanghaju, gdzie mieszkał jeden z moim dalszych kuzynów. Przeżyłam w tym domu całe dziesięć lat. Co przez te dziesięć lat robiłam? Czekałam wśród drzew. Jedno moje oko spało, drugie czuwało i patrzyło.

Nie pracowałam. Kuzynostwo traktowali mnie przyzwoicie; czyż nie należałam do rodziny, która im samym udzielała wsparcia? Dom mieli nędzny, gnieździły się w nim trzy rodziny. Nie było żadnych wygod, ale mnie wcale to nie przeszkadzało. Dzieci pełzały tam po podłodze razem z myszami, kurczaki włączyły, kiedy chciały, tak samo zresztą jak nieokrzesani wieśniacy — znajomi mojego kuzyna. Posiłki jadaliśmy w kuchni w oparach skwierczącego tłuszczu. A te muchy! Wystarczyło zostawić miseczkę z bodaj odrobiną ryżu, to po godzinie znajdowało się ją całą czarną od wielkich, wypasionych much. Były ich setki. Wyglądało to jak zupa z czarnej fasoli, która raptem ożyła. Już choćby z tego widać, jak uboga była ta wioska.

Po dziesięciu latach poczułam, że jestem gotowa. Nie byłam już dziewczyną, a jako kobieta znajdowałam się w dziwnym położeniu: mężatka bez męża. Pojechałam do miasta, otworzywszy to drugie, śpiące oko. Kiedy spojrzałam na ulicę, od razu przypomniała mi się miska z muchami: jakby ktoś ją tu właśnie opróżnił. Ze wszystkich stron pędzili ludzie, nieznajomi mężczyźni popychali nieznajome kobiety — i nikt na to nie zwracał uwagi.

Za pieniądze otrzymane od rodziny pokupowałam sobie nowe stroje — w tym czasie modne były proste w kroju

kostiumy — obciąłam też swoje długie włosy. Miałam teraz bardzo szykowną fryzurę — nazywało się to „na chłopca”. Tak już byłam zmęczona tymi latami nieróbstwa, że postanowiłam iść do pracy — zostałam sprzedawczynią.

Nie musiałam uczyć się sztuki schlebiania kobietom, wiedziałam, co pragną usłyszeć. Tygrys, kiedy trzeba, potrafi wydawać z siebie takie miłe, łagodne pomruki jak kotek. Nawet zając czuje się wtedy bezpieczny.

Mimo że byłam już dojrzałą kobietą, wróciła mi uroda — łaska losu! Ubierałam się w lepsze i kosztowniejsze rzeczy niż te, które sprzedawałam klientkom, ale one właśnie dzięki temu kupowały naszą tandetę, bo wydawało im się, że jak ją na siebie włożą, to będą wyglądały tak jak ja.

No i w tym sklepie, gdzie harowałam jak wyrobnik w polu, poznałam Clifforda Saint Claira. Był to duży, wysoki Amerykanin — blada skóra, jasne włosy. Kupował tę naszą modną tandetę i wysyłał ją za ocean. Skąd wiedziałam, że on jest mężczyzną, który na pewno zostanie moim mężem? Powiedziało mi to jego nazwisko.

— Nazywam się Saint Clair — przedstawił się po angielsku, a potem dodał swoją okropną, twardą chińszczyznę: — Jak Bóstwo Światła.³

Nie budził we mnie ani sympatii, ani antypatii. Nie był ani urodziwy, ani brzydki. Jedno tylko wiedziałam na pewno: Saint Clair to znak, że kończy się u mnie pora czarnej strony tygrysa.

Święty zalecał się do mnie przez cztery lata — na swój amerykański sposób. Nie byłam właścicielką sklepu, a jednak zawsze witał się ze mną, przetrzymując moją rękę w swojej. Ta jego dłoń stale była mokra — także i później, gdyśmy się już pobrali. Był czysty i nawet przyjemny, ale pachniał jak cudzoziemiec, zalatywał baranem. Nijak nie dawało się tego usunąć.

Nie chciałam być wobec niego niegrzeczna, no a on był po prostu *kechi* — za bardzo grzeczny. Przynosił mi tanie podarki: szklaną figurynkę, jakąś kłującą broszkę ze szlifowanego szkła, jakąś posrebrzaną zapalniczkę. Dając mi je, robił

³„Saint” to po ang. „święty”, odpowiednik chińskiego bóstwa „Shen”.

minę, jakby były to bezwartościowe drobiazgi, no ale on, bogacz, chce oto sprawić przyjemność biednej wiejskiej dziewczynie, która nigdy nic takiego nie widziała, bo w tych Chinach nie ma takich rzeczy!

Udawał. Widziałam, jak na mnie patrzy, kiedy otwierałam te prezenty, jak mu zależy, żeby mi się spodobały. Nie wiedział, że takie błyskotki nic dla mnie nie znaczą, że wyrosłam wśród bogactw, których on nie umiałby sobie nawet wyobrazić.

Oczywiście przyjmowałam to wszystko tak, jak nakazuje grzeszność; zawsze też wymawiałam się tyle, ile trzeba — nie za dużo, ale i nie za mało. Znadto go nie ośmielałam wiedząc jednak, że człowiek ten zostanie kiedyś moim mężem, starannie owijałam świecidełka w bibułkę i chowałam wszystko do pudełka. Któregoś dnia Święty zechce je pewnie zobaczyć.

Lenie się zdaje, że jej ojciec ocalił mnie od powrotu do nędznej wioski, z której rzekomo pochodziłam (tak mu powiedziałam). Ma rację i nie ma racji. Moja córka nie wie, że musiał warować jak pies przed jatką całe cztery lata.

Kiedy w końcu zgodziłam się go poślubić? Czekałam na znak — byłam pewna, że go otrzymam. Musiałam na to czekać aż do roku 1946.

Z Tianjina nadszedł wtedy list; nie, nie od moich rodziców (myśleli że umarłam), tylko od najmłodszej ciotki. Wiedziałam, jeszcze nim rozerwałam kopertę: mój mąż nie żyje. Dawno już porzucił swoją śpiewaczkę; ostatnio mieszkał z jakąś pospolitą młodą dziewczuchą, podobno służącą. Okazało się, że miała ona siłę ducha, a zuchwalsza była nawet od niego. Gdy i ją spróbował opuścić, dźgnęła łajdaka swym najdłuższym kuchennym nożem. Wyostrzyła go sobie zawczasu.

Myślałam, że wszystkie uczucia, które miałam kiedyś dla tego mężczyzny, dawno już we mnie wyschły, a tymczasem znowu zalała mnie straszna gorycz. W miejscu, którego jak mi się zdawało, już nie mam, powstała teraz innego rodzaju pustka. Przeklinałam tego człowieka na głos — tak, żeby słyszał. Miałeś psie oczy — mówiłam. — Merdałeś ogonem i leciałeś za każdą, co na ciebie gwizdnęła. Goń sobie teraz swój ogon.

No i wtedy podjęłam decyzję: wyjdę za Świętego. Co mi tam! Że tak łatwo się na to zgodziłam, ja, córka małżonki mego

ojca? Kiedyś nią byłam, teraz... Teraz drżał mi głos, byłam blada, chora, wychudzona. Pozwoliłam zrobić z siebie ranne zwierzę. Pozwoliłam, by mnie dopadł myśliwy i zamienił tygrysa w wąty cień. Dobrowolnie wyzbyłam się swojej *qi*, tej ożywiającej mnie energii⁴ — sprawił to ból. Za wiele się nacierpiałam.

Nie byłam już teraz ani tygrysicą, która spada na zdobycz jak piorun, ani tą, która leży i czeka wśród drzew — stałam się niewidzialnym cieniem.

Święty zabrał mnie do Ameryki, gdzie mieszkałam w domach mniejszych od tego na wsi, gdzie nosiłam wielkie amerykańskie łachy, gdzie robiłam to, co robi służąca. Nauczyłam się żyć jak ci tutaj. Próbowала mówić ich prymitywnym językiem. Wychowałam córkę, patrząc na nią z drugiego brzegu. Zgodziłam się, żeby została Amerykanką.

Nic mnie to wszystko nie obchodziło. Nie miałam w sobie energii.

Czy mogę powiedzieć Lenie, że kochałam jej ojca? To on nocami rozcierał mi stopy, on chwalił jedzenie, które gotowałam, i to on rozplakał się szczerymi łzami, kiedy przyniosłam te świecidełka... Przechowałam je z myślą, że mu je pokażę, gdy nadejdzie odpowiedni moment. Był to dzień, w którym dał mi córkę — moją małą tygryszkę.

Jak mogłam nie kochać takiego człowieka? Tylko że była to miłość cienia, nie kobiety. Ramiona, które otaczają, lecz nie dotykają. Taka miseczka ryżu, na który brak apetytu. To ja nie miałam apetytu. Nie czułam głodu. Nie czułam sytości.

Teraz gdy Święty jest duchem, możemy się kochać jak równi. Teraz już wie to wszystko, co tak długo przed nim ukrywałam. Pozostaje mi jeszcze powiedzieć to Lenie. Że jest córką kobiety-cienia, że nie ma *qi*. To prawdziwa hańba i tym się najbardziej gryzę. Czy mogę opuścić ten świat, nie zostawiając córce swojej energii? Ale jak, skoro jej nie mam?

I oto co postanowiłam: zbiorę z kawałków całą swoją przeszłość i dobrze jej się przyjrę. Wśród tego, co przeżyłam,

⁴Qi — energia witalna, pneuma, kwintesencja charakteru — jedno z podstawowych pojęć filozofii chińskiej, przyswojone na poziomie bytowym przez każdego Chińczyka.

odnajdę ból, który pozbawił mnie energii, odcinając ją ode mnie jak nożem i puszczając wolno. Chwyć ten ból w garść, aż stwardnieje i zalśni, aż nabierze kształtu... Powróci do mnie wtedy moja zapalczywość, moje tygrysie serce, moja złota i czarna natura. Użyję tego bólu jako ostrza, by przebić nim twardą skórę mojej córki; potem odetnę jej energię — niech sobie leci, gdzie chce. Wiem, że Lena będzie ze mną walczyć — tak to jest, gdy spotkają się dwa Tygrysy. Ale to ja zwyciężę i dam jej w zamian własną energię, czyż nie tak bowiem objawia się miłość matki do córki?

Słyszę właśnie jej głos — rozmawia na dole z mężem. Oboje wypowiadają słowa bez znaczenia, siedząc w pustym salonie bez odrobiny życia.

Widzę już to, co się za chwilę stanie. Lena usłyszy huk, kiedy ten wazon wraz ze stołem runą na podłogę. Zaraz tu przybiegnie. Zobaczy tylko ciemność. Tę ciemność, gdzie cicho ukryta wśród drzew — będę na nią czekać.

Lindo Jong
PODWÓJNE TWARZE

Moja córka chciała spędzić w Chinach swój drugi miodowy miesiąc, ale teraz się tego przeleżała.

— Przypuśćmy, że mnie wezmą za swoją, bo nie będę się różnić od miejscowych? Co wtedy? A jak nie pozwolą mi wrócić do Stanów?

— Ust jeszcze nie zdążyś otworzyć — powiedziałam — a oni już będą wiedzieli, że nie jesteś stamtąd.

— E, co ty mówisz! — wykrzyknęła. Moja córka lubi mi się stawiać. Lubi zaprzeczać wszystkiemu, co powiem.

— Ohoho! Ubierz się nawet jak Chinka, zmyj ten makijaż, schowaj całą swoją wymyślną biżuterię, i tak nie zamydlisz im oczu. Rozpoznają cię po chodzie, po tym, jak trzymasz głowę. Wystarczy popatrzeć, i już wiadomo, żeś obca.

Nie była zadowolona, kiedy powiedziałam, że nie wygląda na Chinkę. O, może z dziesięć lat temu uznałaby to za dobrą wiadomość... Kto wie, czy nie zaczęłaby bić brawo i wołać hura? Ale teraz bardzo chce być Chinką — teraz to szalenie modne. Tylko że jest już za późno. A tyle lat próbowałam ją czegoś nauczyć! Akurat! Od kiedy zaczęła sama wychodzić na dwór, jak tylko poszła do szkoły, zaraz przestała mnie słuchać. Bo matka chce ją wychowywać po chińsku! No to teraz zna parę zaledwie słówek: *sisi*, *huoche*, *chifan*, *guan deng shuiya*. Ciekawe, jak zamierza porozumiewać się w Chinach z takim zasobem słów? „Siusiu”, „pociąg”, „jeść”, „zgaś światło, śpij”. I ona myśli, że ktoś ją tam weźmie za Chinkę! Chińskie ma tylko włosy i skórę, wszystko, co w środku, to produkt made in USA.

To moja wina, że jest taka. Chciałam, żeby moje dzieci miały to, co najlepsze: amerykańskie warunki i chiński charakter. Skąd mogłam wiedzieć, że tych dwóch rzeczy w żaden sposób nie da się połączyć? Tłumaczyłam Waverly, dlaczego tak korzystne są te amerykańskie warunki. Tu się urodzić biedną to żaden wstyd czy nieszczęście na całe życie. Pierwsza jesteś w kolejce po stypendium. Jeżeli nawet dach ci runie na głowę, wcale nie musisz rozpaczać, że spotkał cię taki pech. Możesz wnieść skargę do sądu i gospodarz zaraz ci ten dach naprawi. Nie musisz siedzieć jak Budda pod byle drzewem i zgadzać się, żeby gołębie paskudziły ci na głowę. Możesz kupić sobie parasol. Albo iść do kościoła. Najlepiej katolickiego. W Ameryce nikt nie każe ci trzymać się warunków, które odziedziczyłaś po przodkach.

Tego to się nauczyła, ale już chińskiego charakteru nie udało mi się w niej wyrobić. Niczego się nie nauczyła. Tego, że trzeba słuchać rodziców i korzystać z dobrych rad matki. Że nie wolno zdradzać swoich myśli, przeciwnie, tak ukrywać prawdziwe uczucia, żeby nikt ich z twarzy nie odczytał, bo to, co ukryte, daje przewagę. Mówiłam jej, że nic, co łatwe, nie jest warte zachodu. Tłumaczyłam, co to znaczy poznawać i doskonalić własną wartość i nie świecić nią ludziom w oczy, bo to nie jarmarczna błyskotka. Dlaczego chiński sposób myślenia jest najlepszy ze wszystkich.

No, ale takie myślenie nie trzymało się mojej córki. Za bardzo zajmowało ją żucie gumy i dmuchanie tych głupich balonów, większych od policzka. To tak, to jej odpowiadało!

— Dopij tę kawę — zwróciłam jej wczoraj uwagę. — Nie wylewaj swojego szczęścia.

— Mamo, nie bądź taka staroświecka — skrzywiła się tylko i wylała te resztki do zlewu. — Nie zapominaj, że jestem dorosła. Sama odpowiadam za siebie.

Sama? — pomyślałam. Jak to? Czy ja już straciłam nadzieję, że cię uratuję? Kiedy?

Moja córka wychodzi po raz drugi za mąż, więc prosiła, żebym poszła z nią do tego sławnego salonu piękności

pana Rory. O, wiem, w czym rzecz! Co sobie pomyślą przyszli teściowie i ci ważni prawnicy, koledzy narzeczonego, jak zobaczą, że ma taką matkę, taką starą, zacofaną Chinkę!

— Ciocia An-mei może mnie podstrzyc.

— Rory to sława. — Zupełnie jakbym nie miała uszu.

— Naprawdę fantastycznie czesze.

No więc siadam na fotelu u pana Rory. Naciska pedał jak pompkę, wozi mnie w górę i w dół, no, wreszcie jest dobrze. Moja córka tymczasem zaczyna robić uwagi, jakby mnie tu wcale nie było.

— Proszę popatrzeć, jaki ten bok przypłaszczony — krytykuje moją głowę. — Trzeba ją ostrzyć i zrobić trwałą. No i ten fioletowy odcień! Sama nakłada farbę, to dlatego. Tych włosów nie tknął jeszcze żaden profesjonalista.

Waverly, mówiąc do pana Rory, zwraca się do jego odbicia w lustrze. On także przygląda mi się w lustrze. Znam to zawodowe spojrzenie. Amerykanin tak naprawdę nie patrzy na człowieka, z którym rozmawia, mówi do jego obrazu. Amerykanie patrzą na samych siebie i innych tylko wtedy, kiedy im się zdaje, że nikt tego nie widzi. Czy oni w ogóle wiedzą, jak naprawdę wyglądają ich twarze? O nie! Widzą swoje uśmiechy z zamkniętymi ustami albo tylko tę lepszą połowę twarzy

— bez usterek.

— Jak chce być uczesana? — pyta pan Rory. Czy on myśli, że nie rozumiem po angielsku? Zwinnymi palcami przegarnia mi teraz włosy. Pokazuje, jaki to z niego czarodziej! Jeśli zechce, to doda mi włosów albo je nawet wydłuży!

— Mamo, jak cię uczesać? — czy tej mojej córce się zdaje, że jest moim tłumaczem z angielskiego na angielski? Nie zdążyłam przecież powiedzieć słowa i proszę! Ona już wie, czego ja chcę!

— Mama chce być uczesana w miękkie fale. Nie powinniśmy chyba podcinać jej tych włosów zbyt krótko, bo będą za bardzo skręcone. Nie chce mieć na głowie żadnych dziwactw. — Zwraca się teraz do mnie bardzo głośno, jakbym nagle ogłuchła: — Prawda, mamo? Nie za bardzo skręcone, co?

Uśmiecham się tą swoją amerykańską twarzą, którą Amerykanie biorą za chińską i z której nic nie są w stanie odgadnąć,

ale w środku zaczyna mnie ogarniać wstyd. Wstydę się tego, że ona się wstydzi. Jest przecież moją córką, z której ja jestem dumna, a ja jej matką, z której ona niestety wcale nie jest dumna.

Pan Rory znowu gładzi moje włosy, spogląda na mnie, spogląda na moją córkę, a potem mówi coś, co Waverly na pewno sprawia wielką przykrość:

— To niesamowite, jakie wy jesteście do siebie podobne! Tym razem uśmiecham się swoją chińską twarzą. Oczy

i uśmiech mojej córki zwięzają się tymczasem jak u kota, który zaraz parsknie i ugryzie. Kot zawsze cały się kurczy, zanim zaatakuje. Możemy sobie teraz przemyśleć słowa pana Rory, bo mistrz nas chwilowo opuszcza i strzelając palcami, woła:

— Pani Jong następna do mycia!

Na chwilę zostajemy same w tym zatłoczonym przybytku piękności. Waverly ze zmarszczonymi brwiami przygląda się swojej twarzy w lustrze. Spostrzega, że i ja na nią patrzę.

— Takie same policzki — mruczy, pokazując moje, a potem dotykając własnych. Wydyma je, wciąga do środka, z czym wygląda jak osoba zamorzona głodem. Przysuwa teraz twarz do mojej, blizutko, i obie w milczeniu obserwujemy się w lustrze.

— Człowiek ma charakter wypisany na twarzy — mówię niewiele myśląc. — Można z niej odczytać jego przyszłość.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Och, muszę gwałtem poskromić swoje uczucia! Te dwie twarze, myślę, takie podobne! Ta sama radość, ten sam smutek, jednakowy łut szczęścia, jednakowe niepowodzenia...

Widzę samą siebie i swoją matkę tam, w Chinach, kiedy byłam ot, taką dziewczynką.

Pewnego razu moja matka — a twoja babka — przepowiedziała mi przyszłość. Charakter taki jak mój może mi zapewnić dobrobyt, ale też i doprowadzić do biedy — powiedziała. Siedziała, pamiętam, przy stoliku przed takim dużym lustrem, a ja stałam za nią z podbródkiem opartym na jej ramieniu. Następnego dnia wypadał Nowy Rok. W tym roku miałam

ukończyć dziesięć lat (według rachuby chińskiej), był to więc dla mnie bardzo ważny moment. Chyba też z tego powodu matka nie była tak surowa jak kiedyś indziej. Patrząc mi w twarz, dotknęła mojego ucha:

— Szczęście będzie ci sprzyjać — powiedziała. — Masz moje uszy. Widzisz, jakie duże te płatki? I grube. Im bardziej mięsiste u dołu, tym więcej dobrodziejstw. Nie wszystkich natura obdarza tak szczerze. Niektórzy mają uszy cieniutkie i tak przylegające do głowy, że nigdy nie usłyszą głosu szczęścia, kiedy już się do nich odezwie. Twoje uszy są jak trzeba, musisz tylko mieć je otwarte, żeby nie przegapić okazji.

Przebiegła swoim cienkim palcem po moim nosie:

— Nos też odziedziczyłaś po mnie. Dziurki nie za duże... pieniądze nie będą ci uciekać. Taki nos, prosty i o równym grzbiecie, to bardzo dobra wróżba. Wiesz, co znaczy krzywy nos u dziewczyny? Murowane nieszczęście. Taką osobę zawsze pociąga zły przykład, źli ludzie. Ma pecha. Spotyka ją to, co najgorsze.

Poklepała mnie po podbródku, a potem dotknęła swego:

— Nie za krótki, ale i nie za długi. Obie pożyjemy tyle, żeby umrzeć we właściwym czasie. Na pewno nie przedwcześnie i na pewno nie tak późno, żeby stać się dla kogoś ciężarem.

Odgarnęła mi teraz włosy i zaczęła oglądać czoło:

— Takie samo jak moje. Twoje może jest troszeczkę szersze, to znaczy, że będziesz jeszcze mądrzejsza. Włosy masz gęste, nisko zarastające nad czołem... Widzisz tę linię? Ciężkie próby czekają cię w młodych latach. Ze mną też tak było, ale spójrz, gdzie teraz zaczynają się u mnie włosy. O, jak wysoko! Wielkie szczęście na starość. Tobie też wypadną, jak przyjdzie ci się stale martwić.

Ujęła w dłoń mój pobródek — patrzyłyśmy sobie teraz w oczy — a potem obróciła moją głowę w lewo i w prawo:

— Oczy masz uczciwe i chętne. Widzę, że wciąż za mną bieżą, że okazują mi respekt. Nie wbijasz ich w ziemię ze wstydu, nie spoglądasz na mnie hardo ani nie próbujesz patrzeć w inną stronę... Będziesz dobrą żoną, matką i synową.

Gdy mi to mówiła, byłam jeszcze naprawdę bardzo mała... Powiedziała, że jesteśmy podobne, ale pragnęłam upodobnić się do niej jeszcze bardziej. Wystarczyło, że ze zdziwienia podniosła do góry oczy, a ja już robiłam to samo. Kiedy usta jej

wyginały się w podkówkę, nie tylko wiedziałam, że jest smutna, ale chciałam z nią ten smutek dzielić.

Tak, byłyśmy z matką jak dwie krople wody. Mówię o czasach, kiedy jeszcze byłyśmy razem. Później okoliczności tak się ułożyły, że musiałyśmy się rozstać. Było ich wiele. Powódź, która doprowadziła do tego, że rodzice musieli beze mnie przenieść się w inne strony, moje pierwsze małżeństwo, mąż, który mnie nie chciał, tocząca się wszędzie wojna, wreszcie ocean leżący między dwoma moimi krajami — starym i nowym. Przez to wszystko matka nie mogła widzieć, co dzieje się z moją twarzą, jakim uległa zmianom. Jak kąciki ust opadają mi w dół. Jak zaczynam się martwić, a jednak nie tracę przez to włosów. Jak moje oczy zaczynają podążać za wszystkim, co amerykańskie. Nie widziała mojego wypadku w zatłoczonym autobusie w San Francisco: szarpnął nagle, a ja poleciałam do przodu i tak skrzywiłam sobie nos. Oboje z twoim ojcem jechaliśmy wtedy do kościoła — złożyć Bogu stokrotne dzięki za wszystkie błogosławieństwa, które nam zsyła. Cóż, z powodu rozbitego nosa zmuszona byłam wycofać trochę tych moich podziękowań/

Chińska twarz... Trudno ją zachować w Ameryce. Od samego początku, zanim jeszcze się tutaj znalazłam, musiałam ukrywać swoje prawdziwe „ja”. Zapłaciłam, żeby się tego nauczyć. Mieszkałam wtedy w Pekinie. Dałam pieniądze pewnej młodej Chince, która wiedziała, co i jak, bo wychowano ją po amerykańsku.

— Jak tam przyjedziesz — zaczęła — nie wolno ci mówić, że chcesz u nich zamieszkać na stałe. Mów to, czego oni spodziewają się po nas, Chińczykach: podziwiasz amerykańskie szkoły, podoba ci się amerykański sposób myślenia. Przyjechałaś się kształcić, a po powrocie do Chin będziesz uczyć tego wszystkiego, czego sama się nauczyłaś.

— Mam powiedzieć, że czego chcę się uczyć? Bo mogą mnie spytać, a jak powiem nie to, co trzeba...

— Religii. Koniecznie powiedz, że chcesz studiować religię — poradziła mi ta sprytna dziewczyna. — Amerykanie mają tyle różnych wierzeń, że do któregośkolwiek się przyznasz, będzie dobrze. Mów tylko, że czynisz to na chwałę Bożą, a okażą ci swój szacunek.

Za osobną opłatą ta dziewczyna dała mi formularz, który miałam wypełnić po angielsku. Musiałam te angielskie słowa przepisywać najpierw setki razy, że niby wzięłam je z głowy — bo tak to musiało wyglądać. Obok słów **IMIĘ** i **NAZWISKO** napisałam „Lindo Sun”, obok **DATY URODZENIA** — „II maja 1918”; jak mówiła ta dziewczyna oznaczało to dokładnie to samo, co w chińskim kalendarzu trzy miesiące po nowym roku. Przy słowach **MIEJSCE URODZENIA** wykaligrafowałam „Taiyuan, Chiny”, a przy **ZAWODZIE** „studentka teologii”.

Lista z adresami wysoko ustosunkowanych osób w San Francisco kosztowała mnie dodatkowo, ale owszem, otrzymałam też coś za darmo: instrukcje, co mam zrobić, aby zmienić swoją sytuację.

— Punkt pierwszy — powiedziała moja instruktorka — to znaleźć sobie męża. Najlepszy byłby obywatel amerykański. — Widząc moje zdziwienie, dodała szybko: — Chińczyk! Oczywiście, że musi to być Chińczyk! „Obywatel” niekoniecznie znaczy „biały”. Przypuśćmy jednak, że nie będzie on obywatelem. Musisz wtedy natychmiast przejść do punktu drugiego, rozumiesz? Musisz mieć dziecko. Chłopiec czy dziewczynka to w Stanach bez znaczenia. Ani jedno, ani drugie nie zatroszczy się o ciebie na starość, on nie? — Obie wybuchnęłyśmy śmiechem. — Tylko uważaj — ostrzegła mnie zaraz — jak urzędnicy zaczną cię pytać, czy masz dzieci albo czy zamierzasz je mieć, odpowiadaj, że nie. Pamiętaj o twarzy! Koniecznie musi być szczerą! Jestem osobą niezamężną, powiedz, religijną, byłoby więc rzeczą niewłaściwą w mojej sytuacji mieć dziecko.

Ha! Musiała zorientować się po mojej minie, że nie rozumiem tej łamigłówki, udzieliła mi więc dalszych wyjaśnień:

— Posłuchaj. Czy nie narodzone dziecko może wiedzieć, co wolno, a czego nie wolno? Nie! No, a kiedy już przyjdzie na świat, staje się od razu obywatelem amerykańskim i może robić, co tylko zechce. Może poprosić matkę, żeby została w Ameryce, prawda?

Ale ja dziwiłam się wcale nie z tego powodu. Dlaczego tak mam pamiętać o twarzy? Szczerą? A niby jak mam wyglądać, skoro mówię prawdę?

Spójrz na mnie. Ja i dziś mam twarz osoby, która nie kłamie. O, dlaczego nie odziedziczyłaś tego po matce? I dlaczego wciąż opowiadasz znajomym, że przyplłynęłam tu z Chin jakimś statkiem, który włókł się jak żółw? To nieprawda. Aż taka biedna nie byłam. Leciłam samolotem. Odłożyłam te pieniądze, które dała mi rodzina pierwszego męża, żeby się mnie pozbyć, no i oszczędzałam przez dwanaście lat pracy w centrali telefonicznej. Prawda, że samolot nie był najszybszy. Lecił całe trzy tygodnie. Ach, gdzie on się nie zatrzymywał! W Honkongu, w Wietnamie, na Filipinach, na Hawajach... Tak że kiedy wylądowałam w Ameryce, nie wyglądałam na osobę szczerze zadowoloną z tego, że się tu znalazła...

Dlaczego stale opowiadasz tę historyjkę, jak to poznałam twego ojca w Cathay House? Że niby rozłamalam ciasteczko szczęścia i znalazłam w nim wróżbę, że wyjdę za ciemnowłosego przystojnego mężczyznę, którego nie znam, a kiedy podniosłam oczy, on właśnie stanął przede mną — on, to znaczy kelner, twój ojciec. No i po co te żarty? Czy tak ma wyglądać szczerłość? Przecież sama to wymyśliłaś! Ani twój ojciec nie był kelnerem, ani ja nigdy nie byłam w tej restauracji. Nad Cathay House wisiał wtedy amerykański szyld „Chińska kuchnia”, więc chodzili tam sami Amerykanie. Potem rozwalono ten budynek i dziś w tym miejscu jest restauracja Mc Donalda z wielkim chińskim szyldem *mai dong lou*⁵ — „pszenica”, „wschód”, „budynek”. Kompletny nonsens? Powinnaś wreszcie zrozumieć, jaka naprawdę była wtedy moja sytuacja, jak się tu dostałam, jak wyszłam za męża, jak straciłam swoją chińską twarz, dlaczego ty sama jesteś, jaka jesteś.

Kiedy tu przyjechałam, nikt nie zadawał mi żadnych pytań. Urzędnicy rzucili okiem na moje dokumenty — i postawili pieczętki. Postanowiłam bezzwłocznie odnaleźć jeden adres z tej listy, którą dała mi moja pekińska znajoma. Autobus dowiózł mnie do szerokiej, biegnącej w górę ulicy, po której jeździły już tylko takie wagoniki na linie. No właśnie, Califor-

⁵ W taki sposób „transkrybowany” jest na język chiński napis „Mc Donald's”, ale zestaw dobranych do tego hieroglifów nie ma tego sensu, którego Chińczyk poszukuje w napisie hieroglificznym.

nia Street. Wspinając się na ten pagórek, zobaczyłam wysoki budynek — stary kościół Najświętszej Marii Panny. Pod wywieszką z nazwą świątyni ktoś dopisał ręcznie po chińsku: „Chińskie nabożeństwo w intencji zapewnienia spokojnego spoczynku Duszom Zmarłym g. 7.00 i 8.30.” Zapamiętałam to sobie na wypadek, gdyby ktoś z władz zaczął mnie wypytywać, gdzie praktykuję tę swoją religię. Po przeciwnej stronie ulicy spostrzegłam drugi napis namalowany farbą na ścianie niskiego budynku: „Chcesz mieć jutro, oszczędzaj dzisiaj w Banku Amerykańskim”. O, to jest miejsce, gdzie modlą się Amerykanie — pomyślałam sobie. Widzisz, już i wtedy nie byłam taka głupia! Dziś kościół jest tej samej wielkości, a popatrz na bank! Pięćdziesiąt pięter. Dobrze wiesz, bo oboje tam pracujecie — ty i twój przyszły mąż. Nic dziwnego, że na wszystkich patrzycie z góry.

Moja córka wybuchnęła śmiechem, gdy jej to powiedziałam. Ha, udał się matce żarcik.

No więc szłam sobie pod górkę. Napotkałam po drodze dwie pagody — stały naprzeciw siebie po obu stronach ulicy i wyglądały jak wejście do wielkiej buddyjskiej świątyni. Przyjrzałam się uważniej jednej z tych pagód i co zobaczyłam? Zwyczajny jakiś budynek tylko z bardzo wysokim spiczastym dachem, krytym ozdobnymi płytkami. Dookoła nie było nic, żadnych murów, ot, można powiedzieć, głowa bez tułowia. Ciekawe — pomyślałam — tak się starają, żeby z wierzchu wszystko przypominało cesarski pałac albo cesarski grobowiec, ale jak człowiek zajrzy za te niby pagody, to widzi, że tam już uliczki stają się ciemne i wąskie, a jak tam tłoczono i brudno! I czemuż to tutejsi ludzie dla wszystkiego, co w środku, czerpią z Chin same najgorsze wzory? Nie mogliby to urządzić pięknych ogródków czy sadzawek? Od frontu, i owszem, tu i ówdzie stało coś podobnego do starożytnej grotty albo gmachu teatru chińskiego, ale na tyłach wszędzie kłuła w oczy ta sama tandeta.

Jeszcze zanim trafiłam pod wskazany adres, już zrozumiałam, że za dużo nie powinnam sobie obiecywać. Poszukiwany dom okazał się wielkim na zielono pomalowanym blokiem, gdzie po schodach i korytarzach uganiały się chmary rozwrzeszczanych dzieciaków. Pod numerem 402 zastałam starszą kobietę, która zaraz od progu zaczęła wyrzekać, że czekała

na mnie cały tydzień i czy ja wiem, ile przez to zmarnowała czasu? Szybko wypisała mi kilka adresów, a kiedy je od niej wzięłam, pozostała tak z wyciągniętą ręką. No to dałam jej amerykańskiego dolara.

— *Xiaojie*, dziewczyno — powiedziała spoglądając na monetę — to nie Chiny, to jest Ameryka. Żebraw nie przeżyje tu za dolara. — Dałam jej drugiego. — *Ajja!* — pisnęła — myślisz, że to tak łatwo dostać te informacje? — Dałam jej jeszcze jednego. Dopiero wtedy zamknęła rękę i usta.

Pod wypisanym przez nią adresem znalazłam niedrogie mieszkanie na Washington Street. Było takie jak wszystkie tutaj — na górze pokoi, na dole jakiś sklepik. Dzięki liście, co to kosztowała mnie aż trzy dolary, znalazłam też okropną pracę — siedemdziesiąt pięć centów za godzinę. O, próbowałam zatrudnić się jako ekspedientka, ale do tego trzeba było znać angielski. Owszem, mogłabym zostać chińską hostessą, tylko że musiałabym także masować zagranicznych klientów, a to równałoby się pozycji, jaką ma w Chinach czwartej klasy prostytutka! Ten adres grubo zamazałam czarnym atramentem. Inne wypisane na liście zajęcia wymagały znów odpowiednich znajomości. Dysponowały nimi rodziny z Guangzhou, Foshanu, Sihui, czyli ludzie rodem z południa. Ich przodkowie przed laty przyjechali do Ameryki i dorobili się tu fortun. Teraz trzymało je w garści trzecie już czy czwarte pokolenie.

O, sprawdziła się przepowiednia mojej matki, że nie będzie mi lekko! Ha, ciężkie próby... Ta wytwórnia ciasteczek szczęścia była chyba jedną z najgorszych. Wielkie czarne maszyny pracowały na okrągło całą dobę. Na ruchome patelnie bez przerwy lalo się ciasto, z którego robiły się takie nieduże naleśniczki. My, pracownice, siedząc na wysokich stołkach, miałyśmy uważać, kiedy się zrumienią, i wtedy raz dwa chwycić je z tych sunących obok nas patelni. Potem trzeba było wetknąć do środka papierek z wróżbą, złożyć ciasteczko na pół i prędko zagaść końce, póki ciasto jeszcze nie stwardniało. Kiedy za szybko złapało się taki placuszek, wilgotna i gorąca masa okropnie parzyła w palce, ale jeszcze gorzej było się spóźnić, bo wtedy już naleśnik nie dawał się złożyć. Wybraki rzucało się do specjalnej baryłki, a że właściciel mógł

je potem sprzedawać tylko jako okruchy, liczyły się, rzecz jasna, na naszą niekorzyść.

Po pierwszym dniu w tej wytwórni poparzone miałam wszystkie palce. To nie robota dla tępaków — powiedziałam sobie. — Albo się tego nauczysz, albo zamiast palców będziesz miała smażone kiełbaski. Drugiego dnia poszło mi lepiej — już tylko oczy piekły mnie od wpatrywania się w te przeklęte ciasteczka. Trzeciego rozboleły mnie ramiona od trzymania rąk w pogotowiu, no a pod koniec pierwszego tygodnia pracowałam już bezmyślnie jak maszyna. Nabrałam w każdym razie dość wprawy, żeby się trochę rozejrzeć. Ciekawe, kto też tu jeszcze pracuje, kim są dwie moje najbliższe sąsiadki? Jedna z nich była starszą kobietą. Nigdy się nie uśmiechała, a kiedy zdarzyło jej się wpaść w złość, zaczynała mówić coś do siebie po kantońsku. Gadała zupełnie jak szalona. Ta po drugiej stronie wyglądała na osobę w moim wieku, a w jej baryłce prawie nie było wybraków. Podejrzywałam, że je zwyczajnie zjada, o, bo też była dość pulchna.

— Hej, *xiaojie*! — zawołała, przekrzykując łoskot maszyn. Byłam jej bardzo wdzięczna i za to, że się odezwała, i za to, że mówi językiem ogólnochińskim, chociaż jej sposób mówienia nie wydawał się zbyt wykwinny. — Myślałaś kiedy, że przyjdzie ci decydować o czyimś losie? Potężne jesteśmy, co?

Nie zrozumiałam, o czym mówi, więc podniosła do góry wybrany na chybił trafił papierek i głośno odczytała wóźbę. Najpierw tak, jak brzmiała po angielsku:

— „Nie walcz i nie pierz brudów publicznie. Zwycięzca przejdzie brudem.” Po chińsku to jest tak: „Nie walcz i nie pierz jednocześnie brudów. Zwyciężając sam się ubrudzisz”.

Nadal nie wiedziałam, o co tu chodzi, więc odczytała mi drugą wróżbę:

— „Pieniądze to korzenie wszelkiego zła. Rozejrzyj się i kop głęboko.” A wiesz, jak to się mówi po chińsku? „Pieniądze zły mają wpływ na człowieka. Tak zaczyna za nimi szaleć, że gotów je z grobu wykopać.”

— Co to za bzdury? — zapytałam, wkładając do kieszeni kilka innych pasków. Pomyślałam, że może warto przestudiować te typowo amerykańskie mądrości.

— Przepowiednie — wyjaśniła mi koleżanka. — Amerykanom się zdaje, że to my je wypisujemy, Chińczycy.

— Przecież my nie mówimy takich rzeczy! — zaprotestowałam. — To nie ma żadnego sensu. To nie przepowiednie losu, tylko jakieś fałszywe instrukcje.

— Ano nie, panienczko — roześmiała się głośno. — Niektórzy mają przez nie raczej pecha. My, bo musimy je wyrabiać, ale i klienci również, bo to przecież oni za nie płacą.

Tak oto poznałam An-mei Hsu. Tak, tak, twoją staroświecką ciotkę An-mei! Obie jeszcze do dziś zaśmiewamy się z tych kiepskich przepowiedni. Chociaż... trochę później okazały się bardzo przydatne. Wiesz, właśnie te wróżby pomogły mi złapać męża.

— Ej, Lindo — powiedziała pewnego dnia An-mei

— przyjdź w niedzielę do naszego kościoła. Mój mąż ma znajomego, który szuka uczciwej chińskiej żony. Sam nie jest obywatelem, ale postarać się o obywatela to on na pewno potrafi!

Wtedy to po raz pierwszy usłyszałam o Tinie Jongu, twoim ojcu. Było teraz zupełnie inaczej niż przed moim pierwszym małżeństwem, kiedy wszystko dawno ułożyły za mnie rodziny. Teraz przynajmniej miałam jakiś wybór: mogłam wyjść za twojego ojca, ale mogłam i nie wyjść. Mogłam nawet wrócić do Chin.

Kiedy go zobaczyłam, zorientowałam się od razu, że coś nie gra. No tak — Kantończyk! Ze wsi! Jak An-mei mogła choć przez chwilę pomyśleć, że ja wyjdę za kogoś takiego!

— Nie jesteśmy w Chinach — powiedziała spokojnie

— nikt siłą cię nie wydaje za kantońskiego wieśniaka. Pamiętaj, że tu wszyscy jesteśmy z jednej wsi, nieważne, czy ktoś pochodzi z Kantonu czy z Pekinu. — Widzisz, jaka wtedy była ciocia An-mei? Zmieniła się od tego czasu!

Z początku oboje z ojcem czuliśmy się skrępowani; najbardziej chyba dlatego, że nie mogliśmy się porozumieć w żadnym z dwóch naszych dialektów. Potem poszliśmy razem na kurs angielskiego: staraliśmy się rozmawiać z sobą w tym języku, ale za mało jeszcze znaliśmy tych nowych słówek, więc szybko zaczynało nam ich brakować. Brało się wtedy kartkę papieru i kreśliło nasze chińskie znaki. Przynajmniej to nas łączyło — ta kartka papieru i pismo. Tylko że bardzo trudno wyjawić małżeńskie zamiary, gdy nie można ich wypowiedzieć

na głos. Jest przecież tyle drobnych oznak, po których najłatwiej rozpoznać, na ile sprawa jest poważna — no wiesz, przekomarzanki, gderanie, przerzucanie się słówkami... A my, cóż, my umieliśmy mówić tylko tak, jak nas nauczył lektor: To Ala. A to As. Ala ma kota.

A jednak twój ojciec dosyć szybko potrafił dać mi do zrozumienia, że mu się podobam, i to bardzo. Znalazł sposób. Postanowił odgrywać przede mną różne rzeczy — jak aktor w chińskim teatrze. Wyobraź sobie; zaczynał biegać w tę i z powrotem, podskakiwać, burzyć sobie włosy, a ja świetnie rozumiałam — *mangjile!* — zapracowany! Wiedziałam, co mi chce przez to powiedzieć: że ta jego centrala „Pacific Telephone” to bardzo ruchliwe i niezwykle pasjonujące miejsce! Nie wiedziałas, że ojciec był takim dobrym aktorem? Ani tego, że miał tyle włosów?

Och, później się przekonałam, że ta jego praca nie jest taka, jak mi opisywał! Wcale nie taka dobra. Jeszcze i dzisiaj — teraz już umiem rozmawiać z nim po kantońsku — nieraz go pytam: czy ty naprawdę nie możesz znaleźć sobie czegoś lepszego? I wiesz, co on robi? Zachowuje się całkiem jak w dawnych czasach, kiedy to ani w ząb nie rozumiał tego, co ja mówię.

Nieraz sama się sobie dziwię, że chciało mi się zastawiać na niego pułapkę. To chyba An-mei nakładła mi tego do głowy.

— Popatrz, jak to jest na filmach. Tam młodzi ludzie w klasie wciąż posyłają sobie bileciki. Z tego robią się różne kłopoty i tak dalej. Ty też musisz sprawić Tinowi trochę kłopotu. Wtedy zrozumie, że bardzo chce się z tobą ożenić. Bo jak będziesz czekać, aż powie ci to sam z siebie, to zdążysz się już zestarzeć.

Miałyśmy tego dnia nocną zmianę. Od razu po przyjsciu do pracy zaczęłyśmy przeglądać przepowiednie. Postanowiłyśmy znaleźć coś takiego, co podsunie twemu ojcu właściwą wskazówkę. An-mei głośno odczytywała wróżby, odkładając na bok te, które mogły się przydać.

— „Najlepszymi przyjaciółmi dziewczyny są diamenty. Nigdy nie daj się namówić na mieszkanie z kumplem.” „Skoro lęgną ci się w głowie takie myśli, czas najwyższy iść do ołtarza.” „Kobieta warta jest tysiąca słów, powiada Konfucjusz. Ty powiedz żonie, że wyczerpała już cały swój limit.”

Pośmiałyśmy się z tych głupot i nagle... znalazłam! Ta pasuje jak ulał — pomyślałam. „Dom nie jest domem, kiedy brak w nim małżonki.” Teraz już się nie śmiałam. Umieściłam papierek w cieście, a zginając naleśnik, włożyłam w to całe swe serce.

Następnego popołudnia po kursie wsadziłam niby przypadkiem rękę do torebki i zrobiłam minę, jakby ukąsiła mnie osa.

— A to co? — krzyknęłam, wyjmując z torebki ciasteczko szczęścia. — Ojej, od samego widoku tych ciastek robi mi się niedobrze! Lepiej weź je.

Już wtedy znałam charakter twojego ojca: Tin Jong nie zmarnuje ani okruszynki! I rzeczywiście, od razu zaczął chrupać ciasteczko, a dopiero potem zajął się przepowiednią.

— No i co? Dobra ta wróżba? — zapytałam udając, że nie przywiązuję do tego uwagi. — Wytłumacz mi, co ona znaczy

— poprosiłam, kiedy dalej milczał.

Przechodziliśmy właśnie przez Portsmouth Square, a że podniosła się już wieczorna mgła, szczękałam zębami w swoim cieniutkim płaszczku. Może się wreszcie oświadczy? Tylko niechby się trochę pospieszył, bo strasznie mi zimno! Gdzie tam!

— Nie wiem, co znaczy to słowo — powiedział z poważną miną, pokazując palcem angielskie słowo „spouse”

— „małżonka”. — Jutro ci powiem. Muszę zajrzeć wpierw do słownika.

Następnego dnia zapytał mnie po angielsku:

— Lindo, czy chciałabyś się ze mną zmałżenić? — Wybuchnęłam śmiechem i wyjaśniłam mu, że tak się nie mówi, że w ogóle nie ma takiego słowa. Trochę się jakby wycofał, odpowiadając konfucjańskim żartem, że skoro słowa były niewłaściwe, to takie same musiały być też intencje. Żartowaliśmy tak sobie cały dzień i wśród tych przekomarzań postanowiliśmy się pobrać.

Ślub wzięliśmy w miesiąc później w Pierwszym Chińskim Kościele Baptystów — tam, gdzieśmy się poznali. A po dziewięciu miesiącach dorobiliśmy się świadectwa obywatelstwa — malutkiego synka, czyli twego starszego brata Winstona. Nazwałam go tak dlatego, że to imię składało się jakby

z dwóch słów: „wins ton”.⁶ Pragnęłam, żeby wyrósł na człowieka, który zdobędzie mnóstwo rzeczy — sławę, pieniądze, dobrą pozycję życiową. Myślałam sobie wtedy: Nareszcie mam wszystko, czego chciałam! O, jakże byłam szczęśliwa! To szczęście przesłaniało mi całą naszą biedę. Widziałam tylko to, co mamy, potrzeb i biedy — wcale. Skąd mogłam wiedzieć, że Winston zginie w wypadku samochodowym? Taki młody chłopak! Miał zaledwie sześćnaście lat.

W dwa lata po Winstonie urodził się drugi twój brat, Vincent. To imię brzmiało jak „win cent”, miało w sobie dźwięk zarabianych pieniędzy, o, bo wtedy zaczynałam już myśleć, że wcale nie mamy ich dosyć... No a później rozbiłam sobie nos w autobusie i w niedługi czas po tym wypadku przyszedł na świat ty, moja córko.

Naprawdę nie wiem, co właściwie wywołało we mnie taką zmianę... Może to ten skrzywiony nos wypaczył moje myślenie? A może patrząc na ciebie, tę malutką, tak bardzo podobną do mnie dziewczynkę, poczułam się nagle niezadowolona z własnego losu? Chciałam, żebyś ci było lepiej — we wszystkim i pod każdym względem. Żebyś miała jak najlepsze warunki i jak najlepszy charakter. Żebyś nigdy nie musiała żałować, że matka czegoś ci nie dała. A wiesz, dlaczego masz na imię Waverly? Tak nazywała się nasza ulica. Chciałam, żebyś myślała: Stąd jestem, tu jest moje miejsce. Chodziło mi przy tym jeszcze o coś. Jak ci nadam imię tej naszej ulicy, myślałam sobie, że nawet kiedy dorośniesz, kiedy już stąd wyfruniesz, zabierzesz je ze sobą. Pozostanie w tobie przynajmniej ta jedna moja malutka cząstka.

Pan Rory szczotkuje mi włosy. Ach, sama miękkość, sama równiutka czerń!

— Wspaniale wyglądasz, mamó — chwali mnie moja córka. — Wszyscy pomyślą, że panna młoda ma siostrę.

⁶Po angielsku „win” — znaczy wygrywać, zwyciężać, zdobywać. „Ton” — tu w znaczeniu: wielka ilość czegoś, mnóstwo (przyp. dum.).

Przyglądam się swojej twarzy w lustrze. Widzę w nim odbicie bez usterek. O, ale ja znam swoje mankamenty, nie wmawiam sobie, że nie istnieją. Przekazałam je swojej córce... Odziedziczyła po mnie oczy, policzki, podbródek... Jej charakter... ten charakter jest skutkiem warunków, jakie jej stworzyłam. Spoglądam na Waverly i... coś takiego?! Po raz pierwszy rzuca mi się to w oczy:

— *Ajjal* Cóż to się stało z twoim nosem? Patrzy w lustro i wzrusza ramionami:

— A co? Nic się nie stało. Nos mam taki jak zwykle.

— Ale jak ty go sobie skrzywiłaś? — nie mieści mi się to w głowie. Jedno jej nozdrze wyraźnie opada ku dołowi, przez co obwisa też cały policzek.

— O co ci chodzi? To przecież twój nos. To ty mi go dałaś w spadku.

— Jak to możliwe? No, ale patrz, o ile ta strona jest niższa! Musisz coś z tym zrobić! Potrzebna ci operacja plastyczna!

Dziwne, ale moja córka jakoś nie bierze sobie tego do serca. Przysuwa uśmiechniętą buzię do mojej zmartwionej twarzy i mówi — ależ tak! — z zadowoleniem:

— Nie bądź niemądra, mamusiu. Te nasze nosy wcale nie są takie najgorsze. Dzięki nim wyglądamy na osoby... — tu używa angielskiego słowa „devious”, którego ja nie rozumiem. Naprawdę jest zadowolona!

— Co to znaczy? — pytam.

— „Devious”? Przebiegłe. Wyglądamy tak, a postępujemy inaczej. Jesteśmy i po tej stronie, i po tamtej. Przeważnie mówimy, co myślimy, ale nasze ukryte intencje... o, te bywają różne.

— I co? I to wszystko widać? Można nam to wyczytać z twarzy?

— No, na pewno nie wszystko — śmieje się moja córka. — Ale widać, że z nas istoty o dwóch twarzach.

— Uważasz, że to dobrze?

— Dobrze, jeżeli dzięki temu udaje się osiągnąć swój cel.

Myślę o swoich intencjach i myślę o tych dwóch twarzach. Która z nich jest amerykańska, a która chińska? No i która lepsza? Bo tak jakoś jest, że kiedy nakładam jedną, zawsze musi ucierpieć ta druga.

Przekonałam się o tym w zeszłym roku w Chinach, kiedy pojechałam tam po prawie czterdziestu latach. Zdjęłam całą elegancką biżuterię, nie nosiłam kolorowych ciuchów, mówiłam tylko po chińsku, płaciłam tamtejszymi pieniędzmi i co? Nie pomogło. Dla nich moja twarz nie była stuprocentowo chińska. Za wszystko żądali ode mnie wyższych cen — takich jak dla cudzoziemców.

Co takiego straciłam, a co zyskałam w zamian? Nie wiem. Muszę o to zapytać swoją córkę.

Jing-mei Woo
DWA BILETY

Pociąg z Honkongu mija granicę w Shenzhenie — to już Chiny! — a ja w tej samej chwili czuję się odmieniona. Skóra na czole zaczyna mnie swędzieć, krew krąży mi w żyłach innym rytmem, daje znać o sobie zastrzały ból w kościach. No i miała rację moja matka, przychodzi mi na myśl. Staję się Chinką.

„Na to nie ma rady” — powiedziała pewnego razu. Byłam wtedy piętnastolatką, z całych sił przeciwstawiającą się swojej chińskości: nie ma we mnie nic, nic chińskiego! Amerykańskie koleżanki z drugiej klasy Liceum im. Galileusza w San Francisco popierały mnie w całej rozciągłości — taka ze mnie Chinka, jak i one! No, ale moja matka studiowała przecież w słynnej szkole pielęgniarstwa w Szanghaju, więc w sprawach dotyczących genetyki uważała się za alfę i omegę. Mogłam się z tym zgadzać lub nie, ona i tak wiedziała swoje: jak już urodziłaś się Chinką, przepadło, pisane ci jest myśleć i czuć po chińsku.

„Kiedyś się o tym przekonasz — zawyrokowała. — Masz to we krwi. Siedzi w tobie i czeka na uwolnienie.”

Kiedy wyrzekła te słowa, błysnął mi przed oczyma obraz potwornej przemiany, jakbym była kimś na kształt wilkołaka. Jakaś końcówka łańcucha DNA ulega we mnie mutacji, zwyrodniała komórka zaczyna się cichcem powielać i oto powstaje syndrom: zespół rzucających się w oczy, typowo chińskich zachowań, czyli to wszystko, co robi moja matka, wystawiając mnie na pośmiewisko — targowanie się w sklepie, używanie wykałaczki w publicznych miejscach, ślepotę na

kolory w połączeniu z głuchotą na wszelkie próby perswazji, że kombinacja bladego różu z cytrynowym to na zimę nie najlepszy pomysł.

Dziś wszakże uświadamiam sobie, że dotąd nie miałam pojęcia, co naprawdę znaczy być Chinką. Mam trzydzieści sześć lat. Moja matka nie żyje, a ja jadę pociągiem, wioząc z sobą jej marzenia o powrocie do domu. Jadę do Chin.

Udajemy się najpierw do Guangzhou — my, to znaczy ja i mój siedemdziesięciodwuletni ojciec, Canning Woo. Mamy tam odwiedzić jego ciotkę, którą po raz ostatni widział jako dziesięcioletnie dziecko. Nie wiem, czy sprawia to perspektywa tego spotkania, czy może sam fakt, że znajdujemy się w Chinach, ale ten stary człowiek wygląda dziś jak małolat; jest tak naiwnie szczęśliwy, że zbiera mnie ochota zapiąć mu sweter albo pogłaskać po włosach. Siedzimy naprzeciw siebie, przedzieleni stoliczkiem z dwoma kubkami wystygłej herbaty. Ojciec po raz pierwszy, jak pamięcią sięgnę, ma łzy w oczach, a przecież za oknami pociągu przesuwały się tylko brązowe, żółte i zielone rzędy pól, wąski kanał nawadniający wzdłuż szlaku, jakieś niewysokie pagórki, no i troje ludzi w niebieskich bluzach na wozie zaprzężonym w bawołu. Dokąd jadą w ten październikowy ranek? Czuję, że i mnie oczy zasnuwa mgiełka, jak gdybym kiedyś to już widziała, dawno temu, tak dawno, że ów obraz na wpół zatarł mi się w pamięci.

Za niecałe trzy godziny będziemy w Guangzhou; taką nazwę — jak podaje przewodnik — nosi dziś Kanton (w pisowni alfabetem łacińskim) i tylko ta jest właściwa. Chyba wszystkie znane mi ze słyszenia miasta — z wyjątkiem Szanghaju — pozmiały pisownię nazw. Czy ma to świadczyć o wielkich przeobrażeniach, które ponoć nastąpiły w Chinach? Dzisiejszy Chongqing to dawny Chungking, tak jak Guilin był kiedyś Kweilinem według pisowni angielskiej. Przejrzałam te nowe nazwy w przewodniku, bo czeka nas dalsza podróż. Po wizycie u ciotki ojca w Guangzhou łapiemy samolot do Szanghaju, gdzie po raz pierwszy w życiu mam zobaczyć swoje przyrodnie siostry.

Te siostry to bliźnięta z pierwszego małżeństwa mojej matki, która w czasie ucieczki z Guilinu do Chongqingu w roku 1944 zmuszona była pozostawić przy drodze dwoje swoich niemowląt. Tylko tyle mi powiedziała i pewnie dlatego w mej

wyobraźni utrwalił się obraz dwóch bezradnych maleństw, które przy akompaniamencie świstu bomb cierpliwie ssą z głodu własne paluszki, tak że omal nie tryśnie z nich krew.

Ktoś odnalazł je dopiero w tym roku — po tylu latach! Z Szanghaju nadszedł list zaadresowany do mojej matki. Słyszając, że zaginione siostrzyczki żyją, natychmiast wyobraziłam sobie, jak z niemowląt przekształcają się w sześciolatki, jak siedząc obok siebie przy stole, piszą list, posługując się na zmianę wiecznym piórem. Ta pierwsza starannie kreśli równiutki rząddek znaków: „Najdroższa Mamo, żyjemy”, co uczyniwszy, odgarnia z czoła kosmyk włosów, po czym oddaje pióro drugiej. Teraz ta pochyla się nad kartką: „Przyjeżdżaj po nas prędko”.

Skąd mogły wiedzieć, że matka przed trzema miesiącami zmarła? Stało się to nagle — wskutek pęknięcia jakiegoś naczynia krwionośnego w mózgu. W jednej chwili mówiła do ojca, wyrzekając na lokatorów z góry, układając chytry plan wyeksmitowania ich pod pretekstem przyjazdu chińskich krewnych, a w następnej zdążyła już tylko chwycić się za głowę i z kurczowo zaciśniętymi powiekami postąpić po omacku w stronę sofy. Zatrzepotała rękami — i koniec. Osunęła się martwa na podłogę.

Tak więc to mój ojciec otworzył ten list — bardzo długi, jak się okazało. Tak, napisały do niej „mamo”. Napisały, że zawsze, zawsze darzyły ją czcią i szacunkiem należnym prawdziwej i kochanej matce. Nie rozstają się z jej fotografią — kazały oprawiać ją w ramkę. Opisały wszystkie swe koleje losu od owej chwili, kiedy to widziała je po raz ostatni na skraju guiliriskiej szosy, aż do dnia dzisiejszego.

Ich list ugodził ojca prosto w serce. Te córki wołające do jego żony „matko” wydały mu się duchami z jej poprzedniego żywota, w którym on sam nie miał żadnego udziału, dlatego zdecydował się przekazać list starej przyjaciółce rodziny, cioci Lindo. Niech w możliwie delikatny sposób zawiadomi te kobiety o śmierci matki.

Ciocia Lindo postąpiła inaczej: wzięła list na zebranie Klubu Radości i Szczęścia, by wspólnie z ciocią Ying i An-mei przedyskutować sprawę. One w przeciwieństwie do ojca wiedziały o prowadzonych przez matkę poszukiwaniach, o jej wciąż niewygasłych nadziejach. Teraz spłakały się gorzko nad

tym podwójnie okrutnym wyrokiem losu. Nie dość że odebrał im przyjaciółkę, to jeszcze w takim momencie! Trzy miesiące! Suyuan zabrakło głupich trzech miesięcy, aby spełniły się jej marzenia! Czy miały się z tym pogodzić? Nie, w żaden sposób, choćby nawet trzeba było cudownie ożywić zmarłą. Rezultatem tej decyzji stał się następujący list skierowany do moich sióstr:

„Najdroższe córeczki! Nigdy o was nie zapomniałam! Przez wszystkie minione lata nosiłam wasz obraz w sercu i pamięci. Nigdy nie utraciłam nadziei, że kiedyś się zobaczymy i że dzień ten stanie się dla nas dniem wielkiej radości. Jednego tylko nie przestanę żałować — że tak długo trzeba było czekać! Pragnę opowiedzieć wam o wszystkim, co działo się ze mną od chwili naszej rozłąki, ale chcę to uczynić osobiście, kiedy wraz z całą rodziną przyjadę do was do Chin.” List podpisały imieniem matki.

Dopiero gdy to zrobiły, uznały za stosowne poinformować mnie o całej sprawie.

— Więc one czekają teraz na jej przyjazd! — wymamrotałam z przerażeniem. Wyobraziłam sobie, jak to moje siostrzyczki, obecnie mniej więcej jedenastoletnie, skaczą z radości, trzymając się za rączki, aż im powiewają kucyki. Jakże się cieszą, biedactwa, myśląc, że lada chwila się zjawi — Ona, ich mamusia! — gdy tymczasem matka nie żyje.

— A czy o tym, że nie przyjedzie, można powiedzieć w liście!? — obruszyła się ciocia Lindo. — To ich matka. To twoja matka. Ty musisz im to powiedzieć. Tyle lat za nią tęskniły! — dodała ze smutkiem, a ja w duchu przyznałam jej rację.

Potem jednak zaczęłam sobie wyobrażać to swoje ewentualne spotkanie z siostrami. Pamiętaj, upominałam sama siebie, że kiedy one czekały, by je odnalazła, ty miałaś matkę, mieszkałaś z nią pod jednym dachem, teraz ją dopiero utraciłaś. Wyobraziłam sobie scenę na lotnisku: wysiadam z samolotu, a one czekają. Wspinając się na paluszki, wodzą niespokojnym wzrokiem od jednej ciemnowłosej głowy do drugiej. Ja rozpoznaję je od pierwszego rzutu oka: dwie jednakowe buzie, dwa jednakowo strapione spojrzenia.

„*Jiejie, jiejie*, siostry, siostry, tu jesteśmy!” — wołam swoją żalną chiriszczyną.

„Gdzie mama?” — pytają, obracając na wszystkie strony dwie wciąż jeszcze uśmiechnięte, rumiane z niecierpliwości twarzyczki. „Czy się schowała?”

O, to byłoby podobne do matki — skryć się za czyimiś plecami; lubiła się tak podroczyć, lubiła czasami wystawiać ludzką cierpliwość i serce na małą próbę. Nie tym razem. Będę musiała przecząco pokręcić głową, że nie, niestety...

„O, to pewnie jest mama, co?!” — zapyta podnieconym szeptem jedna z nich, pokazując palcem drobniutką osóbkę prawie niewidoczną zza sterty prezentów. Ach, i to także byłoby w stylu naszej matki! Przywieźć dzieciom całe góry podarków, zabawek, łakoci — wszystko po okazjnych cenach! — obłudnie udawać, że to nic takiego, takie tam głupstwa, nie ma za co dziękować, a potem podsunąć obdarowanym etykiety i dodać na wszelki wypadek: „Calvin Klein, stuprocentowa wełna”.

W mojej wizji nadchodzi teraz moment krytyczny. „Drogie siostry, przykro mi, że jestem sama” — zaczynam. Reszty mówić nie muszę, mam ją wypisaną na twarzy. Natychmiast wpadają w rozpacz. Głośno zawodzą, wrywają sobie włosy, a potem uciekają ode mnie z ustami wykrzywionymi grymasem bólu. Co mam robić? Wsiadam do samolotu i wracam tam, skąd przybyłam.

Scenę tę przeżyłam w wyobraźni dziesiątki razy i zawsze powtarzał się w niej ten sam motyw: widziałam, jak po pierwszym szoku rozpacz moich sióstr przeradza się w gniew i nienawiść.

Zaczęłam błagać ciocię Lindo o napisanie jeszcze jednego listu. Z początku odmówiła.

— Jak mam im powiedzieć, że nie żyje? Nie potrafię tego napisać — powtarzała z zaciętym wyrazem twarzy.

— A czy to nie okrucieństwo kazać im wierzyć, że ona przyleci tym samolotem? Kiedy zobaczą, że to tylko ja, gotowe mnie znienawidzić.

— Znienawidzić ciebie? Nie może być — chmurnie zmarszczyła czoło. — Jesteś ich siostrą. Ich jedyną krewną.

— Nie rozumiesz...

— Czego nie rozumiem?

— Pomyślą, że to moja wina — wyszeptałam. — Że jej nie doceniałam i dlatego umarła. Przeze mnie.

Na twarzy cioci Lindo odmalowały się równocześnie smutek i satysfakcja, jak gdyby to, co powiedziałam, było dla niej prawdą oczywistą, którą mnie nareszcie udało się pojąć. Usiadła przy stole i po godzinie wręczyła mi dwie zapisane stroniczki. W oczach jej lśniły łzy. Zrozumiałam, że wykonała za mnie to najgorsze, to, przed czym drżałam ze strachu. Listu oczywiście nie przeczytałam. Gdyby nawet pisany był po angielsku, też nie miałabym serca go czytać.

— Dziękuję ci! — wyszeptałam.

Pejzaż za oknem szarzeje; niskie cementowe budynki o płaskich dachach, jakieś stare fabryki, a potem tory i tory, coraz więcej torów, po których co chwila przemykają pociągi, takie same jak nasz tylko z przeciwnego kierunku. Już nadpływają zatłoczone perony: w morzu burej zachodniej odzieży tu i ówdzie jaskrawa wysepka — różowo-żółte, czerwono-brzoskwiniowe ubranka małych dzieci. Widzę żołnierzy w oliwkowo-zielonych mundurach z czerwonymi patkami oraz starsze damy w podobnie jednolitych uniformach

— szarych bluzach i spodniach do połowy łydki. Jesteśmy w Guangzhou.

Pociąg jeszcze dobrze nie stanął, gdy pasażerowie hurmem sięgają po swe ruchomości. Niebezpiecznie! Nad głowami fruują nam ciężkie walizy wyładowane darami dla krewnych, jakieś porozrywane pudła omotane kilometrami sznurka, plastikowe torby pełne włóczek, warzyw, suszonych grzybów, aparatów fotograficznych. A potem porywa nas rwący potok

— rozgorączkowana ciżba ludzka napiera mi na plecy, ciśnie ze wszystkich stron, bezlitośnie popycha naprzód, dopóki wreszcie nie zajmujemy miejsca w jednej z kilkunastu kolejek do punktu odprawy paszportowej. Czuję się jak w autobusie linii „30” na Stockton Street w San Francisco. Jestem w Chinach, przypominam sobie. Dziwne, że ten tłum zupełnie mnie jakoś nie drażni, przeciwnie, tak właśnie jest dobrze, tak ma być. Sama zaczynam się przepychać.

Wyjmuję deklaracje celne oraz paszport. U góry napisane jest „Woo”, a poniżej „June May”, miejsce urodzenia: „Kalifornia, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej”, rok 1951. Ciekawe, czy ci celnicy uwierzą, że jestem tą samą osobą, co na fotografii? Na zdjęciu mam kunsztownie wymodelowane

włosy, sztuczne rzęsy, cień na powiekach, usta obwiedzione konturówką, a policzki wycieniowane brązowym różem, przez co dół twarzy wydaje się węższy. Ha, któż jednak mógłby się spodziewać takiego upału w październiku? Ja nie, i oto włosy zwisają mi w żałośnie wilgotnych strąkach, a na twarzy próżno by szukać śladu makijażu. Już w Hongkongu porobiły mi się koło oczu czarne obwódki, zaś cała reszta zaczęła przypominać tłustą omastę ściętą w nieapetyczne grudki. Dziś więc twarz mam saute, bez żadnych upiększeń, jeśli nie brać pod uwagę błyszczących mi na czole i nosie delikatnych kropelek potu.

Nawet bez makijażu trudno mi uchodzić za prawdziwą Chinkę: mierzę prawie 168 centymetrów, góruję więc ponad tłumem, a na poziomie wzroku mam twarze samych tylko zagranicznych turystów. Matka mówiła, że wzrost odziedziczyłam po dziadku; pochodził z północy, więc mógł mieć w sobie mongolską domieszkę. Kto wie? „Wspominała o tym kiedyś twoja babcia — wyjaśniła mi mama. — Teraz już nie ma kogo spytać, za późno. Oni wszyscy nie żyją, twoi dziadkowie, wujowie, ich żony i dzieci. Wszyscy zginęli podczas wojny, kiedy na nasz dom spadła bomba. Tyle pokoleń w jednej chwili.”

Powiedziała to bardzo rzeczowo, więc pomyślałam, że zdążyła przeboleć śmierć swych najbliższych. A poza tym, skąd wie, że nie żyją?

„Może nie było ich w domu, kiedy spadła ta bomba?”

„Nie — stwierdziła kategorycznie matka. — Cała nasza rodzina odeszła na zawsze. Zostałyśmy tylko my dwie, ty i ja.”

„Skąd wiesz? Ktoś mógł się uratować, uciec.”

„Nie może być” — odparła moja matka niemal ze złością. Po chwili ów gniewny wyraz twarzy zniknął, a ona zaczęła mówić takim szczególnym tonem, jakby czegoś nie była pewna... jakby usiłowała raz jeszcze sobie przypomnieć, czy kiedyś, dawno temu, czegoś nie przeoczyła?

„Byłam tam, rozumiesz? Długo patrzyłam w górę, w to miejsce, gdzie stał nasz dom, ale domu nie było, tylko niebo... A na ziemi u moich stóp leżały cegły i belki z czterech wypalonych kondygnacji. Gdzieś obok zobaczyłam rzeczy, które podmuch musiał wyrzucić na podwórze. Nic wartościowego. Łóżko, w którym jedno z nas sypiało, a właściwie

sama tylko metalowa rama... jeden róg był tak dziwacznie poskręcany... Filizanka — cała, zostało nawet uszko! — pełna popiołu. No, a potem znalazłam moją lalkę z połamanymi rękami i nogami... włosy miała doszczętnie spalone. Jako dziecko rozplakałam się z żalu, widząc kiedyś tę lalkę samą jedną na wystawie w sklepie, no i mama mi ją kupiła. Wiesz, to była lalka amerykańska, taka z jasnymi włosami. Rączki i nóżki miała ruchome, umiała otwierać i zamykać oczy. Kiedy po ślubie wyprowadzałam się z domu, dałam ją swojej najmłodszej bratanicy, bo ona, ta mała, kochała tę lalkę tak samo jak ja. Zaczynała płakać, jeśli jej nie miała przy sobie. Rozumiesz teraz? Lalka była w domu, więc i ta mała musiała tam być, a z nią jej rodzice i wszyscy. Jak jeden, to i wszyscy... taka była nasza rodzina."

Funkcjonariuszka w punkcie kontroli paszportów przez chwilę studiuje moje dokumenty, prześlizguje się po mnie wzrokiem, dwoma błyskawicznymi ruchami stawia na wszystkim pieczęcie i surowym skinieniem głowy każe mi przechodzić dalej. Wkrótce obydwójce z ojcem znajdujemy się w olbrzymiej hali wypełnionej tysiącami ludzi i tonami bagażu. Czuję się beznadziejnie zagubiona, ojciec, sądząc po jego minie, również.

— Przepraszam — zwracam się do mężczyzny, który wygląda na Amerykanina — czy nie wie pan przypadkiem, gdzie tu są taksówki?

Pudło. Nieznajomy mamrocze coś po szwedzku albo po duńsku.

— *Xiao a! Xiao a!* — słyszę za sobą przenikliwy okrzyk. Jakaś staruszka w żółtym włóczkowym berecie wymachuje różową reklamówką pełną błyszczących zawiniątek. Domyślam się, że chce nam coś sprzedać, ale oto mój ojciec z widocznym napięciem przypatruje się tej hałaśliwej wróblizce i nagle... oczy mu się rozszerzają, twarz rozjaśnia, na usta wypływa uśmiech uszczęśliwionego malca.

— *Aiyi! Aiyi!* Ciocia, cioteczka! — powtarza z niesłychaną u niego czułością.

— *Xiao a!* — grucha ptasim głosem moja cioteczna babka. Bawi mnie, że nazywa ojca „Dzikim gąsiątkiem”. To pewnie

jego niemowlęce imię nadawane oseskom w celu zmylenia złych duchów, które lubią porywać małe dzieci.

Mój ojciec i jego ciotka serdecznie ściskają sobie ręce. Żadnego padania w objęcia — takie gesty są tu widać nie na miejscu.

— Niech ci się przyjrzę! — powtarzają na dwa głosy z wciąż złączonymi dłońmi. — Ale z ciebie staruch! Jakaś ty się zestarzała!

Oboje płaczą, wcale się tego nie wstydząc, to znów wybuchają śmiechem, a ja z całych sił przygryzam wargę, żeby się też nie rozbeczeć. Boję się uczestniczyć w ich radości, bo... Bo myślę o jutrzejszym spotkaniu w Szanghaju. Tam będzie inaczej, smutniej. Niezręcznie.

Rozpromieniona Aiyi wymachuje polaroidową fotką mego ojca. Mądrze zrobił, że wysłał to zdjęcie, zawiadamiając rodzinę o naszym przyjeździe! A ona sama czyż nie sprytna?

— wyśpiewuje prawie te słowa, porównując fotografię z żywym obiektem. Ojciec zapowiedział w liście, że dopiero po przyjeździe zadzwonimy do ciotki z hotelu, więc jej obecność na dworcu to dla nas niespodzianka. A moje siostry, czy one wyjdą mnie powitać? — myślę.

Teraz dopiero przypominam sobie o kamerze. Zamierzałam przecież uwiecznić moment spotkania ojca z ciotką. Dobra, jeszcze nie jest za późno.

— Stańcie tam razem! — komenderuję, podnosząc aparat. Błysk i wręczam im gotową fotkę. Ostrożnie biorą ją za rożki i zastygają w bezruchu ramię przy ramieniu, wpatrzeni w swe materializujące się przed ich oczyma oblicza. Oboje niemal nabożnie milczą. Aiyi jest zaledwie o pięć lat starsza od mego ojca, czyli że ma teraz jakieś siedemdziesiąt siedem... A wygląda przynajmniej na tysiąc, jej wysuszone ciało przywodzi na myśl zmumifikowane wykopalisko. Mlecznobiałe rzadziutkie włosy, zepsute, poczemiałe zęby. I to byłoby na tyle, co się tyczy bajeczek o wiecznej młodości Chinek — uśmiecham się do siebie w duchu.

— *Zhandala* — zawodzi śpiewnie pod moim adresem.

— „Już taka duża.” — Lustruje powoli całą moją wysokość, po czym zerka do różowej reklamówki. Domyślam się, że ma tam dla nas podarki i teraz nie wie, co by mi tu dać — takiej starej i dużej babie. Na razie chwyta mój łokieć w swoje szponiaste

palce i obraca mnie dookoła własnej osi. Para ludzi — mężczyzna i kobieta, oboje po pięćdziesiątce — wymienia uściski dłoni z ojcem. Wszyscy rozplývają się w uśmiechach, wydając z siebie radosne „och” i „ach”. Są to najstarszy syn Aiyi i jego żona, a obok cztery inne osoby mniej więcej w moim wieku oraz dziesięcioletnia może dziewczuszka. Prezentacja przebiega w takim tempie, że niewiele udaje mi się zapamiętać. Tyle tylko, że jeden z mężczyzn to wnuk Aiyi, a kobieta obok to jego żona, ta druga jest wnuczką ciotki, przy niej stoi mąż, zaś dziewczynka imieniem Liii to już czwarte pokolenie — prawnuczka.

Aiyi i mój ojciec mówią językiem ogólnochińskim — dialektem swego dzieciństwa, reszta zna tylko kantoński, i to taką jego odmianę, którą mówią ludzie w ich rodzinnej wiosce, ja z kolei rozumiem tylko ogólnochiński, jednak w mowie posługuję się nim raczej słabo. W tej sytuacji Aiyi i mój ojciec plotkują sobie bez przeszkód, głównie o znajomych z zamierzchłych czasów, a kiedy momentami przerywają ten dialog, by rzucić pozostałym jakieś słówko, czynią to raz po kantońsku, raz po angielsku.

— O, tak właśnie przypuszczałem! — zwraca się do mnie ojciec. — Umarł latem zeszłego roku! — To akurat zrozumiałam, tyle że nie mam pojęcia, kim był ten człowiek, Li Gong. Czuję się jak na sesji ONZ, podczas której tłumaczy ogarnął amok.

— Jak się masz? — mówię do dziewczynki. — Na imię mi Jing-mei. — Mała płoszy się strasznie, ucieka spojrzeniem w bok, czym wprawia rodziców w zakłopotanie, które starają się pokryć śmiechem. Na gwałt próbuję przypomnieć sobie chociaż parę słów po kantońsku — podłapałam ich trochę od koleżanek z Chinatown — niestety, przychodzą mi na myśl same tylko przekleństwa bądź terminy na określenie pewnych cielesnych funkcji, w najlepszym razie krótkie zwroty typu: „to smaczne”, „paskudne, istna padlina”, „o, jaka ona brzydka”. To na nic. Wpadam na inny pomysł — podnoszę do oka aparat i kiwam na Liii palcem. Natychmiast wyskakuje do przodu i staje przede mną w pozie modelki: ręka na udzie, klatka piersiowa wypięta, filmowy uśmiech odsłaniający wszystkie zęby. Zaraz też podbiega do mnie, a widząc swą postać wyłaniającą się z szarozielonkawego tła, zaczyna podskakiwać

i głośno chichotać. Kiedy wreszcie udaje nam się przywołać taxi, Liii trzyma mnie już mocno za rękę. Przyjaźń zawarta.

W drodze do hotelu Aiyi nie zamykają się usta. Chciałabym spytać ją o różne rzeczy, które widzę przez okno, niestety, jestem bez szans.

— Napisałeś, że przyjeżdżacie tylko na jeden dzień — peroruje z ożywieniem. — Jeden dzień! Jak byś nas zdążył odwiedzić? Z Guangzhou do Foshan jest kawał drogi, kilka godzin jazdy samochodem! No a ten pomysł, żeby do nas dzwonić! Nonsens. My nie mamy telefonu.

Zaczyna łomotać mi serce: czy aby ciocia Lindo nie napisała moim siostram, że zadzwonię do nich z hotelu? Aiyi nie przestaje besztać ojca:

— Mało ze skóry nie wyskoczyłam, spytaj mego syna, tak myślałam, co by tu zrobić! No i postanowiliśmy, że najlepiej wsiąść w autobus i spotkać się z wami od razu w Guangzhou.

Wstrzymuję oddech, bo nasz kierowca, nie przestając naciskać klaksonu, wykonuje dość ryzykowne manewry w nieprzejezdnym, zda się, gąszczu autobusów i ciężarówek. Znajdujemy się na długim odcinku wielopasmowej autostrady, przewieszonym jak most ponad miastem. Widzę szeregi bloków mieszkalnych, upstrzonych suszącą się na balkonach bielizną. Wyprzedzamy miejski autobus, w którym ludzie ubici są jak sardynki. Aż dziw, że nie wypchną twarzami szyby. Na horyzoncie widzę już chyba śródmieście Guangzhou. Z daleka wygląda to zupełnie jak typowo amerykańska metropolia — strzeliste drapacze chmur, wszędzie jakieś rozpoczęte budowy. Kiedy zwalniamy z powodu coraz większego tłoku na jezdni, mogę przyjrzeć się mrocznym wnętrzom niezliczonych sklepików wypełnionych rzędami kontuarów i półek. Fronton mijanego właśnie budynku opleciony jest siatką rusztowań z bambusowych żerdzi powiązanych plastikowymi taśmami. Balansujący na wąziutkich platformach robotnicy obojga płci — aha, zeskrobują tynki — pracują bez żadnych zabezpieczeń, widzę, że nie mają pasów ani hełmów. Trzeba by tu wpuścić OSHA — myślę. — Dopiero by mieli używanie.

Znów dobiega mnie ostry jak brzytwa głos Aiyi:

— Wiesz, powinieneś się wstydzić! Żeby nie odwiedzić naszej wsi, nie zobaczyć naszego domu! Moim synom nie

najgorzej się powiodło w handlu warzywami na wolnym rynku. W ciągu paru ostatnich lat tyle zarobili, żeśmy wybudowali dom, dwupiętrowy, a jaka cegła! Jedna w drugą nowiutka. Mamy teraz dość miejsca dla całej rodziny i jeszcze ktoś by się zmieścił. Z każdym rokiem jest lepiej, a i pieniędzy przybywa. Nie tylko wy, Amerykanie, wiecie, jak się bogacić!

Taksówka staje — chyba jesteście na miejscu. Zerkam przez okno i widzę coś żywo przypominającego Hyatt Regency, tylko to tutaj odznacza się jeszcze większym przepychem.

— I to są komunistyczne Chiny? — dziwię się głośno.

— To pewno nie ten hotel — mówię do ojca, kręcąc z powątpiewaniem głową. Pospiesznie wydobywam nasz plan marszruty, czeki podróżne, rezerwację. Przecież wyraźnie poinstruowałam tego agenta w biurze podróży, że ma nam znaleźć coś niedrogiego, w granicach trzydziestu, czterdziestu dolarów, głowę za to daję, a tu na dokumencie stoi jak byk: Garden Hotel, ulica Wschodnia, czyli to, co widzę. No fajnie, niech się nasz agent przygotuje na pokrycie różnicy z własnej kieszeni

— tylko tyle mu powiem!

Hotel jest imponujący. Z miejsca rzuca się ku nam pikolak w liberii i kanciastej czapeczce, który porywa bagaże i wnosi do hallu. Wewnątrz istna orgia pasażerów handlowych, barów i restauracji — wszystko w szklano-granitowej oprawie. Zamiast podziwiać te wspaniałości, wpadam już teraz w niepokój: ile to będzie kosztowało, co pomyśli sobie o nas Aiyi? Pewnie będzie nam miała za złe. Że też ci bogaci Amerykanie jednej nocy nie potrafią przeżyć bez tych swoich luksusów!

Podchodzę do recepcjonisty gotowa wyklócać się o cenę, o to, że zaszła tu ewidentna pomyłka, tymczasem wszystko jest w najlepszym porządku: czekają na nas dwa pokoje po trzydzieści dolarów za dobę. Baranieję. Aiyi i reszta rodziny wydają się zachwyceni otoczeniem. Liii szeroko otwartymi oczyma pożera setki gier komputerowych w jednym z hotelowych pasażerów.

Cała nasza rodzina ładuje się do jednej windy — pikolak kiwa nam ręką, że spotkamy się na siedemnastym piętrze. Drzwi się zamykają i wszyscy milkną; dopiero gdy winda przystaje, zaczynają znów mówić wszyscy razem — czuję, że z niejaką ulgą. Przysięgnę, że to ich pierwsza tak długa przejażdżka windą.

Mamy dwa sąsiadujące z sobą pokoje, jednakowo wyposażone. Dywany, kotary, kapy na łóżka, wszystko w tym samym odcieniu brązowej szarości. Jest kolorowy telewizor z klawiaturą zdalnego sterowania wbudowaną w podstawę lampy dzielącej parę bliźniaczych łóżek. Łazienka cała wyłożona marmurem. Odkrywam ścienny barek; w małej lodówce istny róg obfitości: piwo Heineken, Coca-Cola Classic, Seven-up; reklamówki Johnny Walkera, rumu Baccardi, wódki Smirnoff, paczuszki M and M's, prażone w miodzie orzechy nerkowca, sterta tabliczek czekolady Cadbury. Po raz drugi głośno zadaję pytanie:

— I to są komunistyczne Chiny? — Wchodzi ojciec.

— Postanowili zostać u nas w gościnie — oznajmia, wzruszając ramionami. — Mówią, że tak mniej kłopotu, więcej czasu na pogawędki.

— A kolacja? — Jestem głęboko zawiedziona. Od tylu dni wyobrażałam sobie swoją pierwszą w życiu autentycznie chińską ucztę. Marzyłam o którejś z tych słynnych zup w wazie z wydrążonego melona, kurczętach pieczonych w glinie, pieczonej kaczce pekińskiej i tym podobnych cudach.

Ojciec bierze do ręki leżącą obok „Travel and Leisure” książkę hotelową i szybko przerzuca kartki.

— Oni mają ochotę na to — pokazuje mi odpowiednie pozycje menu.

No tak, nie ma już o czym marzyć. Cała rodzina zje kolację w naszych apartamentach. Będą hamburgery, frytki oraz szarlotka — zestaw a la mode.

Rodzina poszła buszować po sklepach, mamy więc trochę czasu na ablucje. Po tym upale w pociągu z utęsknieniem myślę o prysznicu i jakichś przewiewniejszych łąskach.

W łazience leżą torebeczki szamponu, który kolorem i konsystencją przypomina sos ostrygowy. Dla mnie to coś więcej. To są Chiny, myślę, wcierając szampon w wilgotne włosy.

Stojąc pod rozkosznym strumieniem wody uświadamiam sobie, że jestem sama po raz pierwszy od kiedy? Wydaje mi się, że od bardzo dawna. Dziwne, że zamiast ulgi czuję skrajne osamotnienie. Co to mówiła matka o aktywizacji chińskich genów? Czy to właśnie miała na myśli?

Pytania... Zaraz po jej śmierci stawiałam ich sobie mnóstwo — z reguły takich, na które w ogóle nie ma odpowiedzi. Robiłam to, żeby wydusić z siebie więcej żalu. Jak gdybym podtrzymując w sobie ten żal pragnęła się upewnić, że jej śmierć głęboko mnie dotyka — jak przystało kochającej córce.

Nadal nasuwają mi się różne pytania, teraz jednak najczęściej chciałabym znać na nie odpowiedź. Na przykład ta wieprzowina przyrządzana przez matkę, ta o konsystencji trocin, co to było? Jak mieli na imię wujowie z Szanghaju, ci, którzy zginęli w zbombardowanym domu? A córki? Jak je sobie wyobrażała przez tyle, tyle lat? Czy za każdym razem, kiedy z mego powodu wpadała w złość, myślała skrycie o nich? Czy pragnęła, żeby to one były na moim miejscu? Czy żałowała, że tak nie jest?

O pierwszej w nocy budzi mnie stukanie w szybę. Musiałam się zdrzemnąć; czuję teraz, jak moje odrętwiałe członki powoli wracają do życia. Siedzę na podłodze, oparta o jedno z bliźniaczych łóżek, obok mnie leży Liii. Większość krewniaków też śpi, rozciągnięta pokotem na łóżkach; ci, dla których brakło już miejsca, ułożyli się, jak kto mógł, na podłodze. Aiyi z sennym wyrazem twarzy kiwa się przy stoliku, zaś ojciec, patrząc w okno, bębni palcami o szybę. Pamiętam, że zanim zmorzył mnie sen, opowiadał ciotce swój życiorys od momentu, kiedy się rozstali. Jak to zapisał się na Uniwersytet Yanjing, a później dostał posadę w jakiejś gazecie w Chongąngu, gdzie poznał moją matkę, podówczas młodą wdowę. Jak uciekli stamtąd do Szanghaju, chcąc odnaleźć jej rodzinę i dzieci, ale zamiast domu zastali puste miejsce, jak kolejno podróżowali po różnych miastach — Guangzhou, Hongkongu, Haifongu — aż wreszcie wylądowali w San Francisco.

— Suyuan nic mi nie mówiła, że przez cały czas pobytu w Ameryce szukała swoich córek — zwierza się teraz ciotce przyciszonym głosem. — Ja sam naturalnie nie wszczynałam też żadnych dyskusji. Myślałam sobie: gnębi ją wstyd, że tak je zostawiła.

— Gdzie je zostawiła? — pyta Aiyi. — I jak się odnalazły? Senność odbiega mnie teraz zupełnie. Nadstawiam uszu,

choć znam już niektóre fakty z opowiadań przyjaciółek matki.

— Japończycy zajęli wtedy Guilin — zaczyna ojciec.

— Japończycy w Guilinie? — przerywa mu Aiyi. — Skądże! Niemożliwe. W Guilinie nie było Japończyków. Nigdy tam nie doszli.

— Owszem, tak pisano w gazetach. Wiem coś o tym, sam wtedy pracowałem w dziale informacji. O tym, co wolno, a czego nie wolno pisać, decydował głównie Guomindang. My wiedzieliśmy jednak, że Japończycy wkroczyli do prowincji Guanxi, mieliśmy swoje źródła informacji. Nie było dla nas tajemnicą, że opanowali linię kolejową Wuhan — Guangzhou, że błyskawicznie zdobywają teren, posuwając się forsownym marszem w kierunku stolicy prowincji.

Informacje te wyraźnie zdumiewają Aiyi.

— Skąd Suyuan wiedziała o zbliżaniu się Japończyków, skoro nikt tego nie wiedział?

— Ostrzegł ją potajemnie jakiś oficer Guomindangu

— wyjaśnia ojciec. — Mąż Suyuan też był oficerem, a wojskowych i ich rodziny mordowano w pierwszej kolejności. O tym wiedzieli wszyscy. Zebrała trochę dobytku i w środku nocy uciekła z dziećmi na piechotę. Małeństwa nie miały jeszcze roku.

— Jakże ona mogła porzucić takie dzieci! — wzdycha Aiyi.

— Bliźniaczki! W naszej rodzinie nigdy nie zdarzyło się takie szczęście! Jak miały na imię? — pyta ziewając szeroko. Słucham z najwyższą uwagą. Zamierzałam zwracać się do nich obu po prostu „siostry”, ale teraz bardzo chcę poznać prawidłową wymowę ich imion.

— Po ojcu nosiły nazwisko Wang, nadano im zaś imiona Chunyu i Chunhua.

— Co to znaczy? — pytam ciekawie.

— Ach... — ojciec palcem na szybie kreśli chińskie ideogramy — pierwsze znaczy „Wiosenny deszcz”, a drugie „Wiosenny kwiat”. — Mówi to po angielsku. — Urodziły się na wiosnę, Chunyu przed Chunhua, rozumiesz: zanim rozkwitnie kwiat, musi najpierw spaść deszcz... Twoja matka miała duszę poetki, nie uważasz?

Kiwam głową na znak potwierdzenia. Głowa Aiyi też kiwa się w przód, ale tak już pozostaje. Staruszka wydaje głośnie chrapnięcie — śpi.

— A co znaczy imię mamy? — szepczę.

— Suyuan — ojciec znów kreśli na szybie niewidzialne znaki. — Tak jak ona sama pisała to imię po chińsku, oznacza ono

„Upragnione-długo-pielegnowane-życzenie”. Widzisz, jakie wymyślne? To nie to, co pospolite nazwy kwiatów. Zwróć uwagę na ten pierwszy znak. Jego treść jest mniej więcej taka: „Coś, czego nigdy, przenigdy nie da się zapomnieć”. Ale słowo „Suyuan” pisze się też inaczej. Wymowa jest dokładnie taka sama, tylko znaczenie... — ruchem przypominającym pociągnięcie pędzelkiem ojciec „pisze” ten drugi znak. — Pierwsza część, jak widzisz, wygląda identycznie: „Coś, czego się nie da zapomnieć”, ale po dodaniu części drugiej całość znaczy: „Długo-zachowywana-uraza”. Matka strasznie się na mnie złościła, kiedy jej dokuczałem, mówiąc: Świetnie do ciebie pasuje ta „Uraza”, tak się powinna nazywać. — Ojciec spogląda na mnie wilgotnymi oczyma: — Widzisz, jaki był ze mnie dowcipniś?

Kiwam głową, wysilając umysł, jak by go tu pocieszyć.

— No, a moje imię? Co właściwie znaczy „Jing-mei”?

— O, też coś specjalnego! Czy zresztą którekolwiek chińskie imię jest inne? „Jing” to rzecz doskonała. Powiedzieć „dobra” byłoby za mało, nie, to coś absolutnie czystego, esencjonalnego, najwyższej możliwej jakości. Kiedy usuniesz wszelkie zanieczyszczenia ze złota, ryżu czy soli, pozostaje czysta esencja — *jing*. A „mei” to taka zwykła cząstka, jak w słowie „meimei”, „młodsza siostra”.

Zamyślam się nad tym. Upragnione-długo-pielegnowane-życzenie mojej matki?... Przecież to ja, młodsza siostra, która stać się miała najczystsza kwintesencją tamtych dwóch. Znowu ogarnia mnie żal: musiałam sprawić jej zawód. Do jakiego stopnia? Małeńka Aiyi drga gwałtownie, głowa jej przetacza się do tyłu, usta otwierają, jakby w odpowiedzi na moje pytanie. Pomrukuje przez sen, kuli się coraz bardziej w fotelu.

— No więc dlaczego porzuciła je przy tej drodze? — pytam ojca. Muszę, muszę to wiedzieć, bo sama teraz czuję się porzucona.

— I ja długo się nad tym zastanawiałem — odpowiada — no ale po tym liście z Szanghaju porozmawiałem z ciocią Lindo i innymi... Wtedy zrozumiałem. To, co zrobiła, nie przynosi jej ujmy. Żadnej.

— Ale co się właściwie stało?

— Twoja matka uciekając... — zaczyna.

— Nie, proszę cię, mów po chińsku — wchodzę mu w słowo — ja wszystko rozumiem, naprawdę.

Zaczyna opowiadać, wciąż stojąc przy oknie, ze wzrokiem utkwionym w ciemność.

„Po ucieczce z Guilinu twoja matka przez kilka dni usiłowała dotrzeć do głównej szosy. Myślała, że uda jej się złapać jakąś ciężarówkę czy choćby wóz i tak — niechby nawet etapami — dojedzie w końcu do Chonggingu, gdzie stacjonowała jednostka jej męża.

Miała przy sobie trochę pieniędzy i biżuterii zaszytych w obrębek sukni; jej zdaniem powinno to być wystarczyc na opłacenie całej trasy, a może i na coś więcej. Może przy odrobinie szczęścia nie będzie musiała sprzedawać cennej złotej bransolety ani pierścionka z nefrytem? Były to pamiątki po jej matce, twojej babci.

Nadszedł trzeci dzień wędrówki, a ona wciąż nie miała szczęścia. Drogi roiły się od ludzi, którzy też próbowali złapać jakiś pojazd, ale przejeżdżające ciężarówki na ich widok tylko dodawały gazu. Kierowcy zwyczajnie bali się zatrzymywać. Tak więc twoja matka nie znalazła nikogo, kto by ją zechciał podwieźć, a tymczasem stwierdziła u siebie początki dyzenterii.

Bolał ją brzuch, dokuczały barki od dźwigania omotanych w szale niemowląt, a dwie skórzane walizy wyżłobiły jej w dłoniach głębokie bruzdy, które otworzyły się i zaczęły krwawić. Zostawiła na drodze te walizki, zatrzymując tylko trochę żywności i ubrań. Później rzuciła i to — parę woreczków pszennej mąki i ryżu... Półprzytomnie szła jednak dalej jeszcze przez wiele kilometrów, nucąc swym maleństwu piosenki, póki nie pokonały jej ból i gorączka.

Osunęła się na ziemię dopiero wtedy, kiedy nie mogła już zrobić kroku. Była pewna, że umrze, jeśli nie z choroby, to z pragnienia i głodu bądź z rąk Japończyków, którzy — jak myślała — idą za nimi trop w trop.

Posadziła niemowlęta na skraju drogi, a sama położyła się obok. Takie z was dobre dzieciaczki — wyszeptała — takie cichutkie. Małe uśmiechnęły się do niej, wyciągając tłusciutkie rączki. Pojęła wtedy, że za nic w świecie nie potrafi beczynnie patrzeć na ich śmierć.

Widząc przejeżdżającą wozem parę ludzi z trojgiem drobiazgu, krzyknęła: «Błagam was, zabierzcie moje dzieci!» Popatrzyli tylko na nią pustym wzrokiem i pojechali dalej.

Następny przechodzień... Ten jakby zrozumiał jej wołanie, ale twarz miał tak straszną, wyglądał jak sama śmierć — to jej słowa — że zadrżała i odwróciła oczy.

Kiedy droga opustoszała, matka rozdarła obrębek sukni i podzieliła swój skarbczyk między dziewczynki — pod jedną koszulkę wsunęła biżuterię, pod drugą pieniądze. Miała jeszcze w kieszeni fotografię rodziców, a także swoje ślubne zdjęcie, więc wypisała na odwrocie imiona dzieci, a pod spodem prośbę: «Zaopiekujcie się moimi dziećmi! Weźcie pieniądze i kosztowności. Kiedy się trochę uspokoi, zawieźcie małe do Szanghaju, ul. Weichang 9. Wdzięczna rodzina Li wypłaci wam hojną nagrodę. Li Suyuan i Wang Fuchi.»

Pogłaskała dzieci po buziach i przykazała im nie płakać: mamusia pójdzie poszukać wam czegoś do jedzenia i zaraz wróci. Po tych słowach odeszła, chwiejąc się i potykając, nie patrząc już za siebie ani razu. Ślepa od łez modliła się już tylko o to, aby jej dzieci znaleźli jacyś dobrzy ludzie. O niczym więcej nie śmiała, nie pozwalała sobie marzyć.

Nic więcej nie zostało jej też w pamięci. Jak długo szła, w którą stronę, kiedy padła bez przytomności ani kto ją znalazł. Ocknęła się w przyczepie rozklekotanej ciężarówki wraz z kilkorgiem innych chorych — wszyscy jęczeli i majaczyli. Zaczęła krzyczeć myśląc, że to jej ostatnia podróż, droga do buddyjskiego piekła, i wtedy zobaczyła nad sobą łagodną twarz amerykańskiej misjonarki. Słów nie rozumiała, brzmiały jednak uspokajająco. Wywnioskowała z tego tylko tyle, że została uratowana — ale po co? — i że nie da się już wrócić po dzieci. Za późno.

Po przybyciu do Chongqingu została poinformowana, że mąż jej przed dwoma tygodniami zginął. Opowiadała mi, że gdy jacyś wojskowi przekazali jej tę wiadomość, zaczęła śmiać się jak obłąkana — ogarnęło ją jakieś delirium z gorączki i wyczerpania. Przejść taki świat drogi, tak wiele utracić i co znaleźć na końcu? Nic.

Poznaliśmy się w szpitalu. Leżała na łóżku prawie bez ruchu; czerwotka doprowadziła ją do takiego stanu, że została z niej sama skóra i kości. Ja trafiłem do szpitala dlatego, że ostry kawał walącego się gruzu odciął mi duży palec u nogi. Twoja matka mamrotała coś do siebie:

— Spójrz na tę suknię — usłyszałem. Spojrzałem i rzeczywiście: ubrana była raczej niezwykle jak na takie czasy. Jedwabny atłas był straszliwie brudny, mimo to suknia niewątpliwie musiała być kiedyś piękna. — Spójrz na tę twarz — powiedziała znowu. Twarz miała dokładnie pokrytą kurzem, policzki okropnie zapadnięte, tylko oczy błyszczały jej od gorączki. — Czy widzisz moją głupią nadzieję? Myślałam, że straciłam już wszystko oprócz tej sukni i nadziei — wyrzucała z siebie urywanym głosem. — Ciekawe, myślałam sobie, co teraz utracę najpierw... suknię czy nadzieję?... Nadzieję czy suknię? No i popatrz, co się stało! — roześmiała się głośno, jakby z radości, że jej modlitwy zostały wysłuchane. Powoli podniosła rękę i zaczęła wyrywać sobie włosy z taką łatwością, jak z wilgotnej od deszczu ziemi wyrywa się świeżo wzeszłą pszenicę.

Siostry twoje znalazła jakaś wieśniaczka. «Czy mogłabym was nie wziąć?» — powiedziała po kilku latach dziewczynkom. Kiedy je zobaczyła, wciąż siedziały posłusznie w tym samym miejscu, gdzie zostawiła je twoja matka. W oczach wieśniaczki wyglądały jak dwie maleńkie księżniczki z bajki czekające na zaczarowaną karocę.

Ta kobieta, Mei Qing, mieszkała razem ze swym mężem, Mei Hanem, w skalnej grocie. Wokół Guilinu są tysiące takich jaskiń, z zewnątrz prawie niewidocznych. Ludzie kryli się tam jeszcze w jakiś czas po zakończeniu wojny. Małżonkowie Mei raz na parę dni wylazili ze swej jaskini szukać żywności pozostawionej na drodze przez uciekinierów. Czasami wpadały im w ręce inne rzeczy, takie, których — jak zgodnie

utrzymywali — grzechem byłoby nie wziąć. Jednego dnia był to pięknie malowany komplet miseczek do ryżu z delikatnej porcelany, drugiego maleńki wyścielany aksamitem podnózek, a trzeciego czy czwartego — twoje siostry.

Bliźnięta! Mei Qing i Mei Han, pobożni muzułmanie, uznali to za podwójnie szczęśliwy traf, i mieli rację. Okazało się już wieczorem, jak cenne są te dwie znajdk. Ubodzy wieśniacy pierwszy raz w życiu zobaczyli takie pierścionki i bransolety. Co do fotografii — patrzyli na nie z wielkim podziwem, zorientowali się też oczywiście, że dziewczynki pochodzą z dobrej rodziny, niestety, nie umieli czytać. Upłynęło kilka miesięcy, nim Mei Qing znalazła człowieka, który to potrafił. Do tego czasu zdążyła już pokochać dzieci jak własne.

Dopiero po śmierci męża — było to w roku 1952, a twoje siostry miały już wtedy osiem lat — doszła do przekonania, że pora zwrócić bliźniaczki rodzinie.

Pokazała dziewczynkom fotografię matki, powiedziała, że pochodzą ze świetnego rodu i ona, Mei Qing, zawiezie je do prawdziwej mamusi i dziadków. Wspomniała też o obiecanej nagrodzie, ale przysięgła, że jej nie przyjmie. Mówiła prawdę. Za bardzo kochała dziewczynki, aby zależało jej na pieniądzach, chciała tylko zapewnić im to, do czego jako dobrze urodzone panienki miały prawo — dostatnie życie, piękny dom, wykształcenie. Kto wie, może rodzina pozwoli jej przy nich zostać jako arna? Była, prawdę mówiąc, przekonana, że sami będą na to nalegać.

Przy ulicy Weichang 9 w Szanghaju, na gruntach dawnej Koncesji Francuskiej, wszystko, jak już wiesz, się zmieniło. Mei Qing zobaczyła w tym miejscu plac budowy jakiejś fabryki; żaden z robotników nie umiał powiedzieć co się stało z mieszkańcami domu, który spłonął tu w czasie wojny.

Ta dobra kobieta nie mogła oczywiście wiedzieć, że twoja matka i ja, jej drugi mąż, już tu byliśmy. Zjawiliśmy się w Szanghaju zaraz w 1945 roku, pełni nadziei na odnalezienie całej rodziny wraz z dziećmi.

Pozostaliśmy w Chinach do roku 1947, wędrując z miejsca na miejsce. Tyle było tych miast... Guilin, Changsha, nawet Kunming na dalekim południu. Twoja matka wszędzie kątem oka wypatrywała bliźniąt — najpierw niemowląt, później małych dziewczynek. Robiła to też i wtedy, kiedy już znaleźli-

śmy się w Hongkongu, a myślę, że nawet jeszcze na statku, którym w roku 1949 wyruszyliśmy do Stanów. Tak, wciąż jeszcze szukała ich wśród pasażerów. W Ameryce przestała o nich mówić. Pomyślałem, że wyzbyła się już wszelkich nadziei.

Okazuje się, że nic podobnego. Gdy tylko w Chinach zezwolono na korespondencję ze Stanami Zjednoczonymi, napisała do swoich przyjaciół w Guilinie i Szanghaju, tylko mnie nie wspomniała o tym słówkiem. Dowiedziałem się dopiero od cioci Lindo... No, ale jak wiesz, w Chinach do tego czasu pozmieniano wszystkie nazwy ulic, ludzie poumierali, powyprowadzali się, tak że upłynęło wiele lat, zanim matce udało się złapać jakiś kontakt. Zdobyła adres dawnej koleżanki szkolnej i zaczęła ją błagać o wszczęcie poszukiwań. Żądasz rzeczy niemożliwej — odpowiedziała koleżanka — każesz mi szukać igły na dnie oceanu! Skąd wiesz, że są akurat w Szanghaju, a nie na przykład w Guangzhou czy gdzie indziej? Pomyśl, jak wielkie są Chiny! Kryło się pod tym pytanie: Skąd wiesz, czy w ogóle jeszcze żyją?

Koleżanka matki nie podjęła więc poszukiwań. Pewnie! Dzieci zaginione w czasie wojny! Sama nadzieja, że ktokolwiek jest w stanie je odnaleźć, wydała jej się płodem chorego umysłu. Ona w każdym razie nie miała czasu na takie mrzonki.

Twoja matka nie dała za wygraną. Co roku wynajdywała adresy coraz to innych znajomych w Chinach i słała im te swoje prośby. Aż wreszcie w ostatnim roku przed śmiercią wylął jej się w głowie wielki pomysł: sama pojedzie do Chin! Pamiętam, co mi powiedziała: «Canning, powinniśmy tam jechać, póki nie jest za późno; potem będziemy już na to za starzy.» Odpowiedziałem, że już właśnie jesteśmy za starzy na taką eskapadę, już jest za późno.

Ach, dlaczego ją tak źle zrozumiałem! Myślałem, że chodzi jej po prostu o wyprawę turystyczną, skąd miałem wiedzieć, że o córki? A ona... to moje «za późno»... Pod wpływem tych słów wbiła sobie do głowy straszną myśl, że jej córki pewnie już nie żyją. Wciąż mi się zdaje, że to ta myśl rosła jej w głowie i rosła, aż ją w końcu zabiła.

Dziś skłonny jestem wierzyć, że nie kto inny, lecz duch twojej matki prowadził tę jej Szanghajską przyjaciółkę... Wyobraź sobie, że krótko po śmierci Suyuan ta osoba nagle

natknęła się na twoje siostry. Był to niewiarygodny, wręcz niesamowity przypadek. Wybrała się do domu towarowego przy Wschodniej Nankińskiej kupić sobie buty i oto w pewnej chwili wydało jej się, że śni: zobaczyła na schodach dwie jednakowe kobiety. Ich twarze miały w sobie coś takiego, co natychmiast skojarzyło jej się z twoją matką.

Podbiegła do nieznajomych, wykrzykując ich imiona, na co z początku nie zareagowały, bo przecież Mei Qing nadała im inne. Ta pani była jednak już tak pewna swego, że się tym nie zraziła. «Czyż nie nazywacie się Wang Chunyu i Wan Chun-hua?» — nie przestawała nalegać. W tym momencie dopiero tamte wpadły w ogromne podniecenie. Przypomniały sobie imiona na odwrocie starej fotografii przedstawiającej dwoje młodych ludzi. Ludzi tych nadal kochały i czyły jako swych prawdziwych, dawno zmarłych rodziców, którzy w postaci bezcielesnych duchów dotąd krążą po świecie w poszukiwaniu córek."

Na lotnisku jestem wykończona — w nocy nie zmrużyłam oka. O trzeciej nad ranem Aiyi przydreptała za mną do pokoju i momentalnie zasnęła na jednym z bliźniaczych łóżek; wydawane przez nią dźwięki przypominały chrapanie zmordowanego drwala. Leżałam bezsennie, pełna żalu, rozmyślając o losach mojej matki, o tym, że tak mało ją znałam i tak nagle, tak znienacka utraciłam... Dlaczego musiałyśmy utracić ją wszystkie — ja i moje siostry?

No, a teraz po uściśnięciu dłoni wszystkim krewnym i wyczerpaniu dalszych konwencjonalno-pożegnalnych gestów, teraz myślę, jak bardzo różne i dziwaczne czasami formy przybierają nasze rozstania z ludźmi. Ot, chociażby to: takie niefrasobliwe machanie rączką, kiedy przecież wiadomo, że na tym przynajmniej świecie więcej się nie zobaczymy. Albo pozostawienie kogoś na skraju drogi w złudnej nadziei, że się go być może odnajdzie... Albo to, że musiałam pożegnać matkę, zanim dano mi szansę trochę lepiej ją poznać... Tę matkę, którą odnalazłam dopiero w opowieści ojca.

Stoimy przed barierką, czekając na wywołanie naszego lotu. Aiyi uśmiecha się do mnie. Boże, jaka ona stara! Obejmuję ją jednym ramieniem, drugim przytulam Liii. Obie są chyba jednakowo drobne. Wywołują nas, pora iść. Kiedy po

raz ostatni macham im ręką, przechodząc do poczekalni, nawiedza mnie dojmujący smutek: jakbym jechała z jednego pogrzebu na drugi. Kurczowo zaciskam w rękę dwa bilety

— nasze bilety do Szanghaju. Będziemy tam za dwie godziny.

Samolot wzbija się w powietrze, a ja zamykam oczy. Tak kiepsko mówię po chińsku... czy potrafię opisać siostronom naszą matkę, opowiedzieć im o jej losach? Od czego powinnam zacząć?

— Obudź się, jesteśmy na miejscu! — słyszę głos ojca. Budzę się z sercem w gardle. Tak, to już lotnisko. Za oknem szarość.

Schodzę ze schodków na płytę lotniska, idę w stronę terminalu. Boże, Boże, czemu ona tego nie dożyła? To ona powinna być teraz na moim miejscu! Ze zdenerwowania nóg prawie nie czuję, mimo to jakoś idę.

„Jest! Przyjechała!” — słyszę czyjś okrzyk i nagle wydaje mi się, że ją widzę. Jej krótkie włosy, jej drobną postać, jej jakże znajomy wyraz twarzy. Kobieta wierzchem dłoni mocno przyciska usta i płacze. Płacze tak, jakby przed chwilą przeżyła coś strasznego, coś, co na szczęście minęło... jaka ulga. Szczęście.

Widzę już, że to nie moja matka, ale ten wyraz twarzy... Tak właśnie wyglądała, kiedy pewnego razu — miałam wtedy pięć lat — zawieruszyłam się na cale popołudnie, a ona była już przekonana, że nie żyję. Gdy wreszcie zaspana jak borsuk wypełzłam spod łóżka, dla niej zakrawało to na cud: śmiejąc się i szlochając na przemian, ugryzła się w rękę, chcąc upewnić samą siebie, że nie śni.

Ach, teraz to ona! Widzę ją w dwóch postaciach powiewających w powietrzu moją fotografią. Przekraczam barierkę i oto wszystkie trzy rzucamy się ku sobie na łeb na szyję, dopadamy, przywieramy do siebie, ściskamy jak szalone! Żadnych wahań, żadnych wątpliwości...

— Mama, mama — powtarzamy szeptem to słowo, jak gdyby naprawdę była pośród nas. Widzę, że siostry patrzą na mnie wzrokiem pełnym dumy.

— *Meimei zhandale* — mówi z uznaniem jedna do drugiej.

— Wyrosła nam młodsza siostrzyczka. — Ja też przyglądam się ich twarzom. Teraz już nie wydają mi się wcale podobne do

matki, a jednak takie znajome... swojskie. I nagle wiem już, która moja część jest chińska, przecież to oczywiste! Moja rodzina. Wspólna krew, a w niej chińskość. Po tylu, tylu latach wolno jej nareszcie wyjść na jaw.

Stoimy we trójkę splecione ramionami, śmiejąc się i ocierając sobie nawzajem łzy z oczu. Błysk, trzask migawki, i ojciec wręcza mi fotkę. Wpatrujemy się w nią w milczeniu, z przejęcia wstrzymując oddech.

Szarozielona emulsja rozświetla się barwami trzech naszych wizerunków, które zarazem nabierają ostrości i głębi. I choć żadna z nas nic nie mówi, wiem, że widzimy to wszystkie: dopiero z tych trzech twarzy razem patrzy na nas matka. To jej oczy, jej rozchylone zdziwieniem usta. Naprawdę? Naprawdę spełniło się moje upragnione życzenie? Po tylu latach?